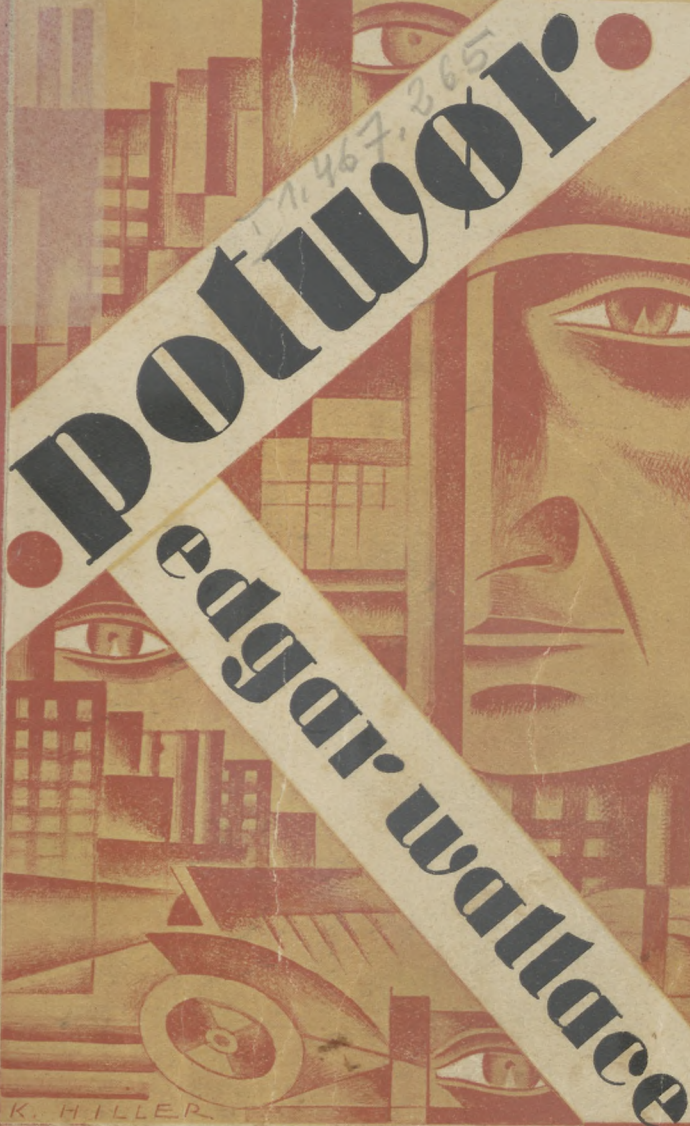


Z CYKLU:
NAJPIĘKNIJSZE POWIEŚCI KRYMINALNE
POWIEŚĆ TRZECIA

171467.365

Dolwör

Edgar Wallace



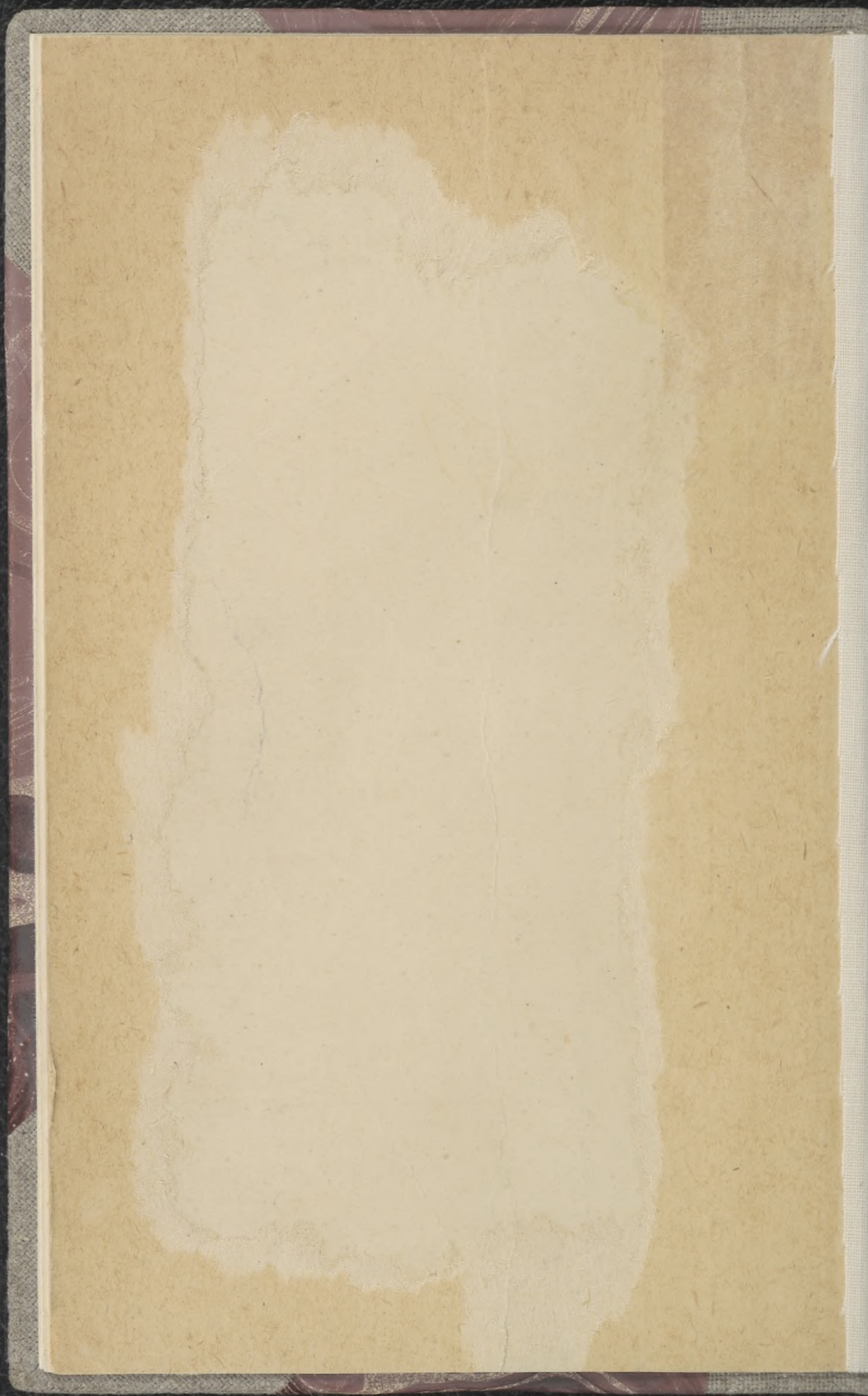
K. HILLER

Z upoważnienia autora przełożył MARCELI TARNOWSKI

„Przeczytałem powieści Edgara Wallace'a i muszę stwierdzić, że są to bezwzględnie najlepsze powieści kryminalne, jakie kiedykolwiek czytałem.“
G. K. Chesterton.

Jeżeli zaczynasz czytać tom Wallace'a wieczorem, nie odłóżysz go rychłej, aż doczytasz do końca, choćby rano miał cię przy tym zastać.

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE



EDGAR WALLACE
POTWÓR
POWIEŚĆ

Powieści Edgara Wallace'a w druku:

1. Czerwony krąg
2. Szajka Zgrozy
3. Potwór
4. Drzwi o siedmiu zamkach
5. Władca dusz
6. Gabinet Nr. 13
7. Ręka mściciela
8. Kameleon
9. Trzej sprawiedliwi
10. Król nocy

Ponadto 15 dalszych powieści tegoż autora.

Conan Doyle

o powieściach kryminalnych Edgara Wallace'a :

„Wieczorami czytuję często powieści kryminalne, gdyż uważam je za najlepsze wytchnienie Mogę tylko powiedzieć, że dla wszystkich, dla kogo powieść kryminalna jest wytchnieniem, książki te będą rozkoszą i przyjemnością, jakie rzadko gdzie znajdują, i że po przeczytaniu jednego tomu uczynią to, co ja uczyniłem, mianowicie pobiegną do księgarni po następny“.

EDGAR WALLACE

POTWÓR

(The Sinister Man)

Powieść

Z upoważnienia autora przełożył
MARCELI TARNOWSKI



Instytut Wydawniczy „Renaissance“

Warszawa – Poznań – Kraków – Lwów – Stanisławów

TREŚĆ

Rozdział	stronica
I. Oświadczyń	5
II. Firma Amery	11
III. Groźba Soyoki	19
IV. Dr. Ralf Hallam	25
V. Człowiek w pokoju	32
VI. Odszkodowanie mrs. Trene Hallam	39
VII. Znajomość z Indyj	45
VIII. Wyprawa Feng Ho	51
IX. „Mayfair 10016“	54
X. Mr. Tarn pisze testament	59
XI. Syndykat	65
XII. Amery wie	75
XIII. Skandal w Szanghaju	78
XIV. Opiekunka majora Amery'ego	84
XV. Człowiek w pokoju	89
XVI. Tajemnica Elzy	95
XVII. O zwykłej porze	105
XVIII. Stanford Corporation	110
XIX. Interwencja Amery'ego	117
XX. Gadatliwość Tupperwilla	122
XXI. Podpisane zeznanie	138
XXII. Prawda o Tarnie	143
XXIII. Niemili klient	147
XXIV. Próba trucizny	154
XXV. Laudanum	158
XXVI. Dziwne pytanie	168
XXVII. Przeprowadzka Elzy	171
XXVIII. Gość	176
XXIX. „Pace“	182
XXX. Żałatwiony list	189
XXXI. Klient banku	195
XXXII. Spekulant	201
XXXIII. Zaproszenie	204
XXXIV. Gentleman z Cleveland	208
XXXV. Major Amery dziwi się	222
XXXVI. Nieporządek w domu	229
XXXVII. Cztery bronzowe paczki	234
XXXVIII. Poprawianie listu	243
XXXIX. Ralf wyjaśnia	251
XL. Nowy szofer	256
XLI. Jessie Dame w domu	261
XLII. Podpis na czeku	266
XLIII. Mr. Tupperwill szuka rady	270
XLIV. Major Amery wychodzi	275
XLV. Alarm	283
XLVI. Aresztowanie	290
XLVII. W domu śmierci	298
XLVIII. Kat	302
XLIX. Ucieczka	308
L. Nazajutrz	311
LI. Bank	317
LII. Palto Hallama	323
LIII. Dame wyjeżdża	329
LIV. Wille mówi „Nie!“	335
LV. John Stillman	341

I. 467. 265



1383 K27/17



ROZDZIAŁ I.

Oświadczyzny.

— Jesteś ładna, — rzekł mr. Maurycy Tarn z namysłem, — jesteś młoda. Prawdopodobnie przeżyjesz mnie o wiele lat. Nie jestem człowiekiem, któryby miał coś przeciwko temu, byś ponownie wyszła za mąż. To byłby tylko egoizm, a ja nie jestem egoistą. Po mojej śmierci będziesz posiadała wielki majątek, a póki ja żyję, możesz korzystać z mego bogactwa. Może nie myślałaś nigdy o tem, aby widzieć we mnie męża, ale małżeństwo z opiekunem nie jest rzeczą niezwykłą, zaś różnica wieku, to nie tak wielka przeszkoda.

Mówił, jakby powtarzał starannie przygotowaną mowę, a Elza Marlowe przysłuchiwała się zdumiona.

Nie zdziwiłaby się bardziej, gdyby staromodny kredens o własnych siłach położył się na boku, albo gdyby Elgin Crescent nagle przeniesione zostało na przedmieście Bagdadu. Ale Elgin Crescent pozostawało ciągle w Bayswater, a ponura jadalnia w mieszkaniu Maurycego Tarna na drugim piętrze trwała niezmieniona. Sam Maurycy Tarn, mężczyzna pięćdziesięciosześcioletni, niegolony, o niechlujnym wyglądzie, siedział naprzeciw niej przy śniadaniu. Jego drżąca dłoń automatycznie szarpała potargany siwy wąs, co było wymowną oznaką pijatyki poprzedniej nocy (na stole w jego gabinecie stały trzy próżne flaszki, widziała je, gdy tam zajrzała rano), i mr. Tarn oświadczał się jej.

Patrzała na niego nieruchomo, szeroko otwartymi oczyma, nie mogąc pojąć tego, co słyszała.

— Przypuszczasz, że zwarzjowałem, — ciągnął mr. Tarn wolno. — Zastanowiłem się nad tem dobrze, Elzo. O ile wiem, serce twoje jest wolne. Nie widzę powodu, dla któregooby to było niemożliwe — chyba różnica wieku.

— Ależ... ależ, mr. Tarn, — jękała Elza, — nigdybym o tem nie pomyślała. Oczywiście jest to zupełnie niemożliwe!

Zapytywała siebie, czy mr. Tarn jest jeszcze pijany. Spędziła z nim piętnaście lat, a jednak czas nie zdołał wzbudzić w niej szacunku dla niego. Gdyby te oświadczenia, które spadły jak grom z jasnego nieba, nie oszłomiły jej zupełnie, musiałyby się roześmiać.

— Nie chcę wyjść za pana, nie chcę wyjść za nikogo. To bardzo — bardzo ładnie z pańskiej strony i czuję się bardzo... — nie mogła wypowiedzieć tego słowa —, ... bardzo zaszczycona. Ale to jest śmieszne! — wykrzyknęła.

Zmęczone oczy opiekuna obserwowały ją prawie nieruchomo, gdy mówiła.

— Muszę... gdzieś... odjechać. Muszę zrobić coś dla mego zdrowia. Odkąd major Amery przybył do firmy, niemożliwością jest żyć tak dalej.

— Czy Ralf wie, że pan wyjeżdża? — zapytała, gdyż ciekawość przemogła jej zdziwienie.

— Nie! — Prawie zawył to słowo. — Nie wie... i nie powinien wiedzieć! Rozumiesz, Elzo? Ralf bezwarunkowo nie powinien się o tem dowiedzieć. Powiedziałem ci to w zaufaniu. Zastanów się nad tem!

Elza odczuła ulgę, gdy mr. Tarn ruchem ręki zakończył rozmowę. Siedziała jeszcze jakieś dziesięć minut, wy-

glądając przez okno, wychodzące na planty na Elgin Crescent, stanowiące wspólny ogród dla wszystkich mieszkańców. Właściwie nie można ich było nazwać ogrodem, gdyż była to mała, zdeptana murawa, porzecinana brązowymi ścieżkami, przedstawiająca wartość tylko dla rodziców małych dzieci. W słoneczne dni piastunki i dzieci chroniły się w cieniu wielkiego drzewa, rosnącego pośrodku ogrodu. Ale o tej porze plac był pusty. Żółte światło wpadało przez wielkie okno, tworząc jasną ukośną plamę na stole i padając na kwiaty wiosenne, które zasłaniały jej widok mr. Maurycego Tarna.

Rzuciła na niego przelotne spojrzenie z poza kwiatów. Nosił wczorajszy kołnierzyk — zazwyczaj kołnierzyk musiał mu starczyć na trzy dni. Jego brudny, czarny krawat zapięty był z tyłu na zardzewiałą sprzączkę. Klapy jego staromodnego surduta świeciły się, brzegi rękawów były postrzępione. Poddała go dokładnemu badaniu w świetle przyszłego narzeczeństwa i zadrżała.

Elza zachowywała się wobec swego opiekuna i jego nawyków z filozoficzną cierpliwością. Znudziło się jej już nalegać ciągle, aby uzupełniał swoją garderobę. Mr. Tarn posiadał znaczne dochody i zaskoczył ją kiedyś wiadomością, że ma dość wysoką sumę w banku. Mimo to z przyzwyczajenia był bardzo skąpy. Musiała mu być wdzięczna za niejedno, choć nie za wiele: za naukę w najtańszej szkole, jaką mógł wyszukać; za kieszonkowe, które dawał jej z wielką niechęcią; za pobyt letni w Clacton; za dwutygodniowy kurs w przepelnionej szkole handlowej i za kurs dla zaawansowanych w stenografji i pisaniu na maszynie, aby przygotować ją na stanowisko prywatnej sekretarki starego Amery'ego. Poza tem dawał jej mr. Tarn to, co określał jako „dom“.

Dziwiła się często, skąd się wziął ten szlachetny kaprys, który skłonił go do adoptowania osieroconego dziecka dalekich krewnych. Gdy oświadczył jej pewnego wieczora, że nienawidzi samotności i że woli mieć w domu dziecko, niż psa, zrozumiała jego bezinteresowne postępowanie.

Napozór pogrążony był zupełnie w zajadaniu pieczonej kury, gdy nagle zapytał:

— Jest co nowego w gazecie?

Mr. Tarn sam nigdy gazet nie czytywał; od lat już obowiązkiem Elzy było zwracać mu uwagę na ważniejsze wiadomości w pismach porannych.

— Nic szczególnego, — odpowiedziała, — o kryzysie parlamentarnym już pan wie.

Mruknął coś między zębami i zapytał: — Więcej nic?

— Nic, tylko afera handlarzy narkotyków, — odpowiedziała Elza.

Maurycy Tarn podniósł nagle głowę. — Afera handlarzy narkotyków? Jak mówisz?

Elza podniosła gazetę, która upadła na podłogę.

— Idzie tu o dwie szajki, które sprowadzały narkotyki. Chyba to pana nie zainteresuje, — rzekła, odszukując wspomniane miejsce w gazecie.

Przypadkowo spojrzała na niego i tak była zaskoczona, że omal nie upuściła gazety. Twarz mr. Maurycyego Tarna zawsze była blada, ale teraz była biała jak kreda. Dolna szczęka zwiśla mu, patrzył na Elzę przerażony.

— Dwie szajki? — wykrztusił. — Co mówisz? Czytaj prędko! — rozkazał ochryplym głosem.

— Myślałam.. — zaczęła.

— Nie idzie o to, co ty myślisz, czytaj! — mruknął Tarn.

Elza ukryła zdumienie i odszukała artykuł, który zajmował na głównej stronie pół szpalty:

„Wczoraj rano inspektor Bickerson z policji kryminalnej z sześcioma urzędnikami urządził obławę na mały skład w Whitechapel i po ujęciu właściciela, zarządził rewizję lokalu. Skonfiskowano znaczną ilość opjum i paczkę zawierającą 16 funtów kokainy. Zachodzi podejrzenie, że sklep ten był centralą dwóch szajek, które zarówno w Anglii jak i w Ameryce uprawiają niedozwolony handel narkotykami. Policja przypuszcza, że na czele jednej z tych organizacji stoi japoński kupiec Soyoka, który jednak wysuwany jest tylko jako figurant, podczas gdy właściwe transakcje załatwia szereg ludzi na poważnych stanowiskach, z których dwaj mają być urzędnikami administracyjnymi w Indjach. Członkowie drugiej szajki, którzy w ostatnich dwóch latach zdobyli wielkie majątki, nie są dokładnie znani. Obie organizacje posiadają setki agentów, którzy rozporządzają całą armją śmiałych przestępców dla zatuszowania swojej roboty. Ujęcie przed niedawnym czasem pewnego Greka w Cleveland, Ohio, i jego zeznania wobec władz Stanów Zjednoczonych naprowadziły Scotland Yard na trop brytyjskiej gałęzi organizacji. Zeznania Greka Moropoulosa pozwalają przypuszczać, że kierownikami drugiej szajki są: jakiś lekarz angielski i znany kupiec londyński“.

— Ach!

Nie był to jęk, nie było to westchnienie, ale coś pośredniego.

— Co się stało? — zapytała Elza.

Mr. Tarn zrobił niecierpliwy ruch ręki. — Przynies mi trochę wina... z szafki w moim gabinecie! — mruknął. Elza pobiegła do pokoju i powróciła z pełnym kieliszkiem, który Tarn opróżnił jednym haustem. Krew powracała wolno do jego twarzy, zmusił się do uśmiechu.

— To twoja wina, — rzekł z wymuszoną wesołością. — Człowiek w moim wieku nie może o tak wczesnej go-

dzinie dostać „kosza“, nie odczuwając skutków. Zdaje się, że jestem za stary, aby się oświadczać. Zastanów się nad tem, Elzo! Byłem dla ciebie zawsze przyjacielem!

— Czy mam panu jeszcze coś przeczytać?

Ruch ręki przerwał jej słowa. — Głupstwo! Kaczka dziennikarska! Ci ludzie potrzebują sensacji, żyją z tego! Wstał z wysiłkiem.

— Pomówimy o tem w biurze, — rzekł. — Zastanów się, Elzo!

Drzwi gabinetu zamknęły się za nim i mr. Tarn znajdował się jeszcze w swoim zamkniętym pokoju, gdy Elza wsiadła do jadącego we wschodnim kierunku omnibusu, który zawiózł ją prawie do samych drzwi domu firmy Amery.

ROZDZIAŁ II.

Firma Amery.

Firma Amery & Amery znajduje się dziś jeszcze w tym samym budynku, co w czasach, gdy założyciel przedsiębiorstwa zwołał swoich praktykantów i urzędników, aby walczyć z olbrzymim pożarem Londynu. Po pożarze sterczał tylko wąski stary dom wśród dymiących ruin na Wood Street. Z biegiem lat uskuteczcono naprawy, gdyż surowy zarząd miejski domagał się pewnych zmian w budowie, ale nazewnątrz gmach Amery'ego pozostał taki, jak w czasach, gdy „Mayflower“ wyjeżdżał z portu Plymouth i omal nie podzielił losu „Pleasant Endeavour“, pierwszego okrętu floty wschodnio-indyjskiej Amery Brothers.

Stulecia przyniosły firmie wiele zmian losu. Pewnego wieczora w czasach Regencji jeden z Amery'ch przegrał flotę w kości w zajeździe White'a. Później inny Amery odzyskał majątek handlem herbatą, ale wąski dom z nierównymi podłogami, starożytnymi szafkami, niskimi sufitymi i kręconymi schodami oparł się czasowi.

Nad grubemi zielonemi szybami okien, wpuszczającemi światło, widniał wyblakły napis „Amery & Amery, Eksport i Import“, temi samemi literami, jakie wybrał Amery z czasów Jerzego III. Pokój, w którym Elza Marlowe

załatwiała korespondencję nowego właściciela, urządzony został przez młodego kierownika biura, który jako starzec ujrzał pierwszego policjanta na ulicach Londynu.

Elza, która tego poranka wiosennego siedziała przed swoim zniszczonym biurkiem, gdy słońce potokami wlewało się do pokoju, równie mało odpowiadała ponuremu otoczeniu, jak bukiet konwalji, stojący w zwykłym wazoniku obok jej maszyny do pisania.

W Paryżu mieszkał pewien rzeźbiarz, zamilowany w delikatnych posążkach paryżanek, a Elza Marlowe mogłaby służyć panu Milliere za model, gdyż postać miała wysmukłą, zgrabny podbródek, nos prosty, wielkie, pytające oczy i obfite, złociste włosy, które rzeźbiarz tak lubił.

Miała barwę twarzy, która skłaniała mądre i sceptyczne kobiety do spoglądania na nią po raz drugi, a jednak nie zawdzięczała bieli i czerwieni swojej cery sztuce, a ciemna purpura jej warg była równie „prawdziwa,” jak głęboki błękit oczu.

Ze zmarszczonem czołem przysłuchiwała się koleżance. Czuła się zawsze nieswojo, gdy ta szczupła osoba z naciskiem wypowiadała swoje myśli.

Elza Marlowe ceniła zdanie miss Dame tylko w dziedzinie stenografji. Na poglądy panny Jessie o życiu ludzkim wpływały romantyczne wrażenia, jakie zdobywała wieczorami. Ale jeśli określała firmę Amery & Amery jako „niesamowitą”, a Pawła Roy’a Amery’ego nazywała „niesamowitym potworem”, Elza musiała się z nią zgodzić.

— Może się pani śmiać z kina, — rzekła miss Dame poważnie, — ale można się z niego jednak nauczyć poglądów na życie, ludzi, charaktery... Rozumie mnie pani przecież? To są doświadczenia dla takich dziewcząt, jak ja. Widziałam łotrów! O Boże! Ale nigdy nie widziałam człowieka podobnego do majora. Potwór! Wy-

starczy spojrzeć na niego, miss Marlowe. Nie mogę pojąć, dlaczego kochany, dobry wujek pani, najlepszy człowiek na świecie, pozostawia panią tutaj. Rozumie mnie pani przecież?

Miss Dame patrzyła lekliwie przez binokle, usta miała otwarte, a mały jej nosek czerwieńszy był, niż zazwyczaj. Była wysoka, miała okrągłe ramiona i wygląd niezgrabny. Ręce i stopy miała wielkie, a włosy obcięte à la garçonne sterczały dokoła jej głowy niby wachlarz.

— Nie nazwałabym go potworem, — rzekła Elza, — oczywiście nie jest zbyt miły. Przypuszczam, że nie przywykł do obcowania z białymi ludźmi.

— Otóż to właśnie, — wtrąciła miss Dame. — Murzyni i Indjanie! Założyłabym się, że ich zamęczał na śmierć! To potwór, — rzekła miss Dame stanowczo, — tak samo niesamowity, jak ten kilkowiekowy gmach. Żadna podłoga nie jest tu prosta, żadne drzwi nie zamykają się dobrze. Niech pani spojrzy na te małe, niepozorne okna, na belki w suficie! Nawet porządnej umywalni niema w całym domu! I taki budynek znajduje się w centrum miasta! Co za lichy przyniosło tu majora? Stary mr. Amery nigdy nie wspominał o bratanku, a wujaszek pani był przy odczytaniu testamentu tak zdziwiony, że omal się nie przewrócił. Sam mi to opowiadał.

W tej chwili „wujaszek“ był dla Elzy równie niemiłym tematem, jak „Potwór“ Amery. Pracownicy firmy przypuszczali, że mr. Tarn był jej wujem, a Elza nie zadała sobie nigdy trudu, aby ich wyprowadzić z błędu.

— Przyzwyczajmy się do niego, — rzekła z westchnieniem. — Nowi ludzie są początkowo zwykle niemili, a i on prawdopodobnie nie jest przyzwyczajony do życia biurowego. W Indjach był urzędnikiem. Wiem to...



Urwała, gdyż spostrzegła, że wkracza w dziedzinę niedyskrecji. Nie wolno jej było opowiadać o tajemniczych listach, które dyktował Amery i w których trafiały się całe wiersze niezrozumiałych szyfrów.

— Mr. Tarn wie o nim coś, — rzekła miss Dame, kiwając głową. — Byli wczoraj razem kilka godzin... Słyszałam. Strasznie hałasowali!...

Elza spojrzała na koleżankę zdziwiona. — Klócili się? — zapytała niedowierzająco.

— Klócili się! — wykrzyknęła miss Dame z triumfem. — Nie słyszała pani nigdy czegoś podobnego! Pani wyszła wtedy na lunch. Oczywiście „kilka godzin“ to znaczy dwadzieścia minut. Nigdy jeszcze nie widziałam wujaszka pani tak zdenerwowanego.

Nie przekonało to Elzy. Mr. Maurycy Tarn ostatnio denerwował się bardzo łatwo. Dziwiło ją to nawet. Ale kłótnia? Dlaczego miałyby się Amery kłócić ze swoim kierownikiem biura? Nie znali się jeszcze prawie zupełnie, gdyż Paweł Amery przyjechał dopiero przed miesiącem, przedsiębiorstwo było dla niego zupełnie nowe i nie orjentował się jeszcze wcale w biegu interesów.

— Czy pani jest tego pewna? — zapytała.

Zanim miss Dame zdążyła odpowiedzieć, rozległ się głośny dzwonek. Elza chwyciła szybko książkę do stenogramów i ołówek i udała się do jaskini swego surowego szefa.

Był to miły pokój, wyłożony niebieskim dywanem, od którego odbijały się czarne, błyszczące boazerje. Na starym kominku tykał czcigodny zegar, okna zasłonięte były ciemno-niebieskimi firankami, a jedyną jasną barwą była szkarłatna skóra krzesel.

Człowiek przy wielkiem biurku patrzył na leżący przed nim list i zdawał się nie spostrzegać jej obecności; czytał

pocichu, poruszając bezgłośnie wargami i starając się widocznie zapamiętać każde słowo. Minęła minuta...

Paweł Amery podniósł głowę z owym zimnym wyrazem twarzy, który budził w Elzie zawsze uczucie, graniczące z wściekłością. Spojrzenie to nie było celowo obrażające, gdyż wtedy wrażliwość jej byłaby usprawiedliwiona.

Było to tylko drobne zaznaczenie drwiącego uśmiechu, przyczem kąciki ust opadały, a górna warga podnosiła się jednocześnie, ale w niebieskich jego oczach czaiło się coś zimnego i badawczego, coś dziwnie obrażającego.

Poznała już ten wyraz dawniej. Następował on zwykle po przerwaniu jego marzycielskiej zadumy. A Paweł Amery nie miał wesołych marzeń na jawie. Uśmiech ten przez sekundę tylko zniekształcał jego chudą, ciemną twarz. W następnej sekundzie miała ona już wyraz obojętny, choć czarne brwi schodziły się na zmarszczonem czole, nadając twarzy wyraz twardej, prawie nieludzki.

— No?

Głos jego brzmiał jak granit. W jednej chwili powrócił z marzeń do rzeczywistości, a oczy jego patrzyły badawczo w jej oczy. Niektórzy ludzie sądziliby, że posiadał on miłą powierzchowność, a i Elza jako kobieta przyznawała mu to. Gorące słońce Indyj spaliło skórę jego twarzy i nadało mu coś z charakteru zwierząt z dżungli, na które polował. Ilekroć widziała go, jak przechodził przez pokoje biurowe, cicho, prawie ukradkiem, musiała myśleć o kocie.

— No?

Nigdy nie podnosił głosu i nie okazywał zniecierpliwienia, a jednak jego „No?” było jak uderzenie biczem w twarz.

— Dzwonił pan na mnie i chciał przejrzeć akta... Chi Fung'a i Lee, mr. Amery, — wyjąkała, zła na siebie za swoje zmieszanie.

Major Amery bez słowa wyciągnął rękę i wziął przy-niesione papiery. Przejrzał je w milczeniu i odłożył.

— Dlaczego się pani mnie boi?

Pytanie to wprawiło Elzę w zdumienie. Spadło na nią tak nieoczekiwanie i było tak niemożliwe do odpowiedzenia, że mogła tylko stać i patrzeć na nieruchome oczy, aż jego władcze spojrzenie zmusiło ją do spuszczenia powiek.

— Nie boję się pana, mr. Amery, — odparła, usiłując mówić głosem spokojnym. — To dziwne pytanie! Ja... ja... się nikogo nie boję, — dodała wyzywająco.

Mr. Amery nie odpowiedział nic. I właśnie to milczenie zadawało jej słowom kłam.

— Zresztą, — ciągnęła z uśmiechem, — czyż to nie jest właściwe zachowanie sekretarki wobec szefa? Należy szacunek...

Urwała, gdyż czuła, że to, co mówi, jest głupie. Ale on patrzył przez okno na słoneczną Wood Street. Napozór myśli jego bawiły przy obładowanych wozach ciężarowych, stojących w wąskiej uliczce, lub przy policjancie, który usiłował zrobić im drogę, a może przy ciemnym szeregu domów przeciwnych — ale nie przy ładnej dziewczynie o bujnych, brunatnych włosach.

— Ma pani pięć stóp i trzy cale, — rzekł bez widocznego związku. — To znaczy sześćdziesiąt trzy cale! Mały palec lewej ręki ma pani zagięty, widocznie złamała go pani jako dziecko. Obcuje pani dużo z człowiekiem głuchawym, bo głos pani brzmi donośnie. Naturalnie, mr. Maurycy Tarna! Zauważyłem, że jest głuchawy.

Elza odetchnęła głęboko.

— Czy mam tu zostawić akta? — zapytała.

Oczy jego nie patrzyły już w jej twarz. Opadły gniewnie gdzieś na biurko.

— Nie, jest mi pani potrzebna. Proszę zapisać list do Fing Li T'sin'a, 796 Bubbling Well Road, Szanghaj! Tang Chiang chin ping ch'ang... przepraszam, pani przecież nie rozumie po chińsku!

Nie żartował. Zauważyła, że zaczerwienił się, zły na siebie o tę omyłkę — gdyż Elza mogła przypuszczać, że z niej drwił.

— Zresztą, on lepiej potrafi czytać i pisać po angielsku, niż pani albo ja, — dodał szybko. — Niech pani pisze: Szukam zaufanego człowieka do prowincji Nangpoo. Feng Ho przyjechał. Może Pan pisać do niego tutaj. Jeżeli zobaczy Pan Długi Miecz z SunYat, niech mu Pan powie...

Przerwał i podał jej kawałek papieru. Wypisane na nim były starannie wielkimi literami słowa: Lektyka, Tendencja, Pomoc, Wojenny, Świeca, Szablon, Mydło, Klon, Wierchołek, Hamlet, Życzenie.

Patrzył na nią kiedy czytała. Gładził ręką małe czarne wąsiki, a kiedy Elza podniosła głowę, zarumieniła się, gdyż spojrzenia ich spotkały się.

— Czy to nie dobra posada? — rzekł, wodząc dokoła wzrokiem. — Niewiele roboty! Dobra pensja!

Po raz pierwszy okazał jej jakieś zainteresowanie. Aż dotąd miała wrażenie, jakby traktował ją, niby ruchomy mebel.

— Tak, to dobra posada, — rzekła zmieszana i dodała, sama zła na siebie za te słowa: — Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z mojej pracy?

Amery nie odpowiedział.

Po chwili rzekł: — Znała pani przecież mojego stryjecznego dziadka, Bertrama Amery'ego?

Nie patrzył na nią, mówiąc. Wzrok jego wybiegał znowu na ulicę.

— Bardzo mało, — rzekła. — Byłam tu podczas ostatnich miesięcy jego życia. Zjawiał się w biurze tylko na kilka minut.

Major wolno skinął głową.

— Stary prowadził oczywiście cały interes?

— Stary? — Zmarszczyła brew. Zrozumiała, że uwaga ta odnosiła się do mr. Maurycego Tarna. — Mr. Tarn brał zawsze udział w prowadzeniu interesu, — rzekła nieco sztywno, choć nie czuła się tem obrażona, że mówił z lekceważeniem o jej dalekim krewnym.

— Mr. Tarn brał zawsze udział w prowadzeniu interesu, — powtórzył zamyślony, potem spojrział na nią nagle. — Dziękuję pani, to wszystko! — rzekł.

Była już przy drzwiach, gdy głos jego powstrzymał ją. — Ile pani płaci Stanford Corporation? — zapytał.

Odwróciła się i spojrzała na niego zdziwiona.

— Stanford Corporation, mr. Amery?

Patrzył na nią badawczo.

— Przepraszam, — rzekł spokojnie. — Widzę, że pani nie zna tego ruchliwego przedsiębiorstwa.

Zrobił ruch głową w stronę drzwi, a Elza dopiero siedząc przy swoim biurku, uświadomiła sobie to poniżające zachowanie się.

ROZDZIAŁ III.

Groźba Soyoki.

Stanford Corporation! Co on miał na myśli? Czy przypuszczał, że pracuje potajemnie dla innej firmy? Gdyby była w lepszych stosunkach z wujem, rozwiązanie tej zagadki byłoby łatwe, ale chwilowo stała z nim na napeżonej stopie.

Przepisywała właśnie list, gdy usłyszała, że drzwi od pokoju otworzyły się i zamknęły; odwróciła się i spostrzegła człowieka, którego właśnie dzisiaj chciała uniknąć.

Stał przez chwilę, targając palcami zmierzwione wąsy i patrząc na nią gniewnie blademi oczyma. Potem przeszedł wolno przez pokój, a wysoka jego postać zatrzymała się przy niej. Był niezwykle wysokiego wzrostu, a jak na kierownika dużego przedsiębiorstwa, ubrany zbyt niechlujnie.

— Gdzie jest Amery? — zapytał cicho.

— W swoim pokoju, mr. Tarn.

— Hm! — Potarł nieogolony podbródek. — Mówił coś?

— Co?

— Coś? — zapytał niecierpliwie.

Potrząsnęła głową. Chciała już opowiedzieć o pytaniu majora Amery'ego, ale nie mogła go dziś wciągać w swoje zaufanie.

— Czy zastanowiłaś się nad tą sprawą, o której mówiliśmy dziś rano?

Spojrzał na nią szybko i zanim się odezwała, wyczytał odpowiedź na jej twarzy.

— Nie... niema... niema sensu myśleć o tem.

Twarz jego skurczyła się wyrazem bólu.

— Za stary jestem? Pójdę na wszelkie ustępstwa, jakie zaproponujesz. Chcę tylko towarzystwa. Nienawidzę samotności. Potrzebny mi jest ktoś, do kogobym mógł mówić... żona... ktoś, kogo znam i komu mogę zaufać. Muszę ulżyć swoim myślom. Kobiety nie można zmusić do mówienia... Rozumiesz przecież? Wszelkie ustępstwa! — Akcentował te słowa, a Elza rozumiała ich znaczenie. Ale mówiąc, nie patrzył na nią. To przyrzeczenie „wszelkich ustępstw“ było kłamstwem. Potrzeba mu było więcej, niż zaufanego słuchacza.

Odetchnęła głęboko, przygnębiona.

— Czy musimy powracać do tego, mr. Tarn? — zapytała. — To rzeczywiście zbyt ciężkie. Dręczy mnie to niemożliwie, a wiem, że miałabym życie nieznośne.

Pocierał ciągle podbródek a wzrok jego powędrował ku drzwiom pokoju Pawła Amery'ego.

— Czy coś jest nie w porządku?

Potrząsnął z rozdrażnieniem głową. — Nie w porządku? Co ma być nie w porządku? — Patrzył zakłopotany na drzwi. — Wejdę i pomówię z nim.

W głosie jego brzmiało wyzwanie, które ją zaskoczyło. Tego rysu charakteru Maurycego Tarna nie znała. Znała go jako panującego nad sobą kupca, nie posiadającego wyobraźni. W najgorszym razie był tyranem domowym, pijącym ukradkiem. A jednak skupił się w sobie, jakby stał wobec ważnej decyzji. Ręka, która targała wąsy,

drżała, a w oczach jego wyczytała Elza lęk. — Muszę wyjechać, — rzekł cicho. — Nie wiem dokąd ale ... ale gdzieś.

Usłyszał, jak poruszyła się klamka, i obejrzał się przerażony. Paweł Amery stał na progu, a na wąskich jego wargach igrał ów nienawistny uśmiech.

— Chciałem... chciałem pomówić z panem, majorze Amery.

Paweł Amery bez słowa otworzył drzwi nieco szerzej i kierownik biura wszedł do jego gabinetu. Amery zamknął za nim drzwi i wolno podszedł do biurka. Nie usiadł, lecz stał z rękoma w kieszeniach i głową nieco pochyloną, mierząc Tarna zimnem badawczem spojrzeniem.

— No?

Wargi mr. Tarna poruszyły się dwa razy, zanim zaczął mówić głosem nienaturalnym.

— Czuję, że jestem panu winien wyjaśnienie, majorze Amery, z powodu owego... owego zajścia, które miało wczoraj miejsce. Obawiam się, że straciłem nad sobą panowanie, ale zrozumie pan, że człowiek, który zajmował w firmie Amery odpowiedzialne stanowisko i który, mam prawo to powiedzieć, ceniony był przez pańskiego stryja...

— Niech pan siada!

Maurycy Tarn usiadł niechętnie.

— Mr. Tarn, jestem nowicjuszem w tej firmie. Powinienem być przed ośmiu miesiącami, gdy stryj mój umarł, a majątek przeszedł w moje posiadanie, przyjechać natychmiast. Nie wiedziałem wówczas pewnych rzeczy, które wiem teraz. Wyobrażałem sobie Amery & Amery jako firmę, która może się obejść beze mnie. Nigdy nie patrzyłem na nią jako na wroga, którego muszę zwalczać.

Maurycy Tarn utkwiał w nim wzrok. — Zwalczać? Nie rozumiem pana. Jako na wroga, majorze Amery? — rzekł, drząc.

— Co to za firma Stanford Corporation? — Pytanie to zabrzmiało jak wystrzał. Mr. Tarn zzymnął się, ale nie odpowiedział.

— W jednym z wielkich domów na Threadneedle Street mieści się to przedsiębiorstwo, — rzekł Amery wolno, — które prowadzi niezbyt prosperujący interes, gdyż Stanford Corporation zajmuje tylko jeden pokój i nie ma urzędników. Całą robotę załatwia jakaś tajemnicza osobistość, która przychodzi po zamknięciu wszystkich biur i odchodzi krótko przed północą. Człowiek ten sam pisze swoje listy na maszynie i nie zostawia kopij. Miewa konferencje z różnymi ludźmi o podejrzanej sławie, a choć nazwa Stanford Corporation nie figuruje w księgach firmy Amery & Amery, jestem przekonany, że nasz czcigodny dom, — wargi jego wykrzywiły się znowu, — stworzony wieloletnią pracą i oparty na uczciwości i rzetelności moich zmarłych przodków, używany jest jako płaszczyk do przykrycia jakiejś tajemnej roboty.

— Majorze Amery! — Przez chwilę w zachowaniu Maurycyego Tarna było cnotliwe oburzenie, ale wnet stopniało ono pod przenikliwymi oczyma majora. — Jeśli pan ma to wrażenie, — mruknął Tarn szybko, — to najlepiej będzie, jeżeli opuszczę firmę. Służyłem jej wiernie przez trzydzieści pięć lat i nie uważam, aby mnie pan traktował sprawiedliwie. Co to za tajemna robota? Znam Stanford Corporation: przypominam sobie teraz. To zupełnie realne przedsiębiorstwo . . .

Rozchylone wargi i stalowe spojrzenie zmusiły go do milczenia.

— Chce pan udawać do końca? Dobrze, jak pan woli! Tarn, zajmuje się pan czemś, czego ja nie toleruję, mówiąc łagodnie. I przerwę pańską działalność, tak, przerwę ją, choćbym miał pana przez to zniszczyć. Rozumie pan? Wie pan, kim jestem — zgaduje pan więcej, niż pan wie. Stoi mi pan w drodze, Tarn! Nie spodziewałem się zastać tu takich przeszkód.

Wskazał na podłogę, a Tarn wiedział, że ma na myśli firmę Amery.

— Powiem to panu wyraźnie, — ciągnął major. — Dwie szajki, zajmujące się handlem narkotyków, mogą i robią na tem majątki. Może czytał pan coś o tem w dzisiejszej gazecie porannej. Dwie szajki! Na dwie niema miejsca! — rozumie pan?

Twarz Tarna zbladła jak popiół; nie mógł mówić. Człowiek przy biurku nie patrzył na niego, wzrok jego błądził po ulicy, jakby ruch na Wood Street stanowił dla niego coś bardzo zajmującego.

— Niema miejsca na dwie — zaledwie na jedną! — powtórzył. — Druga szajka musi zlikwidować swoje interesy i wynosić się póki czas. Czyha wiele niebezpieczeństw. Stronnictwo Soyoki nie zgodzi się w milczeniu na konkurencję. Powiadam to panu jako przyjaciel!

Tarn zwilżył zeszcłte wargi i nie odpowiedział.

— Dziewczyna nie należy do tego?

— Nie. — Stary człowiek zrobił to wyznanie. — Pan jest... Soyoka! — syknął. — O nieba! tegobym nie przypuszczał. Wiedziałem, że pracuje pan z Indyj i ze Wschodu, ale nigdy w to nie wierzyłem. — Głos jego zniżył się do niezrozumiałego szeptu.

Amery nie odpowiedział. Ruchem głowy zwolnił urzędnika. Elza widziała go, jak szedł, chwiejąc się, niby we śnie, przez biuro i dziwiła się, skąd ta blada twarz i drżące ręce.

Gdy Amery pozostał sam, podszedł do biurka i wsparł podbródek na dłoniach. Na przeciwległej ścianie wisiał obraz w staromodnej złotonej ramie — portret starszego mężczyzny w długiej peruce. Nosił prosty brązowy strój, koronkowy kołnierz otaczał jego podbródek; a w ręku trzymał rozwiniętą mapę świata. Pierwszy Amery! Ostatni z rodu spojrzął w twarde, szare oczy pradziada i skłonił się.

— Czcigodny przodku, — rzekł z szyderczą powagą, — oszukańcza firma Amery wita cię!

ROZDZIAŁ IV.

Dr. Ralf Hallam.

Wedle zwyczaju, panującego w firmie Amery od niepamiętnych czasów, pracownicy mieli przerwy obiadowej godzinę i dwadzieścia pięć minut. Nikt nie wiedział, skąd pochodziły te dwadzieścia pięć minut. Była to tradycja firmy, tego dnia szczególnie pożądana dla Elzy Marlowe, gdyż postanowiła zasięgnąć rady jedyne go człowieka, który mógł tę zagadkę rozwiązać.

Punktualnie o pierwszej opuściła biuro i pośpieszyła w kierunku Cheapside. Wsiadła do taksometru i po upływie kwadransa wysiadła przed małym domem na Half Moon Street. Zaledwie zapłaciła szoferowi, gdy otworzyły się drzwi i trzydziestoletni mężczyzna wybiegł jej naprzeciw.

— Co za cud! Czy szanowna firma Amery zbankrutowała?

Elza weszła pierwsza do domu, i dopiero gdy znalazła się w małej, zacisznej jadalni, odpowiedziała mu.

— Wszystko dzieje się do góry nogami, Ralfie. Nie, mój drogi, jeść nic nie będę. Ty jedz, a ja będę mówiła.

— Jadłem już. Proszę przynieść coś dla miss Marlowe, — rozkazał Dr. Ralf Hallam służącemu, a gdy ten znikł, zapytał troskliwie: — Co się stało?

Elza знаła Ralfa Hallama z czasów, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Był on przyjacielem jej „wujka“ i częstym gościem w ich domu w Bayswater. Podrastali razem. Przyznawał sam, że był bardzo kiepskim lekarzem i od czasu próbnej praktyki w klinice nie uprawiał swego zawodu. Teraz był dzielnym kupcem, a małym majątkowcem, który pozostawiła mu matka, potrafił tak obracać, że mógł się obejść bez dochodów, któreby mu przyniósł jego zawód.

Był blondynem o jasnych oczach, lat około trzydziestu, choć chłopięca, gładko wygolona twarz i niezmacony humor sprawiały wrażenie, jakby dopiero przekroczył dwudziestkę.

— Nie jesteś chyba chora? — zapytał, a gdy Elza z uśmiechem potrząsnęła głową, odetchnął z ulgą. — Dzięki Bogu! Inaczej czułbym się zmuszony poszukać dobrego lekarza.

Podczas rozmowy pomagał jej zdjąć palto, odebrał od niej rękawiczki i torebkę.

— Wiesz, że mr. Tarn nie jest moim prawdziwym wujem?

— Co? — Spojrzał na nią. — Ach tak... Jakiś daleki krewny, prawda? Komiczny staruszek — czy nie nudzi cię czasami?

— Wiesz Ralfie, on się chce ze mną ożenić, — rzekła tragicznie.

Dr. Hallam miał właśnie zamiar wziąć kieliszek z kredensu i postawić go na stole. Przy tych słowach kieliszek wypadł mu z ręki i rozbił się na kawałki. Elza spojrzała na Ralfa i spostrzegła, że zbladł.

— Jaki ja jestem niezręczny! — Głos jego brzmiał spokojnie. — Powtórz jeszcze raz! Chce się z tobą ożenić... ten... ten... ten...

Elza skinęła głową. — Tak! To prawie nie do wiary! Ach, Ralfie, jestem taka zmartwiona. W ostatnich tygodniach stał się taki dziwny. Pokłócił się z Amery'm.

— Spokojnie, spokojnie, moja droga! Siadaj! Opowiedz mi to jeszcze raz! Pokłócił się z Amery'm — to ten człowiek z Indyj?

Elza opowiedziała mu, co wiedziała o wypadku porannym. Ralf Hallam pogwizdywał.

— To stary łotr! — rzekł spokojnie. — Co mu się nagle stało? Skąd te niespodziane zamiary małżeńskie? Być gospodynią w Elgin Crescent, to wcale nie miła perspektywa.

— Chce wyjechać zagranicę, — rzekła. — Dlatego chce się tak szybko żenić. Właściwie miałam ci o tem nie mówić.

Za późno przypomniała sobie o rozkazie opiekuna. Ale jeśli nawet Ralf Hallam zaskoczony był tą nowiną, nie dał tego poznać po sobie.

— Oczywiście nie wyjdiesz za niego. Taki Grudzień nie pogodzi się z twoim Majem, Elzo! — Zdawało się jej, że chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie rzekł nic. Przez chwilę czuła obawę, że dzień ten przyniesie jej jeszcze jedne oświadczenia, gdyż w oczach jego zaigrał znamienny blask. Lubiała Ralfa Hallama — ale nie w ten sposób. Był bardzo dobry, bardzo usłużny, prawdziwy przyjaciel — a wszystko to byłoby zburzone, gdyby padły te niewypowiedziane słowa. Doznała ulgi, gdy zaczął znowu mówić o Amery'm.

— Co to właściwie za człowiek, ten Hindus? — zapytał. — Czy nie był tam urzędnikiem administracji?

— Wiem o tem bardzo mało, — odpowiedziała. — Nikt z nas nie wie o nim nic. Był przez szereg lat w Indjach. Powiadają nawet, że on nie jest Anglikiem, lecz należy

do amerykańskiej gałęzi Amery'ch, i że stary Amery postarał mu się o stanowisko w Indjach. Dziwny z niego człowiek.

Ralf Hallam uśmiechnął się. — Może warjat. Większość tych Hindusów ma bzika. To od słońca.

Elza potrząsnęła głową. — Nie, on nie jest warjatem. Ma straszne maniery. Jest taki szorstki, że graniczy to z brutalnością. A jednak, Ralfie, ma w sobie coś pociągającego. Myślę nieraz o tem, jakie on wiódł życie — jak spędza godziny wypoczynku. Nie mogę ci opowiedzieć, co się dzieje w biurze — tego mi nie wolno — ale korespondencja jego jest taka niezwykła. Dziwny ma w sobie magnetyzm. Kiedy spogląda na mnie, czuję jak... czuję, że tracę panowanie nad sobą. Czy to nie brzmi niepokojąco?

— Bezwarunkowo! — zawołał Ralf zdziwiony, — czy on cię hipnotyzuje?

— Ta-ak, — rzekła z wahaniem, — może masz rację. Przypomina mi jakieś piękne, gładkie zwierzę, choć nie jest wcale ładny. Niekiedy oczy jego są tak okrutne, że przenika mnie dreszcz, niekiedy zaś tak smutne, że chce mi się płakać, ale przeważnie jest taki zjadliwy, że czuję do niego wstręt. — Musiała się roześmiać z własnej niekonsekwencji.

— Jessie Dame nazywa go „niesamowitym potworem“ i może ma rację. Czasami, gdy jestem u niego, mam wrażenie, jakby myśli jego zajęte były jakimś strasznym przestępstwem. Taki jest nieufny. Kiedy zadaje pytanie, ma się wrażenie, iż spodziewa się, że go się chce okłamać. Nie można się pozbyć wrażenia, że się jest pod jego ciągłą obserwacją. Taki jest we wszystkim. Nosi buty na grubych podszewkach gumowych i porusza się z tajemniczością, budzącą zgrozę. Mr. Tarn nienawidzi go,

— Dziwna, niemiła osobistość! — rzekł Ralf z uśmiechem, — ale bardzo charakterystyczna. Nie trać odwagi! Co do Tarna, byłoby może dobrze, gdybyś go na krótki czas opuściła. Czy znasz moją bratową?

— Nie wiedziałam, że masz bratową, — odpowiedziała Elza i uśmiechnęła się.

— Polubisz ją, — rzekł Ralf z prostotą. — Postaram się, żeby cię zaprosiła na kilka dni.

W tej chwili wszedł służący z nakryciem, i oboje zamilkli.

Elza skończyła jedzenie i wstała do odejścia, gdy przed domem zatrzymał się samochód, i Ralf wyjrzał przez okno.

— Zaczekaj!

Poszła za jego spojrzeniem, ale ze swojego miejsca nie mogła widzieć, kto płacił szoferowi.

— Kto to jest? — zapytała.

— Cudowny Tarn, — rzekł Ralf. — Sądzę, że lepiej, aby cię tu nie spotkał. Wejdź do gabinetu. Znasz drogę. Kiedy go wpuszczę do jadalni, możesz się ulotnić. Postaram się już, żeby cię nie zobaczył.

Kiedy rozległ się dzwonek, Elza weszła do małego gabinetu, a wkrótce potem usłyszała głęboki głos Maurycego Tarna w przedpokoju. Przeczekała chwilę, potem na palcach przebiegła przez przedpokój i znikła.

Tarn, którego nerwy były podniecone, usłyszał szelest zamykanych drzwi i obejrzał się podejrzliwie.

— Kto to był?

— Mój służący wyszedł, — rzekł Ralf chłodno. — Co panu jest?

Tarn nie odpowiadał przez chwilę; potem siadł z westchnieniem na fotelu i zakrył twarz obydwoma dłońmi.

— Czy rzeczywiście jest tak źle? — zapytał Ralf Hallam.

— On wie! — odpowiedział Tarn głosem stłumionym.

— Kto to jest „on“ — ten pan z Indji? I co on wie?

— Wszystko, Hallamie! On jest Soyoką!

Hallam patrzył na niego z otwartymi ustami.

— Oszalał pan — Soyoką?

— Albo Soyoką, albo jednym z naczelników jego szajki. Dlaczego nie miałby nim być? Dochody firmy Amery nie przekraczają ośmiu tysięcy rocznie. Wiemy, jakie zarobki daje interes Soyoki. Oni zarabiają miliony, kiedy my zarabiamy tysiące. Mieszkał w Indjach i nie wiedział, że stary Amery pozostawił mu swoją firmę. Myśmy wiedzieli zawsze, że urzędnicy w Indjach szli z szajką Soyoki ręka w rękę. Skądby on inaczej mógł wiedzieć, gdzie szukać w książkach naszych ładunków? Pierwszą rzeczą, jaką uczynił, było, że zapytał o skrzynkę galanteryj, którą otrzymaliśmy od Steina w Lipsku, i zażądał szczegółów. Radził mi zniknąć, zrobię to. Hallamie, walczyć z Soyoką — to śmierć! Oni się przed niczem nie cofną. Nie mogę już tego wytrzymać, Hallamie! Jestem za stary do tego interesu.

— Słyszałem jednak, że nie za stary do małżeństwa.

Tarn spojrział na niego. — Co to ma znaczyć?

— To, co mówię. Słyszałem, że chce pan zniknąć z pewną damą, której nazwisko ma pozostać w tajemnicy.

Maurycy Tarn wzruszył ramionami. — Nie wiem jeszcze, co zrobię. Boję się!

— Rozumiem dobrze, że się pan boi. — Głos Ralfa Hallama brzmiał niemile; twarz jego przybrała wyraz twardy, dolna warga drżała. — Jeśli pan sądzi, że musi pan uciekać, niech pan ucieka — pieniędzy ma pan dość, aby doprowadzić do porządku swoje nerwy. Naturalnie do Ameryki Południowej, tak sobie pomyślałem. Jedź pan i niech błogosławieństwo będzie z panem! Stracił

pan nerwy i mojem zdaniem jest pan do niczego. Gorzej nawet — jest pan niebezpieczny. Podzielimy się jak najszybciej i może pan jechać — choćby do djabła, jeżeli pan chce.

Podszedł wolno do złamanego człowieka i spojrzął na niego zgóry.

— Ale pojedzie pan sam. Ja potrzebuję współpracownika.

— Elżę?

— Elżę! — rzekł Ralf Hallam. — Potrafię doprowadzić ją do tego, że będzie mi powolna. To drobnostka. Potrzebuję jej, Maurycy. To bardzo dzielna dziewczyna. Nie ganię pana, że ją pan chce posiadać. Jest boska. Ale i ja ją chcę mieć. W tej smukłej dziewczynie jest całe niebo, Maurycy!

— Ale — ale... — Tarn spojrzął na niego przerażony. Odosobniona komórka jego mózgu, w której niegdyś mieściła się moralność, pracowała z natężeniem. — Ależ pan nie może przecież, Ralfie! Pan jest żonaty... wiem o tem. Pan nie może się z Elżą ożenić!

— O małżeństwie nie mówiłem, — rzekł Ralf Hallam mruklawie. — Na Boga, nie bądź pan tak uczciwy!

ROZDZIAŁ V.

Człowiek w pokoju.

W drodze powrotnej do biura serce Elzy doznało ulgi i mogła znowu myśleć jasno. Nie powiedziała Hallamowi wszystkiego. Nie wiedział nic (sądziła) o jej nocnych mężkach, gdy Maurycy Tarn siedział przed zastawionym butelkami stołem i przemawiał do niej uparcie, aż jej się w głowie kręciło. Sądziła, że jego pośrednie aluzje o małżeństwie, jego zaletach i korzyściach, były tylko objawem gadatliwości. Teraz zrozumiała ich cel. Zmieszana i oszołomiona usiłowała przygotować się do jego niezwyklej propozycji. Dawniej nie pijał tak wiele. Zdusiła westchnienie, gdy taksówka wjechała w Wood Street, i zapukała w szybę, aby zatrzymać samochód, zanim dojedzie do domu firmy Amery.

Było już pół do trzeciej, gdy wbiegała po wąskich schodach, w nadziei, że niemiły szef jeszcze na nią nie dzwonił. Gdy otworzyła drzwi do swego pokoju, ujrzała na krześle przy oknie jakiegoś człowieka. Choć dzień był gorący, nosił palto, na którego kołnierz spadały jego czarne włosy. Odwrócony był do niej tyłem i napozór zupełnie zajęty obserwowaniem ulicy, gdyż dopiero usłyszawszy szmer zamykanych drzwi, odwrócił się nagle i wstał. Przez chwilę patrzyła nań Elza z otwartymi ustami. Był to Chińczyk!

Ubrany był według najświeższej mody. Palto było wcięte, szare spodnie w paski starannie wyprasowane, na lakierkach nosił białe getry. Modny krawat i eleganckie rękawiczki były zupełnie europejskie. Ale twarz! Niezglębione oczy za powiekami bez rzęs, żółta, pergaminowa skóra, bezkrwiste wargi, wystające kości policzkowe — Elza nigdy jeszcze nie widziała czegoś tak brzydkiego. Jakby czytając w jej myślach, rzekł najczystsza angielszczyzną:

— Taki człowiek jest piękny, jakim go piękność uczyniła. Feng Ho, Baccalaureus Scientiis — proszę, oto moja karta, — i z lekkim ukłonem podał jej podłużną wizytówkę, którą przyjęła machinalnie.

W tej chwili usłyszała dziwny, ale miły dźwięk. Był to cudowny śpiew ptaka. Na jednej z półek stała misternie sporządzona klatka. Złote druty i kolorowe szkło połączyły się, aby upiększyć pałacyk małego śpiewaka. Na drążku siedział cytrynowo-żółty kanarek, którego gardziołek poruszał się podczas śpiewu.

— To cudowne! — rzekła Elza zdumiona. — Skąd on się tu wziął?

Feng Ho uśmiechnął się. — Ja go przyniosłem. Pi towarzyszy mi wszędzie. Ludzie oglądali się na ulicy i uważali to za dziwne, że taki chiński pan, Baccalaureus Scientiis, nosi zwyczajną klatkę. Ale Pi potrzebuje powietrza. Dla ptaka nie dobrze jest pozostawać stale w pokoju. Pi, wrono niegodna i brzydka, zaśpiewaj pięknej paniencie swoją głupią piosenkę.

Ptaszek był przez pewien czas spokojny, ale teraz wyrzucił z siebie falę dźwięków, napełniając cichy pokój miłemi tonami.

— To cudowne! — rzekła Elza i z ptaka przeniosła wzrok na jego posiadacza.

Niezglębione oczy Chińczyka obserwowały ją.

— Żałuję bardzo, jeżeli panią przestraszyłem, — rzekł.
— Dla pani to zapewne coś nowego, spotkać Chińczyka, miss Marlowe!

Elza zdumiała się: Skąd ten człowiek znał jej nazwisko?

— Pan... pan chciał zapewne mówić z majorem Amery?
— zapytała, odzyskawszy spokój.

— Już z nim rozmawiałem. Prosił, abym zaczekał chwilę i przedstawił się pani. Obawiam się, że będę zbyt częstym gościem.

Elza zmusiła się do uśmiechu. — Niech się pan nie obawia, mr....

Czy miała go nazywać mr. Feng, czy mr. Ho? Znowu zdawał się czytać jej myśli.

— Feng Ho to złożone nazwisko, — wyjaśnił, — i zbyt czone jest dodawać do tego jakiś tytuł. — Oglądając z zadowoleniem swoje nowiutkie rękawiczki, dodał: — Major Amery przyszedł właśnie.

Elza spojrzała na niego szybko. — Nie słyszałam go, — rzekła.

Feng Ho skinął energicznie głową. — Tak, przechodzi teraz przez pokój, zatrzymał się przed kominkiem. — Podniósł głowę, nad słuchując. — Teraz jest przy biurku i podnosi jakiś papier. Nie słyszała pani szelestu?

Spojrzała na niego podejrzliwie. Czy ten dziwny człowiek, który tak szybko postawił się na równej stopie z nią, drwił z niej?

— Słyszę wszystko, — rzekł. — Teraz siedzi w swoim fotelu. Trzeszczy pod nim.

Podeszła do drzwi, prowadzących do pokoju majora, i otworzyła je. Gdy zajrzała, Amery siedział przy biurku i wyciągał właśnie rękę, aby nacisnąć dzwonek, który miał ją przywołać.

— Niech pani wejdzie, — rzekł szorstko. — Więc poznała pani Feng Ho?

Zauważył jej rumieniec i górna jego warga skrzywiła się w nienawistnym uśmiechu.

— Dał pani zapewne próbkę swego słuchu? To jego jedyna próżność.

Obejrzał się za Chińczykiem. Feng Ho ukazał w całej rozciągłości jaskinię swych ust, uśmiechając się od ucha do ucha.

— Proszę, niech pani zamknie drzwi! — rzekł major. Gdy Elza chciała go usłyszeć i zamknąć drzwi przed Chińczykiem, usłyszała z warg majora szereg niezrozumiałych dźwięków i ujrzała, jak Feng Ho ukrył dłonie w rękawach i skłonił się.

— Będzie pani zapewne często widywała Feng Ho. A może nie. Niech pani zapisze list!

Podczas następnego kwadransa palce jej migwały nad książką do stenogramów, bo kiedy Amery dyktował, mówił tak szybko, że Elza musiała pracować z najwyższym napięciem. Słowa jego brzmiały, jak nieprzerwany stukot karabinu maszynowego, a zdania kończyły się równie szybko. Podniosła głowę, czekając, aż szef zwolni ją, ale spostrzegła, że spojrzał na nią.

— Feng Ho jest Chińczykiem, — rzekł zbytecznie, zaś widząc jej uśmiech, dodał ze złośliwym spojrzeniem: — Wielu ludzi myli Chińczyków z innym sąsiednim narodem.

Urwał, a potem ciągnął: — Natomiast Soyoka jest Japończykiem i płaci dobrze.

Nazwisko to wydało się jej znajome, ale chwilowo nie mogła sobie przypomnieć, gdzie je słyszała czy czytała.

— Płaci swoim urzędnikom bardzo dobrze, — ciągnął.

— Sądzę, że uczyniłaby pani lepiej, pracując dla niego, zamiast dla tej szajki amatorów. Soyoka dobrze płaci.

Nie spuszczał wzroku z jej twarzy i spostrzegł, że ciągle jeszcze stała jak przed zagadką.

— Czy pan sobie życzy, abym go... abym opuściła firmę Amery? — zapytała. — Kto to jest Soyoka? Zdaje się, że słyszałam już raz to nazwisko.

— Soyoka jest to pewien japoński pan, — wyjaśnił Amery głosem podnieconym, — bardzo potężny i bardzo bogaty Japończyk. U Soyoki wszystko jest w najlepszym porządku, a przyjaciele jego są zawsze gotowi angażować ludzi, którzy mogą im być pomocni. Soyoka nie miałby nic przeciwko temu, by zaangażować kogoś, kto pracował dla konkurencji. Przypuszczam nawet, że byłby z tej sposobności zadowolony. A przytem, jak powiedziałem, płaci dobrze.

Elza potrząsnęła głową.

— Wprawia mię pan w zdumienie, majorze Amery. Nie wiem istotnie, kim jest Soyoka, a nie radabym pracować dla ludzi ze Wschodu.

Major nie odpowiedział na to, lecz dodał nieoczekiwanie:

— Może pani zaufać panu Feng Ho. Posiada on wszystkie cnoty Wschodu bez jego występków. Większość Chińczyków to ludzie uprzejmi, z wielką skłonnością do ptaków. Ilekroć Feng Ho będzie wchodził do naszego biura, dozna pani przyjemności. Zyskuje on przy bliższej znajomości. Pewien pirat zabił jego ojca, — dodał bez widocznego związku. — Feng Ho dogonił mordercę w górach Ningpo i przyniósł w swojej torbie siedem głów piratów. Dziwny człowiek, nieprawdaż?

Przerażenie i zdumienie odebrały jej mowę. — Ten mały człowieczek? — zapytała nieufnie. — To straszne!

— Oczywiście, że to straszne, gdy własnemu ojcu obcinają głowę, — rzekł major zimno; potem, znowu napozór bez związku, dodał: — Feng Ho to śmierć dla rywali Soyoki — niech pani to zapamięta!

— Kto to jest Soyoka? — zapytała Elza, nieco rozgoryczona. — Wymienił go pan już trzykrotnie, majorze Amery. Może jestem trochę ociężała na umyśle, ale nie mogę zrozumieć pańskiego postępowania.

Major nie odpowiedział na to, była to jedna z jego właściwości, zdolnych doprowadzić człowieka do szaleństwa.

— Co pani robi w niedzielę? — zapytał krótko.

W odpowiedzi Elza wstała i zebrała swoje rzeczy.

— Czy pragnie pan mieć te listy jeszcze przed pocztą popołudniową; majorze Amery? — zapytała.

— Nie odpowiedziała mi pani.

— Nie sądziłam, aby ta sprawa mogła pana interesować, — odparła Elza z napływem dumy, która, czuła to, była nie na miejscu.

Palce jego bębniły w zdenerwowaniu po biurku.

— Przeciwnie. Życie prywatne moich urzędników interesuje mię nawet bardzo, — odparł. — Ale może tu w kraju nie jest w zwyczaju zdradzać się z tem zbyt. Przyszło mi tylko na myśl, że willa państwa jest zbyt samotna i stoi zbyt blisko rzeki, przytem okna powinny być zaopatrzone w kraty. Za blisko są ziemi, a każdy zręczny człowiek mógłby się wdrapać po przybudówce i dostać do pani pokoju, zanimby pani zdążyła wydać dźwięk.

Elza usiadła nagle. Skąd ten człowiek znał małą willę Maurycego Tarna nad górnym biegiem Tamizy, gdzie przebywali zazwyczaj w niedzielę? A jednak nietylko znał ją, ale zbadał miejsce tak dokładnie, że wiedział, którego pokoju używała podczas tych wizyt. Porobił nawet obliczenia wysokości okien. To nie do wiary!

— Nie rozumiem pana rzeczywiście, majorze Amery. Poza temi wszystkimi pytaniami coś tkwi, a mówiąc szczerze, czuję się wobec tych spraw nieswojo.

Była zła na siebie za te słowa, gdyż ilekroć mówiła z tym człowiekiem, rozmowa przyjmowała nieodpowiedni ton. A teraz ku jej zdumieniu major zaczął się śmiać. Nigdy jeszcze nie słyszała jego śmiechu, jak zaczarowana utkwiała w nim wzrok. Cały jego wygląd zmienił się i przez chwilę wyglądał zupełnie po ludzku, ale równie szybko, jak zaczął, przestał się śmiać, i twarz jego skamieniała znowu w powadze.

— Musi pani poprosić Feng Ho o kanarka, ma ich wiele. Ale będzie mu pani musiała przyrzec zabierać ptaszka codzień na spacer, jak Anglik prowadzi swego pieska, inaczej nie da pani. Dziękuję, to chwilowo wszystko!

Elza powróciła do swego pokoju z twarzą czerwoną, zmieszana, sama nie wiedząc, czy się złościć, czy śmiać. Feng Ho znikł. Pragnęła, aby pozostawił ptaka, gdyż trzeba jej było jakiegoś antidotum przeciw „niesamowitemu potworowi“.

ROZDZIAŁ VI.

Odszkodowanie mrs. Trene Hallam.

Nie wiele osób, odwiedzających mrs. Trene Hallam w jej eleganckim mieszkaniu w Herbert Mansions, łączyło nazwisko jej z nazwiskiem młodego i zamożnego lekarza na Half Moon Street, a ci, co przypadkowo znali ich oboje, nie przypuszczali ani na chwilę, aby ta ładna kobieta o złotystych włosach i jasno-niebieskich oczach, ale ustach wąskich i twardych, była spokrewniona z lubianym i miłym Ralfem.

Mrs. Hallam żyła z mężem w separacji i otrzymywała od niego rekompensatę pieniężną wzamian za to, że nie przyznawała się do pokrewieństwa. Hodowała psy z Pekinu, była członkinią dwóch klubów bridżowych i napozór zamożną damą. Trudno było przypuścić jakiś związek pomiędzy nią a Dr. Hallamem, gdyż była córką ludzi, których brak wykształcenia i kultury dawał się często Niemile zauważyć.

Wyszła za Hallama i porzuciła mały dom wiejski, w którym mieszkała z matką, gdy Hallam studjował jeszcze w uniwersytecie Św. Tomasza. Małżeństwo nie było szczęśliwe. Do innych wad Luizy Hallam przyłączyło się wadliwe nieco pojmowanie zwykłej uczciwości. Kradzież była dla niej rzeczą wrodzoną, a nawet zmienione

warunki bytu nie zdołały jej od tego oduczyc. Dwa razy musiał Hallam głęboko sięgnąć do kieszeni, aby uniknąć skandalu. Raz kleptomanka ta omal nie doprowadziła jej do więzienia. Po tym wypadku żyli oddzielnie, a wobec „odszkodowania“, jakie otrzymywała, mrs. Hallam gotowa była znosić ten stan aż do śmierci.

Dr. Hallam był rzadkim gościem w Herbert Mansions, a zdumienie, jakie okazała jego żona, gdy go wprowadzono do salonu, gdzie siedziała przy filiżance kawy z papierosem w ustach, bynajmniej nie było udane.

— Witaj, cudzoziemcze! — zawołała wesoło. — To dobry widok na chore oczy. Co się stało?

Twarz jego przybrała wyraz bolesny. — Pragnąłbym, abyś porzuciła te uliczne zwyczaje, — rzekł niechętnie.

Obserwowała go bystro i bynajmniej nie urażona. Zarzut niskiego pochodzenia podczas tych wszystkich lat nie mógł wzbudzić jej gniewu.

— Czego chcesz? — zapytała brutalnie. — Rozvodu? Zanim odpowiedział, wyjął papierosa i zapalił go.

— Nie, dziękuję bardzo, już się z tego wyleczyłem. Gdy pomyślę o wszystkich głupich dziewczętach, z którymi bym się ożenił, gdybym się był wtedy rozwiódł z tobą, jak chciałem, jestem ci bardzo wdzięczny. Jesteś moją przystanią bezpieczeństwa, Lu. Nigdy nie daj mi rozvodu!

— Nie obawiaj się! — odparła zadowolona z siebie. — Nie zrobię tego. Gdybym miała widoki na ponowne małżeństwo, toby było co innego. Ale tak nie jest. Wystarczy mi jedno małżeństwo! Ralfie, co robisz obecnie?

— Jak to rozumiesz — co mam robić? — zapytał.

— Zarabiasz pieniądze. Nie skarżę się, ale zarabiasz dużo pieniędzy, nie wiem w jaki sposób. Podwyższyłeś

moją pensję, za co ci bardzo dziękuję! A kiedy cię poprosiłam, abyś mi kupił małą posiadłość podmiejską, zrobiłeś to bez najmniejszego sprzeciwu. Chyba nie za pieniądze mamy. Gdzie sęk?

Hallam drgnął i spojrzał na nią podejrzliwie. — Ciekaw jestem, co przez to rozumiesz! — zapytał.

Mrs. Hallam roześmiała się.

— Stajesz się wrażliwy, Ralfie! Pytam poprostu, skąd masz pieniądze? Nie przypuszczam, abyś kradł, choć wiem, że nie cofniesz się przed żadnym oszustwem. Ale musi być zupełnie pewne, gdyż nie wyglądasz ani o dzień starzej, jak wtedy, kiedy za ciebie wyszłam. A kłopoty postarzają człowieka.

— Nie troszcz się o to, jak zarabiam pieniądze! — odparł krótko. — Chciałbym, abyś coś zrobiła, żeby swoje zarobić. Urządziłem ci życie dość przyjemnie, nieprawdaż, Lu?

Wzruszyła ramionami, a wąskie jej usta zacisnęły się w jedną prostą, czerwoną linię.

— Nie ufam ci, kiedy zaczynasz wyliczać, co dla mnie zrobiłeś, — rzekła szczerze. — Muszę jednak przyznać, że nigdy nie byłeś skąpy. Gdzie tu sęk?

— Jesteś bardzo podejrzliwa! — rzekł Ralf. — Jedyne, czego od ciebie wymagam, to informacja. Przed kilku laty chciałaś się rozejrzeć w świecie i wysłałem cię do Indyj.

Skinęła głową i spojrzała na niego pytająco. — No i?

— W Indjach miałaś sposobność spotykać się z najelegantszymi ludźmi i zapewne z niej korzystałaś. Wracając, miałaś więcej klejnotów, niż wyjeżdżając, między innymi diamentową gwiazdę. — Nie patrzała na niego.

— Dał ci ją jakiś radza — byłaś tam rok. Czy poznałaś kiedyś majora Pawła Amery'ego?

Ściągnęła brwi. — Amery? Zdaje się, że go poznałam. To jeden z owych powściągliwych ludzi, którzy nigdy nic nie mówią, i przypuszcza się, że są bardzo myślący, aż się ich nie pozna bliżej, a wtedy okaże się, że martwią się przeciążeniem kontem w banku. Paweł Amery? Ależ oczywiście. Przypominam sobie teraz, że był bardzo uprzejmy dla mnie. Był w oddziale politycznym, prawda?

— Nie wiem, — odparł Ralf, — ale jeżeli był dla ciebie bardzo uprzejmy i stałaś z nim na przyjacielskiej stopie, pragnąłbym, abyś odnowiła tę znajomość.

— On jest w Londynie?

Hallam skinął głową.

— Czego chcesz? Masz go na oku?

— Nie mam go na oku, — odparł Hallam z wymuszoną cierpliwością, — jeżeli rozumiesz przez to... — Nie dokończył i uśmiechnął się.

— No, chciał kogoś okpić, — wyjaśniła, zapalając papierosa. — Wysłałam zupełnie z wprawy w tych rzeczach, chociaż uczynię wszystko, aby zadowolnić swego miłego małżonka. Wpadło mi właśnie na myśl, Ralfie, że auto moje jest już w tym stanie, iż nadaje się tylko do muzeum. Mrs. Boyson ma śliczną małą maszynkę firmy Rolls...

— Pomówimy o tem później, — odparł mąż rozdrażniony. — Najważniejsze jest, czy chcesz tego człowieka odwiedzić? Przeczuję, że zajmuje się on... niemiłym interesem. W każdym razie chciałbym, abyś odnowiła tę znajomość. To jedno.

— A drugie? — Mrs. Hallam nawpół przymknęła oczy.
— Tak, o ile cię znam, Ralfie, to drugie jest właśnie najważniejsze. Zawsze robisz wiele hałasu o drobnostki i na pozór niedbale mówisz potem o najważniejszych sprawach. Jaka jest druga sprawa?

Ralf wstał z uśmiechem.

— Rzeczywiście, nic więcej. Siostrzenica Tarna ma z nim wiele kłopotów. To ten człowiek, o którym ci opowiadałem. Wyobraź sobie, że ten stary osioł chce się z nią ożenić; myślę, że wyświadczyłoby się dziewczynie przysługę, gdyby się ją na kilka dni oddaliło od niego. Chciałbym, abyś ją zaprosiła do siebie, możesz być na ten czas moją bratową.

— Ładna?

Skinął głową.

— Mogłabym się o to założyć. I myśli pewnie, że ty jesteś cudownym chłopcem — pięknym Parysem! A co się stanie, jak już tu będzie? Czy mam wyjść, gdy ty przyjdiesz z wizytą? Czy mają mnie zawezwać na wieś?

Na twarzy Ralfa okazał się brzydki wyraz. — Bywasz niekiedy zbyt ordynarna, Lu. Nie rozmawiam z tobą dla przyjemności. Jeżeli się chcę zabawić, mamy w mieście kilka dobrych teatrów.

— Nie unos się. Napisz mi jej nazwisko i adres! Mówiłeś z nią o mnie?

Skinął głową.

— Słucham twoich rozkazów, — rzekła gnuśnie. — A co będzie nagrodą, Ralfie?

— Dostaniesz nowe auto, — mruknął. — Ale sprawa Amery'ego jest dla mnie bardzo ważna; musisz go od-

wiedzieć. Dom firmy Amery znajduje się na Wood Street. Dziewczynę też tam zastaniesz w biurze — nazywa się Elza Marlowe. Nie omylisz się, bo jest bardzo ładna. Bądź ostrożna z Amery'm, jest bardzo przenikliwy!

Uśmiechnęła się pogardliwie.

— Mam nową suknię od Poiret'a, która stępi każdą brzytwę, — rzekła. — Kiedy mam pójść?

— Dzisiaj. Możesz zaraz pomówić z dziewczyną; powiedz jej, że jesteś moją bratową!

— I wdową. Mój zmarły mąż musi już nie żyć przynajmniej od roku, gdyż ta nowa suknia jest nieco pretensjonalna.

Nie wspomniała więcej o dziewczynie i nie mówiła o swojej przyszłości, gdyż tego rodzaju „odszkodowania“ ze strony Ralfa nigdy nie wprawiały jej w zakłopotanie.

ROZDZIAŁ VII.

- Znajomość z Indyj.

Zapukano do drzwi. Elza, nie podnosząc oczu z nad książki stenogramowej, z której przepisywała, zawołała:

— Proszę!

Lekka woń egzotycznych perfum skłoniła ją do odwrócenia się. Damy, stojącej w drzwiach, nie znała. Wydała się Elzie ładna i zgrabna. Suknia, którą obserwowała badawczym wzrokiem kobiety, była piękna.

— Czy to biuro majora Amery'ego?

Głos ten nie brzmiał mile, przeciwnie — nieco zwyczajnie. Ale Elza nie miała czasu zastanowić się nad tem, gdyż nieznajoma zbliżyła się do niej ze słodkim uśmiechem i wyciągnęła rękę w eleganckiej rękawiczce.

— Miss Elza Marlowe, nieprawdaż? — zapytała.

— To moje nazwisko, — odpowiedziała Elza, dziwiąc się, skąd przybyła ją zna.

— Jestem Luiza Hallam — mrs. Trene Hallam. Ralf opowiadał pani zapewne o mnie.

Elza przypomniała sobie.

— O tak, naturalnie... Pani jest bratową Ralfa?

— Tak, byłam żoną jego brata... Taki miły człowiek, — mruknęła mrs. Hallam. — Za dobry dla tego świata! — Westchnęła i lekko dotknęła oczu małą chusteczką, którą

przezornie trzymała w ręku. — Dobrzy ludzie umierają młodo, — rzekła. — Miał trzydzieści lat. O kilka lat młodszy od Ralfa, ale taki był miły człowiek. To bardzo ładne biuro! — Rozejrzała się dokoła. — Jak pani znajduje majora Amery'ego? Kiedyśmy się poznali w Indjach, był bardzo sympatycznym człowiekiem. Mój kochany małżonek zabrał mnie z sobą do Indyj.

Westchnęła znowu, tym razem jednak szczerzej, gdyż wspomnienie Indyj było dla niej zarazem miłe i przykre.

— Pani zna majora Amery'ego? — zapytała Elza z zaciekawieniem. — Jaki to jest człowiek... myślę w życiu prywatnem? — Zarumieniła się na myśl, że ciekawość jej mogła być źle zrozumiana.

— Bardzo miły, — odpowiedziała mrs. Hallam, a określenie jej było tak niezgodne z rzeczywistością, że Elza musiała się roześmiać.

— Przyszłam tu, aby go odwiedzić, i chciałabym zabić dwie sroki naraz, — ciągnęła mrs. Hallam i dodała z figlarnym uśmiechem, podnosząc palec: — Znam pewną młodą panienkę, która przyjedzie do mnie z wizytą na cały tydzień!

Elza zaczerwieniła się i z jakiegoś powodu, którego nie umiała sobie wytłumaczyć, zawahała się.

— Nie wiem, czy to będzie możliwe, mrs. Hallam, — zaczęła.

— Musi być możliwe. Będzie bardzo miło. To brzydko ze strony Ralfa, że dopiero teraz opowiedział mi o swojej czarującej przyjaciółce. Byłabym panią dawno zaprosiła. Pójdziemy razem do teatru i na koncert, choć do koncertów czuję wstręt... to jest, nudzą mnie, — poprawiła się szybko. — Odmowy nie przyjmę. Kiedy może pani przyjechać?

Elza zastanowiła się szybko.

— Jutro! — zaproponowała mrs. Hallam.

Elza nie mogła zrozumieć własnego wahania, gdyż zaproszenie brzmiało bardzo ponętnie.

— Będę panią jutro oczekiwała.

Mrs. Hallam wyjęła z torebki wizytówkę i położyła ją na stole.

— Dostanie pani najładniejszy pokoik. Mieszkam zupełnie sama, a służba nie będzie pani przeszkadzała, bo mam mieszkanie z usługą. Jeżeli pani będzie czegoś potrzebowała, wystarczy zadzwonić. Jestem przekonana, że będzie się pani czuła znakomicie.

— Nie jestem zupełnie pewna, czy wujek obejdzie się beze mnie, — odparła Elza i żałowała natychmiast, że słowami temi dała poniekąd przyrzeczenie.

— Wujek pani musi się obejść! Ale teraz chciałabym pomówić z majorem Amery'm. Czy zechce mnie pani zameldować?

Elza zapukała do drzwi, odpowiedział jej szorstki głos szefa.

— Mrs. Trene Hallam chce z panem mówić, majorze Amery, — rzekła Elza.

— Mrs. Trene Hallam chce ze mną mówić? Czy to nie pięknie z jej strony? Proszę!

Elza otworzyła drzwi i wpuściła mrs. Hallam. Major Amery wstał wolno, aby powitać przybyłą.

— Nie przypomina mnie pan sobie, zapewne, majorze Amery? — zaczęła mrs. Hallam z kokieteryjnym spojrzaniem i uśmiechem, zdradzającym zarówno zadowolenie jak i wyrzut.

— Przypominam sobie panią nawet doskonale, mrs. Hallam. Niech pani spocznie.

— Zdaje się, że to było w Poona, — rzekła mrs. Hallam siadając. — Czy przypomina pan sobie jeszcze tę cudowną ucztę, którą wydał gubernator — te wspaniałe róże? Pamięta pan pewnie jeszcze, jaka to była gorąca noc — na wszystkich schodach ustawiono wielkie bryły lodu!

— Czy odesła pani lady Mortel diamentową broszkę? Na dźwięk tego metalicznego głosu uśmiech znikł z twarzy mrs. Hallam. Wyprostowała się.

— Nie... nie rozumiem co pan myśli, — wyjąkała, — naprawdę... naprawdę nie mogę zrozumieć.

— Podczas pani wizyty u lady Mortel zginęła diamentowa gwiazda. Zaaresztowano służącego i skazano go za kradzież na trzy lata więzienia. Przed kilku dniami widziałem panią w teatrze — i widziałem też tę broszkę.

Mrs. Hallam zaczerwieniła się, potem zbladła.

— Rzeczywiście nie rozumiem, kapitanie...

— Majorze! — poprawił lakonicznie. — Awansowałem od tego czasu. Oczywiście Hallam przysłał panią tutaj?

— Hallam? Mój mąż nie żyje.

— Nie wiedziałem! — przerwał Amery. — Żył jeszcze, kiedy dziś popołudniu opuszczał pani mieszkanie w Herbert Mansions. Nieszczęśliwy wypadek?

— Pan jest poprostu okropny! — mruknęła mrs. Hallam. Nie była już elegancką damą. Pod jego bezlitosnem spojrzeniem zdawała się uginać i drżeć.

— Myślałam, że pan jest moim przyjacielem. Nigdybym do pana nie przyszła, gdybym wiedziała, że pan potrafi być tak okropny.

— Nie jestem okropny, tylko prawdomówny. Ale muszę przyznać, że prawda jest dosyć okropna, — rzekł. — POCO pani tu przysłała?

— Żeby pana odwiedzić, — odpowiedziała. — Tylko aby odnowić... tylko aby się z panem zobaczyć. Nie przypuszczałam...

Major przerwał jej znowu.

— Niech pani powie Hallamowi, żeby sobie szukał innego zajęcia! Niech mu pani powie, że jestem na jego tropie i że traktuję sprawę poważnie. Postanowiłem usunąć z drogi amatorską szajkę handlarzy narkotyków.

— Handlarzy narkotyków? — zapytała.

Amery skinął głową. — Nie wiedziała pani? Zastanawiałem się już, czy opowiadał pani o tem. Moje ostatnie słowo jest — precz! Zapamięta pani to sobie?

Nie usiadł zpowrotem, lecz pochylił się nad biurkiem i wyciągnął rękę.

— Żegnam, mrs. Trene Hallam! Trene to pani nazwisko panińskie, jeżeli sobie dobrze przypominam. Matka pani mieszkała na Tenison Street, Lambeth. Niech pani nie zapomni o poleceniu dla swego męża: Precz!

Mrs. Hallam musiała wysilić całą swą sztukę, aby wchodząc do biura i zamykając za sobą drzwi gabinetu Amery'ego, odzyskać na twarzy uprzejmy uśmiech.

— Taki miły, sympatyczny człowiek, ale trochę się zmienił! — mruknęła ściskając dłoń Elzy. — Nie zapomni pani, moja droga?

— Postaram się przyjechać, ale jeżeli nie będę mogła...

— Musi pani przyjechać! — rzekła Luiza Hallam, a głos jej brzmiał szorstko. — Nie przyjmę odmowy.

Śpieszyła się widocznie, gdyż nie zatrzymała się już ani na chwilę. Po drodze zastanawiała się, czy major Amery jest ze swoją sekretarką na dość dobrej stopie, aby jej okazać zaufanie.

Zaledwie mrs. Hallam opuściła pokój, Amery odwrócił się i otworzył drzwi do małego pokoiku, służącego za garderobę i umywalnię. Samotny mieszkaniec tego pokoju, siedzący na starym kufrze, wstał i wszedł do gabinetu. Major trzymał w ręku wizytówkę mrs. Hallam.

— Idź dziś wieczorem pod tym adresem i jak najstawniej przeszukaj mieszkanie. Potrzebuję każdego dokumentu, jaki możesz znaleźć.

Mówił syczącym dialektem kantońskim, a Feng Ho był dostatecznie zeuropeizowany, aby w milczeniu skinąć głowę.

— Nie używaj siły, chyba w ostatecznym wypadku. Możliwe, że nic nie znajdziesz. Ale możliwe też, że zdobędziesz cenne wiadomości. W razie potrzeby możesz użyć skutecznie imienia Soyoki. Idź!

ROZDZIAŁ VIII.

Wyprawa Feng Ho.

Tego wieczora Elgin Crescent mało pociągało Elżę. Z City pojechała omnibusem na Trafalgar Square, a resztę drogi odbyła pieszo. Szafran kwitł, a drzewa okryte były szmaragdowymi pąkami, niektóre krzewy miały już liście, tu i ówdzie widać było pierwsze kwiaty rododendronów. Ale gdziekolwiek szły jej oczy, myśl jej pozostawała ciągle pod wrażeniem Maurycego Tarna i jego dziwnej propozycji. Nie mogła odmówić miss Dame, która uparła się, że odprowadzi ją do domu. Miss Dame mieszkała w pobliżu Notting Hill Gate, i Elza nie mogła się jej towarzystwa pozbyć.

Rozmowa nie kleiła się z pewnością, gdyby miss Dame nie wybrała za temat osoby, która obok Tarna bardzo zajmowała tego dnia myśli Elży.

— Czego w nim nienawidzę, — rzekła miss Dame ze zwykłą energją, — to jego podstępного charakteru. Czy zauważyła pani, miss Marlowe, jak skrada się na swoich „cichostępach“?

— „Cichostępach“? Ach, ma pani pewnie na myśli gumowe podeszwy?

— „Cichostępy“ to najwłaściwszy wyraz.

A jednak Elza nie uważała, że „Potwór“ skrada się. Był podstępny, ale nie ordynarnie podstępny. Nie można sobie wyobrazić ordynarnego lamparta albo ordynarnego lwa, ścigającego zdobycz. Myśl ta wprawiała ją w zdumienie.

mienie. Czy to była przyczyna jego tajemniczości? Czy ścigał kogoś? Z uśmiechem odrzuciła to przypuszczenie.

— Staję się romantyczna, — zauważyła.

— *Jest* pani romantyczna, — oświadczyła miss Dame stanowczo. — Zawsze twierdzę, że nie nadaje się pani do biura. Powinna pani wstąpić do filmu. Pani jest czarująca — oto właściwe słowo — czarująca. Na ekranie byłaby pani cudowna. I ja myślałam o występowaniu w filmie, ale tylko w komicznych rolach, — dodała z westchnieniem. — Mam za mało wdzięku.

Elza spojrzała ukradkiem na jej niezgrabną postać i musiała jej przyznać rację.

Kiedy wróciła do domu, mr. Tarn nie było jeszcze. Nie mieli służącej, tylko dwie posługaczki przychodziły, jedna rano, druga wieczorem. Od jednej z nich dowiedziała się Elza, iż mr. Tarn telefonował, że przyjdzie późno i prosi, aby nie czekała na niego z obiadem. Była mu za to wdzięczna, gdyż czuła się niezdolna do podjęcia porannej rozmowy.

Dom nr. 409 na Elgin Crescent składał się z dwóch mieszkań, dolnego, obejmującego suteryny i parter, i górnego, które zajmował opiekun Elzy. Gabinet i jadalnia znajdowały się na pierwszym piętrze; Elza zajmowała tylny pokój nad jadalnią, na drugim piętrze. Schroniła się do tej bezpiecznej przystani po obiedzie.

Był to miły, mały pokój, w którym znajdowało się biurko, kilka półek z książkami, wygodny fotel przy gazowym piecu i mały aparat radiowy, który wypełniał jej niejeden ponury wieczór zimowy.

Elza próbowała czytać, ale między oczyma jej a literami książki ukazywała się twarz „Potwora“, uśmiechająca się charakterystycznym ruchem warg. Obraz ten był tak wyraźny i żywy, że głośno zamknęła książkę. Rozmyślała

nad tem, co ten człowiek robił wieczorami. Prawdopodobnie należał do jakiegoś klubu. Przypomniała sobie, że Ralf opowiadał jej, iż widział go tam. Może chodził do teatru. Jakiego rodzaju sztuki przemawiały do jego cynicznej natury? Czy miał krewnych lub przyjaciół? Poniekąd było go jej żal, jak czuje się żal na widok niewinnie zasądzonego więźnia.

Założyła słuchawki, wysłuchała część „Aidy“, przeniesionej z Opery, i przyłapała się na myśli, że on znajduje się może na widowni. Na ten dowód słabości zdjęła niechętnie słuchawki i zaczęła się przebierać na noc. W trakcie tego usłyszała na schodach kroki Tarna, potem dźwięk zamykanych drzwi do gabinetu. Tego wieczora przynajmniej nie mógł jej napastować. Zmówiła modlitwę, zgasiła lampę i położyła się. Po kilku minutach zapadła w słodki zdrowy sen, stanowiący najcenniejsze, ale najmniej cenione dobro młodości.

Nie miała twardego snu, ale gdyby nawet tak było, zbudziłby ją jednak szmer, który się rozległ w pokoju. Pokój pogrążony był w ciemnościach. Słyszała tykanie zegara na kominku, poza tem w domu panowała cisza.

Co to było? Usiadła na łóżku, usiłując przypomnieć sobie szmer, który ją zbudził. Oto rozległ się znowu, ale tym razem nie tak głośno, — cichy, niewyraźny dźwięk od strony okna.

Elza wyskoczyła z łóżka i rozsunęła firanki. Księżyc zalewał ziemię upiornem światłem i rzucał cień błyszczącego przedmiotu, leżącego za oknem.

Otworzyła okno i z okrzykiem zdumienia podniosła przedmiot. Był to sztylet, na którego rękojeści wyrzeźbione były chińskie znaki!

ROZDZIAŁ IX.

„Mayfair 10016 „.

Sztylet! Kto go tu pozostawił? Wychyliła się z okna i rozejrzała dokoła. Przez chwilę nie widziała nic, potem zaczęła dostrzegać.

Długa drabina, jakich używają murarze, przystawiona była do muru, stanowiąc wyjaśnienie nocnych odwiedzin. Górny koniec drabiny sięgał o dwie stopy poniżej jej okna, a gdy się wychyliła, ujrzała ześlizgującą się z drabiny ciemną postać, która zatrzymała się na chwilę i spojrzała w górę, zanim znikła w cieniu wielkiego drzewa. Ale przez tę chwilę Elza ujrzała wyraźnie twarz — był to Feng Ho!

Czego on tu chciał?

„Właściwie powinnam krzyknąć“, pomyślała, ale nigdy jeszcze nie czuła się tak mało usposobiona do krzyku, choć przeraziła się bardzo.

Zapaliła światło i spojrzała na zegar. Było pół do czwartej. Mr. Tarn spał zapewne, nie miała najmniejszej ochoty budzić go. Włożyła szlafroczek i pantofle, wyszła z pokoju i zeszała po schodach do jadalni, której okna zamknięte były zaryglowanymi okiennicami. Zagotowała sobie herbaty na elektrycznej maszynie i usiadła, ażeby się zastanowić, co robić.

Feng Ho! Zmarszczyła brew na tę myśl. „Będzie pani często widywała Feng Ho!“ rzekł do niej Amery, a wargi

jego skrzywiły się w uśmiechu. Bynajmniej nie życzyła sobie widywać pana Feng Ho w podobnych okolicznościach.

Nagle przyszła jej dzika i fantastyczna myśl. Podsunął ją jej telefon na kredensie. Major Amery mieszkał w domu swego stryja na Brook Street. . .

Odepchnęła tę myśl, ale wnet powróciła do niej znowu. Książkę telefoniczną znalazła w gabinecie opiekuna. Powietrze było w tym pokoju przesycone zapachem wódki, i Elza czuła się przez chwilę chora. Szybko opuściła pokój, niosąc grubą książkę pod pachą.

Tak, oto jest: „Amery, major, P., 97b Brook Street. Mayfair 10016“. Leży pewnie teraz w łóżku i śpi. Perspektywa obudzenia go napawała ją złośliwą radością. Podniosła słuchawkę i czekała.

Trwało dość długo, zanim telefonistka odpowiedziała, ale w kilka sekund po tem, jak Elza wymieniła numer, usłyszała krótki szmer, a potem głos:

— Kto mówi?

Wargi Elzy zadrgały. — Czy major Amery? — zapytała uprzejmie.

— Tak. Czego pani sobie życzy, miss Marlowe?

Poznał ją po głosie! Oszłołomiło ją to na chwilę.

— Miałam... mieliśmy w tej chwili wizytę jednego z pańskich przyjaciół, — rzekła niepewnie. — Coprawda nie wszedł na górę!

— Jednego z moich przyjaciół? Ma pani na myśli Feng Ho?

Spokój jego był zdumiewający.

— Oczywiście mam na myśli pana Feng Ho. Usiłował dostać się do mojego pokoju przez okno, — rzekła ze wzrastającym gniewem.

— Do pani pokoju? — brzmiała szybka odpowiedź.

— Ma pani na myśli swoją sypialnię?

— To jedyny pokój, jaki posiadam, — zauważyła. Major Amery zamilkł.

Po chwili odezwał się znowu. — Musiała się pani omylić. To nie mógł być Feng Ho, — zapewniał jego głos. — Dla niewprawnego oka wszyscy Chińczycy są podobni. Żałuję bardzo, jeżeli się pani przeraziła.

Ostatnie słowa brzmiały zupełnie innym tonem. Śpieszno mu było bardzo wyprowadzić ją z błędu, co nie leżało w jego zwyczaju. Elza wiedziała, że byłoby bezcelowe wyjaśniać tę sprawę telefonicznie.

— Przepraszam, że pana obudziłam, — rzekła.

— Przestraszyła się pani?

Czy to było złudzenie, że zdawało się jej, jakoby w głosie jego usłyszała odcień z troskania i niepokoju?

— Nie, byłam zdziwiona.

Znowu milczenie.

— Czy mr. Tarn wie o tem?

— Nie, śpi, nie obudziłam go, chociaż muszę to teraz zrobić. Przepraszam bardzo, że pana fatygowałam. Dobranoc!

— Niech pani zaczeka! — zawołał Amery. — Czy jest pani pewna, że się pani nie boi?

— Oczywiście, że się nie boję, majorze Amery. Zawsze pan myśli, że się boję, — rzekła z uśmiechem, gdyż przypomniała jej się rozmowa poranna.

Czy to, co usłyszała, było stłumionym śmiechem? Prawdopodobnie nie, gdyż śmiech nie brzmiał w głosie majora, kiedy rzekł szorstko:

— Dobranoc. Niech pani wraca do łóżka!

Odkładając słuchawkę, Elza pomyślała, że to zupełnie zgodne z jego charakterem, zakończyć tę dziwną rozmowę krótkim rozkazem. W tej chwili Maurycy Tarn, otulony

w stary szlafrok, wszedł, mrużąc oczy, do oświetlonego pokoju.

— Co się stało? — zapytał szorstko. — Co to za telefon tak wcześnie? Z kim mówiłaś?

— Z majorem Amery'm.

— Z Amery'm? — syknął. — Z majorem Amery'm? O czym z nim mówiłaś?

Był przerażony i w podnieceniu ścisnął przegub jej ręki tak mocno, że Elza krzyknęła.

— Przepraszam bardzo, — mruknął. — Co się stało?

— Powiedziałam majorowi Amery'emu, że przyłapałam dzisiejszej nocy jednego z jego przyjaciół, jak usiłował dostać się przez okno do mojego pokoju.

Maurycy Tarn nie mógł przez chwilę zrozumieć znaczenia jej słów.

— Kto to był?

— Nie wiem... Jakiś Chińczyk.

— Chińczyk! — zawołał Tarn. — Przyjaciel Amery'ego, który chciał się dostać do twego pokoju!

W kilku słowach spróbowała mu opowiedzieć, co widziała, a Tarn słyszał, jak zęby jej szczękały.

— O Boże! — jęknął. — Chińczyk! I miał sztylet? Jesteś tego zupełnie pewna?

— Może użył go do otworzenia okna, — rzekła Elza zdumiona niezwykłym wrażeniem, jakie wiadomość ta wywarła na jej opiece. Nie widziała go jeszcze nigdy w stanie takiego lęku. Kiedy skończyła opowiadanie, pot perlił się na jego bladej twarzy.

— Telefonowałaś do Amery'ego? — rzekł głosem ochryplym. — Co on mówi?

— Że to nie był Feng Ho.

— Kłamstwo! To był Chińczyk, który przyszedł dziś rano do biura. Widziałem go... Feng Ho! Elzo, to mój koniec. Dogonią mnie teraz wszędzie... wszędzie.

— Co się stało, mr. Tarn? — zapytała, sama przerażona jego trwogą. — Czy zrobił pan coś...

— Nie mów, nie mów! — Dał jej znak milczenia. — Powiadam ci, że nie chcę o tem mówić. Spodziewałem się tego. — Ręka jego znikła w kieszeni szlafroka i wyciągnęła długi rewolwer. — Ale nie dostaną mnie, Elzo!

Ręka, która trzymała rewolwer, drżała tak silnie, że Elza obawiała się, iż mógłby wystrzelić. Uczuła ulgę, gdy schował broń do kieszeni.

— Przekłęty Paweł Amery! Mógłbym ci o nim coś opowiedzieć... ale nie teraz. . . Idę do gabinetu.

Wybiegł z pokoju, a Elza usłyszała, jak przekreślił klucz w zamku. Potem przez cienką ścianę, dzielącą gabinet od jadalni, dobiegł jej uszu cichy brzęk kieliszków. Mr. Tarn ubezpieczał się przeciwko przerażeniu, które mogło go jeszcze czekać podczas pozostałych godzin ciemności.

ROZDZIAŁ X.

Mr. Tarn pisze testament.

Nazajutrz rano mr. Tarn nie zjawił się do śniadania. Drzwi jego pokoju były zamknięte i dopiero po wielokrotnem pukaniu zaspany głos odpowiedział niewyraźnie, że przyjdzie za kilka minut. Elza zjadła szybko śniadanie i udało jej się wyjść z domu, zanim się mr. Tarn zjawił.

Pilno jej było do biura, aby usłyszeć, jakie wyjaśnienie da jej Amery. Kiedy o pół do dziesiątej rozległ się dzwonek, weszła do jego gabinetu i stanęła wobec człowieka, po którym niepodobno było poznać, że spędził noc bezsenne. Przyjął ją z charakterystycznym brakiem uprzejmości i natychmiast pogrążył się w swoich listach. Ponad stołem płynęła fala słów, które Elza zapisywała. Dopiero gdy miała opuścić pokój, Amery wspomniął rozmowę, którą mieli nad ranem.

— Czy pani nie telefonowała do mnie w nocy? Coś sobie przypominam.

— Już zapomniałam, — odparła chłodno, a twarz majora zadrgała.

— Pewnie się pani śniło, — rzekł. — Ale ten sen nie urzeczywistni się — nigdy. Kiedy pani zobaczy Feng Ho, musi go pani poprosić, aby pani opowiedział historję swojego palca.

— Swojego palca? — powtórzyła zdziwiona.

— Swojego małego palca. Pani złamała palec w szkole przy grze w hockey. Niech go pani zapyta, jak on swój stracił.

— Nie wiedziałam, że on stracił palec.

— Niech go pani zapyta! — zawołał i wskazał na drzwi.

Elza pragnęła, aby major Amery zdobył się na inny sposób kończenia rozmowy.

Była już prawie pora lunchu, gdy nadszedł Feng Ho. Był jak zwykle bardzo starannie ubrany. Marynarka leżała bez zarzutu, spodnie były ostro odprasowane, zamiast białych getrów nosił żółte skórzane.

W jednej ręce miał parasol i kapelusz, w drugiej złożoną klatkę z kanarkiem.

Powitał Elzę uśmiechem.

— Mój mały nicpoń — ptaszek — chorował całą noc. Od północy do szóstej rano siedziałem przy nim i karmiłem go cukrem. Teraz czuje się lepiej i zaśpiewa nam coś. Pi, — zwrócił się do żółtego śpiewaka, — otwórz swój straszny dzióbek i wydobądź kilka niemuzykalnych tonów na cześć pięknej pani!

— Feng, nie mówi pan prawdy! — rzekła Elza surowo. — Nie siedział pan przez całą noc przy ptaku.

Chińczyk spojrział na nią z twarzą zupełnie niewinną. Potem zwrócił melancholijne oczy na ptaka.

— Mały Pi, jeżeli kłamię, nie śpiewaj, ale jeżeli mówię prawdę, niech twój brzydki mały gardziołek rozbrzmi godnemi pogardy melodjami!

Jakgdyby wierny ptaszek zrozumiał swego pana, rozległ się cudowny śpiew. Mr. Feng Ho uśmiechnął się z zachwytem.

— To fakt niewzruszony, — zauważył z najlepszymi manierami europejskimi, — stwierdzony przez wszystkich badaczy prawdy od Konfucjusza do Darwina, że

świat zwierzęcy — oczywiście rozumiem pod tem kręgowce — jest wcieleniem prawdy i uczciwości. Za pozwoleniem pani ośmielę się usiąść i obserwować pani zgrabne paluszki, biegnące po klawjaturze szanownej maszyny do pisania — aby użyć wyrażenia naszych sąsiadów, ale nie naszych przyjaciół, z wyspy Nippon.

Siedział spokojnie, nie poruszając się. Od czasu do czasu tylko spoglądał na ptaka i zdawało się, jakoby było między nimi jakieś porozumienie, gdyż ilekroć wąskie usta Feng Ho otwierały się do uśmiechu, ptak wyrzucał z siebie kaskadę dźwięków.

Gdy Elza pisała, do pokoju weszła miss Dame. Na widok Chińczyka otworzyła usta ze zdumienia, przyznała jednak łaskawie, że kanarek jest najpiękniejszym śpiewakiem, jakiego kiedykolwiek słyszała.

— To pewnie samczyk, — rzekła. — Samczyki śpiewają zawsze ładniej, niż samiczki. To zupełnie zrozumiałe, bo ponoszą mniejszą odpowiedzialność. Rozumie mnie pan przecież?

Spojrzała na Chińczyka, który potwierdził skinieniem głowy.

— Kiedy się musi składać jajka, nie ma się czasu na naukę śpiewu. Przepraszam, czy zna pan Sessuewaka? — Pytanie to skierowała do Feng Ho, który z ubolewaniem oświadczył, że nie zna tego pana.

— To pański sobowtór! — rzekła miss Dame, przyglądając się Chińczykowi. — Jest trochę ładniejszy — przepraszam za szczerłość —, ale to pewnie sprawia szminka i puder. Czy nie widział go pan nigdy w „Narzeczonej z Fudzi Jama“?... Fudzi Jama to góra.

Wyjaśnienie to było bardzo potrzebne, gdyż słowo „Fudzi Jama“ brzmiało w ustach miss Dame tak, iż trudnoby je było poznać.

— W takim razie wiele pan stracił! — rzekła z ubolewaniem, gdy Chińczyk potrząsnął głową. — Był poprostu boski, zwłaszcza kiedy — no, jak się to nazywa? — robi hakiraki.

Elza nie przysłała jej z pomocą, ale przerwała robotę, tak iż miss Dame spostrzegła, że przeszkadza, i wyniosła się szybko.

— Bardzo ładna panienska, — oświadczył Feng Ho. Elza sądziła, że mówi to ironicznie i chciała już spojrzeć na niego pogardliwie zukosa, gdy następne słowa Chińczyka przekonały ją o jego szczerości. — Gust wschodni różni się bardzo od zachodniego. Jako Baccalaureus Scientiis jestem w tych sprawach autorytetem i mogę panią o tem upewnić.

Elza zastanowiła się, jaki autorytet posiadał ten stopień naukowy w dyskutowaniu spraw urody, ale nie podniosła więcej tego tematu.

Gdy po lunchu wróciła do biura, zastała wiadomość od mrs. Trene Hallam. Możliwy to właściwie nazwać listem, gdyż pismo obejmowało pełne dwie stronicie, ale kaligrafja nie była specjalnością mrs. Hallam. Litery były ogromne i przeciętnie na stronicy znajdowało się dziesięć słów.

„Niech Pani przyjdzie dzisiaj wieczorem o siódmej! Obiad będzie czekał. Co rano odprowadzę Panią do biura“.

(Biuro pisała przez „ó“).

Potem następowało postscriptum.

„Proszę niech Pani nie mówi majorowy Amery'emu, że Pani będzie u mnie! Mógłby przypuszczać, że mam jakieś uboczne myśli“.

Postscriptum to rozgniewało Elzę, ale nie rozumiała powodu. Może było nim przypuszczenie, że mogłaby wtajemniczać majora Amery'ego w swoje prywatne sprawy. Opiekuna swego widziała tylko przez kilka chwil. Po-

wróciwszy popołudniu, przeszła koło otwartych drzwi jego pokoju i zobaczyła go przy biurku. Poszłaby dalej, gdyby mr. Tarn nie zawołał jej.

— Zamknij drzwi, — mruknął. — Byłem u adwokata i zrobiłem testament.

Wiadomość ta wprawiła ją w zdumienie. Nigdy nie wyobrażała sobie mr. Tarna jako człowieka zamożnego, rozporządzającego majątkiem.

— Nigitts to dzielny człowiek, — wyjaśnił, — bardzo dzielny człowiek. I, — odchrząknął, — bardzo biegły w prawie karnem. Najwyższa kara, jaką możnaby tu dostać za pewne przestępstwo, wynosi dwa lata. Ale Nigitts uważa, że w razie dobrowolnego przyznania może być i mniej.

Nie rozumiała, o czym mówi. Czy znowu pił? Twarz miał czerwoną, oczy niewyspane, ale Elza przypuszczała, że był trzeźwy.

— Musiałem sobie tę sprawę dokładnie rozważyć, gdyż do interesu wmieszani są i inni ludzie, — ciągnął. — Ale sądziłem, że będzie ci miło wiedzieć, iż myślałem o twojej słonecznej przyszłości — ta próba żartobliwego tonu brzmiała patetyczniej niż inne — i pozostawiłem ci małą sumkę, choć lata miną zapewne, aż będziesz potrzebowała z niej skorzystać. Czy chciałabyś być bogata, Elzo?

Spoglądał na nią nawpół przymkniętymi oczyma.

— Przypuszczam, że każdy chciałby być bogaty, — rzekła Elza z uśmiechem.

— Chciałabyś być grzeczna i szczęśliwa, jak dziewczynka z bajki? — zadrwił. — Co robił Amery dziś rano? — dodał.

— Pracował.

— Nic szczególnego?

Elza potrząsnęła głową.

— Elzo, chciałbym sobie przejrzeć niektóre z jego listów. Ponieważ jestem w firmie, major Amery nie ma przede mną tajemnic. Gdzie masz registrastor z kopjami listów?

— Major Amery ma go w swojej kasie ogniotrwalej, — odpowiedziała.

Mr. Tarn bawił się suszką.

— Mogłabyś robić może drugą kopję, — zaproponował.

Elza nie widziała możliwości zgodzenia się na to.

— Nie mogę tego zrobić — sam pan wie doskonale. Taby było nieuczciwe i ordynarne. Raczejbym opuściła firmę Amery, niż uczyniła coś podobnego.

— Zdaje się, że go lubisz.

— Nienawidzę go! — rzekła Elza szczerze, a twarz jej rozbliżyła.

— Tego tonu słucham chętnie, moja droga! Ten człowiek jest łajdakiem! Jakkolwiekby się wobec niego postąpiło, nikt nie może tego nazwać ordynarnem.

— Ten „nikt“ to ja. A istnieją rzeczy, których nigdy nie zrobię, — odparła Elza i opuściła pokój.

ROZDZIAŁ XI.

Syndykat.

Bywały okresy, gdy myśl Ralfa Hallama wracała do romantycznych czasów, kiedy przebrani i zamaskowani spiskowcy spotykali się w podziemiach, aby knuć zbrodnicze plany. Te malownicze schadzki miały jedną zaletę, były pewne, a Ralf szedł zawsze „na pewnego”. Schadzki te gwarantowały hersztom pożądaną anonimowość.

Takie myśli zajmowały go, gdy wchodził wolno po szerokich schodach do numeru 3, największego z gabinetów prywatnych, jakie oddawała gościom do dyspozycji kawiarnia „Fornos”. W porze obiadowej gabinetu te rzadko były używane. Ale raz na miesiąc Dr. Hallam wydawał mały bankiet, na który zapraszał znajomych, aby rozmawiać o polityce, teatrze i najświeższych wiadomościach ze świata sportowego, potem zaś, gdy podano kawę i likiery, gdy ukazały się cygara, a zwłaszcza gdy zniknęli kelnerzy, — porozumiewać się też w sprawie pewnych interesów, które ludzi tych łączyły.

Stojąc w drzwiach i z uśmiechem kiwając głową zebranym gościom, musiał Ralf przyznać, że towarzystwo niepodobne było do schadzki spiskowców. Byli to przeważnie dobrze odżywieni panowie w średnim wieku, mniej lub bardziej łysi, po których znać było żywot spokojny

i łagodny. Jarvie z Birmighammu przywitał go serdecznie i spojrział za niego, jakby jeszcze kogoś oczekiwał.

— Stary pan dziś nie przyjdzie, — rzekł Hallam spokojnie, — źle się czuje.

Uścisnął ręce obecnym panom i siadł przy stole. Nr. 3 miał dwoje drzwi, a gdy kelnerzy ustawili wreszcie na stole pudełka z cygarami i flaszki z likierem i opuścili gabinet, Hallam wstał, zamknął obydwójce drzwi i usiadł zpowrotem.

Towarzystwo zmieniło się nagle. Zdawało się, jakoby podczas ubiegłej godziny każdy grał jakąś określoną rolę, a każdy ruch i każde słowo były tylko częścią nudnej komedji.

Hallam przystąpił do rzeczy bez wstępu.

— Mamy trzy nowe transporty, największy w Londynie, drugi w Hull...

— Oclone? — zapytał ktoś.

— Oczywiście już oclone, — odpowiedział Hallam.

— Jarvie, pan się zajmie podziałem! Pierwszy transport pójdzie na birminghamski adres Stanford Corporation. Drugi przyszedł wczoraj do Avonmouth i pójdzie do Filadelfji.

— Co to właściwie za Grek, którego złapano w Cleveland? — zapytał Jarvie, a pytanie to widocznie wszyscy obecni mieli na języku, gdyż posypał się grad dalszych pytań.

— Nic poważnego. Wiadomość, jakoby policja amerykańska podejrzewała jakiegoś lekarza i jakiegoś kupca z City jest zwyczajną plotką powstałą w wyobraźni reporterów amerykańskich. Nie martwmy się tem. Bickerson...

— Czy nie próbował ktoś ugłaskać Bickersona? — zapytał jakiś głos. — Kilka tysięcy „oblaskawiliby“ go.

Ralf potrząsnął głową.

— Znam Bickersona, nie należy do tych ludzi. Gdyby się go „oblaskawiło“, stałby się powolniejszy, a wyższe władze oddałyby śledztwo komu innemu, kogoby znowu trzeba było „oblaskawić“, — ciągnął Hallam. — Jedyne człowiek, którego się trzeba obawiać, to Tarn, gdyż przeszły go ciarki. I Soyoka! — dodał.

Po tych słowach zapadało ponure milczenie. Soyoka był to duch, który prześladował każdego z tych ludzi — tajemniczy upiór. Każdy z nich był kupcem, każdy miał w pogotowiu małe wykręty dla wykazania swego alibi na wypadek, gdyby policja przypadkiem wykryła sprawę, a przytem każdy miał nienaganną sławę uczciwości kupieckiej. Względy moralne nie wchodziły u nich w rachubę. Że rzucali na rynek truciznę, która podkopywała zdrowie ludzi i popychała ofiary w ramiona oblędu, to nie miało dla nich znaczenia. Szło im o to jedynie, aby prowadzić handel artykułem, dającym olbrzymie zyski, artykułem, na który popyt wzrastał coraz bardziej.

— Soyoka?

Jarvie wyjął cygaro z ust, oglądał je przez chwilę w zamysleniu i pociągnął kilka razy. Był to człowiek o gęstych brwiach, wieńcu włosów nad kołnierzykiem i łysiejacej głowie.

— Dla Soyoki też jest miejsce, — rzekł.

— I ja jestem tego zdania, — potwierdził Hallam, — ale on nie sądzi, aby na dwie szajki było miejsce. Powiem panom coś. Stary Tarn przypuszcza, że jego szef jest albo Soyoką, albo jego głównym agentem!

— Jego szef? Kto to? — zapytał Jarvie, marszcząc czoło.

— Major Amery.

Ralf ujrzał, jak oczy otworzyły się szeroko pod gęstemi brwiami.

— Amery? — zapytał Jarvie niedowierzająco. — Chyba nie Paweł Amery?

— Zna go pan? — zapytał Ralf.

Mr. Jarvie gwizdnął cicho.

— Paweł Amery! Czy to ten Paweł Amery z indyjskiego oddziału politycznego, który miał skandal w Szanghaju?

Ralf podniecony odsunął krzesło od stołu.

— Opowiadaj pan! — zachęcił go. — To ten człowiek. Zna go pan?

Jarvie potrząsnął głową.

— Nie, nie znam go, ale jeden z moich urzędników znał go dobrze. Mamy w Szanghaju oddział, przez który eksportujemy towary krajowe i inną tandetę. Mój dyrektor tamtejszy przyjechał przed rokiem na urlop. Opowiadał wiele o Amery'm. Czy on ma coś wspólnego z firmą Tarna?

— On *jest* Amery & Amery, — rzekł Ralf. — Niedawno stryj zostawił mu to przedsiębiorstwo w spadku.

Jarvie gwizdnął znowu.

— Wiem tylko, co mi mój człowiek opowiadał. Podobno Amery przydzielony został przez rząd indyjski do służby bezpieczeństwa w Szanghaju. Wiecie zapewne, że w Szanghaju żyją trzy czy cztery rodziny milionerów, które zdobyły majątki na przemycaeniu opjum i... broni dla powstańców. Amery przyjechał do Szanghaju, aby śledzić przemytników broni. Zapoznał się jednak wkrótce ze sprawą opjum i nagle musiał wyjechać. Nie znam dokładnie przyczyny, ale mój człowiek opowiadał, że podobno przyłapano go samego na handlu opjum. Powstał straszny skandal, w prasie szanghajskiej zjawiły się niewyraźne aluzje, ale oczywiście nazwiska Amery'ego nie wymieniono, gdyż Europejczycy w Szanghaju trzymają bardzo z sobą. Wiadomo jedynie, że nazwisko

jego wykreślono z listy członków Klubu Francuskiego i że Amery znikł najbliższym parowcem. Powiadano, że pracował z Soyoką, który ma na Wschodzie bogatą przeszłość. Twierdzono nawet, że zakłuł nożem policjanta, który go chciał zdradzić. Umie on lepiej rzucać nożem, niż jakkolwiek cyrkowiec. Podobno nauczył się tego w Nepalu i nie nosi przy sobie innej broni. Nożem można pracować bez hałasu, a w jego rękę to broń bardzo skuteczna. Dla czego Tarn przypuszcza, że on jest Soyoką?

— Coś mu powiedział, — odpowiedział Ralf, — groził mu. A jeżeli on jest człowiekiem Soyoki...

— A jeżeli on jest człowiekiem Soyoki, — przerwał mr. Jarvie, — to jest niebezpieczniejszy niż worek żmij. — Spojrzał na Ralfa. — Czy nie mógłby pan w jakikolwiek sposób załatwić się z tym człowiekiem? — zapytał.

— Załatwić się? Jak pan to rozumie? — zapytał Ralf, widząc, że ciekawe oczy całego zebrania skierowane są na niego.

— Nie mam na myśli nic nieprawego, — rzekł mr. Jarvie skromnie, raz jeszcze oglądając swoje cygaro. — Ale jestem zdania, że gdyby taki człowiek dostał na postrach kulę koło ucha, — no, to byłby może ostrożniejszy i zaoszczędziłby nam kilku przykrych chwil.

Słowa te znalazły uznanie obecnych. Ktoś na końcu stołu rzekł cicho:

— Oczywiście, nic nieprawego! — Ale ton tych słów nie brzmiał przekonująco.

— Jest tylko jeden sposób załatwienia się z Soyoką jeżeli on jest Soyoką, — rzekł Ralf chłodno, — mianowicie trzeba go wsadzić tam, gdzie nie będzie nam mógł więcej szkodzić. Kto się ze mną zgadza?

Widocznie nikt nie zgadzał się z nim, gdyż rozległy się niepokojące protesty.

— Nie, — rzekł Jarvie po długim wahaniu, gdyż najwidoczniej nie był pewien środków, — ja sądzę, że jeśli nie można się z nim inaczej załatwić, trzeba mu napędzić strachu.

Wyjął cygaro i spojrzął na pokrywkę pudełka. — Nie jestem zupełnie obeznany z Londynem, gdyż mieszkam na prowincji, ale opowiadano mi, że są tu miejsca, gdzie można znaleźć człowieka, któryby za dziesięć funtów wychłostał własną babkę. Ja sam nie jestem zwolennikiem przemocy, gdyż ta nie zgadza się z moim charakterem. Ale możnaby znaleźć ludzi, aby Amery'ego — nastraszyć — tak, to właściwe słowo — nastraszyć!

Była godzina czwarta, gdy towarzystwo się rozeszło. Ralf schodził sam. W hall'u ujrzał tęgiego, sympatycznego pana, któremu posługacz pomagał wkładać futro. W pierwszej chwili nie wierzył swoim oczom, ale wyjrzawszy przez drzwi ujrzał, jak wspaniałe auto zajęchało cicho, a szofer wyskoczył i otworzył drzwiczki.

— Tupperwill, — powitał Ralf tęgiego jegomościa, — nie spodziewałem się spotkać pana w tak oddalonej dzielnicy Londynu!

Mr. Tupperwill, właściciel Stebbing's Banking Corporation, odwrócił się wolno. Ruchy jego były obmyślane, a gdy ujrzał Hallama, jego okrągłe niebieskie oczy zaświeciły się.

— Kochany doktorze, — mruknął, — ale to dziwne — bardzo dziwne! Niezwykłe miejsce dla przedstawiciela Stebbing's Banku — bardzo niezwykle miejsce!

W City of London Stebbing's Bank cieszył się wielkiem poważaniem. Był to jeden z ostatnich banków prywatnych, które powstały na początku osiemnastego wieku; dzisiaj robił interesy nieznaczne, ale klientelę jego stanowili tylko ludzie z najelegantszych sfer. Stebbing's Bank oparł się

zakusom amalgamacyjnym wielkich banków i zachował niezależność dzięki opinji, jaką mu stworzył założyciel. Wkrótce po założeniu banku dostał się on do więzienia gdyż odmówił pokazania władzom ksiąg, które mogły obciążyć jednego z jego klientów. Od całych już pokoleń ludzie o najlepszych nazwiskach mieli w Stebbing's Banku konta, nieznane nawet ich prywatnym sekretarzom, gdyż ludzie o największych nazwiskach miewają interesy, które chcą zachować w tajemnicy, a Stebbing's Bank znany był z dyskrecji.

Obecny właściciel, mr. Tupperwill, mawiał, iż nie ma u siebie urzędnika niżej pięćdziesięciu lat, choć sam liczył zaledwie trzydzieści pięć. Był tęgi, wyglądał jeszcze młodo, miał wielką twarz z podwójnym podbródkiem i nadzwyczaj mięsiste ręce.

— Nie uznaję obfitych posiłków w południe, — rzekł, wyciągając z kieszeni garść srebrniaków i podając z życzliwym uśmiechem sześciopensową monetę niezadowolonemu posługaczowi. *Anathema maranatha!* — Ale niektórzy moi klienci są sybarytami. Wie pan zapewne, że sybaryci byli mieszkańcami miasta Sybaris w Grecji starożytnej i odznaczeni się zamiłowaniem do dobrobytu i przepychu.

Powiedział to tonem takim, jakby zdradzał nieznaną tajemnicę. Ta namiętność udzielania informacji była jego cechą charakterystyczną, a trzeba przyznać, że w dziewięciu wypadkach na dziesięć istotnie udzielał informacji mieszkańcom City, z którymi obcował.

Ralf miał również konto w Stebbing's Banku i mógł się szcycić pewnego rodzaju przyjaźnią z bankierem, gdyż byli członkami tego samego klubu. Jedyną rzeczą, która nie podobała się Ralfowi w bankierze, było zainteresowanie, jakie ^{on} okazywał medykamentom, co wprawiało Hallama

zawsze w zakłopotanie, gdyż poprzedni swój zawód prawie że zapomniał.

Tęgi pan westchnął, wkładając rękawiczki.

— Szklanka mleka i kilka biszkoptów to mój zwykły lunch. Ze zgrozą myślę, jaki skutek wywarłby na mnie majonez z homara. Jedziemy w tę samą stronę?

Ralf podszedł z nim aż do otwartego auta.

— Nie, nie jedziemy w tę samą stronę, ale jutro lub pojutrze będę w pańskim sąsiedztwie.

Mr. Tupperwill wzdrygnął się.

— Współczuję panu, — rzekł. — City nie odznacza się estetycznym wyglądem, — brak tam czegoś, co...

Urwał nagle, rozejrzał się po ludnej ulicy, a tłusty jego podbródek zwisał bezwolnie.

— Kosmopolityczny wygląd naszych ulic w tej porze roku zawsze mnie bardzo interesuje.

Ralf poszedł za jego wzrokiem i ujrzał na trotuarze małego, wątłego człowieka w szarym kapeluszu filcowym i w żółtych rękawiczkach. W tej chwili nieznamy odwrócił się.

— Chińczyk! — rzekł Hallam zdziwiony.

— Chińczyk, — przyświadczył mr. Tupperwill, — niejaki Feng Ho, zaufany, *fidus achates Asiaticus* niejakiemu majora Amery'ego, bardzo niezwykłego pana.

Zanim Ralf zdążył ochłonąć ze zdumienia i zapytać bankiera, co wie o Pawle Amery'm, auto ruszyło w stronę nieestetycznej okolicy Old Broad Street.

Chińczyk patrzył na Ralfa badawczo, ale nie okazywał zamiaru podejścia do niego. Gdy jednak Ralf zbliżył się do niego o kilka kroków, Chińczyk odwrócił się i odszedł szybko.

Feng Ho, człowiek Amery'ego! Ralf po raz pierwszy usłyszał o nim i chciał go sobie bliżej obejrzeć. Gdyby wszystko, co słyszał, było prawdą...

Ale Feng Ho znikł, a Ralf, spojrzawszy na zegarek, przypomniał sobie, że miał wstąpić do żony. — Chciał właśnie zapłacić taxi przed drzwiami na Herbert Mansions, gdy odwróciwszy się, ujrzał drugą taksówkę, która zatrzymała się w pewnej odległości. Wsiadł z niej jakiś człowiek. Był to Feng Ho!

Ralf bez wahania podszedł do drugiego auta. Chińczyk czekał na niego z twarzą obojętną.

— Chciałbym z panem pomówić, przyjacielu!

Feng Ho lekko pochylił głowę.

— Kiedy przed kwadransem wychodziłem z Café Fornos, stał pan na trotuarze i obserwował mnie. Teraz przyjechał pan za mną tutaj. Co to znaczy?

Na twarzy Feng Ho ukazał się zjadliwy uśmiech.

— Co ma znaczyć? Nic! — odpowiedział spokojnie.

— Dzisiaj jechałem akurat w tę stronę, jutro może będę jechał w przeciwną.

— Czego pan tu chce? — zapytał Ralf gwałtownie.

Feng Ho wzruszył ramionami.

— To nie brzmi bynajmniej, jak starodawna angielska gościnność! — rzekł. — Oto policjant, — ciągnął wskazując głową na zbliżającego się policjanta. — Niech go pan zawoła i niech mu pan powie: „Weźcie go i wsadźcie do więzienia! Bacność! Ten pan nazywa się Feng Ho, Baccalaureus Scientiis, i jechał za mną!“ Panie Hallam, gdziekolwiek się pan ruszy w Londynie, będzie pan jechał za kimś.

— Dlaczego mnie pan śledzi? — zapytał Hallam, nie zwracając uwagi na słowa Chińczyka.

Feng Ho znowu wzruszył ramionami.

— Jako Baccalaureus Scientiis interesuję się niezwykle mi rzeczami. Moją specjalnością są przestępcy, a nie zadawalniam się chodzeniem do sądu i przysłuchiwaniem się, jak zbrodniarz opowiada sędziemu swoją historję, ale chcę też widzieć, jak się przestępstwo spełnia. Chorobliwie perwersyjne zamiłowanie, mr. Hallam, ale pan, jako lekarz, zrozumie je.

— Jakie przestępstwo spodziewa się pan tu zobaczyć?
— zapytał Hallam, obserwując go bacznie.

— Morderstwo! — brzmiała niespodziana odpowiedź.

— Morderstwo? — Ralf zastanawiał się, czy Chińczyk żartuje, ale na jego nieruchomej twarzy nie widać było ani śladu uśmiechu.

— Morderstwo! — powtórzył Feng Ho triumfalnie.
— Zobaczę, jak Soyoka zabije pana i poznam jego genialne środki. Możliwe, że zabije i przedpotopowego mr. Tarna lub piękną miss Marlowe, ale przekona się pan, że *pana* zabije napewno.

ROZDZIAŁ XII.

Amery wie.

Przez chwilę ogarnęło Ralfa paniczne przerażenie. Spokojny ton Chińczyka działał na niego jak prąd zimnej wody. Z trudnością odzyskał głos.

— Rozumiem! — syknął. — Czy mam to uważać za groźbę Soyoki? Niech mu pan zakomunikuje, że jeżeli coś tu przedsięwzięcie, może mu się coś przydarzyć. Rozumie mnie pan przecież? A na drugi raz, jeżeli pana złapię na śledzeniu mnie, dostanie pan kopniaka. Czy pan rozumie, panie Baccalaureus Scientiis?

Feng Ho skrzywił się w uśmiechu.

— Kopniak to dla mnie nic nowego, czcigodny panie, jako ubogi chłopak chiński otrzymywałem go od wielu ludzi. Ale teraz, gdy jestem mężczyzną, to co innego, i ludzie, którzy mnie chcą kopnąć, tracą pazurki — o tak!

Szybciej, niż trwa mgnienie oka, pochylił się. Błysła stal i ostrze noża, który jakby cudem znalazł się w jego ręku, nakreśliło na chodniku prostą białą linię, która o włos zaledwie chybiła stopy Hallama. Chińczyk stał znowu prosto, nóż znikł, a Feng Ho uśmiechał się uprzejmie, gdy Ralf cofnął się ze zdumionym okrzykiem.

— Zbyt wielka szybkość powoduje niekiedy złudzenie optyczne, — rzekł Feng Ho, zadowolony z siebie. — Jak łatwo mógłby lekarz, rozdający kopniaki, stracić wieniec sławy!

Jakgdyby uznając bezużyteczność dalszych wywodów, odwrócił się w stronę zdumionego szofera, podał mu adres i wsiadł do auta. Zanim Ralf zdołał ochłonąć ze zdumienia, Feng Ho był już daleko.

Pani Lu nie było w domu. Dotrzymanywanie umów było jej słabą stroną. Ulżywszy sobie mocnem przekleństwem, poszedł Ralf w stronę Maida Vale, aby wziąć taxi. Załedwie przybył do domu, żona zatelefonowała do niego. Załatwiła kilka sprawunków, gdyż wieczorem spodziewała się Elzy.

— Mogłam sobie zaoszczędzić lataniny, przed chwilą telefonowała do mnie, że nie może przyjść wieczorem, gdyż musi pracować w domu.

— Byłaś u Amery'ego?

— Widziałam tego łajdaka! Wiesz, co on się odważył powiedzieć do mnie?

Ralf uśmiechnął się.

— Zgadniesz? — pytała niecierpliwie.

— Przypuszczam, że wspomniał o twojem nieszczęśliwym przyzwyczajeniu przywłaszczania sobie cudzych rzeczy, — odpowiedział chłodno. — Lu, twoja inteligentna kleptomanja sprawi ci jeszcze sporo przykrości. Słyszałem wiele aluzyj, łączących twoją obecność w Indjach z przypadkami zniknięcia własności ruchomej. Głupia jesteś, Lu! Masz dość pieniędzy na życie i nie potrzebujesz poddawać się swemu występki. Ilekroć czytam gazetę i spostrzegam tytuł „Złodziejka przed sądem“, ogarnia mnie przerażenie.

— Nie obawiaj się, — odpowiedziała miss Hallam krótko. — A jeżeli przypuszczasz, że przywłaszczę sobie klejnoty dziewczyny, nie sprowadzaj jej do mnie.

— Miss Marlowe nie ma nic, co byś mogła ukraść, — rzekł Ralf chłodno, — Co powiedział Amery?

— Nic więcej, wie oczywiście, że jestem twoją żoną. Nie miało sensu zaprzeczać. Ja mu tego nie powiedziałam.

— Więc skąd wie, jeżeli się sama nie zdradziłaś?

— Powiadam ci, że się nie zdradziłam! Wiedział już pierw. Kazał widocznie obserwować Herbert Mansions, bo wymienił mi dokładnie chwilę, w której opuściłeś mieszkanie. To mi przypomina, — dodała zmienionym głosem, — że wczoraj wieczorem, kiedy byłam w teatrze, do mieszkania mego dokonano włamania.

— Włamania? Czy ci coś skradziono?

— Nie, i to właśnie najdziwniejsze. Szkatułka z klejnotami była otwarta, ale nic nie brakowało. Stróż przypuszcza, że złodzieja spłoszono. Pewna też jestem, że przeszukano moje biurko, bo położyłam notes z adresami na stosie papierów, a rano leżał pod papierami.

Powstała długa pauza. Myśl Ralfa Hallama pracowała szybko. Czy to było wyjaśnieniem obecności Feng Ho w pobliżu Herbert Mansions? Czy śledził on zarówno mrs. Hallam, jak jej męża, a w wolnych chwilach zajmował się przeszukiwaniem ich rzeczy?

— Zawiadomiłaś policję?

— Nie, niema poco, — odpowiedziała mrs. Hallam i dodała niecierpliwie: — Kiedy ta dziewczyna przyjedzie? Zdaje się, że jest bardzo powściągliwa.

— Zawiadomię cię, — rzekł Dr. Hallam i odwiesił słuchawkę.

Paweł Amery nabrał nowego znaczenia.

ROZDZIAŁ XIII.

Skandal w Szanghaju.

Byłoby rzeczą nienaturalną, gdyby Elza Marlowe nie piastowała w duchu ideału męskiego. Ideał ten nie miał określonej twarzy, ani jasnej postaci, ani zdecydowanych kształtów, lecz był tylko charakterem i uprzejmem zachowaniem. Ideał jej nie wydawał dziewczętom rozkazów, jakby to były maszyny, odpowiadał uprzejmie na powitanie, nie miał ponurej twarzy, nie dyktował nieskończonych listów i najmniejszego nawet urzędnika nie zwalniał skinieniem głowy. Jakąkolwiek była jego twarz, nigdy nie widniał na niej szyderski uśmiech.

Rano, podczas śniadania, mr. Tarn wspomniął krótko o rozmowie z przed kilku dni, ale na szczęście porzucił zaraz ten temat. Elza czuła, że musi go opuścić. Ale to nie będzie łatwe. Wieloletnich stosunków niepodobna było zerwać odrazu. A jednak, im bardziej myślała o propozycji mrs. Hallam, choć miał to być tylko środek przejściowy, tem mniej czuła do niej zapału.

Tuż przed przerwą południową Amery zawezwał ją do gabinetu i podyktował jej przepisy, których miała przestrzegać, gdyby go w czasie jego nieobecności wzywano do telefonu. Z kobietą spostrzegawczością zauważyła, że nosił nowe szare ubranie i że w jasnym materjale było

mu bardzo dobrze, choć twarz jego stawała się przez to ciemniejsza i bardziej jeszcze odstrasząca. Kiedy ukończył dyktando, przechylił się na fotelu, a wzrok jego pomknął ku oknu. Spoglądanie na nią lub zagadywanie jej nie należało do jego najgorszych przyzwyczajęń.

— Czy ma pani znajomych w Szanghaju?

— Ja, majorze Amery? Nie, — odpowiedziała, zdziwiona tem pytaniem.

— Dziwna miejscowość — siedlisko skandalów. Przypuszczam, że słyszała pani pewne szczegóły plotek.

— Nie. Wiem tylko, że istnieje miejscowość Szanghaj, no i oczywiście otrzymujemy listy od naszych agentów w tem mieście; ale nie słyszałam o żadnych skandalach ani plotkach. Kogo one miały dotyczyć?

— Przeważnie mnie! — odparł major.

Elzę ogarnęła zupełnie naturalna ciekawość.

Jakiego rodzaju skandale lub plotki mogły krążyć o tym nieludzkim człowieku? A jednak musiał on mieć jakąś ludzką stronę.

— Szanghaj to dziwna miejscowość. Czy wie pani, dlaczego bandyci zatrzymali błękitny pociąg? Zapewne nie.

W krótkim tem pytaniu zawarta była barwność i tajemniczość Wschodu. Elza przypomniała sobie, iż czytała, jak bandyci spowodowali wykolejenie pociągu, ograbili pasażerów i uwięzili ich, aby wyłudzić okup. Żałowała teraz, że nie zwróciła na ten artykuł baczniejszej uwagi.

Jeśli przypuszczała, że major dopomoże jej pamięci, myliła się.

— W Szanghaju można zarobić wiele pieniędzy — uczciwie, a także w inny sposób, — ciągnął, — ale przeważnie w inny sposób. To wszystko!

Kiedy skrzętne jej palce biegały po klawjaturze maszyny do pisania, rozmyślała Elza, jaka metoda zarabiania pieniędzy najbardziej odpowiadała „Potworowi“.

Przed kilku tygodniami rozpoczął on system oszczędnościowy. Zbyteczni urzędnicy zostali zwolnieni, nad każdym włącznikiem elektrycznym umieszczono nowe drukowane przepisy. Amery nabrał zwyczaju zjawiania się niespodziewanie w lokalu biurowym, gdzie przed kilku szeregami wysokich pulpitów stali urzędnicy, a wizyty te spowodowały niejedno nagłe wydalenie z pracy. Raz zobaczył zaczerwienioną i zmieszaną dziewczynę i natychmiast odkrył powód. Wyszła ona właśnie z jednego z owych małych pokoików, w których urzędowali liczni kierownicy oddziałów, a Amery, nie mówiąc ani słowa do pracowniczki, wszedł do gabinetu i skinieniem palca przywołał urzędnika w średnim wieku.

— Zdaje się, że usiłował pan pocałować tę dziewczynę? — zapytał.

— Jeżeli ona tak twierdzi, to kłamie, — odparł kierownik oddziału.

— *Ja* tak twierdę, — rzekł „Potwór“. — Niech się pan uda do kasjera i zażąda swojej pensji do dnia dzisiejszego! Jest pan zwolniony!

Po tym wypadku nastąpiły listy do adwokata, a Elza pisała ostre odpowiedzi. Pewnego razu, przynosząc list adwokatów byłego urzędnika swemu szefowi, napomknęła o tej sprawie i odważyła się ująć za wydalonym.

— Mr. Sturl pracował w firmie dziesięć lat, — rzekła. — To człowiek żonaty, posiadający rodzinę. Czy nie uważa pan, że jest pan wobec niego zbyt surowy?

Amery świdrował ją przez chwilę kamiennym spojrzeniem, potem rzekł: — Nie potrzebuję rad.

Elza była tak podniecona, że gotowa była rzucić w niego swoją książkę stenogramową.

Dla zmian, zaszyłych w przedsiębiorstwie, było nader charakterystyczne, że mr. Tarna nie zapytywano wogóle o zdanie przy zwalnianiu urzędników. Jeszcze bardziej godne uwagi było, że mr. Tarn zbyt był pogrążony w myślach, aby zwrócić uwagę na to przeoczenie.

Elza spotkała go, opuszczając w południe biuro. Było to rzeczą zupełnie niezwykłą, że opuszczał gmach firmy przed wieczorem. Omal go nie zapytała o przyczynę. Powstrzymała się jednak w porę, choć nie mógł być bardziej brutalny, niż Amery. Jedno było dla niej jasne: musiała przy najbliższej sposobności opuścić dom. Człowiek ten tak działał jej na nerwy, że nienawidziła nawet jego widoku.

Mr. Tarn byłby rad, gdyby mógł mieć tak określony pogląd, ale duch jego był jakby w zamęcie. Wymyślał jeden plan po drugim, poto tylko, aby go natychmiast porzucić. Nie widział wreszcie innego wyjścia, jak spokój w jakiejś oddalonej farmie w innym kraju i ukojenie spokoju duchowego, jakie daje zapomnienie.

Ralf Hallam zatelefonował, aby go odwiedził, i mr. Tarn skierował się w stronę małego domku na Half Moon Street.

— Rozmawiałem z innymi, — rzekł Ralf, gdy Tarn zasiadł przy stole pełnym jadła, które groziło mu udławieniem, — są oni także zdania, że najlepiej będzie, jeśli pan zniknie. Nerwy pańskie są do licha, wydaje się, jakby ten Amery mógł zburzyć część naszej organizacji.

— Już jest zburzona! — jęknął Tarn. — Ani uncji nie można sprowadzić przez Amery & Amery. Bodajbym się był nigdy nie wdał w tę sprawę! Spójrz pan na to! Dzś rano mi to oddano!

Drżące jego dłonie znikły w wewnętrznej kieszeni surduta i wydobyły list, który podał Hallamowi przez stół. Pisany był na bardzo grubym papierze, charakterem pisma najwidoczniej zmienionym. Bez dalszych wstępów Ralf przeczytał:

„Łowi pan ryby w naszym stawie, a dzięki Pańskiej nieopisanej głupocie policja pracuje całą siłą pary. Damy Panu sto tysięcy, jeśli odda nam Pan swoich agentów i zlikwiduje swoją organizację. O ile nie przyjmie Pan tych warunków, znajdziemy sposoby pozbycia się Pana“.

Zamiast podpisu widniało wielkie „S“. Ralf zwrócił list z uśmiechem. — Jeśli to dla nich warte sto tysięcy, warte jest dla nas miljon. Jak pan sądzi, dlaczego przysłano to właśnie panu? Bo wiedzieli, że jest pan jedynym człowiekiem w organizacji, który się boi! Kiedy pan to dostał?

— Znalazłem to na biurku, kiedy przyszedłem dziś rano do biura. Nikt nie wie, jak się to tam znalazło.

— Może Amery mógłby to wyjaśnić, — rzekł Hallam sucho. — Czy był przed panem w biurze?

Stary pan skinął głową. — Chcę się wydostać z tej sprawy, — odpowiedział. — Podzielmy pieniądze. Jest ich dość, aby zbogacić nas obu.

— Ma je pan w gotówce?

— A jakże? — rzekł Tarn niecierpliwie. — Gdybym słuchał pańskiej rady, zdeponowałbym je w tym głupim Stebbing's Banku, a kiedybyśmy je chcieli podjąć, zastalibyśmy przed drzwiami dwóch ludzi ze Scotland Yardu, czekających na nas. Pieniądze mam! — dodał, po raz pierwszy tego dnia nieco weselej. — Podzielmy się w końcu tygodnia. Przejazd już zaksięgowałem.

— Dziwny z pana człowiek, — rzekł Ralf ubawiony, — poświęca pan majątek. Ale sądzę — i wszyscy są tego zdania — że to najwłaściwszy krok.

Wstał od stołu i zapalił papierosa, puszczając kółka dymu w sufit.

— Oczywiście pojedzie pan sam?

Tarn kręcił się nieswojo na krześle. — Przypuszczam, — mruknął, — ale to pana nie obchodzi.

— Obchodzi mię nawet bardzo. Drogi przyjacielu, wyjaśniłem panu już, że Elza jest mi potrzebna. Aby być ścisłym biologicznie, ma pan więcej mózgu, niż ta dziewczyna, ale ona jest sprytniejsza i przy dobrym kierunku z powodzeniem wypełni pańskie miejsce pod każdym względem. Niech pan sobie wybije z głowy to majowo-grudniowe szaleństwo, które pana trapi! Niech pan opuści kraj! Z chwilą, gdy pozostawi pan przyładek Lizard za sobą, będzie pan szczęśliwym człowiekiem, a jeśli pan traktuje swoje zamiary małżeńskie poważnie — Ameryka Południowa roi się od pięknych, młodych dam, które z przyjemnością poślubią człowieka o takim kapitaliku, jak pański. Szczerze mówiąc, Tarn, powinien pan być rad, jeśli wychodzi pan żyw z tej opresji!

— Co pan przez to rozumie? — zapytał Tarn przerażony.

— Myślę, że Soyoka będzie bardzo zajęty i że lepiej, aby się pan z tej sprawy wywikłał.

ROZDZIAŁ XIV.

Opiekunka majora Amery'ego.

Przez całe popołudnie Maurycy Tarn siedział przed swoim biurkiem. Ręce wsadził głęboko do kieszeni, zgarbił się, przymknął nawpół oczy, a ostrzeżenie Hallama brzmiało mu ciągle w uszach. Był człowiekiem pięćdziesięciosześcioletnim i kochał jeszcze życie i wolność. Chciał za wszelką cenę myśleć jeszcze „pojedyńczo“. Było to wyrażenie, które sam wynalazł. Ale myślał jeszcze tylko „potrójnie“. Trzy linje myślowe biegly równolegle i w krótkich odstępach czasu splątały się w zawiłą, skłębioną masę, aż tak się poplątały, że trzeba mu było wieczności, aby je znowu rozplątać.

W najczarniejszej godzinie swoich rozmyślań uczynił odkrycie, które, choć o tem nie wiedział, miało być dla niego katastrofalne.

— Depesza kablowa, sir, — rzekł urzędnik. — Zdaje się, że to szyfr prywatny.

— Co? — Patrzył zmieszany na leżący przed nim papier i z roztargnieniem spojrzął na podpis. Nagle wyprostował się.

Nadawcą był kupiec japoński, z którym miewał interesa w związku ze swoim haniebnem przedsięwzięciem.

Soyoka dowiedział się o tem i oto to źródło zakupu zostało nagle zamknięte. Ale nazwisko, które ujrzał w depeszy, wypisane wyraźnymi literami angielskimi, wprawilo

go w zdumienie, wydobyl więc szybko swój „code“ prywatny, aby przetłumaczyć telegram.

Potem zrozumiał, co zaszło. Wskutek jakiegoś błędu zaadresowany do niego telegram kablony przeznaczony był dla głównego agenta Soyoki. Odkrycie to wstrząsnęło nim. Nazwisko to napisane było po angielsku! Soyoka! Miał swego konkurenta w ręku, a duszę jego wypełniła nagle dzika i niepohamowana radość, jakiej nie znał od wielu lat. Stała się rzecz następująca: Depesza kablowa wskutek jakiegoś nieporozumienia wysłana została na jego prywatny adres telegraficzny.

Przechylił się na fotelu, oddychając ciężko, a twarz jego poczerwieniała. Tak zastała go Elza, kiedy weszła, aby mu powiedzieć, że prawdopodobnie nie będzie wieczorem w domu. Nie odpowiedział, a ona, na widok jego zaczerwienionej twarzy i błyszczących oczu, przypuszczała oczywiście, że mr. Tarn pił znowu.

Soyoka — był w jego mocy! Grożą mu? Już on im pokaże.

*

Po drodze do domu Elza szła przez Cheapside i ujrzała zbliżającą się ku niej znajomą postać.

— Ależ Ralfie! — zawołała. — Co ty robisz w handlowej dzielnicy Londynu? Nie wyobrażam sobie ciebie nigdy w City.

— Musiałem tu przyjść, aby kogoś odwiedzić, — odparł Hallam, idąc u jej boku. — Czy bierzesz arystokratyczną taksówkę, czy też będziesz o tyle demokratyczna, aby pojechać omnibusem?

— Ze względu na zdrowie pójde pieszo, — zaśmiała się Elza.

Szli razem przez Newgate Street, potem skręcili w Old Bailey. Tutaj zatrzymali się, aby obejrzeć wspaniały gmach

głównego sądu. Ralf szczególnie interesował się budynkiem i wskazał na miejsce, gdzie znajdowało się dawniej więzienie Newgate i gdzie widniały małe, wąskie, okute drzwi, prowadzące do ponurego więzienia.

— To we mnie budzi dreszcz, — rzekła Elza i odwróciła się.

— Założyłbym się, że i w Maurycym Tarnie wzbudziłoby to dreszcz, — rzekł Ralf bezmyślnie. Elza zatrzymała się i spojrzała na niego.

— Co się stało z mr. Tarnem? — zapytała. — On musiał popełnić coś strasznego? Czy wiesz, co?

Ralf z uśmiechem skierował rozmowę na inny temat i rad był, gdy doszli do Elgin Crescent, gdyż nie był dobrym piechurem.

— Będiesz przecież dzisiaj wieczorem u Lu, przyrzekłaś jej to, odkładając wczorajszą wizytę. Czy mówiłaś o tem ze staruszką?

Rozmawiała w tej sprawie z Tarnem popołudniu, ale wątpiła, czy ją zrozumiał. Z jakiejś niewytłumaczonej przyczyny czuła lęk przed temi odwiedzinami.

— Nie jestem zupełnie pewna, czy mię Tarn zrozumiał, — rzekła.

— Czy konieczne jest, abyś z nim o tem mówiła? — zapytał Ralf spokojnie. — Maurycy jest z pewnego powodu zły na mnie, a kiedy się dowie, że udajesz się do Lu, może będzie się sprzeciwiał.

— Więc cóż mam mu powiedzieć? — zapytała zdumiona. — Nie mogę go przecież okłamywać.

— Powiedz mu, że chcesz spędzić tydzień u przyjaciółki! O ile go znam, nie zapyta nawet, kto to jest.

Nie wydało się to Elzie zupełnie w porządku, ale zgodziła się.

— Jeśli idzie o moralne poparcie, jestem na twoje usługi,
— dodał Ralf wesoło. Początkowo zamierzał pożegnać ją przy drzwiach, ale potem zmienił zdanie i wszedł z nią do domu, aby się upewnić, że Maurycy Tarn jeszcze nie wrócił.

Elza zostawiła go w jadalni i weszła sama na górę, aby spakować walizkę. Znowu ogarnęły ją poprzednie wątpliwości. Mrs. Trene Hallam nie podobała się jej, ale niechęć ta nie była większa, niż mogła czuć do każdej obcej osoby, a możliwe, że przy bliższym poznaniu bratowa Ralfa zyskiwała. Elza miała zresztą bardzo poważny powód, aby opuścić dom na pewien czas. Instynktownie wyczuwała, że moment krytyczny w życiu Maurycego Tarna zbliżał się, a nie chciała myśleć o tem, kto mógł być pod koniec wciągnięty do sprawy.

Pakowanie rzeczy zajęło jej więcej czasu, niż przypuszczała, gdyż ogarnęła ją nowa, głupia wątpliwość. Czy Paweł Amery pochwalałby to? Oczywiście, myśl ta była głupia! Roześmiała się z siebie samej i zaczęła pakować dalej.

Kiedy zesłała zpowrotem, zastała Ralfa wyciągniętego w fotelu przy oknie i obserwującego igrającą młodzież Elgin Crescent.

— Krzyki tych małych djabełków muszą Maurycemu działać na nerwy, — rzekł. — Co on robi wieczorami — pije?

Elza skinęła głową. Czuła niechęć do mówienia o swoim opiekunie. — Nie zmienił przyzwyczajajeń, — wyjaśniła.

— O ile go znam, nie. Powiem ci, co on robi, — rzekł Ralf spokojnie. — Możesz mi przerwać, jeśli nie będę miał racji. O pół do dziewiątej kończy obiad, o trzy na dziewiątą udaje się do swego gabinetu, wypija jak zwykle cztery kieliszki konjaku, a potem zaczyna poważnie zwiększać porcje wódki.

Elza westchnęła. — Niezawsze był taki. Dopiero w ostatnich latach zaczął pić, — rzekła.

Ralf skinął głową. — Maurycy to dziwak. Chciałbym rzeczywiście, żeby wyjechał do Ameryki Południowej.

— Ze mną? — uśmiechnęła się.

Potrząsnął głową. — Nigdy. Nie dopuszczę do tego, żeby cię zabrał.

Elza szybko zmieniła temat.

O ósmej mr. Tarna nie było jeszcze i Ralf odszedł, bezskutecznie namawiając Elzę, aby się pozwoliła odprowadzić do Herbert Mansions.

— Nie mogę tego zrobić, — odpowiedziała, potrząsając głową. — Nieładnie byłoby, gdybym odeszła i zostawiła mu tylko wiadomość przez służącą. Muszę z nim pomówić i wyjaśnić mu wszystko.

— Wierna dziewczeczka! — rzekł Ralf z uśmiechem.

Kiedy odszedł, Elzie przyszło na myśl, że mimo wielu nadarzających się sposobności nie wspomniała mu nic o nocnych odwiedzinach Feng Ho. Teraz wydało się jej to dziwne. I nie to było powodem, że zapomniała o tem. Dwa razy miała to już na języku, ale coś ją powstrzymało. Później, gdy usłyszała, jak niepewna dłoń Maurycego Tarna wkładała klucz do zamka na dole, przyszło jej na myśl wyjaśnienie i musiała się dziwić sobie samej. Nie powiedziała mu o tem, bo chciała bronić Pawła Amery'ego.

ROZDZIAŁ XV.

Człowiek w pokoju.

Inspektor William Bickerson napisał ostatni wiersz długiego sprawozdania do prezydium policji, złożył dokument i włożył do koperty. Spojrzał na zegarek: było trzy na dziewiątą. W tej chwili wszedł pisarz i zapytał, czy przyjmie doktora Ralfa Hallama.

— Dr. Hallam? — powtórzył inspektor zdziwiony. — Ależ oczywiście!

Przywitał Ralfa jak starego przyjaciela. — Sto lat pana nie widziałem, doktorze, — rzekł serdecznie. Spojrzał znowu na zegarek. — Chciałbym bardzo mieć czas na pogawędkę z panem, ale umówiłem się na dziewiątą. Czy ma pan do mnie jakąś ważną sprawę?

— Jeśli pan jest zdania, że handel narkotykami jest sprawą ważną, to tak.

Inspektor gwizdnął przed siebie. — Handel narkotykami? Co pan o tem wie?

— Wiem bardzo mało, ale wiele mogę powiedzieć. A przypuszczam, że pan potrafi też doskonale zgadywać.

Inspektor nie odpowiedział odrazu. Potem rzekł:

— Pan jest przecież przyjacielem mr. Tarna?

Ralf skinął potakująco głową. — Tak, jesteśmy przyjaciółmi. Ale przyjaźń nasza była dawniej znacznie bliższa, niż obecnie.

— Co się z nim właściwie dzieje?

Ralf wzruszył ramionami. — Dokładnie nie wiem, ale przypuszczam, że dość poważnie poświęcił się alkoholowi. Dlaczego pan pyta, czy jestem jego przyjacielem?

Urzędnik zastanowił się przez chwilę. — Bo na dziewiątą umówiłem się z nim. Prosił, żebym do niego przyszedł, gdyż ma mi coś bardzo ważnego do zakomunikowania. Czy uważa pan, że mógł być pijany?

Ralf był bardzo ostrożny. — Możliwe, — rzekł, zagryzając wargi. — Jakiego rodzaju miało być to oświadczenie?

Inspektor wzruszył ramionami. — Nie wiem. Czy pan jest jego lekarzem?

— Byłem nim, choć przyznam, że nie mogę się szczycić swymi wiadomościami medycznymi. O dziewiątej, powiada pan? Czy ma pan coś przeciwko temu, abym panu towarzyszył?

Urzędnik spojrział znowu na zegarek. — Bynajmniej! Niech pan idzie, choć nie sądzę, aby w pańskiej obecności mówił o tem, jeżeli idzie rzeczywiście o rzecz ważną.

— W takim razie będę mógł odejść, — rzekł Ralf.

Bickerson wstał właśnie, gdy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

— Hallo! — zawołał, a Ralf zauważył, jak brwi jego uniosły się. — To nasz przyjaciel, — rzekł detektyw cicho, odchylając słuchawkę w bok.

— To pan?

Był to głos Maurycego Tarna, brzmiący niewyraźnie, prawie niezrozumiale.

— To pan, Bickerson? Przyjdzie pan do mnie? Dziś wieczorem próbowali mnie sprzątnąć — tak, dziś wieczorem! Ona musi być w to także wplątana. Nie zdziwiłbym się. Po wszystkim, co dla niej uczyniłem, ciągle jest niewdzięczna.

— O czym pan mówi, mr. Tarn? — zapytał detektyw krótko. — Idę już.

— Niech pan przyjdzie jak najszybciej! Mogę pana wprowadzić na trop Soyoki. Znam jego głównego agenta.

Szepnął jakieś słowo, a podbródek Bickersona opadł. Odłożył słuchawkę i zwrócił się do swego gościa.

— Pijany jest! — wyjaśnił.

— Co mówi?

Ale Bickerson tak był zdziwionym tem szepnięciem słowem, że nie odpowiedział.

— Niewiele przywiązuję wagi do tego człowieka, — rzekł Ralf, usiłując ukryć swoją trwogę. — Stary osioł ma manję „narkozy“! Chce się nawet ożenić ze swoją siostrzenicą!

— Hm! — odparł Bickerson, zatopiony w myślach.

— Widziałem pijaków bardzo skłonnych do zwierzeń. Zabierze się pan ze mną?

Z policji do Elgin Crescent było dziesięć minut drogi. Dało to detektywowi sposobność do wzbogacenia swoich wiadomości.

— Gdzie jest ta dziewczyna — czy mieszka z nim w jednym domu? — zapytał.

— Zazwyczaj tak. Ale dzisiaj jest u mojej krewnej. Prawdę mówiąc, przeżyła z nim ostatnio kiepski okres, — oznajmił Hallam, — a Tarn staje się coraz gorszy. Czuje lęk przed szajką Soyoki.

— Co to jest?

Detektyw zatrzymał się i zdumiony spojrzął na towarzysza. — Soyoki — co pan wie o tej szajce? — zapytał.

— Nic, — odpowiedział Hallam bez wahania. — To jeden z obłądnych tworów jego wyobraźni. Poto właśnie przyszedłem do pana, aby pana ostrzec przed Tarnem. Wmówił sobie, że obraził Soyokę.

Każdy urzędnik policji spotykał się w swojej praktyce z takimi urojeniami. Mało jest wielkich zbrodni, przy którychby jakiś szaleniec nie robił wyznań. Najwidoczniej zaciekawienie detektywa rozmową znikło. To właśnie było celem Ralfa Hallama.

— Nie wiem dlaczego, — mówił Bickerson, gdy skręcali przy Ladbroke Grove, — ale przez cały czas, odkąd Tarn wyraził chęć rozmowy ze mną, miałem wrażenie, że chce mówić o sprawie handlarzy narkotyków. Nie powiedział tego, takie tylko miałem wrażenie. Niech pan idzie naprzód — zna pan drogę!

Weszli razem na schody, inspektor wszedł za Ralfem przez szerokie, otwarte drzwi. W sieni znaleźli się przed dwojgiem drzwi, z których jedne prowadziły do dolnego, drugie do górnego mieszkania, zajmowanego przez Tarna i jego siostrzenicę. Ralf nacisnął dzwonek, a gdy nikt się nie zjawiał, zadzwonił jeszcze raz.

— Zdaje się, że drzwi są otwarte, — zawołał nagle inspektor.

Ku jego zdumieniu drzwi ustąpiły pod naciskiem, a gdy stanęli na końcu schodów, Ralf namacał kontakt elektryczny, ale światło nie zapaliło się.

— To dziwne, — rzekł, — widocznie się żarówka wypaliła.

W ciemności weszli na pierwsze piętro.

— To jego gabinet! — rzekł Hallam i nacisnął kłamekę.

Drzwi otworzyły się. Jedyne oświetleniem pokoju był słaby odblask z kominka, prawie nie dający światła.

— Jest pan tu, mr. Tarn? — zawołał inspektor.

W odpowiedzi usłyszeli mocne chrapanie.

— Gdzie tu jest kontakt elektryczny?

Detektyw macał ręką wzdłuż ściany i Ralf usłyszał, jak przekreślił kontakt. Ale światło znowu nie zapaliło się.

— To dziwne. Gdzie on jest?

Drobnostką było znaleźć chrapiącego. Ręka Ralfa spoczęła wnet na poręczy wielkiego fotelu, a po chwili wyczuł pod dłonią twarz Tarna.

— Tu jest, — rzekł.

Pod dotknięciem Ralfa Maurycy Tarn poruszył się niezdarnie. Usłyszeli jego senne sapanie, potem pijany przemówił niewyraźnie, jak przez sen.

— Chcieli mnie sprzątnąć. Wiem o tem, ale jestem za silny. Mam końskie siły.

Słowa przeszły w niezrozumiały bełkot.

— Niech się pan obudzi, Tarn! — zawołał Ralf. — Mr. Bickerson przyszedł z panem pomówić.

Chwycił pijanego za ramię i potrząsnął. Chrapanie ustało.

— Zdaje się, że trudno będzie go obudzić?

— Czy on nie śpi?

— Wątpię! Tarn! Niech się pan obudzi!

Nagle inspektor rzekł:

— *Ktoś jeszcze jest w pokoju!* Doktorze, czy pan ma zapalki?

Usłyszał trzask przewróconego krzesła i usiłował przeniknąć wzrokiem ciemności. Rozglądając się dokoła, usłyszał szmer koło drzwi, schylił się i schwycił ramię nieznanego intruza.

Krótkie syknięcie — trzy słowa chińskie, brzmiące raczej jak wycie psa... Silna pięść trafiła urzędnika w podbródek, a w następnej chwili nieznanomy wyrwał się z uścisku detektywa. Drzwi zatrzęsnięto, usłyszeli jeszcze szybkie stapania na schodach.

— Zapal pan prędko światło! — zawołał Bickerson głosem ochryłym.

Rozległ się trzask zapalki i Ralf oświetlił pokój. Jakby w odpowiedzi na okrzyk detektywa, zapłonęło nagle światło elektryczne, oślepiając ich na chwilę.

— Kto to był? Niech pan patrzy! — zawołał detektyw, utkwivszy wzrok w strasznym obrazie przed sobą.

Maurycy Tarn leżał skulony w fotelu, głowa jego zwisała wtył. Brudna biała kamizelka była czerwona i mokra, a pośrodku czerwonej plamy widniała czarna rękojeść noża.

— Zabity! — jęknął Hallam. — Zamordowany w naszej obecności!

Usłyszał krzyk detektywa i poszedł wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Co? — zaczął i spojrzał w tę stronę.

W najdalszym kącie pokoju siedziała przykucnięta dziewczyna. Suknie jej były w nieładzie, biała bluzka podarta była na ramieniu. Twarz przecinała czerwona pręga. . .

Była to Elza Marlowe!

ROZDZIAŁ XVI.

Tajemnica Elzy.

Bickerson rzucił na dziewczynę krótkie spojrzenie, zawahał się przez chwilę, potem pobiegł w stronę drzwi, otworzył je i zbiegł ze schodów. Ulica była pusta, jakaś samotna kobieta szła mu naprzeciw. W oddali, na rogu Ladbroke Grove ujrzał znudzonego policjanta. Przebiegł przez ulicę w stronę posterunkowego, który spostrzegł go dopiero, gdy się do niego zbliżył.

— Niech pan biegnie na Elgin Crescent 409! — zawołał bez tchu. — Niech pan pilnuje drzwi i nikogo nie wpuszcza ani nie wypuszcza. — Popelniono morderstwo! — Czy zauważył pan, aby ktoś wychodził z domu Nr. 409 na Elgin Crescent?

— Nie, sir; jeden człowiek tylko przechodził tędy podczas ostatnich minut; a i to był Chińczyk tylko.

— Chińczyk? — rzekł Bickerson szybko. — Jak był ubrany?

— Ubrany był według najświeższej mody, o ile mogłem dostrzec. Zwróciłem na niego uwagę, bo był bez kapelusza. Ale wielu z tych Azjatów nie nosi kapeluszy.

Bickerson przerwał jego wynurzenia na temat zwyczajów azjatyckich.

— W jakim kierunku poszedł?

— Wdół Ladbroke Grove. Wziął taxi: obserwowałem go przy wsiadaniu, w chwili, gdy pan nadszedł. O, tam jedzie.

Wskazał na wzgórze, wiodące do Notting Hill Gate, a Bickerson rozejrzał się za jakąś taksówką, aby go ściagać, ale nigdzie nie było auta.

— Niech pan się nie troszczy o dom: niech pan ściga taksówkę! A jeżeli go pan dogoni, niech go pan przytrzyma! Niżej jest także posterunek, prawda?

— Tak jest! — odparł policjant i popędził klusem, aby dogonić auto, które znikło właśnie za wzgórzem.

Bickerson pobiegł zpowrotem do domu. Kimkolwiek był intruz, Elza Marlowe musi wyjaśnić jego obecność.

Kiedy powrócił, Elza siedziała w jadalni. Była bardzo blada, ale nadspodziewanie spokojna. Krwawa pręga na jej twarzy znikła, a chusteczka w ręku Hallama wyjaśniła powód. Kiedy detektyw wszedł, odwróciła się.

— Czy to prawda? — zapytała. — Mr. Hallam powiada, że wujek mój został zamordowany.

Detektyw wolno skinął głową. — Czy pani tego nie widziała?

— Nie, — odpowiedział za nią Ralf. — Zgasilem światło. Istnieją rzeczy, których ona widzieć nie powinna, a to jest jedna z nich. Zgasilem światło, zanim ją wyprowadziłem. Dzięki Bogu, że tego nie widziała.

Bickerson raz jeszcze spojrzął na dziewczynę. — Tak, miss Marlowe, wuj pani został zamordowany.

— Ten... ten człowiek to zrobił, — rzekła.

— Jaki człowiek? — zapytał detektyw krótko.

Walczyła z sobą, aby zapanować nad swoim głosem, ale przeżycia ostatnich dwóch godzin omal nie wywołały u niej ataku histerycznego.

— Opowiem panu wszystko od początku, — rzekła.

— Chciałam odejść dziś wieczorem, aby zabawić kilka dni u — pewnej przyjaciółki, i czekałam, aż mr. Tam wróci do domu. Chciałam mu powiedzieć, że nie będzie mnie

przez tydzień. Potem zapytał mnie, dokąd zamierzam się udać. Kiedy mu wszystko wyjaśniłam, zachował się jak szaleniec. Wściekał się i krzyczał na mnie, wymyślając mi od najgorszych, i w gniewie rzucił we mnie szklanką.

Odgarnęła włosy i pokazała szramę, która choć mała, pokrwawiła jej włosy.

— To się stało w jadalni, potem nagle, zanim zdołałam zrozumieć, o co idzie, chwycił mnie za ramię i pociągnął do swego gabinetu. Zdaje się, że musiał pić, zanim przyszedł do domu. Wstępuje niekiedy do pewnego hotelu, gdzie pozostaje przez kilka godzin.

„Siadaj i czekaj, aż ci się pozwolę ruszyć!” zawołał. „Dzisiaj nie wyjdiesz!” Usiłowałam przemówić mu do rozumu, ale on zachowywał się jak obłąkany. Musiałam więc siedzieć i patrzeć, jak pił wódkę, kieliszek po kieliszku, i czekać na sposobność opuszczenia pokoju. Byłam śmiertelnie przerażona. Zdaje się, że nigdy w życiu jeszcze nie czułam takiej trwogi. Przypuszczałam, że wujek zwarzjował i teraz jestem także tego zdania.

Wkrótce potem zasnęła, ale ja nie miałam odwagi się poruszyć. Belkotał ciągle o czemś, co chciał komuś zrobić. Potem nagle — przed jakimiś dziesięciu minutami — światło zgasło. Okna pokoju mr. Tarna mają grube firanki, które były zasunięte. Z wyjątkiem słabego odbłasku z kominka, w pokoju było zupełnie ciemno. Siedziałam cicho, lękając się jego przebudzenia, spodziewałam się jednak, że jest już do tego stopnia pijany, iż będę mogła uciec. Kiedy rozmyślałam o tem, usłyszałam nagle szmer przy drzwiach i miałam wrażenie, że ktoś był w pokoju. W chwilę później miałam pewność, gdyż nagle snop światła oświetlił twarz mr. Tarna.

Elza wdrygnęła się.

— Widzę go jeszcze przed sobą. Głowę miał opuszczoną nabok przez ramię, ręce skrzyżował na piersi. Światło przebudziło go nawpół i zaczął mówić.

— Czy słyszała pani, jak mr. Tarn telefonował? — przerwał detektyw.

Dziewczyna skinęła głową.

— Tak, już przeszło kwadrans temu. Słyszałam, jak rozmawiał z kimś. Przypuszczam, że to był pan. Pan jest przecież mr. Bickerson?

Detektyw skinął potakująco.

— Niech pani mówi dalej! — rzekł. — Czy wujek pani obudził się, kiedy ten człowiek skierował na niego światło?

Elza potrząsnęła głową.

— Nie, poruszył się przez sen i zaczął mówić. Potem światło latarki zgasło. Nie odważyłam się poruszyć, gdyż uważałam go za włamywacza. Potem usłyszałam wasze głosy, gdy wchodziliście na schody. To wszystko, co wiem.

— Nie widziała pani, jak nieznajomy przebił pani wuja?

Elza zaprzeczyła ruchem głowy.

— Niemożliwe było widzieć cokolwiek.

Detektyw pocierał w zdenerwowaniu podbródek.

— Szybko to poszło... muszę przyznać. Staruszek musiał zostać zabity, kiedy ja znajdowałem się w odległości zaledwie kilku stóp od niego. Ładna to będzie historia dla publiczności!

Spojrzał podejrzliwie na dziewczynę. — Oczywiście będzie mi pani potrzebna jako świadek. Pragnąłbym, aby się pani ulokowała w jakimś miejscu, gdzie będę miał do pani łatwy dostęp każdej chwili. Czy nie chciałaby pani udać się do hotelu?

— Zawiozę cię do hotelu Palace, — rzekł Ralf.

Nie życzył sobie bynajmniej, aby policja odwiedzała w ciągu najbliższych dni Herbert Mansions; wołał, póki

to możliwe, nie mieszać do sprawy nazwiska swojej żony, gdyż obawiał się ujawnienia pokrewieństwa, jakie między nimi zachodziło. Może Elza rozumiała, że nie chciał wspominać imienia swojej „bratowej“, gdyż i ona nie powiedziała o niej nic i chętnie zgodziła się na jego propozycję. Nie była dziś usposobiona odpowiednio, aby odwiedzić obcą damę.

Gdy detektyw skończył swoją indagację, zjawił się zpowrotem policjant ze swoim kolegą. Przed domem zebrała się gromadka ludzi, zwabionych owym powszechnym instynktem ciekawości wobec wszelkiej tragedji, stanowiącym cechę charakterystyczną tłumu. Bickerson zawiadomił telefonicznie Scotland Yard o morderstwie i oczekując jeszcze fotografów oraz ekspertów, badających odciski palców, dokonał tymczasem oględzin pokoju.

Gabinet uneblowany był skąpo. Wyblakły, zielony dywan, zniszczone biurko, dwa czy trzy krzesła i wielka szafa do książek stanowiły całe jego urządzenie. Na ścianach wisiało kilka starych, bezwartościowych obrazów olejnych, w rodzaju tych, jakie malowali artyści w środkowym okresie epoki wiktoriańskiej. Poza tem znajdował się w pokoju jeszcze jeden mebel, który na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie gramofonu na wysokim postumencie, zaś przy bliższem zbadaniu okazał się obficie zaopatrzoną w wódki szafka.

Na stole, w pobliżu miejsca, na którym znaleziono zwłoki, stała obok pełnej butelki konjaku druga, do połowy opróżniona, z której wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Maurycy Tarn pił tego wieczora. Z miarką w ręku ustalał detektyw wszystkie szczegóły. Krzesło, na którym siedział nieszczęśliwy, oddalone było od kominka o trzy stopy, od biurka, na którym stały butelki, o półtory, zaś od drzwi o dziewięć i pół stopy. Pewnem było, że morderca nie mógł

przemknąć się między biurkiem a ofiarą, gdyż to miejsce zajmował wtedy Bickerson. Ale między krzesłem a kominkiem było dość miejsca, i w tej właśnie okolicy słyszał detektyw szmer. Wywrócone krzesło po drugiej stronie kominka wskazywało też, jak się morderca kierował.

Nie widać było jakichkolwiek papierów, z wyjątkiem kilku niezapałonych rachunków, leżących na biurku. Detektyw przeszukał kieszenie zmarłego, ale nie mógł znaleźć niczego, co wyjaśniłoby przyczynę zabójstwa.

Ukończywszy te powierzchowne poszukiwania, inspektor zszedł na dół, minawszy drzwi, za którymi rozmawiali Elza i Hallam, i wyszedł na ulicę. Mała gromadka ludzi urosła tymczasem do rozmiarów sporego zbiegowiska, a gdy Bickerson stanął na najwyższym stopniu schodów i patrzył wzdłuż Elgin Crescent, czy nie nadjeżdża auto policyjne, ujrzał człowieka, torującego sobie drogę przez gęsty tłum i zbliżającego się do schodów. Urzędnik, stojący przy schodach, zatrzymał go, i Bickerson zauważył krótką rozmowę.

Nieznajomy był wysokim chudym mężczyzną, trzymającym się nieco pochyło. Zdaniem Bickersona wyglądał jak wojskowy. Opalone policzki zdradzały, że niedawno dopiero powrócił z gorętszego klimatu. Potem detektyw poznał przybysza i zszedł po schodach, aby z nim pomówić.

— Czy major Amery? — zapytał.

— To moje nazwisko, — odparł Amery. — Powiedziano mi, że Tarn został zamordowany.

Detektyw spojrzał na niego przelotnie. — Kto panu to powiedział? — zapytał podejrzliwie. — Czy pan jest przyjacielem mr. Tarna?

— Jestem jego pracodawcą, — zaakcentował Amery, — a raczej byłem nim. Co do drugiego pytania, to przy-

puszczam, że każdy z tych ludzi wie, iż popełniono tu morderstwo. Ja zaś wiem, że w domu tym mieszka Maurycy Tarn. Dwie tylko osoby w tym domu mogły zostać zamordowane, a można się domyślić, że zabito Tarna.

— Zechce pan wejść? — rzekł detektyw, wskazując mu drogę do drzwi wejściowych. — Majorze Amery, — ciągnął, — może mógłby pan opowiedzieć mi coś o Tarnie. Czy on miał wrogów?

— Nie wiem nic o jego życiu prywatnem.

— Czy był pan jego przyjacielem?

Amery zaprzeczył ruchem głowy. — Nie, nie byłem, — odparł chłodno, — wcale go nie lubiłem i nie ufałem mu. Czy mogę pomówić z miss Marlowe?

— Skąd pan wie, że miss Marlowe znajduje się tutaj? — Detektyw patrzył na niego z pod zmarszczonych brwi.

— Przecież tu mieszka! — rzekł Amery. — Rzeczywiście, mr. Bickerson — tak, znam pańskie nazwisko dokładnie — nie ma pan powodu do podejrzewania mnie.

Bickerson zastanowił się szybko, a gdy odezwał się znowu, głos jego brzmiał znacznie łagodniej.

— Jest rzeczą zupełnie naturalną, że patrzę podejrzliwie na każdego w obrębie trzech mil, — rzekł. — Poproszę miss Marlowe, aby zeszła, ale pod żadnym pozorem nie może jej pan zabrać. Rozumie pan to chyba, majorze Amery? Ta pani jest mi potrzebna przy dalszem śledztwie. Była w pokoju, gdy popełniono morderstwo. Opowiadam panu wszystko, co opowiedziałbym reporterowi.

Amery poważnie skinął głową, nie zdziwiony bynajmniej słowami detektywa. Czekając, patrzył ponuro na otaczających go ludzi. Wkrótce usłyszał lekkie kroki, a gdy się odwrócił, ujrzał Elżę.

— Słyszałem, że miała pani wielkie nieprzyjemności?

W głosie jego nie brzmiała najłżejsza nuta współczucia. Zauważyła to natychmiast. Brzmiało to jak obojętna uwaga o fakcie niezmiennym i Elza zastanawiała się, dlaczego major pragnął z nią mówić.

— Znajdowałem się przypadkowo w sąsiedztwie, — opowiadał Amery, — i usłyszałem o wypadku. Pomyślałem sobie, że może mogę być pani lub policji w czemś pomocny — choć muszę przyznać, że wiem o mr. Tarnie mniej, niż pani lub ktokolwiek z jego znajomych. Kto jest u pani?

— Mr. Hallam. Był on przyjacielem mr. Tarna, a jest także i moim życzliwym przyjacielem.

— Dr. Hallam? — Amery skinął głową. Potem ciągnął, lakonicznie, jak zwykle: — Potrzebuje pani pieniędzy?

Elza spojrzała nań zdumiona.

— Nie, dziękuję panu, majorze Amery, — rzekła. — To bardzo ładnie z pańskiej strony...

— Wujowi pani z pewnością należy się jeszcze trochę pieniędzy, a gdyby było trzeba, mógłbym pani dać zaliczkę na pensję, — ciągnął. — Zechce pani być jutro rano o zwykłej porze w biurze. Jutro jest dzień pocztowy i mam wiele spraw do załatwienia. Dobranoc!

Elza mogła tylko patrzeć nieruchomo, jak schodził ze schodów, niewrażliwość jego przeraziła ją. Najważniejszą rzeczą dla niego było, aby przyszła jutro punktualnie do biura. Przez chwilę ogarnęło ją uczucie wściekłości i gniewu, a oczy jej rzuciły nienawistne spojrzenie za odchodzącym majorem.

— Potwór! — syknęła i powróciła do Hallama.

— Czego on chciał?

Elza wzruszyła ramionami. — O ile zrozumiałam, chciał się upewnić, że przyjdę jutro o normalnej godzinie do biura, gdyż jest dzień pocztowy, a on ma wiele do załatwienia.

— Prawdziwy gentleman! — rzekł Ralf Hallam szczerzo. — Oczywiście pełen był współczucia?

— Nie, ani słowa życzliwego nie powiedział. To prawdziwy potwór!

Teraz, gdy ustało napięcie nerwów, bliska była wybuchnięcia płaczem i chciała być sama, daleko, daleko od owej okropnej, nakrytej chustką postaci w gabinecie — daleko od Ralfa — od wszystkich ludzi, których знаła. „Zechce pani być o zwykłej porze w biurze!“

Człowiek ten nie miał serca, nie miał uczuć ludzkich. Wątpliwe było, czy pójdzie jutro do biura, wątpliwe, czy wogóle tam powróci. Zrobiła dla niego tak wiele. Chciała mu to powiedzieć, ale nie miała odwagi opowiedzieć mu, co dla niego zrobiła. Ze względu na niego skłamała, omal nie stała się współwinną morderstwa wuja, byle jemu zaoszczędzić kłopotów. Ale on się musi o tem dowiedzieć.

Na schodach rozległy się kroki. Urzędnicy Scotland Yardu szli do gabinetu. Klamka przy drzwiach poruszyła się i wszedł Bickerson.

— Czy pani to zna? — zapytał.

Pokazał jej nowy miękki kapelusz filcowy. — Znalazłem go w kącie gabinetu, — rzekł. — Czy widziała go pani przedtem?

Elza potrząsnęła głową. — Nie, wujek mój nigdy takiego kapelusza nie nosił, — odpowiedziała.

Bickerson zajrzał do środka. Kapelusz nosił firmę znanego sklepu. Był szary z czarną wstążką. Bickerson pomyślał, że jeśli kapelusz ten kupiony został przez Chińczyka, łatwo będzie odszukać właściciela.

— Jest pani zupełnie pewna, że człowiek, który wszedł do pokoju z lampką kieszonkową, nie mówił nic?

— Nie, nie mówił nic.
— I nie widziała go pani?
— Nie, nie widziałam go.
— Nawet przy odblasku? — zapytał detektyw natarczywie. — Niepodobna oświetlić latarką kieszonkową jasnego przedmiotu, aby odbłask nie padł zpowrotem na posiadacza lampki.

Elza potrząsnęła głową.

— Nie widziałam nikogo. Widziałam tylko snop światła, a i to jedynie przez sekundę.

Dlaczego to zrobiła? Dlaczego, dlaczego, dlaczego? zapytywała siebie w zwątpieniu. Broniła mordercy — mordercy Maurycego Tarna. Kłamała, aby obronić okrutnego i nikczemnego łotra przed dłonią sprawiedliwości. Prze-
rażała ją własna głupota. Znała człowieka w pokoju — widziała go — tak jak mówił detektyw, w odblasku, kiedy snop światła padł na gazetę. A człowiekiem tym był Feng Ho!

ROZDZIAŁ XVII.

O zwykłej porze.

Elza spędziła noc bezsennie, choć leżała w wygodnym łóżku najzacieśniejszego hotelu w West End. Gdy tylko sen ogarnął jej oczy, ukazały się jej straszliwe zjawy, i Elza obudziła się, drżąc na całym ciele, pod wrażeniem pergaminowej twarzy Feng Ho, patrzącej na nią zukosa w mroku.

A Feng Ho był to Paweł Amery. Czyny ich były wspólne, wspólna odpowiedzialność. Wstała, przeszła się po pokoju, próbując uspokoić się i uporządkować myśli. Musi pójść do mr. Bickersona i powiedzieć mu prawdę. Co do tego nie miała wątpliwości. Co do Amery'ego, postanowiła nie widzieć go więcej, nie widzieć więcej owych wąskich, kręconych schodów, nie słyszeć więcej ostrego dźwięku dzwonka, gnającego ją do niego, niby zająca pod hipnotyzujące oczy węża.

W pokoju jej było małe biurczko. Zapaliła światło, usiadła i zaczęła pisać:

„Szanowny Panie Majorze Amery! Po wypadku wczorajszym nie czuję się na siłach powrócić do biura. Żałuję bardzo, jeśli nieobecność moja sprawi Panu kłopot, ale jestem przekonana, że mię Pan zrozumie“.

On tego z pewnością nie zrozumie. Będzie bardzo zły. Warga jego uniesie się w owym drwiącym uśmiechu, i prawdopodobnie zaskarży ją o zerwanie umowy.

Przeczytała list jeszcze raz, zmarszczyła brew i podarła go. Nie było powodu, dla którego miałyby zaczynać list tak poufale, nie stała z nim przecież na tak dobrej stopie, aby go tytułować po nazwisku. Zaczęła nowy list nagłówkiem „Szanowny Panie!” i siedziała nieruchomo nad papierem, aż zegar wybił czwartą, a ją ogarnęło wielkie zmęczenie. Zgasła światło i położyła się znowu.

O ósmej była ubrana i piła kawę w swoim pokoju. Znowu siedziała przy biurku, obracając pióro w rękę. Myśli jej były rozproszone. Zegar wybił kwadrans i pół do dziewiątej. Zaczęła nowy list. Czas jeszcze było wysłać go przez gońca. Ale nie dokończyła listu nigdy. O trzy na dziewiątą podarła go, włożyła kapelusz i futro i wyszła.

Pięć minut po dziewiątej miss Dame czekała na nią w jej pokoju. Miała gazetę pod pachą, a całe jej ciało drżało z podniecenia. Gdy Elza weszła, miss Dame formalnie rzuciła się na nią.

— Moja kochana! — zawołała, — to przecież straszne! W gazetach wszystko opisane jest zupełnie dokładnie. Jestem zdumiona, że nie umarła pani ze strachu. Jabym umarła!

— Moja droga, — odpowiedziała Elza, — na miłość boską, niech pani nie mówi o tem! Jeśli pani sądzi, że mam ochotę roztrząsać tę sprawę... Wogóle nie pozostaję w biurze. Przyszłam tylko, aby pomówić z majorem Amerym i odchodzę natychmiast.

— Czy pani zemdląca? — zapytała żądna sensacji panienska. — Założyłabym się, że tak!

W tej chwili nad biurkiem Elzy rozległ się nielitościwy dzwonek, przeciągle i władczo. Zanim sobie zdała sprawę z tego, co robi, zdjęła płaszcz, odwiesiła kapelusz, wzięła ołówek i książkę do stenogramów i weszła do gabinetu szefa.

Amery siedział przy biurku, trzymając obydwoma rękoma przeciwległe kanty, a poważne jego spojrzenie skierowane było na drzwi. Nie zdradził zdziwienia spojrzeniem ani słowem. Uważał widocznie za zupełnie naturalne, że gdy naciśnie dzwonek, Elza zjawi się w gabinecie.

— Przyszedłem trochę wcześniej, — wyjaśnił.

Były to jedyne ludzkie słowa, jakie wypowiedział, gdyż natychmiast zaczął dyktować długi list do jakiejś firmy indyjskiej w Delhi. Nie dał Elzie sposobności do wyjaśnienia, że przyszła tylko na chwilę i że nie zamierza pracować nadal. Nie miała nawet czasu rozgniewać się na jego pewność siebie. Dość miała roboty, aby nadążyć pisać pod dyktando. Nie dał jej możności zadawania pytań. Kiedy natrafiał na trudny wyraz hinduski, sylabizował go szybko trzy razy, tak że musiała go zrozumieć i nie mogła mieć usprawiedliwienia dla błędu.

Skończywszy z firmą w Delhi, zaczął natychmiast list do Bombayu, ale tym razem urwał wśród listu i podał jej arkusik papieru z szeregiem nic nie znaczących wyrazów, wypisanych wielkimi literami; wyrazy te wpisać miała we właściwym miejscu.

— To wszystko! — rzekł.

Elza wstała. — Majorze Amery, chciałabym... — zaczęła.

— Niech pani szybko przepisze te listy, muszą odejść pocztą syberyjską, która zamknięta będzie za godzinę.

— A niech sobie będzie zamknięta i za dwie minuty! — zawołała Elza rozdrażniona. — Muszę panu coś powiedzieć i to natychmiast.

Amery opuścił gazetę, którą wziął do ręki, z podejrzanym spokojem złożył ją starannie i położył na biurku pod przyściskiem.

— No? — zapytał.

— Wujek mój został wczoraj zabity przez włamywacza, przez człowieka, który już raz usiłował się włamać do naszego domu. Nie zameldowałam policji, że go poznałam. Widziałam go równie wyraźnie, jak pana. Nie powiedziałam tego policji...

— Dlaczego? — Uniósł brwi, głos jego brzmiał zupełnie obojętnie. — Obowiązkiem pani jest dać policji wszelkie wyjaśnienia, do jakich pani jest zdolna, — dodał.

— Nie zrobiłam tego, bo... bo prawdopodobnie dostałam obłędu, — odpowiedziała z gniewem.

Amery szybko podniósł wzrok i ujrzał jej błyszczące oczy i zarumienione policzki.

— Kto to był?

— Feng Ho! — palnęła Elza prosto z mostu. — Wie pan doskonale, że to był Feng Ho. Wie pan o tem — tak, wie pan o tem!

Amery patrzył na biurko i nie odpowiedział odrazu. Zauważyła, jak przygryzł dolną wargę, i ciągnęła:

— Nie chciałam wchodzić w drogę panu ani pańskiemu przyjacielowi. Ale był to tylko sentyment, jaki czułam dla firmy Amery. Ostatecznie muszę to przecież powiedzieć.

Znowu spojrział na nią. — Chwalebne postanowienie, — rzekł. — Ale zdaje mi się, że pani się myli. Feng Ho...

— ... był z panem! — przerwała Elza, usiłując być sztywna, co jej się nie udało.

— Gdyby był ze mną, — odparł Amery spokojnie, — sprawa mogłaby się zgadzać, gdyż w chwili wypadku znajdowałam się bardzo blisko pani. Nie, Feng Ho był o wiele, wiele mil oddalony od Londynu. Niech mi pani wierzy, że może on przedstawić niezachwiane alibi.

— Może i kapelusz? — rzekła Elza.

Amery zerwał się. — Kapelusz?

— Może nie należało panu tego mówić, — ciągnęła Elza, — ale policja znalazła jego kapelusz i widziała Chińczyka, który wychodził z domu bez kapelusza.

W obojętnych oczach majora zdawał się błysnąć płomień, ale na chwilę tylko, potem znikł.

— Tak? — rzekł spokojnie. — W takim razie Feng Ho będzie miał drugie alibi. To wszystko!

W kilka minut później natrafiła Elza w stenogramie swoim na niezrozumiały wyraz i musiała wbrew woli powrócić do Amery'ego, aby poprosić go o wyjaśnienie. Ale pokój był pusty. Major Amery odszedł i powrócił dopiero po godzinie; w trakcie tego czasu siedział na przystanku posłańców i czekał na powrót gońca, którego posłał do sklepu po szary, miękki kapelusz filcowy, rozmiar sześć i pół, z czarną wstążką.

ROZDZIAŁ XVIII.

Stanford Corporation.

Dr. Ralf Hallam miał w swoim mieszkaniu na Half Moon Street dzień dość gorączkowej pracy. Od śmierci wspólnika zdawał sobie coraz jaśniej sprawę, w jak kłopotliwe położenie, jeśli nie wręcz niebezpieczeństwo mogła go wprawić śmierć Maurycego Tarna. Gdyby miał sposobność pomówić ze zmarłym w cztery oczy, zanim dosięgnął go nóż mordercy, mógłby się dowiedzieć wielu okoliczności, które obecnie były mu niezbrane.

Czekał niecierpliwie, aż nastanie zmrok. Choć w czasie tego wyczekiwania miał trzy wizyty Bickersona i rozmowę telefoniczną z żoną, czas dłużył mu się jednak nieznośnie.

Ralf Hallam znalazł się w położeniu niepewnym wskutek otrzymanego rano listu z banku, przypominającego mu o przeciążonem koncie. W normalnych czasach list taki nie wprawiłby go w zakłopotanie, gdyż nieprawny proceder, który uprawiał wraz z Tarnem, przynosił mu znaczne zyski, które razem odkładali. Pieniądzy tych nie powierzali bankowi, lecz przechowywali w banknotach amerykańskich. Było tego około dwustu tysięcy funtów, z czego połowa należała do zmarłego i jego spadkobierców.

Myśli jego zwróciły się do Elzy Marlowe. Jeśli Tarn pieniądze te zdeponował gdzieś, będzie ona po podziale

tak samo bogata, jak on sam. Była to tylko przelotna myśl, gdyż Ralf nie miał najmniejszego zamiaru dzielić się z nią, a myśl tę, natychmiast gdy ją powziął, zdusił w sobie. Cały majątek, leżący w wielkiej zielonej szafie Stanford Corporation, należał do niego. Żaden spadkobierca Maurycego Tarna nie miał do niego prawa.

Pod pewnymi warunkami oddałby jedną lub dwie tysiączki, ale podział całego tego bezpańskiego mienia był przecież absurdem.

Gdyby jednak zmarły pozostawił jakieś szczegółowe zapiski, dotyczące jego haniebnego procederu, mogłaby powstać pretensja prawna! Ralf Hallam dbał zawsze o to, aby się zabezpieczyć, teraz należało tylko skłonić dziewczynę do nieświadomego usunięcia rzeczy Maurycego Tarna.

Elza wróciła właśnie z biura, gdy Ralf zadzwonił do niej.

— Możebyś przyszła do mnie na obiad, Elzo? Chciałbym ci opowiedzieć coś o Tarnie.

Elza rada była z tej propozycji, gdyż przeżyła dzień pełen zdenerwowania i trzeba jej było chwilowego zapomnienia.

— Przyjdę natychmiast.

— Czy rozmawiałaś z Bickersonem? — zapytał Ralf z uśmiechem.

— Czy rozmawiałam! Prawie cały czas siedział w biurze! Ralfie, mam już dość tej całej sprawy. Mam jeszcze być na rozprawie sądowej i powtórzyć tam znowu wszystkie swoje zeznania! Czy czytałeś gazety wieczorne? Jest tam moja fotografia, jak opuszczam biuro w południe!

Ralf uśmiechnął się do siebie. — Przez cały dzień miałem do czynienia z reporterami, — rzekł, — przyjdź prędko, będziemy ich razem przeklinać!

W zamyśleniu odłożył słuchawkę. To był wspaniały pomysł. Teraz nie będzie mogło być mowy, że chciał ukraść majątek Maurycego Tarna. Pójdą tam razem i zabiorą mienie, które nagromadziła jego pilność.

Poniekąd rad był, że Tarn nie żył. Ten człowiek zupełnie stracił nerwy i sam się zdradził wobec Amery'ego. Ralf uśmiechnął się z zadowoleniem. Soyoka! Tarn doszedł do punktu, gdy na każdym rogu widział Soyokę, w każdym człowieku podejrzewał przywódcę handlarzy narkotyków. Kto posłał Chińczyka do domu Maurycego Tarna? Jakie miał powody...

Nagle urwał myśl. Soyoka musiał mieć poważne powody, aby zniszczyć swego konkurenta.

Organizacja, na czele której stał Ralf Hallam i Maurycy Tarn, powołana została do życia jedynie przez przypadek. Przed pięciu laty ścigała Ralfa chmara wierzycieli, którzy grozili mu ogłoszeniem upadłości. Pewnego wieczora, gdy siedział z Tarnem w jakimś barze w West End, wszedł przypadkowo ktoś ze znajomych — ofiara straszliwego występkę — i poprosił go, aby mu dał receptę, która mu umożliwi zaspokojenie niegodnego požądania. Ralf dał mu receptę, a dalszy bieg rozmowy skłonił go do zbliżenia się z jego przyjaciółmi, od których dowiedział się, że mimo surowego zakazu prawnego istniała wpływowa organizacja, uprawiająca tak zwany „handel sacharyną“. Sacharyna była w swoim czasie ulubionym artykułem przemysłnictwa, a nowy, jeszcze niebezpieczniejszy handel był wówczas dopiero w zaczątkach.

Tarn miał wspaniałą sposobność do zrobienia tego interesu. Był niejako kierownikiem jednej z najstarszych firm importowych w City of London, gdyż właściciel przedsiębiorstwa był człowiekiem chorym i rzadko pokazywał się w biurze. Gdy Hallam zrobił mu tę propozycję, Tarn

wahał się chwilowo, ale gdy się dowiedział o olbrzymich zyskach, jakie ten „interes“ mógł przynosić, zgodził się i założono przedsiębiorstwo, posiadające agentów w całym państwie i wielką filję w Ameryce.

Ralf był nie tylko lekarzem, ale i dobrym kupcem. Z tytułem jego związane były pewne przywileje, które poniekąd ułatwiały szajce działalność. Powodzenie było początkowo niewielkie, ale błędy pouczyły Ralfa, który z czasem zreorganizował zupełnie przedsiębiorstwo, tak że „Amatorowie“ dorwali się jednak do interesu i stali się niemili dla Soyoki, pracującego już od tak dawna.

Soyoka! Może było to urojenie Tarna! — ale morderca chiński!

— Soyoka! — zawołał Ralf głośno. — Cóż dziwnego?

W pół godziny później przyszła Elza. Była wyczerpana i znużona.

— Jeżeli tak dalej pójdzie, obawiam się, że zwaruję, — rzekła. — Jutro ostatni dzień pracuję u Amery'ego.

— Powiedziałaś mu już, że odchodzisz?

Elza potrząsnęła głową. — Nie miałam sposobności, — odpowiedziała. — Nie uwierzysz, co to za człowiek — poprostu nieludzki! Jeśli pomyśleć, że Tarn pracował w firmie trzydzieści lat, możnaby przypuścić, że Amery powinien odczuwać jakiś żal. Ale tak bynajmniej nie jest. W pokoju wuja był dzisiaj nowy kierownik! Ralfie, ten człowiek jest niemożliwy! Nie dał mi dziś ani sekundy wytchnienia. „Pragnę, aby pani nie bawiła dłużej jak pół godziny na lunchu“, powiedział. Bodajbym wcale nie wychodziła, ci przekłęci reporterzy czyhali na mnie.

— Powinnaś jak najszybciej opuścić Amery'ego. Czy on wie, że chcesz odejść?

— Uważa za rzecz naturalną, że muszę być w biurze, — rzekła Elza z gniewem. — Należę do umeblowania. Nie

mówmy więcej o tym człowieku. Chciałabym zapomnieć o tym potworze — o firmie Amery — o wszystkim! O czym chciałeś ze mną mówić? Spodziewam się, że to coś mniej ponurego?

— Na to mamy czas po obiedzie, — odparł Ralf wesoło. Kiedy służący podał kawę i zamknął za sobą drzwi, Ralf przystąpił do rzeczy.

— Czyś łyślałaś kiedyś o firmie Stanford Corporation?

Elza otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. — Tak, major Amery pytał mnie, czy dla niej pracuję.

Ralf gwizdnął przeciągle. — U licha! Kiedyz to było?

Elza opowiedziała mu o dziwnym pytaniu, jakie zadał jej szef firmy Amery.

— Oczywiście odpowiedziałas mu zgodnie z prawdą, że nie znasz tego przedsiębiorstwa?

— Czy wujek znał tę firmę? — zapytała Elza zmieszana.

— Tak. Prawdę mówiąc, wujek twój miał mały interesik poboczny. Starał się, — mówił powściągliwie, jakby nie chciał zdradzić tajemnicy zmarłego, — starał się stworzyć sobie pole pracy na wypadek, gdyby jego współpraca z firmą Amery stała się niemożliwa. Nie twierdzą, aby to było zupełnie słuszne, gdyż z biegiem czasu musiałby się stać konkurentem firmy, w której pracował. Ale to nas nie obchodzi. Usiłowałem go odwieść od tego zamiaru, ale nie mogłem go przekonać i Tarn urzeczywistnił swój projekt.

— W takim razie Stanford Corporation to był on? Nieprawdaż, Ralfie?

— Jest to firma importowa, czy coś podobnego, — rzucił Hallam niedbale. — Byłem raz w biurze i mogę powiedzieć tylko jedno: Tarn opowiadał mi, że ma w kasie ogniotrwałej pewne dokumenty, o których nie życzy sobie, aby się dowiedziała opinia publiczna. Zastanawiałem się nad tem cały dzień i doszedłem do przekonania, że okazali-

byśmy dobremu staruszkowi ostatnią przysługę, usuwając te papiery, zanim policja natknie się na nie. Nie chciałbym, aby imię zmarłego zostało zbrukane, a pewne jest, że Amery przedstawiłby tę podwójną grę w jak najgorszym świetle.

Elza spojrzała na niego, marszcząc czoło.

— To zdaje się nic złego, — rzekła, — czy mógłby ktoś twierdzić na tej podstawie, że Tarn pokrzywdził Amery'ego?

— To się z pewnością okaże, — odparł Ralf. — Pytanie tylko, Elzo, czy zechcesz pójść ze mną na Threadneedle Street.

— Ale jak się dostaniesz do papierów, jeżeli są w kasie ogniotrwałej?

W odpowiedzi Ralf wyjął z kieszeni kluczyk.

— Mimo ostatnich nieporozumień byliśmy z Tarnem dobrymi przyjaciółmi. Dał mi więc klucz, gdyż byłem jedynym człowiekiem, któremu ufał, a dał mi go poto, abym na wypadek, gdyby mu się coś stało, mógł się dostać do papierów.

Threadneedle Street bywa wieczorem pusta zupełnie, a w chwili, gdy wchodzili na trzecie piętro byłego miejsca pracy Maurycego Tarna, dom, w którym mieściła się firma Stanford Corporation, znajdował się w ręku armji pomywaczek. Na drzwiach, prowadzących do wąskiego korytarza, widniał napis: „Stanford Corporation“. Hallam otworzył drzwi, a Elza zdziwiła się, że uczynił to tym samym kluczem, który miał otworzyć kasę ogniotrwałą, ale nie zapytała go o to.

Ralf zapalił światło, wpuścił ją do niezbyt wielkiego pokoju i zamknął drzwi.

— Oto sanktuarjum! — rzekł.

Było to mało imponujące biuro. Podłoga była zupełnie naga, chwiejący się stół, krzesło i piękna kasa ogniotrwałą

stanowiły całe umeblowanie. Nawet lampa elektryczna, zwisająca z sufitu, nie miała abażuru.

— Bardzo skromny pokoik — rzekł Ralf, który prawdopodobnie bywał tu już przedtem.

Postawił na stole walizeczkę, którą przyniósł z sobą, podszedł do kasy, wsadził klucz w dziurkę i przekręcił dwa razy.

Wielkie drzwi otworzyły się, i Elza ujrzała, jak Hallam zajrzał badawczo do kasy. Nagle usłyszała gwałtowne przekleństwo.

— Kasa jest pusta! — zawołał Ralf głosem ochrypłym. — Absolutnie nic w niej niema!

Elza odwróciła się nagle. Ktoś pukał w szybę drzwi wejściowych.

— Ralfie, — szepnęła, — ktoś jest przy drzwiach.

Na matowej szafie widziała cień — cień mężczyzny. Ralf Hallam był tak zaskoczony, że nie rozumiał jej słów. Chwyliła go za ramię.

— Przy drzwiach? — rzekł cicho. — To pewnie ktoś ze służby, która tu sprząta. — I zawołał głośno: — Idźcie sobie teraz!

— Ale pierw chciałbym z panem pomówić, — rozległ się głos, a Elza omal nie zemdląta.

Był to głos Pawła Amery'ego.

ROZDZIAŁ XIX.

Interwencja Amery'ego.

Elza otworzyła drzwi i cofnęła się, aby wpuścić przybyłego. Amery był w żakiecie i nosił palto na ramieniu. Najpierw spojrzął na Elzę, potem na Ralfa, a Elza ujrzała na jego wargach ów nawpół wzgardliwy, nawpół wesoły uśmiech, który budził jej nienawiść.

— Więc jednakże trafiła pani do Stanford Corporation, miss Marlowe? — rzekł. — Wie pani, że już pani uwierzyłem, gdy mi pani powiedziała, że nigdy jeszcze nie słyszała pani o tej nader przedsiębiorczej firmie?

Ralf Hallam w pierwszej chwili zmieszał się, potem przypomniał sobie ostrzeżenie Tarna. To był Soyoka!

— Przyprowadziłem tu miss Marlowe, aby zabrać pieniądze, które były własnością jej wuja, — wyjaśnił, patrząc majorowi prosto w oczy. — Ale zdaje się, że przyszedłem trochę za późno, gdyż najwidoczniej ktoś inny był już tu przede mną.

Intruz spojrzął swobodnie najpierw na otwartą kasę, potem na dziewczynę. Twarz jej zdradzała szczere zdumienie.

— Pieniądze? — zapytała. — Ralfie, nie mówiłeś mi nic o pieniądzech.

Hallam zmieszał się na chwilę. — Leżały tu zarówno pieniądze, jak papiery, — rzekł szybko. — Ale najważniejsza, że to wszystko znikło. Może major Amery będzie nam mógł zakomunikować, kto to zabrał?

— Przypuszczam, że — Tarn, — brzmiała chłodna odpowiedź. — Któż inny miał do tego prawo?

Spojrzał na dziewczynę, która zarumieniła się pod jego badawczym spojrzeniem.

— Na pani miejscu, miss Marlowe, trzymałbym się zdala od tej sprawy, — dodał. — Istnieją pewne zajęcia, które nie są odpowiednie dla młodych panienek.

Ten ton opiekuński drażnił Elzę. Drżała ze wściekłości, a gdyby spojrzenia mogły zabijać, Amery nie stałby już przed nią.

— Zdaje się, że pan wie wiele o Stanford Corporation, — ciągnął Ralf, z wielką trudnością hamując gniew. — Nie przypuszczam, aby Soyoka nie zniżył się do małego włamania.

— Niech pan przypuszcza dalej! — rzekł Amery, odwracając się w stronę Elzy. — Jestem zdania, miss Marlowe, że najlepiej będzie dla pani powrócić teraz do hotelu.

Elza nie panowała już nad sobą. — Panie majorze Amery, pański rozkazujący ton jest nie do zniesienia! Nie ma pan najmniejszego prawa dyktować mi, co mam robić, a czego zaniechać. I proszę, niech mnie pan nie nazywa „młodą panienką“, gdyż ja tego nie ścierpię. Jest to biuro mego wujka, choć do dzisiejszego wieczora nie wiedziałam o tem; będę bardzo rada, jeśli je pan opuści.

Amery wzruszył ramionami i wyszedł na korytarz. Ralf Hallam wybiegł za nim, zamykając za sobą drzwi.

— Niech pan posłucha, Amery, załatwimy tę sprawę natychmiast! — rzekł. — Przyznaję, że w Anglii niema miejsca dla nas obu, i uważam za konieczne podkreślić, że jeśli jedna z organizacyj rozbije się, to nie będzie to nasza! W tej kasie były pieniądze — dużo pieniędzy. Przed kilku dniami jeszcze tam były, dziś znikły. Pan wie o Stanford Corporation — i wiedział pan o niej dawno. Oznacza to, że mógł pan tu wchodzić i wychodzić dowoli.

— Innemi słowy, że ukradłem wasze pieniądze? — Szare oczy patrzyły na Ralfa wesoło. — Dam panu radę, tę samą, którą dałem pańskiemu wspólnikowi. Niech się pan strzeże Soyoki! On jest niebezpieczny.

Z temi słowami Amery oddalił się szybko.

Ralf powrócił wściekły do dziewczyny.

— Czy on odszedł? — zapytała Elza.

Hallam chciał odpowiedzieć, ale wściekłość dławiała go i nie mógł mówić.

— Więc to jest Amery? — zawołał wreszcie, oddychając głęboko. — Już ja sobie tego łajdaka zapamiętam.

— Ralfie, czy tu były pieniądze? Nie mówiłeś mi o tem nic!

— Oczywiście, że były, — odpowiedział Hallam niecierpliwie. — Chciałem ci zrobić niespodziankę. Moc pieniędzy było w tej kasie. Wiem, że tu były, bo Tarn opowiadał mi o tem dopiero przed kilku dniami.

Przeszukał jeszcze raz kasę i znalazł w niej tylko kilka papierów. Nagle jednak wydał okrzyk.

— Co się stało?

— Nic! — odpowiedział Ralf, usiłując ukryć zapisaną ołówkiem kartkę, którą znalazł w jednej z tylnych szuflad. — Zdawało mi się, że coś znalazłem.

Śpieszno mu było widocznie opuścić biuro, gdyż wypchnął ją niemal na korytarz, zanim jeszcze zamknął drzwi.

— Właściwie nie ma to celu, — mruknął, — bo jeżeli ten człowiek jest tem, za co go uważam, żaden zamek go nie powstrzyma.

— Mówisz o majorze Amery? — zapytała Elza zdumiona. — Co rozumiałeś przez to, Ralfie, że dla was obu niema miejsca w Anglii, i o zabraniu pieniędzy? Ralfie, nie sądzisz chyba, że on je zabrał?

W zamięcie, w jakim się Elza znajdowała, przypuszczała, że pieniądze te należały do firmy Amery, że może były skradzione, i że zainteresowanie „Potwora“ było tylko zainteresowaniem ograbionego, który chce wiedzieć, co się stało z łupem. Czyżby Maurycy Tarn popełnił wielkie sprzeniewierzenie? Serce jej zabiło mocniej na tę myśl. Jeśli to prawda, podejrzenia jej zyskiwały na sile; dziwne zachowanie Maurycego Tarna ukazało się jej nagle w innym świetle.

— Czy te pieniądze były — skradzione? — zapytała niepewnym głosem. — Czy mr. Tarn...?

— Na miłość boską, nie pytaj dalej!

Ralf chciał już znaleźć się jak najrychlej sam, aby móc odczytać znalezione kartkę. Był tak zdenerwowany, że nie mógł nawet nosić maski grzeczności.

W drodze powrotnej do hotelu Elza nie przemówiła ani słowa. Rada była, gdy Ralf pożegnał się przy wejściu i odszedł szybko. I ona potrzebowała samotności, aby skupić myśli.

Hallam przybył na Half Moon Street i nie zauważył nawet, jak blisko swego domu minął dwóch mężczyzn.

Wsadzał już klucz do zamka, gdy nagle przecucie skłoniło go do odwrócenia się. Uderzenie, skierowane w jego głowę, chybiło o włos. Ralf powalił jednego z napastników, ale drugi wymknął mu się i tym razem Hallam ujrzał błysk stali i uczył, gdzie trafiło ostrze.

— To od Soyoki! — syknął nieznajomy, uderzając.

Hallam kopnął go silnie, a ta krótka chwila przewagi wystarczyła mu, aby wyciągnąć rewolwer. Ale napastnicy pomknęli chyżo wdół ulicy ku Piccadilly. Przez sekundę trzymał rewolwer wzniesiony, ale widząc, że strzał spowodowałby tylko zbiegowisko, schował go do kieszeni.

Ralf Hallam wszedł blady i drżący do swego gabinetu. Soyoka wykonał drugie uderzenie!

ROZDZIAŁ XX.

Gadatliwość Tupperwilla.

Wczesnym rankiem następnego dnia Ralf Hallam przybył do gmachu Stebbing's Banku na Old Broad Street. Po zwykłych tajemniczych rozmowach i badaniach, które poprzedzały zazwyczaj wizytę u głównego dyrektora i właściciela, wprowadzono go wreszcie do zbytluźno umeblowanego gabinetu mr. Tupperwilla.

Mr. Tupperwill poprawił kołnierzyk, uśmiechnął się do Ralfa życzliwie i wyciągnął do niego wielką mięsistą dłoń. Wskazał mu przytem piękny fotel w stylu Ludwika XV, przeznaczony dla wyjątkowo cenionych gości.

— Otrzymałem pański list, mr. Tupperwill, i uważałem, że najlepiej będzie, jeśli przyjdę sam. W najbliższych dniach spodziewam się nieco pieniędzy — dość wielkiej sumy — i . . . Pofolguje pan chyba do tego czasu memu przeciążonemu rachunkowi?

Mr. Tupperwill wydał wargi, jakby chciał gwizdnąć, ale widocznie odmyślił się.

— Oczywiście może pan dowoli przeciążać swoje konto, mój drogi panie, ale . . .

— Więc jednak jest jakieś „ale“? — zapytał Ralf podniecony.

— Małeńkie „ale“, — odpowiedział bankier spokojnie. — Przedsięwzięcie nasze oparte jest na zasadach konser-

watywnych — pochodzi to od „conservare“, zachowywać — w danym wypadku — zachowywać równowagę, to też gdy szala przechyla się z jednej strony pod wpływem przeciążonego konta, chcielibyśmy mieć z drugiej strony jako przeciwwagę nieco pokrycia. Ale w pańskim wypadku, drogi mr. Hallam, pozostawimy szalę bez przeciwwagi. Ile panu potrzeba?

Hallam wymienił mu swoje żądanie, a właściciel Stebbing's Banku odnotował je w bloku.

— Ta sprawa jest załatwiona, — rzekł. — A teraz chciałbym pana o coś zapytać. Właściwie chciałem już przedwczoraj, po naszym spotkaniu, zatelefonować do pana, ale doszedłem do wniosku, że niema powodu do pośpiechu. Kto to jest Amery?

— Amery? Ma pan przecież na myśli Pawła Amery'ego? Myślałem, że go pan zna, — rzekł Hallam.

Mr. Tupperwill skinął głową. — Znam go i znam także jego wścibskiego pomocnika. Hallam, jeśli panu powiem, że on ma u nas konto, i to konto dość poważne, wykroczę przeciw zasadom naszego banku. Został nam dobrze polecony, i — Tupperwill zawahał się — nie wiem sam, co z nim począć. Jestem skłonny zamknąć mu konto.

— Dlaczego? — zapytał Ralf zaskoczony.

Mr. Tupperwill zdawał się walczyć z sobą. — Wobec klienteli, jaką nasz bank posiada, — ciągnął powoli, — nie możemy sobie pozwolić na to, by nas, w najluźniejszy nawet sposób, wciągano do podejrzanych przedsięwzięć. Dyrektorowie moi nigdyby mi nie wybaczyli, gdybym dopuścił do posiłkowania się bankiem dla — celów, nie leżących w granicach normalnych zwyczajów handlowych.

Ralf Hallam musiał pomyśleć o niezliczonych wypadkach, gdy on sam używał banku do swoich dziwnych celów, i roześmiał się w duchu.

— Dlaczego podejrzewa pan Amery'ego? — zapytał.

— Nie podejrzewam go, — odparł bankier z wyrzutem.

— O podejrzaniu niema mowy. Chcę tylko zaznaczyć, że Stebbing's Bank jest właściwie niejako bankiem dla osób prywatnych. W księgach naszych nie figurują żadne firmy, a od pięćdziesięciu lat nie mieliśmy wywiadów co do naszych klientów.

Rozejrzał się dokoła, jakgdyby jakiś nikczemny podsłuchiawcz mógł się zakraść do tego cnotliwego pokoju, i ciągnął głosem stłumionym:

— Hallam, uważam pana za przyjaciela, inaczej nie mówiłbym panu tego. Wczoraj zdeponował u mnie wielką sumę. Nie mogę wymienić jej wysokości, ale było to...

Ralf osłupiał. — Dwieście tysięcy funtów? — zapytał ciekawie. — W amerykańskich banknotach?

Mr. Tupperwill spojrział na niego zdumiony. — Skąd pan to wie?

Gość zaczerpnął głęboko oddechu. — Czy tyle wynosi ta suma?

— Prawie, i jak pan zgadł, w walucie amerykańskiej. Jeśli powiadam, że zdeponował te pieniądze, nie jest to ścisłe, gdyż złożył je do safe'u. Nie powiedziałbym tego własnej żonie, gdybym był w tem szczęśliwem położeniu, że posiadałbym żonę, — ale panu powiem, że nie lubimy tych tak zwanych „sekretnych depozytów“. Mamy do rozporządzenia środki — nie wymienię ich bliżej — aby zbadać ich zawartość. Wiele jest rzeczy w bankach, o których nie ma pan pojęcia, ale pański opis tych pieniędzy i wysokości sumy jest dość dokładny — dość dokładny. Jak pan to odgadł?

Ralf nie miał zamiaru wyjaśniać mu tego.

Bankier wstał i z rękoma skrzyżowanymi na plecach zaczął się przechadzać po pokoju. Przez dłuższy czas nie mówił nic.

— Dziwi pana zapewne, że spytałem, czy pan zna Amery'ego. Okażę panu jednak większe jeszcze zaufanie, będzie pan miał losy banku w rękę. Sprawa ta od chwili jej odkrycia napawała mię troską i nie mogłem się zdecydować, czy mam z panem mówić o niej. W safe'ie prócz pieniędzy było coś jeszcze, wielka żółta zapieczętowana koperta z napisem: „Dowody przeciw Hallamowi, które w razie potrzeby mogą być zużytkowane przez S.“. Tak to brzmiało — „Dowody przeciw Hallamowi“ — a kto to jest „S“? Nie jestem człowiekiem ciekawym, ale dałbym wiele, wiele pieniędzy, gdybym mógł złamać te pieczęcie!

Ralf stał się nieco bledszy.

— Dzisiaj rano był w banku i zabrał tę kopertę. Dlaczego, nie wiem. Nadmieniał, że ją zabiera, co było zupełnie zbyteczne. „Lepiej będzie przechowana w moim gabinecie“, rzekł. Ale skąd pochodzą te pieniądze? Nie podoba mi się to — zupełnie mi się to nie podoba. Lubię, kiedy pieniądze posiadają etykietę. U mnie trzeba móc powiedzieć, skąd one pochodzą, jak zostały zarobione. Może to brzmi dziwnie. Dwieście tysięcy funtów, to milion dolarów, prawie do centa! Dlaczego nie wpłaca tego miliona na swoje konto? Dlaczego go zamyka bezprocentowo? To strata pięćdziesięciu tysięcy dolarów czyli dziesięciu tysięcy funtów rocznych procentów! To zbrodnia!

Groził tłustym palcem, jakby Ralf był temu winien.

— To nie jest postępowanie kupieckie. A ja nie lubię klientów, którzy nie są dobrymi kupcami. Hallam, musi mi pan powiedzieć, skąd te pieniądze pochodzą! Pan to wie napewno, bo wymienił pan sumę i walutę. Niech pan mówi!

Tym razem Ralfowi nie przyszedł na myśl żaden wybieg. Dał jakieś niezręczne wyjaśnienie, które nie zadowolniło bankiera.

Nagle jednak mr. Tupperwill zmienił temat.

— Chciałbym pomówić kiedyś z pańskim przyjacielem, mr. Tarnem, — zaczął, a Ralf spojrzął na niego zdumiony.

— Więc pan nic nie wie? Nic pan nie czytał?

— Co miałem czytać? Czytałem dziś tylko gazetę bankową. Czy mu się coś stało?

— Przedwczoraj wieczór został zamordowany — w mojej obecności, — rzekł Ralf.

Tupperwill cofnął się o krok.

— Na miłość boską! Czy pan żartuje?

— Nie, przedwczoraj wieczór Tarn został zamordowany, i to, jak panu powiedziałem, w mojej obecności. Dziwne, że pan nic o tem nie słyszał. Wszystkie gazety pisały o tym wypadku.

Chłopięca twarz mr. Tupperwilla nabrała wyrazu komicznego.

— Gdybym o tem wiedział, nie napisałbym panu tego nieszczęsnego listu. — Potrząsnął głową z ubolewaniem. — Ale nie czytuję gazet z wyjątkiem moich pism fachowych, zaś służący mój, który zawsze komunikuje mi wiadomości bieżące, wyjechał, aby odwiedzić chorą matkę. To straszne, straszne! Zechce mi pan opowiedzieć, jak się to stało?

Ralf opowiedział dość dokładnie przebieg wypadku, a bankier słuchał do końca, nie przerywając mu.

— Czy jest jakieś podejrzenie, kto był tym nieznanym?

— Dość dokładne. Ale niestety, człowiek, który jest podejrzany, i który, jak sądzę z pewnością, jest istotnie mordercą, wykazał swoje alibi. Zaareztowano go wczoraj wieczorem, gdy powracał z hrabstw centralnych. I niestety nosił on kapelusz, który policja uważała za zgubiony przez niego. Alibi jego było niezachwiane.

Ralf opowiedział w dalszym ciągu, jak stropiony Bicker-son zatelefonował do policji w Birmingham i dowiedział się, że w porze, gdy popełniono morderstwo, Feng Ho, zgodnie z przepisami policyjnymi, dotyczącymi cudzoziemców, zgłosił się w tamtejszym urzędzie meldunkowym.

— Jeden Chińczyk podobny jest do drugiego, — rzekł, powtarzając nieświadomie słowa Pawła Amery'ego, — jestem pewien, że alibi zostało bezsprzecznie sfalszowane, a osoba, która zgłosiła się w policji birminghamskiej, nie była zupełnie panem Feng Ho.

— Feng Ho! Czyżby ów Feng Ho majora Amery'ego? — zapytał bankier zdumiony.

— Zna go pan? Tak, przypominam sobie, że mi pan to powiedział.

Mr. Tupperwill był teraz w stadjum najwyższego podniecenia. — Znam go, był tu kiedyś z majorem Amery'm, a raz wypłacił mi też wystawiony na jego zlecenie czek Amery'ego. Feng Ho! To bardzo niepokojąca niespodzianka. A cóż się stało z biedną panią?

— Przypuszczam, że jest zupełnie zabezpieczona, — rzekł Ralf, usiłując nie poruszać więcej tego tematu.

Mr. Tupperwill był najwidoczniej bardzo przejęty wiadomością o śmierci Tarna.

— Teraz sobie przypominam, że widziałem jakiś plakat z nadzwyczajnym dodatkiem. To musiało być o tem morderstwie.

Potem zbudził się w nim znowu kupiec.

— Co do pańskiego przeciążonego konta, drogi Hallam, może pan z niego robić użytek, ile tylko pan zechce. Nie, nie, niech pan nie dziękuje. Zgodnie z życzeniem moich dyrektorów posłałem panu upomnienie i spełniłem w ten sposób swój obowiązek. Rozprawa sądowa...

— Odbędzie się dzisiaj, — przerwał Hallam. — Właśnie tam jadę.

Bankier zamyślił się znowu.

— Czy miałby pan coś przeciwko temu, abym go doprowadził? Rozprawy takie są zawsze bardzo deprymujące... ale mam powód, żeby pójść.

Ralf zastanowił się, jaki to mógł być powód, ale ulga, jaką sprawiła mu świadomość, że przebrnął ciężki kryzys finansowy, osłabiona coprawda poważnie przez tę drugą nowinę, skłoniła go do zgodzenia się na towarzystwo otyłego przyjaciela. W chwili, gdy wchodzili do sali sądowej, wywołano właśnie nazwisko Ralfa Hallama.

Elzę zobaczył dopiero, gdy stanął przy stole świadków, a z twarzy jej poznał, że złożyła już zeznanie. Rozprawa trwała do piątej i została odroczone. Przez ten czas Ralf nie miał okazji zbliżenia się do Elzy i dopiero po wyjściu z gmachu sądowego mógł z nią mówić.

— Zachowałem się trochę głupio wczoraj wieczorem, Elzo, wybacz mi, nerwy moje były zupełnie do niczego.

— Moje także, — odparła Elza i w tej chwili spostrzegła mr. Tupperwilla, który szedł nieco z tyłu.

— To mój przyjaciel, mr. Teofil Tupperwill, — przedstawił Ralf. — Miss Marlowe.

Bankier uściśnął dłoń dziewczyny z wyrazem melancholijnego współczucia.

— Znałem pani wuja, — rzekł cicho. — Nie dodam nic więcej. „Troski zmieniają kolejność pór roku i dnia. Noc staje się porankiem, południe nocą“ — Shakespeare.

Wypowiedziawszy tę głęboką sentencję, mr. Tupperwill pożegnał się.

— Kto to jest? — zapytała Elza.

— Tupperwill: właściciel Stebbing's Banku, arcymyły człowiek, — odpowiedział Ralf. Nie przypuszczał nigdy,

że bankier posiadał tyle uczucia. — Będziesz dzisiaj wieczorem u Lu?

Elza potrząsnęła głową. — Nie, nie mogę dziś wieczorem wyjść, muszę jeszcze powrócić do biura.

Ralf spojrział na nią zdumiony. — Nie chcesz chyba przez to powiedzieć, że Amery czeka jeszcze na ciebie?

— Nietylko czeka, ale żąda, abym przyszła, — odpowiedziała Elza, zagryzając wargi. — Opuszczam go w sobotę i pozostawiłam mu zawiadomienie. On się ze mną zupełnie nie liczy. Ale proszę cię, nie mów o nim więcej! Możesz mię odprowadzić kawałek?

— Z chęcią, — odpowiedział Ralf niechętnie.

Niechęć jego była udana. Po człowieku Soyoki nie spodziewał się żadnych względów ani dla mężczyzny, ani dla kobiety, czy dziecka. Z obrazem Amery'ego, jaki sobie stworzył, nie zgadzałyby się zupełnie, gdyby okazał chociaż odrobinę uczuć ludzkich.

Elza przypuszczała, że Ralf był przez cały czas jazdy do City bardzo roztargniony, i przypisywała to reakcji po rozprawie sądowej. W istocie jednak myśli Ralfa Hallama zajęte były nową wiadomością, mianowicie, że w gabinecie Amery'ego znajdowała się zapieczętowana koperta z fatalnym napisem. Myśli jego pomknęły do listu, który Tarn otrzymał w dzień śmierci. Propozycja była jasna, o ile Soyoka wiedział, że może zagarnąć podwójną sumę, a może miał już banknoty w swojej kasie.

Na życzenie Elzy opuścił ją na końcu Wood Street, a choć Elza była zła na swego szefa, pobiegła szybko do biura i spotkawszy go, usprawiedliwiła się, że przyszła tak późno.

Amery stał w swoim gabinecie przed kominkiem. Ręce skrzyżowane miał na grzbiecie i gniewnie patrzył w podłogę. Na biurku zobaczyła swój list, a moc, jaką Amery miał nad nią była tak wielka, że ogarnął ją niepokój na myśl,

jak list jej został przyjęty. Amery zaczął natychmiast mówić o tej sprawie.

— Więc chce nas pani opuścić, miss Marlowe? Zaoszczędziła mi pani trudu wymówienia jej posady.

Słowa te rozpędziły trwogę, jaką Elza czuła.

— Mógłby pan być przynajmniej o tyle uprzejmy, aby mi zaoszczędzić tej obrazy, — rzekła wzburzona. — Jedynym powodem, dla którego opuszczam firmę, jest, że żadna dziewczyna, posiadająca choć trochę ambicji, nie może u pana pracować, a pańskie traktowanie kobiet, o ile je znam z własnego doświadczenia, jest tak obrażające i niegrzeczne, iż uważałabym za niegodne nadal czekać ciągle na pańskie skinienie.

Podczas tych słów Amery patrzył na nią nieustannie, a Elzie zdawało się, iż w spojrzeniu jego dostrzega błysk zdumienia.

— Naprawdę? — odpowiedział tylko. Potem ciągnął: — Powiedziała mi pani, że panie nie wie nic o Stanford Corporation?

— I nic nie wiedziałam, — odpowiedziała Elza z gniewem. — Dwa razy zarzucił mi pan kłamstwo, spodziewam się, że to się więcej nie powtórzy.

Amery był zdziwiony jej gwałtownością, ale zanim mógł się odezwać, Elza ciągnęła:

— Poszłam do biura mr. Tarna w przekonaniu, że Stanford Corporation istniała tylko w pańskiej wyobraźni. Nie miałam pojęcia o przedsiębiorstwie, które wujek mój posiadał, ale z zachowania pańskiego muszę wnosić, że była to z jego strony rzecz niewłaściwa. Podobnie nie wiem, w jaki sposób doszedł do swoich pieniędzy, ani ile ich było. Nie miałam wogóle pojęcia, że tam były pieniądze. Oczywiście musiały to być pańskie pieniądze. Wujek mój ukradł je — czy to jest ta tajemnica?

Amery zaczął znowu obserwować niebieski dywan.

— Żałuję bardzo, — rzekł, choć w głosie jego nie było ani cienia ubolewania. — Musiałem się pomylić. Oczywiście nie wiedziała pani nic o Stanford Corporation. Z pewnością nie opowiadał pani o tem.

— Mr. Tarn nigdy nie rozmawiał ze mną o swoich interesach.

— Mam na myśli nie mr. Tarna, — odparł Amery w zamyśleniu. — Mam na myśli pani przyjaciela, arcy-miłego doktora Hallama, który, o ile zauważyłem, zbliża się do okresu wielkich wydarzeń.

Nastąpiła przykra pauza, podczas której Elzę ogarniać zaczęły poprzednie obawy. Potem Amery rzekł:

— Żałuję bardzo. Cofam oczywiście swoje słowa o wymówieniu posady, choć miałem taki zamiar. Jeśli pani chce pozostać na swoim stanowisku, nie mam nic przeciwko temu.

— Nie życzę sobie tego bynajmniej, — odpowiedziała Elza krótko, usiadła przy biurku i otworzyła książkę steno-gramową.

Amery ciągle jeszcze nie poruszał się.

— Tęgi człowiek, — rzekł zupełnie bez związku, — i miłośnik rzeczy pięknych. Przechwałki o powściągliwości w jedzeniu są częścią jego urojenia. O jedenastej biszkopty z mlekiem, ale o drugiej bardzo wystawny lunch.

Elza spojrzała na niego zdumiona.

— Mr. Tupperwill, — wyjaśnił Amery. — Byłem na rozprawie sądowej. Trudnoby przypuścić, że Hallam ma takiego człowieka za przyjaciela. Ale Hallam ma niespodziewane powaby.

Czy chciał być sarkastyczny? Elza udała, że nie do-słyszała tej uwagi o Hallamie i czekała cierpliwie z ołów-kiem w ręku.

— Feng Ho uważa, że pani jest czarująca. — Uwaga ta przełamała jej spokój i Elza zarumieniła się.

— Nie odwzajemniam tego poglądu, — odpowiedziała ostro. — Panie majorze Amery, poglądy mr. Feng Ho na moją osobę nie interesują mnie wcale. Czy chce mi pan dyktować listy? Bo chciałabym jak najszybciej pójść do domu, głowa mnie boli.

Zauważyła, jak wargi jego drgały.

— Sądziła pani, że jestem potworem, bo trzymałem panią w kieracie? Powiem pani coś, moja droga. Nie dałem pani czasu do rozmyślań. Wynajdywałem dla pani robotę, aby odciągnąć myśl pani od pewnego ciemnego pokoju na Elgin Crescent, gdzie Tarn otrzymał to, co mu się dawno należało. Ostrzeżono go.

— Pan go ostrzegł? — zapytała Elza spokojnie.

— Ja i inni.

Potem otrząsnął się nagle ze swych myśli, które nie były widocznie przyjemne i bez wstępu przystąpił do dyktanda listu, który zapowiadał się na bardzo długi. Ale tak nie było. Wśród listu Amery przerwał tak samo nagle, jak zaczął dyktować.

— Sądzę, że to wszystko na dzisiaj, — rzekł. — Może go pani przepisać jutro rano.

Wyszedł z nią do lokalu biurowego, palto miał na ramieniu, kapelusz i laskę trzymał w ręku.

— Mieszka pani w hotelu Palace? Możliwe, że będę panią musiał poprosić o przybycie do mnie wieczorem.

— Żałuję bardzo, że nie będę mogła spełnić pańskiego życzenia, ale umówiłam się na dzisiejszy wieczór, — odparła Elza chłodno.

W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła Jessie Dame. Na widok odpychającej twarzy zmieszana się bardzo i chciała się cofnąć.

— Miss Dame! Możliwe, że będę miał dzisiaj wieczorem trochę roboty. W tym wypadku pragnąłbym, aby pani przysłała do mnie z miss Marlowe — 304, Brook Street. Zechce pani skomunikować się z nią telefonicznie.

Elza chciała się odezwać, ale zanim zdążyła otworzyć usta, Amery znikł, nie zwracając na nią najmniejszej uwagi.

— Nie pójdę — pod żadnym warunkiem! Powiedziałam mu, że się umówiłam, a do jego domu nie pójdę stanowczo.

Miss Dame spojrzała na nią współczująco, ale nie mogła pohamować ciekawości.

— A ja chciałabym bardzo zobaczyć jego dom, — rzekła.

— Założyłabym się, że są tam wszędzie ukryte drzwi i otwory w ścianach. Widziała pani film „Kupiona za złoto”? Amery przypomina mi tego męża. Więził on własną żonę w piwnicy i podawał się za kawalera. Kiedy potem prowadził drugą dziewczynę do ołtarza, ukazała się przed drzwiami zakrystji mocno zawoalowana postać i — myślała jeszcze ciągle, że jest w piwnicy — właśnie w chwili, gdy pastor wymawiał słowa: „Czy chcesz wziąć tę dziewicę za żonę?”, ściągnęła zasłonę — i to była ona!

— Kto? — zapytała Elza zdziwiona i mimo podniecenia i gniewu zaciękawiona.

— Żona — prawdziwa żona! — zawołała miss Dame triumfalnie. — Ta, która była w piwnicy. Uciekła stamtąd, bo służący, który okradł swego pana, zostawił drzwi otwarte.

— Ale ja nie pójdę do jego domu, — oznajmiła Elza.

— Może ma hinduską służbę, — ciągnęła żadna sensacji panienka. — Ciemne, bezgłośne postaci w osłepiająco białych szatach. Kiedy kłaśnie w ręce, zjawiają się jak upiory przez tajemne drzwi. I wszędzie bożki. I kadzidło — kadzidło pochodzi z Indyj, miss Marlowe? Chciałabym

zobaczyć jego dom. — Potrząsnęła smutno głową. — Na pani miejscu poszłabym tam, miss Marlowe!

— Ani mi się śni! — rzekła Elza, hałaśliwie zamykając maszynę do pisania.

— Zostałabym z panią w tym samym pokoju, — nawiała ją miss Dame. — W takich domach są zawsze pułapki. Czy przypomina pani sobie „Oblubienicę maharadży“? Grała wtedy Ethel Exquisite. To chyba nie jest jej prawdziwe nazwisko? Jaki jest numer pani telefonu?

— Nie potrzebuje pani dzwonić do mnie, bo gdyby mnie zawezwał, i tak nie pójdę.

— 304, Brook Street, — rzekła miss Dame w rozmowieniu. — Dom tajemnic!

Elza musiała się roześmiać.

— Niech pani nie będzie naiwna. To zupełnie zwyczajny dom, jak wszystkie w West End. Przechodziłam tamtędy często, a raz za życia starego Amery'ego byłam tam nawet.

— On pewnie wszystko pozmieniał według wschodniego smaku, — rzekła miss Dame, nie chcąc się wyrzec obrazu, który sobie stworzyła. — Wszędzie leżeć będą dywany, niebywale puszyste, tapczany, kadzidła i muzyka. Znam takich ludzi. Chciałabym to widzieć.

Elza zauważyła jej błyszczące spojrzenie i musiała się uśmiechnąć. — Moznaby przypuścić, że się pani z nim zmówiła. Może mnie pani odprowadzić do hotelu, żeby mnie przypadkiem nie porwano na ulicach Londynu i nie uprowadzono do tajemnego haremu Amery'ego.

— I to się już zdarzało, — rzekła miss Dame wesoło.

Wieczór ten nie był dla Elzy miły. Zaledwie przyszła do hotelu, miss Dame zapytała ją przez telefon, czy już zmieniła zdanie. W pół godziny później usłyszała znowu jej głos.

— Niech pani nie będzie głupia, Jessie! — rzekła Elza niechętnie, gdy żadna sensacji panienska zatelefonowała po raz piąty. — Nie telefonował do mnie jeszcze, a jeśli zatelefonuje, nie pójdę.

— Do pół do jedenastej będę dzwoniła co pół godziny, — odparła miss Dame stanowczo. — Może pani na mnie polegać, miss Marlowe!

Elza bąknęła w odpowiedzi kilka niewyraźnych słów i odłożyła słuchawkę.

Było kilka minut przed jedenastą, gdy dzwonek telefonu rozległ się ponownie. Elza przypuszczała, że to znowu miss Dame i zastanawiała się, czy odpowiedzieć. Kiedy jednak podniosła słuchawkę, usłyszała głos majora Amery'ego.

— Czy miss Marlowe? Tu major Amery. Proszę bardzo, niech pani wsiądzie w auto i przyjedzie do mnie! Posłałem gospodynią po miss Dame.

— Ależ, majorze Amery, kładę się właśnie spać.

Elza usłyszała lekki trzask w aparacie i słuchawkę odwieszono.

Teraz miała sposobność dowiedzenia swej niezależności. Była zawsze słabą istotą, zasługującą na wzgardę każdej kobiety. Major nie będzie jej jednak rozkazywał, jakby była jego niewolnicą. Dowiedzie mu, że nie może narzucać jej swojej woli. Niezdecydowanie siedziała na brzegu łóżka i patrzyła na słuchawkę aparatu. Kiedy po kwadransie dzwonek rozległ się ponownie, Elza zerwała się.

— Czy miss Marlowe? — Głos brzmiał niecierpliwie, nawet gniewnie. — Czekam na panią. Miss Dame już przyjechała.

Elza westchnęła. — Przyjeżdżam, — rzekła.

Wmawiała sobie, że jedzie dlatego tylko, aby nie pozostawiać skłonnej do urojeń Jessie Dame samej w owym

„domu tajemnic“, a z drugiej strony, aby nie pozbawiać chudej panienki okazji do poszukiwania sensacyj. W głębi duszy musiała jednak przyznać wobec siebie, że poddaje się woli „Potwora“, i dlatego nienawidziła go jeszcze bardziej.

Zupełnie powszedni z wyglądu sługa otworzył jej drzwi, a stara kobieta w średnim wieku, o pocziwym wyglądzie, wprowadziła ją do salonu, gdzie zastała Jessie Dame. Siedziała ona na rogu krzesła, wargi miała mocno zaciśnięte, a szeroko rozwarte jej oczy patrzyły z wyrzutem na europejskie urządzenie pokoju.

Salon był bardzo wielki i umeblowany staromodnie. Kryształowy żyrandol przerobiony był na elektryczność, a krzesła zdradzały stary styl Chippendale. Dywan z zawyłym deseniem i małemi amorkami pochodził niechybnie z okresu wiktoriańskiego. Elza rozumiała doskonale rozczarowanie miss Dame.

„Potwora“ nie było widać. Znajdowały się same w pokoju.

— Widziała go pani? — zapytała miss Dame cicho.

— Nie.

— Wszystko tu wygląda niby zwyczajnie, — rzekła miss Dame rozczarowana, — ale sługa chiński jest. Trzeba się mieć na baczności.

Położyła palec na ustach, gdy drzwi otworzyły się i wszedł Amery. Nosił frak, a sądząc z fałd na czole, musiał być w złym humorze.

— Nie spodziewałem się, że będę musiał panie zawezwać, — oświadczył sucho, — ale stało się coś, co nadało memu żartowi odmienny kierunek.

Jego żartowi! Elza zdumiała się. Czy on sobie w ten sposób wyobrażał żart? Widocznie tak, gdyż ciągnął:

— Spodziewam się, że panie obie zachowają tę sprawę w zupełnej tajemnicy. Usłyszą panie dzisiaj rzeczy, których niektórzy ludzie radziby się byli dowiedzieć i za które gotowiby zapłacić znaczną sumę.

Klasnął dwa razy w ręce, a oczy miss Dame zaiskrzyły się. Na drugim końcu salonu otworzyły się drzwi i wszedł Chińczyk. Nie był to Feng Ho, lecz niski człowieczek w niebieskim kaftanie. Dłonie ukryte miał w rękawach, głowę kornie pochyloną. Major Amery zamienił z nim kilka niezrozumiałych słów w języku, który miss Dame uznała za chiński. Potem rzekł:

— Niech panie pozwolą tutaj! — i skierował się do otwartych drzwi.

Chińczyk znikł, a po krótkim wahaniu Elza uczuła, jak dłoń miss Dame chwyta jej ramię. Potem weszły za szefem firmy Amery do małego pokoiku o trzech drzwiach. Amery otworzył pierwsze drzwi, wszedł i dał im znak ręką, aby zaczekały. Po chwili ukazał się znowu w drzwiach.

— Proszę, niech panie wejda, — rzekł, a Elza z bijącym sercem weszła do jaśniej oświetlonego pokoju.

Prawdopodobnie był to pokój służbowy, gdyż był bardzo mały, a całe jego umeblowanie stanowiło łóżko, mały stolicek nocny i szafa. Na łóżku leżał człowiek, na widok którego zdumienie i niepokój odjęły Elzie mowę.

Twarz jego była kredowo blada, głowa i jedna ręka obandażowane. Mimo to jednak powitał ją przyjaznym uśmiechem.

— To dziwne! — mruknął.

— Mr. Teofil Tupperwill, wybitny bankier! — przedstawił Amery.

ROZDZIAŁ XXI.

Podpisane zeznanie.

Mr. Tupperwill powitał Elzę patetycznym uśmiechem.

— W szczęśliwych okolicznościach się spotkaliśmy, — rzekł. — Pani jest przecież tą panienką, którą...

— Spiszemy pańskie zeznanie, — przerwał mu Amery, zwracając się zwykłym ruchem w stronę Elzy. — Przyjaciel nasz doznał niemiłego wypadku i chciałby bardzo, — a raczej ja chciałbym bardzo — aby zdarzenie to spisane zostało czarno na białem...

— To brzmi bardzo rzeczowo! — mruknął mr. Tupperwill.

— ... i podpisane, — dodał Amery, a Elza zauważyła, że słowa te zaakcentował szczególnie.

„Potwór“ dotknął bandaża na głowie i mr. Tupperwill wzdrygnął się.

— Jak na amatora wcale nieźle, — rzekł Amery prawie z dumą. — Czy pani przyniosła swoją książkę stenogramową, miss Marlowe?

Elza skinęła głową. Co miał oznaczać ten dziwny wypadek. Gdy spojrzała ukradkiem na Jessie Dame, zauważyła, że koleżanka jej drżała ze zdenerwowania. Nareszcie ta miłośniczka sensacji ujrzała coś niezwykłego.

Amery opuścił pokój i powrócił z krzesłem, które ze zbytecznym hałasem postawił obok łóżka rannego,

— Proszę, miss Marlowe! — rzekł krótko.

Bankier odwrócił głowę z bolesnym uśmiechem.

— Zupełnie rzeczowo, — rzekł. — Pragnie pan, abym podyktował zeznanie? Od czego mam zacząć?

Sądząc z układu jego warg, Elza przypuszczała, że chce gwizdnąć, ale Amery znał go lepiej i wiedział, co ten ruch oznaczał.

— Zdaje się, że najlepiej będzie, jeśli zacznę od obiadu, — rzekł mr. Tupperwill wolno. — Jadłem obiad w domu — rybę smażoną, trochę drobiu i omlet — zdaje się, że więcej nic. Wypiłem kawę i o kwadrans na jedenastą wyszedłem na zwykły spacer wieczorny, trzy razy dokoła kwadratu domów — muszę to robić codziennie, aby móc dobrze spać. Zazwyczaj zabieram z sobą swego pieska, ale tym razem mój mały „Tamer“ był chory, bo ugryzł go wielki, nieokrzesany pies w parku, musiałem więc pójść sam. Nie zboczyłem ze swej zwykłej drogi, przeszedłem przez Brook Street i park Lane, potem wróciłem tą samą drogą.

Minąłem prawie do połowy ulicę, która o tej porze bywa zupełnie pusta, gdy ujrzałem auto, przejeżdżające tuż koło trotuaru. Wsiadło z niego dwóch ludzi. Potem zjawił się jakiś trzeci człowiek i zupełnie niespodzianie, ku wielkiemu memu przerażeniu i zdumieniu, między trzema mężczyznami wybuchła bójka! Chociaż nie jestem bokserem, zbliżyłem się jednak do nieznanomych, aby ich skłonić do zaprzestania walki. Oczywiście dla człowieka, nie posiadającego atletycznej budowy, był to bezwarunkowo krok nierozważny, to też żałuję swego postępku. Zauważyłem, że obaj napastnicy byli ludźmi silnymi. Trzeciego, zaatakowanego, nie mogłem dostrzec, gdyż owinęli mu głowę jakąś chustką, ale on bronił się dzielnie,

Zaledwie zbliżyłem się do miejsca walki, otrzymałem silne uderzenie, straciłem przytomność, a gdy ją znowu odzyskałem, leżałem w ramionach majora Amery'ego i jakiegoś przechodnia, który pomógł mi zanieść mnie do tego domu, przed którego drzwiami zostałem napadnięty.

— Zapomniał pan o liście! — wtrącił Amery sucho.

— Ach, tak, ach, tak! Pamięć moja jest w stanie zupełnego chaosu! Proszę, niech pani doda do zeznania, że służący mój przyniósł mi po jedzeniu list, który, jak twierdził, znalazł w skrzynce. Otworzyłem kopertę. Zawierała tylko arkusik papieru, na którym widniały cztery słowa: „Mówi pan za wiele!“ To są te słowa. Może je pani widzieć w oryginale. Co one oznaczają, ani jakiej gadatliwości dotyczą, nie wiem. Z natury jestem — człowiekiem bardzo powściągliwym w mowie. Wykluczonym jest, abym w jakichkolwiek warunkach mógł mówić za wiele. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, majorze Amery?

— Kiedy pana podniesiono, auto znikło już oczywiście?

— Tak, i mężczyźni także. Mówił pan przecież, że nie widział pan nikogo?

— Widziałem ich, — odparł Amery spokojnie. — A przynajmniej widziałem auto. Czy zapisała pani to, miss Marlowe?

Elza skinęła głową.

— W gabinecie moim jest mała maszyna do pisania. Mrs. Elman wskaże pani drogę. Chciałbym, aby zeznanie zostało przepisane i podpisane.

Elza opuściła pokój wraz z Jessie Dame, która była tak podniecona, że nie mogła mówić.

— Co pani powie na to? — zapytała wreszcie, gdy się znalazły w małym, skromnym gabinecie, do którego wprowadziła ich gospodyni. — Czy słyszała pani już coś po-

dobnego? To przewyższa nawet kino! Zawsze mówię, że w życiu zdarza się więcej strasznych rzeczy, niż ludzie przypuszczają. Jak pani sądzi, co to było, miss Marlowe?

Elza nie mogła skupić myśli.

— Nie wiem, czy major Amery ma coś przeciwko temu człowiekowi, — rzekła w zamyśleniu, — ale słyszałam, że wszczyna się bójki na ulicy, by wciągnąć niewinnych ludzi.

Miss Dame przerażona padła na najbliższą kanapę.

— Nie chce pani chyba powiedzieć przez to, że „Potwór“ zainscenizował tę bójkę, aby napaść mr. Tupperwilla?

Elza potrząsnęła głową. — Nie wiem, co o tem myśleć, — rzekła.

Z niezrozumiałych dla siebie powodów, nie chciała mówić z koleżanką o Amery'm. Ale gdy sobie uświadomiła zimną krew i obojętność majora oraz jego pragnienie zeznania, które go miało usprawiedliwić, podejrzenia jej wzrosły.

Dlaczego nie posłał po policję? Trudno było przypuścić, by miał z Trupperwillem zwadę. Nie było do tego powodów, chyba to, że bankier był przyjacielem Ralfa. Gdyby jednak tak było i gdyby Tupperwill wydał mu się wrogiem, który mówił za wiele, bardzo łatwo było zainscenizować tę bójkę na Brook Street. Amery musiał znać przyzwyczajenia Tupperwilla. Prawdopodobnie tęgi pan co wieczór odbywał spacer po Brook Street. I przyzwyczajenie to wydało go w ręce tych ludzi... Elza zdrzała. Myśl ta była straszna.

Na stoliku, na którym stała maszyna do pisania, nie było odpowiedniego papieru, a Elza nie chciała otwierać szuflad. Rozejrzała się po pokoju i wzrok jej padł na małą szafkę w ścianie. Widocznie była zupełnie nowa. Miss Dame dostrzegła jej spojrzenie.

— Szuka pani papieru? — zapytała, chcąc wstać. Ale Elza wstała już sama.

— Może tu jest, — rzekła.

Drzwi szafki były tylko przymknięte. Elza otworzyła je i — jak przewidywała — ujrzała kilka półek z materjami piśmiennymi. Ale znalazła jeszcze coś — krótki przedmiot, w którym rozpoznała skórę nosorożca, a który w Afryce południowej nosi nazwę „sjambok“. Mr. Tarn miał z tego samego materiału laskę. Kij, który miała przed sobą, był długości prawie 20 cali, a grubość pięści. Nie spostrzegłaby go, gdyby nie leżał na stosie papieru, na którym widniało kilka ciemnych plam. Elza otworzyła drzwiczki szafy zupełnie. Były to plamy krwi! Nie mówiąc ani słowa, wzięła kij do ręki, obejrzała go uważnie i przekonała się, że jeden koniec był czerwony i wilgotny jeszcze.

ROZDZIAŁ XXII.

Prawda o Tarnie.

Tajemnica zranienia mr. Tupperwilla była teraz wyjaśniona. To była broń, której użyto, a ręka, która zadała cios, była ręką Pawła Amery'ego. Widocznie wszedł przedewszystkiem do gabinetu, który był pierwszym pokojem od wejścia, rzucił laskę do szafki w ścianie i zapomniał o niej zupełnie. Potem wyszedł zapewne zpowrotem i udawał, że okazuje zranionemu pomoc. Prawdopodobnie ukazanie się przechodnia uratowało Tupperwillowi życie. Elza wzdrygnęła się, wzięła kilka arkusików papieru i powróciła do stolika.

— Co się pani stało, miss Marlowe?

Jessie Dame spojrzała na nią zdumiona, widząc zmianę barwy jej twarzy.

— Nie wiem. Czuję się trochę niedobrze, — rzekła Elza zmieszana.

Założyła do maszyny papier, przygryzła wargi i skierowała myśl wyłącznie na zeznanie. W miarę, jak pisała, sprawa wydawała się jej coraz bardziej jasna. Przypuszczenie jej potwierdzało się. Skończyła właśnie przepisywanie, gdy Paweł Amery wszedł do pokoju. Wziął do ręki zapisany arkusz papieru, poprawił dwie omyłki i oddalił się znowu.

— Jedna z pań, — rzekł, — musi pójść ze mną, gdyż potrzebuję świadka.

Jessie Dame wyszła z nim, nie zważając na to, że szła bez Elzy. Po kilku minutach powróciła, oznajmiając, że „podpisała dokument jako świadek“, że mr. Tupperwill wstał już i chce się udać do domu.

— Jestem zupełnie pewna, — rzekła Jessie Dame dramatycznie, — że teoria pani co do tego morderstwa jest prawdziwa. Jeśli powiadam „morderstwo“, to mam na myśli, że mogło się to stać morderstwem. Czyhali oni na biednego Tupperwilla...

— Jessie, niech pani zapomni, co powiedziałam!

Elza dziwiła się sama, że tak naiwnie broni tego człowieka.

— Daleko bardziej prawdopodobne jest to, co mówi Tupperwill. Że mianowicie ci dwaj ludzie napadli trzeciego, a sądząc, iż Tupperwill chce się wmieszać do walki, rzucili się na niego.

Przez otwarte drzwi usłyszały kroki na korytarzu i mr. Tupperwill, błądzący i chwiejący się, stanął na progu.

— Kieliszek konjaku pomoże panu, — rzekł Amery. Otworzył szafkę i nalał żółtego płynu do kieliszka.

— Konjak — tak, dziękuję! — mruknął bankier. — Powinienem właściwie dodać jeszcze coś do zeznania. Opisać napadniętego człowieka. Ale zapomniałem o tem.

— O ile wiem, nie widział pan jego twarzy?

— Nie, twarzy jego nie widziałem. Zauważyłem tylko, że był to niski człowiek w żółtawo-brązowym ubraniu. A przynajmniej spodniach, — rzekł mr. Tupperwill, — na to mógłbym przysiąc.

— Odprowadzę mr. Tupperwilla do domu, — rzekł Amery, zwracając się do dziewcząt. — Sądzę, że nie będę pań już potrzebował. Dziękuję, że panie zechciały przyjść.

Elza miała już na języku, że spodziewa się, iż ten stracony wieczór zostanie im zaliczony do „godzin nadetatowych“, ale wiele już słów miała na języku, a nie mogła na widok

tego niesamowitego człowieka wypowiedzieć. Rozstała się jak mogła najszybciej z miss Dame, a gdy tylko przybyła do hotelu, zatelefonowała do Ralfa i opowiedziała mu o całym zajściu.

— Nie leżysz jeszcze? — zapytał Hallam szybko. — Czy mógłbym się z tobą zobaczyć, gdybym przyszedł zaraz?

— Oczywiście, — odpowiedziała Elza zdumiona, — albo możemy się spotkać jutro rano.

— Nie, muszę pomówić z tobą jeszcze dzisiaj. Może zechcesz zaczekać na mnie w hall'u?

Elza spojrzała na zegarek. Było pół do dwunastej.

— Dobrze. Narażę na szwank swoją dobrą sławę. Przyjdź! — zawołała.

Ralf Hallam przyjechał bardzo szybko i dowiedział się wszystkich szczegółów zdumiewającego przeżycia mr. Tupperwilla. Elza nie taila niczego. Czuła, że w tym wypadku nie ma powodów do ukrywania sprawy swego szefa. Kiedy skończyła, Ralf spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

— Więc to tak! On mówi za wiele! Ten djabeł musiał słyszeć, co Tupperwill opowiadał mi dzisiaj rano o nim. Chciałbym jednak wiedzieć, jak on to podsłuchał. Najpierw Tarn, potem pieniądze, teraz znowu Tupperwill! Soyoka nie cofa się przed niczem.

— Soyoka? Ralfie, to przecież ten handlarz narkotyków?

W tej chwili zrozumiała tajemnicę, przed którą stała dotąd, jak przed zagadką.

— Soyoka! Szajki handlarzy narkotyków! Były dwie — jedna Soyoki, a druga — mr. Tarna? — szepnęła bez tchu.

Ralf skinął potakująco głową. — Prędzej czy później musiałaś się o tem jednakże dowiedzieć.

— A ty? — zapytała prawie szeptem.

— Ja także, — odpowiedział Ralf chłodno. — Niema powodu do przejmowania się tem, Elzo. To sprawa czysto

kupiecka. Czy miałabyś coś do zarzucenia destylatorowi albo piwowarowi, dlatego tylko, że niektórzy ludzie nie znoszą alkoholu i nie umieją zachowywać się przyzwoicie?

— Soyoka! — powtórzyła. — Major Amery?

— Major Amery jest albo Soyoką, albo jego agentem.

— A mr. Tupperwill?

— Mr. Tupperwill jest niczem więcej, — rzekł Ralf niecierpliwie, — jak moim bankierem i przypadkowo także bankierem Amery'ego. Opowiadał mi, że nie podoba mu się konto Amery'ego — i to jest jego gadulstwo. Amery musiał się o tem dowiedzieć i dlatego napadnięto dzisiaj Tupperwilla, aby mu dać nauczkę. Mogę tego dowieść, i ty możesz tego dowieść, — dodał. — Jutro Amery zamknie swoje konto w Stebbing's Banku i wyjmie wszystko z safe'u. Do licha! Gdybym tylko wiedział...

Oczy jego zabłysły, a głos drżał ze wzburzenia. Elza była bardzo przygnębiona tem wyznaniem.

— To straszne, straszne! — odpowiedziała cicho. — Nie mogę wprost uwierzyć, że ludzie mogą być takimi potworami. Ralfie, czy pieniądze... pieniądze, które zarabiał wujek i ty...

Spojrzenie jej, wyrażające nietajony wstręt, drażniło go.

— Nie można patrzeć na sprawę z tej strony, — rzekł.

— Powiadam ci, że to sprawa wyłącznie kupiecka. Może wykracza przeciw kodeksowi, ale tak jest z wieloma innymi sprawami. Nie jest gorsza, niż przemykanie wódki, a znam wielu porządnych ludzi, którzy tem zarabiają pieniądze.

— Z pewnością nie są to porządni ludzie, — odpowiedziała Elza, odzyskawszy zupełnie panowanie nad sobą. — Muszę się nad tem zastanowić. — Z temi słowami udała się do swego pokoju, a w myślach jej panował zamęt.

ROZDZIAŁ XXIII.

Niemili klient.

Kiedy nazajutrz rano wkładała buciki, aby pójść do znieawidzonego biura, powzięła stanowczą decyzję: stosunki jej z firmą Amery & Amery były skończone. Zagadką, przerażającą zagadką było dla niej, dlaczego nie wyjawiała publicznie brutalności tego człowieka. Czyżby moralność jej mogła spaść tak nisko, że wybaczała mu jedno przestępstwo, które znała, i drugie, którego się domyślała?

Mysłała o tem, jakim wyda się jej teraz, gdy wiedziała, kim był. Człowiek ten żył z upodlenia ludzkości. Okrutny brutalny opryszek, który uderzał człowieka kijem za to, że przekroczył zasady bankowe.

Idąc w stronę East End, przechodziła obok wielkich biur czasopism. Posłuszna impulsowi wstąpiła do jednego z nich i poczęła wertować stosy starych gazet. Wkrótce znalazła artykuł, który owego ranka — teraz rozumiała dlaczego — tak zdenerwował mr. Tarna.

Jakiś reporter, który chciał właśnie podejść do kasy, zobaczył ładną dziewczynę, przeglądającą pisma, a że spostrzegł, iż nie szukała ogłoszeń, zbliżył się do niej.

— Czy mogę pani dopomóc? — zapytał. — Jestem pracownikiem tego biura.

Początkowo Elza chciała odtrącić jego pomoc. Ale potem przypomniała sobie coś, o czym mówił major Amery i uświadomiła sobie, że za długo trwałoby, zanimby znalazła, czego szukała.

— Chcę znaleźć artykuł o napadzie na pociąg w Chinach.

— Aha, napad na „błękitny pociąg“? W tym tomie tego niema, to już wiele miesięcy temu.

— Czy pamięta pan może przyczynę napadu?

Młody reporter uśmiechnął się. — Przypuszczam, że była nią chęć łatwego zysku, — rzekł. — W pociągu tym był jeden czy dwóch handlarzy opjum.

Znowu opjum! Elza oddychała ciężko.

— Dziękuję serdecznie! — zawołała i ku wielkiemu zmartwieniu galanta szybko opuściła lokal.

Kiedy dzwonek wezwał ją do gabinetu szefa, wydało się jej dziwnem, że Amery nie zmienił się wcale. Zdawało się jej, że wobec nowych wiadomości o nim dostrzeże przy baczej obserwacji dowody jego niewrażliwości. W twarzy jego musiało przecież być coś, co znamionowało jego niski charakter. Ale nie, był taki, jak zwykle, ani zachowanie jego, ani ton nie różniły się niczem od zwykłego jego zachowania i tonu. Raz nawet był rzeczywiście uprzejmy.

— Jestem pani wdzięczny, że pani przysłała wczoraj wieczorem. Ucieszy panią zapewne wiadomość, że mr. Tupperwill spędził noc dobrze i że lekarz jest zdania, iż będzie mógł za kilka dni powrócić do pracy.

Czy w słowach jego brzmiała drwina? Miała wrażenie, że ją wyczuwa, i dziwiła się jego zimnej brutalności.

— A jaką pociechę dał pani Dr. Hallam? — ciągnął Amery.

— Obserwuje mnie pan dość dobrze, majorze Amery, — odpowiedziała Elza spokojnie. — Nie poto zawezwałam doktora Hallama, aby mnie pocieszał.

— Więc prosiła go pani jednak, aby przyszedł? Tak sobie odrazu pomyślałem, — rzekł major. — Czy wiadomość o smutnym wypadku mr. Tupperwilla wywarła na nim silne wrażenie? Widzę, że nie chce pani o tem mówić. Zajmijmy się więc listami!

Ale po półgodzinnem dyktandzie sprawa ta widocznie zajmowała jeszcze jego myśl, gdyż rzekł:

— Czy opowiedziała mu pani wszystko o wczorajszym wypadku?

Odpowiedź padła szybko, jak błyskawica. — Nie wspominałam, że znalazłam zakrwawiony „sjambok“ w szafce z papierem.

Elza gotowa była odgryźć sobie język, ale słowa były już wypowiedziane, gdy się zorientowała. Na twarzy majora nie drgnął ani jeden mięsień, powieki jego nie mrugnęły nawet.

— Zastanawiałem się już, skąd pani miała papier i przypuszczałem, że kilka arkusików leżało na stole. Myślę, że poweźmie pani o mnie niemiły sąd?

— Sądzę, że pan jest strasznym człowiekiem. Czy mogę teraz odejść?

— Więc pani sądzi, że jestem strasznym człowiekiem? Tak sądzą i inni, a niejeden jeszcze wyrobi sobie ten pogląd, — rzekł Amery. — Co do mr. Tupperwilla, to powinien być bardziej powściągliwy w mowie.

— Ach! — zawołała Elza zdumiona. — Więc pan przyznaje?

Amery skinął głową. — Nie zapomni tej nauczki, — rzekł. Elza nie wiedziała, czy to sen, czy jawa. Kiedy zasiadła znowu przy maszynie, cieszył ją jej stukot, gdyż robił z niej znowu istotę rozumną.

Pisząc szybko, rozmyślała o tem, że nowa sekretarka majora Amery'ego będzie zapewne posiadała dość siły, aby zachwiać jego pewnością siebie. Spodziewała się, że ta nieszczęsna istota kobieca (gdyż żaden mężczyzna nie wytrzymałby u niego tygodnia) przekroczy wszystkie jego przepisy, będzie otwierać listy i paczki. Wyobrażała sobie postać Gorgony, która zmusi go do uległości. Ponieważ jednak major Amery sam będzie sobie wybierał sekretarkę, Elza musiała pod koniec rozmyślań przyznać, że będzie to prawdopodobnie biedna, łagodna dziewczyna, która uważać będzie jego bezwzględność za nieunikniony dodatek do pensji.

Kiedy tak wyobrażała sobie w duchu przyszłą sekretarkę, rozległ się dzwonek i Elza pośpieszyła do tyrana.

— Zapomniałem jeszcze o jednym liście. Niech pani teraz napisze:

„Do Dyrekcji Stebbing's Banku

w miejscu.

Szanowny Panie!

Z dniem dzisiejszym zamykam swoje konto w Stebbing's Banku i proszę całą pozostającą na moje dobro sumę przekazać bankowi Northern & Midland. Poza tem proszę wydać okazielowi niniejszego stalową kasetkę, która znajduje się na moje nazwisko w safe'ie. Oddawca niniejszego, mr. Feng Ho, B. Sc., pokwituje w moim imieniu.
Z poważaniem“.

Elza powróciła do swojej maszyny w przekonaniu, że wszystko, co przepowiedział Ralf ziściło się. Amery zamknął swoje konto w Stebbing's Banku.

O tym samym czasie Paweł Amery był przedmiotem rozmowy dwóch innych ludzi, z których jeden nienawidził go, a drugi podejrzewał. Mr. Tupperwill wyglądał mało wniczo w swoim wielkim łożu. Jedna obandażowana ręka trzymała złoty flakonik z solami, gdyż bankier miał silny ból głowy. Mimo to przyjął Ralfa Hallama, aby opowiedzieć

mu dokładnie przebieg swojej przygody. Ralf był bardzo współczujący i ciekawy. Ale gdy wypowiedział podejrzenie, że napastnikiem był nikt inny, tylko major Amery, mr. Tupperwill obruszył się, jakby zadrażniono jego własny honor.

— Absurd, mój kochany, absurd! — odpowiedział o tyle dobitnie, o ile pozwalała mu cierpiąca głowa. — Amery'ego nie było nawet w pobliżu. Widziałem zupełnie dobrze obu napastników. Możliwe, że był przytem jeszcze ktoś trzeci, ale wątpię bardzo. W aucie nie było nawet szofera. Dlaczego Amery miał mnie napadać?

Ralf pomyślał sobie, iż powód był dostateczny, ale osądził, że nie nadeszła jeszcze chwila do zwierzeń.

— Przyszło mi tylko na myśl, że to możliwe, — rzekł. — Amery jest nieco dziki.

— Absurd! Szaleństwo! Drogi Hallam, niech mi pan wybaczy gwałtowność moich wyrażań, ale uważam, że niema sensu mówić dłużej o tych bandytach. Przysięgnęłbym, że Amery nie był żadnym z nich.

Ralf był o tyle przezorny, że nie powracał więcej do tej sprawy.

— Mimo to muszę przyznać, — ciągnął Tupperwill, że major Amery nie jest mi miły jako klient, to też postanowiłem skorzystać z najbliższej sposobności, aby mu zamknąć konto w moim banku.

— Przypuszczam, że zaoszczędzi panu fatygi, — rzekł Ralf sucho.

— Dlaczego? — Mr. Tupperwill otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

— Bo... no, bo... — Ralf wziął ze stołu list, który mu pokazał mr. Tupperwill, raz jeszcze przeczytał cztery słowa i uśmiechnął się.

— Czy uważa pan, że między tem ostrzeżeniem, a naszą wczorajszą rozmową zachodzi jakiś związek? — zapytał.

— Naszą rozmową o Amery'm? Ależ, nie, na Boga!

— To ten sam papier i ten sam charakter pisma, jak w liście, który otrzymał biedny Tarn przed śmiercią. Według wszelkiego prawdopodobieństwa list ten pisany był przez tego samego człowieka. Jakieżże innej nierozwagi, jeśli idzie tu o nierozwagę, może to ostrzeżenie dotyczyć? Nie mówił pan przecież o niczem więcej, tylko o Amery'm i jego pieniądzach?

Mr. Tupperwill stał się bardziej milczący pod wpływem nowego podejrzenia.

— Nie! — rzekł wreszcie, — on nie mógł wiedzieć o naszej rozmowie. Odbyła się ona w moim biurze, a jest rzeczą niemożliwą, absolutnie niemożliwą, aby nas podsłuchano.

— Przy swoim telefonie w biurze ma pan przecież głośnik? Czy był wtedy wyłączony?

— Przypuszczam, — rzekł mr. Tupperwill wolno. — Stało się to moją drugą naturą, nigdy nie zapominam go wyłączać. Muszę przyznać, że ten wynalazek amerykański nie jest rzeczą miłą, myślałem już dawno o usunięciu go. Jest oczywiście wygodny, bo wystarczy mi podnieść dźwignię, aby rozmawiać z każdym z moich oddziałów, ale jest też niebezpieczny, bardzo niebezpieczny. Zaczynam wątpić!

Myśl jego pracowała uporczywie.

— Trudno mi przypuścić, — rzekł wreszcie, — ale możliwe, że aparat nie był wyłączony. Gdyby tak jednak było, żaden z moich urzędników nie zdradziłby mnie. Nie, mój kochany panie, niech pan sobie tę myśl wybije z głowy! To niemożliwe. Z Amery'm wszystko jest w porządku. Żałuję nawet, że wypowiedziałem wobec pana swoje wątpliwości, gdyż w ten sposób posiałem w pańskim umyśle ziarno podejrzenia.

Ralf uśmiechnął się w duchu. — Jeśli idzie o mnie, ziarno to dawno już wydało kwiecie! — rzekł. — Muszę przyznać, że jestem do Amery'ego uprzedzony, i zrobiłbym wszystko, aby go móc osiągnąć. — Na widok zdumionej twarzy bankiera dodał:

— Ale oczywiście nie zrobię nic w tym kierunku.

— Dzięki Bogu! — zawołał mr. Tupperwill z ulgą.

— Zawsze nienawidziłem przemocy fizycznej, teraz zaś czuję do niej jeszcze większą antypatję. — Chwycił się wymownie za głowę.

Ralf powiedział prawdę, że główną jego myślą było teraz znaleźć sposobność do porachunku z człowiekiem, którego nienawidził z całej duszy, a już popołudniu tegoż dnia sposobność taka nadarzyła mu się.

ROZDZIAŁ XXIV.

Próba trucizny.

— A zatem postanowiła pani opuścić posadę w sobotę, miss Marlowe?

— Tak, majorze Amery.

„Potwór“ stał z rękoma w kieszeniach przy oknie i ponuro spoglądał na ulicę.

— Bardzo trudno będzie znaleźć tak szybko zastępczynię, — rzekł. — Czy nie mogłaby pani jeszcze przez tydzień opanować zupełnie naturalnej niechęci pracowania dla mnie?

Elza zawahała się i była bliska rozpaczki. Gdyby jej rozkazał pozostać, nie miałaby odwagi oprzeć się temu rozkazowi.

— Przykro mi bardzo, majorze Amery, ale nie mogę pozostać dłużej, niż do soboty.

Nie spodziewała się, że będzie ją nakłaniał do pozostania. Nie wspomniał też więcej o wypadku z mr. Tupperwillem. Żywiąc szczerą sympatję dla Jessie Dame, odważyła się zaproponować mu, aby ona ją zastąpiła. Stanowisko to było bardzo pożądane, a pensja dwa razy większa, niż wynagrodzenie najlepszej stenotypistki w firmie.

— Miss Dame nie zna ortografji! — brzmiała odpowiedź, a Elza była z tego poniekąd rada.

Znając jego uparty charakter, spodziewała się, że w ciągu dnia powtórzy swą prośbę, ale omyliła się pod tym względem.

O pół do piątej służący przyniósł dwie filiżanki herbaty, z których jedną, jak zwykle, wypić Elza w gabinecie Amery'ego. Postawiła filiżankę na biurku, a Amery skinął głową i powąchał — przyzwyczajenie to zauważyła u niego już dawniej. Tym razem major podniósł głowę, zanim uśmiech znikł z jej twarzy.

— Bawi to panią? Pokażę pani coś, co panią jeszcze bardziej ubawi.

Wyciągnął z kieszeni płaskie pudełko, z którego wyjął niebieski pasek papieru i zanurzył go w dzbanuszkę z mlekiem. Kiedy go wyjął papierek był czerwony.

— Niech pani zaczeka! — rzekł Amery i wyjął z pudełka różowy papierek.

Elza zauważyła, że pudełko nie zawierało nic więcej, tylko setki takich różowych i niebieskich pasków papieru. Amery zanurzył papierek w herbacie i po chwili wyciągnął go. Część, którą zwilżyła herbata, była jasno żółta.

— Próba prosta, ale pewna. Arsenik barwi papier w mleku na zielono, w herbacie na purpurowo. Strychnina barwi w obu wypadkach na czarno, podobnie jak akonit. Cyjankali znowu barwi papierek niebieski na białe, a różowy na ciemnoczerwono.

Elza słuchała z otwartymi ustami.

— Więc pan... pan zrobił próbę, czy herbata nie jest zatruta? — zapytała, nie wierząc własnym uszom.

— Coś w tym rodzaju, — odparł Amery, nalewając sobie do herbaty mleka i wsypując cukru. — Zresztą to tylko taka manja prześladowcza. Zdaje się człowiekowi, że go ktoś chce otruć.

— Jakżeby się tu mogła dostać trucizna? — zapytała Elza niedowierzająco.

— Dlaczego nie? Mam wielu wrogów, a przynajmniej jeden z nich jest z zawodu lekarzem.

Kiedy indziej Elza byłaby się oburzyła na podejrzenie, rzucone na Ralfa Hallama, ale teraz, znając stosunek tych dwu ludzi i wiedząc, jaki proceder uprawiał Ralf, nie odezwała się.

Łotr przeciw łotrowi — diament przeciw diamentowi! Czy on przypuszczał rzeczywiście, że Ralf był zdolny do takiego czynu? Jeśli sądził innych według siebie, było to tylko dowodem jego słabości. A może on był obłąkany? W każdym razie nie zachowywał się jak istota normalna. A jednak nie dostrzegła w nim żadnej z cech, wskazujących na chorobę umysłu. Był on nieprzeniknioną tajemnicą. Czytała historie o przestępcach, którzy posiadali wyjątkowe przymioty umysłu, ale nadużywali ich dla swoich występnych celów. Może „Potwór“ był jednym z nich, może zasługiwał raczej na współczucie, niż nienawiść? Cieszyła się, że niezadługo opuści posiadłość.

Po herbacie nadeszło dla Amery'ego kilka listów i paczka. Położyła listy na biurku (major wyszedł), a paczkę obok nich. Została ona doręczona przez posłańca i była zaadresowana: „WPan major Paweł Amery, D. S. O.“. Elza dowiedziała się teraz po raz pierwszy, że Amery posiadał „order wybitnej służby“. Coraz to dowiadywała się o nim nowych rzeczy. Zatopiona w tych rozmyśleniach, ujęła automatycznie nożyczki i przecięła sznurek paczki. Robiła to zawsze dla starego mr. Amery'ego, i nie wcześniej zorientowała się, co robi, aż usłyszała wściekły głos, pod wpływem którego drgnęła i odwróciła się. Amery stał w drzwiach, prowadzących na korytarz.

— Co pani tam robi, u licha? — zawołał.

Cofnęła się przed jego wzrokiem. Wyraz jego twarzy był tak groźny, wejrzenie tak dzikie, głos tak gniewny, że Elza przerażona się.

— Ile razy mówiłem, żeby pani nie otwierała moich paczek! — wołał Amery z wściekłością.

Położył rękę na paczce.

— Prze... przepraszam bardzo... Zapomniałam... Jego brunatna twarz była blada. Dlaczego?

— Niech pani robi, co się pani każe! — rzekł Amery szorstko, ostrożnie ujął odpakowane przez Elzę pudełko, zawahał się chwilę, potem szybko podniósł wieko.

W gniazdku z miękkiej waty leżał jakiś okrągły przedmiot, owinięty w papier jedwabny. Amery nie dotknął go, lecz wziął ze stołu nożyczki, ciął papier kilka razy i usunął część opakowania.

— Lubi pani jabłka? — zapytał zmienionym głosem.

Było to jabłuszko tak maleńkie, jakiego Elza nie widziała jeszcze nigdy, całe najeżone stalowymi igielkami.

— Przysięgłbym, że to preparat medyczny, — rzekł Amery, a Elza ujrzała, jak wargi jego poruszyły się. — Użył do tego stu igieł, a każda jest kolcem śmierci. Pomyślowy zuch!

W głosie jego brzmiał podziw.

ROZDZIAŁ XXV.

Laudanum.

— Bardzo pomysłowy! — rzekł Amery. — Niedość ciężkie, aby się wydać bombą, a gdy się otwiera paczkę, mimowoli bierze się do ręki tę pięknie opakowaną kulkę!

— Więc te igły są zatrute? — zapytała Elza przerażona.
— Czem?

— Nie wiem. Ale chemik zbadałby natychmiast. Może zawierają zarodki jakiejś choroby. W zębie zwykłej kobry dość jest jadu, aby zatruc te wszystkie igły.

Ostrożnie zamknął pudełko, zapakował je i wstawił do szafki w ścianie.

— Kto to przysłał? Chyba nie Ralf — nie mr. Hallam? Nie sądzi pan przecież, że on jest do czegoś podobnego zdolny.

— Hallam? — Amery przygryzł dolną wargę. — Nie, prawdopodobnie to nie Hallam.

— Czy pan jest Soyoką? — palnęła nagle Elza.

— Czy wyglądam jak gruby Japończyk w średnim wieku?

— Wiem dobrze, że nie jest pan Japończykiem, — odpowiedziała Elza niecierpliwie, — ale czy pan jest agentem Soyoki?

Amery wruszył ramionami i spojrzał w stronę szafki w ścianie. — Są ludzie, którzy tak myślą. Dr. Hallam?

Nie, nie przypuszczam, aby to był Dr. Hallam. Jeżeli to był on... — W wymuszonym uśmiechu ukazał na chwilę zęby, a Elzę mimowoli przeszedł dreszcz.

— Wygląda pan strasznie!

Znowu nie miała zamiaru mówić. Dziwiła się sobie samej, gdy go zapytała, czy jest Soyoką. Teraz pomyślała, że Amery przemilczy jej okrzyk, ale on odpowiedział na niego, nie uważając go za obrazę.

— Jestem straszny, jeżeli sobie dobrze przypominam, już mię tak pani kiedyś nazwała. Istnieją na tym świecie rzeczy straszne, miss Marlowe, rzeczy, których pani nie może odgadnąć i których pani zapewne nigdy nie doświadczy. „Straszny“, to słowo, którego nie powinna pani nigdy używać w stosunku do handlarzy narkotyków — nawet w stosunku do mordercy. Straszne są tylko rzeczy, o których nie piszą reporterzy. Jeśli się pani z nimi kiedyś zetknie, przekona się pani, że zużyli oni już wszystkie superlatywy i wyczerpali cały zapas mocnych wyrażań.

Było to tak długie przemówienie, jakiego Elza nigdy jeszcze od niego nie słyszała; sprawiało jej to dziwną radość. Miała wrażenie, jakby pozwalał jej zajrzeć za żelazne drzwi swojej powściągliwości.

— Niech pani nie sądzi, że morderstwo albo handel narkotyków to godne podziwu zajęcie. Nie myli się pani, jeśli pani przypuszcza, że rzeczy, które matka pani określała jako złe, są złe w istocie, a żadne piękne myśli ani niezrozumiałe teorie filozoficzne nie uczynią ich dobrymi. Mam wrażenie, że takie poglądy brzmią dziwnie w ustach człowieka, który jest prawą ręką Soyoki?

W oczach jego leżał dziwny błysk, który odczuła jako groźbę. Może zmienił się tak, aby ją nakłonić do pozostania na posadzie, ale widocznie tak nie było, gdyż nie wykorzystał wpływu, jaki wywarła jego niezwykła uprzejmość.

Elza odłożyła odwiedziny na Herbert Mansions jeszcze o dzień. Kiedy zatelefonowała do mrs. Trene Hallam, miała wrażenie, że dobra pani tak samo jak ona życzyła sobie, aby się sprawa tej wizyty jak najrychlej skończyła. Elza spędziła noc lepiej i nazajutrz orzeźwiona powróciła do biura.

Zaledwie siedziała pięć minut przy pracy, gdy do pokoju wpadła miss Dame. Po jej czerwonej twarzy i przerażonych oczach Elza poznała, że musiało się stać coś niezwykłego.

— Czy słyszała pani już o najświeższej nowinie? — zapytała przybyła, zadychając się.

Elza słyszała już zbyt wiele niespodzianych nowin, aby się przejmować.

— Jak pani sądzi, kto jest nowym kierownikiem biura?

Jeden z kierowników oddziałów sprawował funkcje mr. Tarna. Elza teraz dopiero dowiedziała się, że sprawował je chwilowo.

— Jest w biurze we własnej osobie i wydaje rozkazy białym chrześcijanom!

— Chyba nie Feng Ho? — zapytała Elza zdumiona.

— Feng Ho! — zawołała miss Dame. — To już przekracza wszelką miarę. Jeśli Amery przypuszcza, że dobrze wychowane damy będą przyjmowały rozkazy od... od dzikiego, to się grubo myli. Znam się dobrze na tych Chińczykach, ich palarniach opjum, jaskiniach i tak dalej. Ja się na to nie dam złapać! — Miss Dame drżała z oburzenia. — Powiem to jasnie wielmożnemu panu.

— Niech mu to pani zaraz powie! — rozległ się zimny głos Amery'ego.

Elza jak zwykle przerażała się na dźwięk jego głosu, ale miss Dame poprostu podskoczyła. Paweł Amery stał w drzwiach z rękoma w kieszeniach.

— Niech mu to pani zaraz powie! Przypuszczam, że ma pani jakieś zarzuty przeciwko mr. Feng Ho, jako nowemu kierownikowi biura. Żałuję bardzo, że nie zaprosiłem pani na posiedzenie zarządu, które tę sprawę zadecydowało, ale wolę być sam, gdy mam powziąć tak ważną decyzję. Jakie pani stawia zarzuty, miss Dame?

— Otóż, sir, — jękała miss Dame, blednąc i czerwieniąc się naprzemian, — on jest Chińczykiem i cudzoziemcem.

— Czy nie sądzi pani, że pani jest dla niego Chinką i cudzoziemką? Że on jest głupcem czy dzikusiem, jak pani dopiero co utrzymywała, to się nie zgadza z rzeczywistością, gdyż jest to pan bardzo wykształcony. W każdym razie umie pisać ortograficznie, — dodał znacząco.

Elza pomyślała, że Amery jest okrutny.

— Może umie pisać ortograficznie po chińsku, — odpowiedziała miss Dame z godnością, — ale to nie wchodzi tutaj w rachubę. Przyznam także, że ortografja nie jest moją specjalnością. Ale zgodzi się pan, majorze Amery, że my, dziewczęta, musimy się mieć na baczności.

Usiłowanie miss Dame wciągnięcia i Elzy do sprawy, ubawiło pannę Marlowe. Widocznie bawiło też „Potwora“, gdyż wargi jego drgały.

— Feng Ho nie będzie pani przeszkadzał, ani zbliżał się do pani zbyt pod jakimkolwiek względem. Będzie załatwiał sprawy chińskie, a ten oddział jest dla naszej firmy najważniejszy.

Kiedy Amery wyszedł, miss Dame rzekła:

— Prawda, że był spokojny? Jestem pewna, że wyczytał z moich oczu, iż nic tu nie zrobi beze mnie. Wie pani, miss Marlowe, kazałam sobie dziś rano postawić horoskop — a raczej dziś rano dostałam list z horoskopem. Urodziłam się w znaku „Ryby“ i mam być bardzo uległego

charakteru, bogatej wyobraźni, spostrzegawcza, uzdolniona artystycznie, muzykalna, pedantyczna i mądra!

— W takim razie jestem pewna, że da sobie pani z łatwością radę z mr. Feng Ho, jako kierownikiem, — rzekła Elza. — Posiada pani, jak widać, wszystkie przymioty, potrzebne w tych warunkach.

Miss Dame podrapała się w głowę końcem ołówka i rzekła:

— To mi jeszcze na myśl nie przyszło, ale może pani ma rację.

W południe Elza nie wyszła z biura. Nie zapomniała jeszcze spotkania z reporterami i fotografami i postanowiła do czasu, gdy sprawa ta ucichnie, jadać lunch w biurze.

Może tak było zresztą lepiej, gdyż Bickerson przyszedł znowu, aby postawić jej cały szereg pytań, które zadał jej już pierw przynajmniej z tuzin razy: jak się nazywają wszyscy krewni Tarna, kto są jego znajomi, jakie miał zwyczaje i zamiłowania, w jakim klubie bywał, w jakich lokalach, gdzie się obracał.

— Czy to rzeczywiście potrzebne, żeby mię pan o te rzeczy ciągle pytał? — rzekła Elza, znudzona indagacją. — Zdaje się, że już panu wszystko powiedziałam. — Potem przyszło jej na myśl coś, co wydało się jej jednak zbyt głupie, i dodała: — Nie sądzi pan chyba, że zmienię swoje zeznania? Mr. Bickerson, mam wrażenie, że pan jest tego zdania.

Głupawy Bickerson uśmiechnął się niewinnie. — Świadek nieraz odświeża sobie pamięć, — odparł, — a rozumie pani, miss Marlowe, że każdy, kto w chwili morderstwa znajdował się wpobliżu, musi być badany i znowu badany. To część naszego systemu.

— Czy badał pan i Feng Ho jeszcze raz? — zapytała Elza.

Uśmiech znikł z twarzy detektywa. — Oczywiście, do pewnego stopnia badałem go znowu, ale alibi jego jest niewzruszone. Czy major Amery jest w biurze?

— Nie, wyszedł. Czy chciał pan z nim mówić?

— Nie, — odpowiedział Bickerson spokojnie, — nie mam do niego specjalnego interesu, ale gdyby był, wszedłbym.

— Zobaczę, — rzekła Elza.

Amery rzeczywiście wyszedł, jak przypuszczała. Ale Bickerson nie był zadowolony czy to z widoku, jaki miał teraz przez uchylone drzwi, czy też z poprzedniego dokładnego przeglądu pokoju. Nucąc pod nosem, wszedł za Elzą do jego gabinetu. (Miał głos barytonowy i w kołach amatorskich znany był ze swego śpiewu).

— Bardzo miłutki pokoik! — rzekł. — Rzeczywiście, bardzo miłutki pokoik! Czy nie zechce pani zejść i powiedzieć memu człowiekowi przed drzwiami, że pozostanę tutaj, aż major Amery powróci?

Elza spojrzała mu prosto w oczy. — Owszem, bardzo chętnie, jeśli pan będzie łaskaw opuścić pokój i pozwoli mi zamknąć drzwi, — rzekła.

Detektyw roześmiał się. — Myślała pani, że zrobię tymczasem małą rewizyjkę, nie mając do tego upoważnienia? Ma pani rację, ale ja mam rozkaz rewizji w kieszeni. Niech się pani przekona.

Wyjął niebieski arkusz papieru i podał Elzie.

— Byłoby znacznie lepiej, gdybym mógł to zrobić w spokoju, bez wiedzy majora Amery'ego. Rozumiem pani skrupuły i jeśli obstaje pani przy tem, abym zaczekał na majora, zaczekam.

Rozmawiali już od dziesięciu minut, gdy Elza usłyszała, jak major Amery otwiera drzwi i weszła do niego.

— Ma rozkaz rewizji? Dawno już myślałem, kiedy to nastąpi. Niech wejdzie. Dzieńdobry, Bickerson! Miss Marlowe powiada, że chce się pan trochę rozejrzeć. Jazda z tem!

— Mam rozkaz! — wyjaśnił Bickerson, wzruszając ramionami. — Ale to nie ma nic do rzeczy. — Potem dodał: — Jakaś osobliwa sprawa, która przytrafiła się niedawno mr. Tupperwillowi.

— Więc słyszał pan o tem? Kto to rozgadał — mr. Tupperwill?

Bickerson potarł podbródek. — Nikt nie rozgadał. Dowiedziałem się o tem w zwykłej drodze urzędowej.

— Czy to mr. Tupperwill, czy niezrównany Dr. Hallam? — zapytał Amery natarczywie.

— Zna go pan? — zapytał Bickerson, spoglądając bystro na majora.

— Tak, znam go.

— Ta sprawa z Tupperwillem jest bardzo dziwna, — ciągnął Bickerson. — Dziwi mnie, majorze Amery, że nie zawiadomił pan o niej zaraz policji?

— Ma pan na myśli napad na Tupperwilla?

Bickerson skinął głową i zauważył, jak wargi Amery'ego zadrgały.

— Ach, to przecież nic ważnego. Takie rzeczy zdarzają się codziennie.

— Nie w Londynie. Może się do zdarza w Kalkucie lub w Szanghaju, gdzie widok nawpół zatłuczonego policjanta nie wzbudziłby takiego wrażenia, jak na Regent Street lub Piccadilly Circus.

— Rozumiem pana, — rzekł Amery.

Otworzył pudełko, stojące na stole i zapalił cienie, czarne cygaro.

— Oczywiście powinienem był zameldować o tem policji, ale właściwie była to przecież sprawa Tupperwilla. On był stroną poszkodowaną.

— Hm! — Detektyw obserwował majora z poważną miną. — Dziwne, że sprawa ta musiała się przydarzyć akurat przed pańskim domem.

— Nawet bardzo dziwne. Tak samo dziwne byłoby, gdyby się to zdarzyło przed jakimkolwiek innym domem, — rzekł Amery chłodno.

Nastąpiła krótka przerwa w rozmowie. Bickerson zastanawiał się widocznie nad czemś.

— W Londynie odbywa się walka między dwiema grasującymi tu szajkami — między dwiema szajkami handlarzy narkotyków — szajką amatorów i szajką Soyoki. Mam dane przypuszczać, że Tupperwill w jakiś sposób uraził jedną z tych organizacyj.

— Słyszałem o tem.

— Wie pan, w jaki sposób? — zapytał detektyw szybko.

— Wiem tylko, co mi on sam powiedział: że otrzymał jakiś list, jakoby mówił za wiele. Uważam, że to system zupełnie nieodpowiedni rozbijać komu głowę za to, że mówi za wiele, bo gdyby każdego miała za gadulstwo spotykać taka kara, nie mielibyśmy ani w Londynie, ani w New Yorku jednego człowieka, któryby mógł spokojnie nosić kapelusz.

Nastąpiła znowu krótka pauza, podczas której „Potwór” pociągał z cygara i z widocznym zainteresowaniem obserwował okna przeciwległego domu.

— Był pan długi czas na Wschodzie, majorze. Czy spotkał pan kiedy Soyokę?

— Tak. A pan?

Podsunał detektywowi pudełko z cygarami. Bickerson wziął cygaro i zapalił. Zgasiwszy starannie ogień i od-

łożywszy wypaloną zapalną do mosiężnej popielniczki, rzekł:

— Widywałem członków jego szajki, ale Soyoki samego nigdy. Spotykałem ich w mieście. Szajka ta jest śliska jak węgorz, nie można jej ująć. Inaczej przedstawia się sprawa z „Amatorami“, na których trop już wpadliśmy. W hrabstwach środkowych jest jeden czy dwóch ludzi, którzy dostali takie ostrzeżenia o „mówieniu za wiele“.

— Spotykał pan ludzi z szajki Soyoki? — przerwał Amery z uprzejmem zainteresowaniem. — To ciekawe. Jak oni wyglądają?

— Zupełnie jak pan... — pauza — ... albo jak ja. Zwyczajni sobie ludzie, po których nie znać wcale, że zdobywają majątki dostarczaniem pacjentów zakładom dla nerwowo chorych. W kraju naszym wydaje się tygodniowo trzydzieści tysięcy funtów na narkotyki — jest to ponad półtora miliona rocznie. Osiemdziesiąt procent z tego stanowi zarobek, a cały handel skupiony jest w niewielu rękach. Rozumie pan to przecież, majorze Amery? Amery skinął potakująco głową.

— Oznacza to, — ciągnął detektyw, — iż poważanym firmom oplaca się zajmować tym interesem, zwłaszcza, że rozwija się on coraz bardziej. Półtora miliona w tym roku staną się w przyszłym roku trzema milionami, jeżeli nie znajdziemy człowieka, który stanie się świadkiem koronnym — w Ameryce nazywa się to świadek państwowy?

— Tak słyszałem, — rzekł Amery. — Innemi słowy, jeśli nie znajdziecie kogoś, ktoby porządnie „wyspał“, nie schwytaacie Soyoki?

— Tak. Wątpię, czy nam się to jeszcze w tym roku uda. Może nam się też poszczęści zlikwidować szajkę, o ile znajdziemy człowieka, który zabił Maurycego Tarna, choćby był biały czy żółty!

— Rozumiem. Podejrzewa pan ciągle jeszcze biednego Feng Ho?

— Nie podejrzewam nikogo, — odparł detektyw spokojnie. — Alibi pana Feng Ho jest w porządku.

— Zabierał się do odejścia.

— Bardzo dzielna panienska — mam na myśli miss Marlowe. Chciałem się spokojnie rozejrzeć po pańskim pokoju, ale ona mi nie pozwoliła.

— Czy i ona jest podejrzana?

Detektyw strząsnął ostrożnie popiół do kominka.

— Nie, ona nie jest podejrzana. Wszystko jest z nią w porządku, chyba że...

— Chyba że co?

— Chyba że zdołamy dowieść, iż wkrótce przed morderstwem kupiła w aptece około dwóch uncyj laudanum.

— Co?

— Mam na myśli laudanum, które znaleziono w nawpół opróżnionej butelce z wódką, stojącej obok Maurycego Tarna, w butelce, z której on pił przez cały wieczór, — rzekł detektyw. — Dowidzenia!

ROZDZIAŁ XXVI.

Dziwne pytanie.

Elza słyszała, jak nucąc pod nosem, szedł przez korytarz, i nie przypuszczała nawet, jakie podejrzenie padło na nią.

Popołudniu miała zazwyczaj wiele roboty, ale dzisiaj „Potwór“ nie wzywał jej, choć był jeszcze w swoim pokoju. Musiała wziąć registrator z pokoju, w którym dawniej urzędował Tarn, a gdy zapukała i usłyszała łagodny głos „Proszę“, serce ścisnęło się jej boleśnie. Obawy jej były zbyt liczne, gdyż w pokoju nie pozostało nic, co mogłoby jej przypomnieć Maurycego Tarna. Biuro zostało całkowicie odremontowane, nie pozostało nic, nawet dawny kalendarz ścienny był zdjęty.

Feng Ho siedział ze skrzyżowanymi nogami przed stołem, wznoszącym się niewielej jak o cal nad podłogą. Stół ten wydawał się dla niego za mały, gdyż więcej niż połowę jego powierzchni zajmowała wielka, złożona klatka, resztę kałamarze i pendzle. Feng Ho zdjął część swej modnej garderoby, która wisiała na kołku za drzwiami, a nosił natomiast czarny jedwabny kaftan.

— Dzieńdobry, miss, — rzekł, szczerząc zęby. — Piętnięł za panią bardzo.

Kanarek, jakby chcąc potwierdzić słowa swego pana, rozebrzmiał trelami, które ustały równie nagle, jak się zaczęły.

Elza nie wiedziała, co ją skłoniło do tego pytania. Kiedy wchodziła, nie miała go nawet na myśli, ale dni te były widocznie dniami nieprzewidywanych impulsów.

— Feng Ho, czy pan zamordował mr. Tarna? — zapytała, zdumiewając się sama swoją głupotą.

Mały człowieczek nie czuł się wcale obrażony.

— Miss, wiele już czasu minęło, odkąd po raz ostatni zabiłem człowieka, — rzekł, — z premedytacją, jak to nazywa prawo. Przed laty tak. Wtedy było to konieczne, trzeba było bezwarunkowo obciąć główki kilku Chińczykom, gdyż postąpili oni bardzo niegrzecznie z moim tatusiem — przecięli mu szyję ostrem narzędziem.

— Nie wiem sama, dlaczego pana zapytałam, — rzekła Elza, bliska płaczu z gniewu na własną głupotę.

— Wybaczy mi pani, miss, ale brzmi to bardzo prawdopodobnie. Gdybym bowiem poprzednikowi swemu w tem biurze obciął głowę lub uśmiercił go w jakikolwiek inny sposób, trudno przypuścić, abym to wyznał oficjalnie dla przyjemności oficjalnych uszu. Nawet bakałarz nauk przyrodniczych nie jest o tyle zaprzędany prawdzie naukowej, aby miał mówić prawdę, jeśli to prowadzi na szubienicę.

Było to logiczne i prawdziwe. Wiedziała, że Feng Ho będzie o tem mówił z majorem i uprzedziła go sama, wspominając mu przy najbliższej sposobności o tej rozmowie.

— To było głupie pytanie, sama nie wiem, dlaczego je zadałam, — rzekła zmartwiona.

— Jest pani ciągle jeszcze zdania, że Feng Ho był obecny podczas morderstwa? — zapytał Amery, gdy skończyła.

— Tego jestem pewna.

— A jednak nie zameldowała pani tego policji? Dopiero po znalezieniu kapelusza mogło powstać podejrzenie

w stosunku do niego, — dodał, — gdyż policjant widział go bez kapelusza.

— I pan go widział!

Amery spojrzał na nią z pod wpeł przymkniętych powiek.

— Dlaczego pani to twierdzi? — zapytał.

— Był pan natychmiast po spełnieniu morderstwa na miejscu. Jeśli człowiekiem, którego widziałam w pokoju, był Feng Ho, udał się on natychmiast do pana, zatem widział go pan!

— Naturalnie, że go widziałem. — Głos jego brzmiał prawie drwiąco. — A jednak dziwne to jest, że żaden policjant nie dopatrył się związku pomiędzy moją wizytą a osobą Feng Ho. Powinna pani wstąpić do Scotland Yardu. A poza tem, — dodał, — czy pani miewa bóle zębów?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Bóle zębów, majorze Amery? Nie; dlaczego?

— Nie wiem. Tak mi to na myśl przyszło. Jest to możliwe, bo większość ludzi cierpi na zęby. Gdyby panią jednak kiedy bolały zęby, znam lepszy środek niż laudanum, które jest bardzo niebezpieczne.

Zauważył, jak Elza na chwilę ściągnęła brwi.

— Nie wiem, co pan chce przez to powiedzieć, — rzekła.

— Nie znam żadnego laudanum i nigdy tego nie widziałam. Co to ma znaczyć?

Amery po raz drugi ukazał białe zęby w uśmiechu.

— Jest pani bardzo podejrzliwa, miss Marlowe! Jestem poniekąd rad, że pani odchodzi, — dał za całe wyjaśnienie.

ROZDZIAŁ XXVII.

Przeprowadzka Elzy.

Kiedy w sobotę rano przyniesiono Elzie kopertę z pensją, otworzyła ją z uczuciem ulgi, a zarazem żalu. Choć „Potwór“ popadł znowu w swój milczący nastrój, był jednak teraz znośny, a Elza odkrywała w nim codziennie jakąś nową właściwość, coś, co było wyjątkowo zajmujące, choć niezbyt zasługiwało na podziw.

Nie licząc pieniędzy, spojrzała na obrachunek i przekonała się, że doliczono jej znaczną sumę za godziny nadetatowe. Co dziwna, wolałaby nie otrzymać tych pieniędzy i wykonać tę specjalną pracę darmo, chociaż nie wiedziała, dlaczego.

O pierwszej, gdy miała już odchodzić, uporządkowała swój pulpit i wyjęła z szuflady wszystkie swoje prywatne rzeczy. Potem uczuła wielkie przygnębienie, które nie miało jednak nic wspólnego z tem, że pozostała bez posady. Gdyż adwokat Tarna zawiadomił ją, że zmarły pozostawił jej znaczną sumę, którą może każdej chwili rozporządzać. Zapukała do drzwi gabinetu Amery'ego i weszła.

Major spacerował po pokoju. Na jej widok zatrzymał się, odwrócił i spojrzał na nią pytająco.

— No?

— Odchodzę, — rzekła Elza.

— Tak, naturalnie, toż to dziś sobota. Dziękuję bardzo, miss Marlowe! W poniedziałek chcę załatwić korespondencję z Nangpoo. Niech mi pani przypomni, kiedy nadejdzie poczta chińska, że...

Elza uśmiechnęła się. — Nie będzie mnie tutaj, aby panu przypomnieć, majorze Amery,— odparła.

Spojrzał na nią zdumiony.

— Dlaczego pani nie będzie?

— Dlatego — że opuszczam firmę dzisiaj. Wie pan przecież.

— Ach, tak — naturalnie!

Zapomniał o tem. Potem zapytał:

— Kiedy odbędzie się odroczone rozprawa sądowa?

— W poniedziałek.

Zagryzł wargi, a Elza zastanawiała się, czy ściągnięcie brwi spowodowane zostało przez nią, czy przez kłopoty, które spowodowała śmierć Maurycego Tarna.

— Lepiejby było, gdyby pani pozostała jeszcze do następnej soboty, — rzekł Amery, a Elza, z niezrozumiałych dla siebie powodów, chciała mu już podziękować za tę propozycję, gdy ambicja powstrzymała ją od tego.

— Przygotowałam się na dzisiaj, — odpowiedziała, w obawie, że ostatecznie mogłaby jeszcze ustąpić.

— A ja się przygotowałem na to, że odejdzie pani w przyszłą sobotę. Nie mogę przecież dyktować listów osobie, która pisze Chiny przez „H“. Dziękuję.

Zwolnił ją skinieniem głowy, życzliwszem niż zwykle, a Elza ze zmiennem uczuciem powróciła do swego pokoju. Odkładając swoje rzeczy na zwykłe miejsce, pomyślała, że nie idzie przecież o tydzień więcej, czy mniej, i że lepiej może pozostać, aż rozprawa sądowa zostanie ostatecznie zakończona.

Chociaż nie miała już być więcej przesłuchiwana, rozprawa napawała ją zgrozą. Na szczęście trwała tylko dwie godziny, a werdykt znudzonych przysięgłych brzmiał: „Morderstwo popełnione przez jedną lub kilka nieznanych osób“.

W sali sądowej nie widziała Ralfa, choć stał on przeszło pół godziny w głębi galerji. Powróciła do biura w porę jeszcze, aby podać majorowi Amery'emu herbatę. Widocznie nie krępowało go, że Elza przyglądała się, jak zanurzył szybko w herbacie i mleku wąskie paski papieru.

— Jak tam było dzisiaj na rozprawie? — zapytał, gdy chciała wyjść.

— Przysięgli wydali zwykły wyrok, — odpowiedziała Elza.

Skinął głową.

— Majorze Amery, — zapytała Elza, — czy przypuszcza pan, że morderca zostanie kiedykolwiek odnaleziony?

Amery wolno podniósł głowę. — W Londynie popełnia się przeciętnie pięćdziesiąt sześć morderstw rocznie. Dwudziestu ośmiu morderców dostaje się na szubienicę, dwudziestu siedmiu z ułamkiem odbiera sobie życie, a reszta uchodzi bezkarnie. Prawdopodobieństwo, że morderca zostanie schwytany, wynosi mniej więcej pięćdziesiąt sześć pomnożone przez jakieś trzysta. Czy widziała pani swego przyjaciela Hallama?

— Nie, nie widziałam go, — odpowiedziała Elza, zdając sobie sprawę, że pytanie to nie miało związku z rozmową. — Telefonował do mnie wczoraj, aby mię o coś zapytać.

Amery skinął głową.

— Czy wspomniała mu pani może o moim żarcie z bólem zębów?

— Z bólem zębów? Ach, ma pan na myśli laudanum? Oczywiście nie. Skądżeby?

Amery rzekł, nie podnosząc głowy: — Na pani miejscu nie zrobiłbym tego. Czy pozostanie pani w hotelu?

Elza potrząsnęła głową. — Nie, to dla mnie za drogie. Zabawię przez tydzień u przyjaciółki, a przez ten czas poszukam sobie nowego mieszkania. Policja oddała mi dzisiaj do dyspozycji mieszkanie mr. Tarna, pójdę więc po swoje rzeczy. Potem adwokat mój zamierza oddać meble aukcjonerowi. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałabym dzisiaj wyjść wcześniej.

— Oczywiście. Może pani pójść zaraz. Czy Hallam wie, że udaje się pani po raz ostatni na Elgin Crescent?

Spojrzała na niego zdumiona, gdyż człowiek ten stawiał niezwykle pytania.

— Co go to obchodzi? Jest on bezsprzecznie naszym bliskim przyjacielem, nie uważam jednak, aby Dr. Hallam był tak niezastąpiony, bym się bez niego nie mogła ruszyć. Dlaczego powraca pan ciągle do tej sprawy, majorze Amery?

— Bo mię to bawi!

Elza nie uważała dotąd nigdy Ralfa za zabawnego.

Kiedy przybyła do domu na Elgin Crescent, czekał na nią urzędnik adwokata i Elza była rada, że nie jest sama. Mieszkanie było brudne i zaniedbane, a zbieranie swego skromnego mienia sprawiało Elzie przykrość. W poszukiwaniu jakiejś książki zaszła do gabinetu Tarna. Widać było odrazu, że pokój przeszukiwano dokładnie, gdyż książki wyjęte były z półek, biurko i krzesła odstawione pod ściany, a dywan zwinięty. Była z tego zadowolona, gdyż stan obecny mało jej przypominał mieszkanie, w którym spędziła tyle lat.

Zapakowała kufer i weszła do komórki, aby wyjąć skrzynkę drewnianą, która towarzyszyła jej zwykle podczas wyjazdów letnich. Składała się ona właściwie z pięciu

szuflad, dopasowanych ściśle i ustawionych jedna na drugiej. Z pomocą służącej, która przysła także, wniosła skrzynkę na górę, otworzyła ją i wyjęła trzy górne szuflady. Czwartej szuflady nie mogła wyjąć.

— Nic nie szkodzi, Emiljo! — rzekła Elza. — W trzech górnych szufladach jest dość miejsca na wszystko, co chcę zabrać.

Pośpieszyła się z pakowaniem, gdyż zaczynało się ściemniać, a chciała skończyć przed zapadnięciem nocy. Kiedy zapakowała wszystko, rozejrzała się raz jeszcze po pokoju, potem zeszła na dół, aby oddać klucze urzędnikowi adwokata i pożegnać się z płaczącą służbą, którą uważała poniekąd za należącą do rodziny. Ogarnęło ją uczucie wdzięczności, że mogła opuścić to miejsce, pełne brudnych i nieawistnych wspomnień, i rada była, gdy auto skręciło w Colville Gardens, a smutna ulica znikła jej z oczu, jak pragnęła, na zawsze.

Największy pakunek, którego prawie nie potrzebowała, pozostawiła w hotelu, zapłaciła rachunek i pojechała na Herbert Mansions. Nie mogła odkładać dłużej przyobiecanej mrs. Trene Hallam wizyty. Jechała tam jednak z przeczuciem, że czekają ją przeżycia niemiłe, lecz nieuniknione.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Gość.

Ralf poraz szósty otworzył okno i wyrżał. Ale auta ciągle jeszcze nie było widać, powrócił więc do swego fotelu przed kominkiem.

— Wiele to już lat, kiedy tak na mnie czekałeś, Ralfie!
— rzekła mrs. Hallam bez gniewu.

— Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek czekał,
— rzekł Ralf. — Żartujesz chyba, Lu?

Pani Hallam uśmiechnęła się. — Co to właściwie za staruszek? — zapytała. — Czy mam mu okazać swoje najlepsze maniery, czy też mogę go traktować jak kogoś ze swoich?

— Ten „staruszek“ to mój bankier, jeden z najbardziej poważanych ludzi w City, który na dźwięk ordynarnego słowa wyskoczyłby ze skóry.

Mrs. Hallam westchnęła ciężko. — Zawsze kiedy jesteś u mnie na obiedzie, — rzekła z wyrzutem, — zapraszasz takich truposzów. Jeżeli to jest twoje życie, Ralfie, dziwię się, że się nie starzejesz. Ja osobiście wolę towarzystwo, które zaczyna od cocktailów, a kończy śniadaniem.

Twarz Ralfa zdradzała nieukontentowanie.

— Zdaje się, że to jest ordynarne, — rzekła mrs. Hallam, patrząc na niego bacznie. — Możesz to przypisać memu ulicznemu wychowaniu. Od tygodnia już nie użyłeś słowa „ulica“. Ale oto twoja piękna panienska.

Wstała, gdyż rozległ się dzwonek.

Elza dowiedziała się o obecności Ralfa dopiero obejrawszy jej mieszkanie, składające się z ładnie umeblowanej sypialni i małego saloniku.

— Myślałem, że dobrze będzie zobaczyć, jak się tu urządziłaś, — rzekł Hallam, podając jej rękę.

Nie była zła o to, gdyż w towarzystwie jego „bratowej“ czuła się nieszczególnie.

— Jeden z naszych bliskich przyjaciół będzie dzisiaj na obiedzie. Zdaje się, że to i pani przyjaciel, — rzekła mrs. Hallam. — Zna pani przecież drogiego mr. Tuckerwilla?

— Tupperwilla! — rzekł Ralf głośno.

Elza zauważyła omyłkę i zdziwiła się, że można nie pamiętać nazwiska tak bliskiego przyjaciela.

— Nie powiem, aby to był mój przyjaciel. Widziałam tego biednego człowieka zaledwie dwa razy.

— Jest już zdrow zupełnie, — rzekł Ralf.

Kiedy spostrzegł, że żona jego nie wiedziała nic o wypadku Tupperwilla i mogła się zdradzić, iż nie widziała go nigdy na oczy, odwołał ją pod jakimś pozorem z pokoju.

— Tupperwill został przed kilku dniami napadnięty. A poza tem zechciej sobie zapamiętać jego nazwisko, — rzekł szorstko. — Ta dziewczyna jest sprytna. Nie było powodu, abyś go nazywała swoim bliskim przyjacielem, gdyż nie widziałaś go nigdy.

— Poco on wogóle przychodzi?

— Przychodzi, — rzekł Ralf z namysłem, — aby osłabić przykre wrażenie, jakie ty możesz wyrzucić. Chciałbym, aby ta dziewczyna czuła do ciebie nieco większe zaufanie, niż dotąd. Chwilowo jest nerwowa, a jeśli nie będzie się tu czuła jak w domu, odwoła ją coś do hotelu, a tego chciałbym uniknąć. Za kilka dni wtajemniczę ją w swój zawód.

— A jest nim?

— To ciebie nie obchodzi. Ona może mi się przydać. Rozumiesz?

Elza żałowała już, że przyjechała, a przynajmniej pragnęła, aby się już ta męka skończyła, gdyż nie było to nic innego jak męka. Nie ufała pani Hallam.

Serdeczność jej była tylko powierzchowna i nieszczerą. Nie umiała ukryć oschłości, kryjącej się za tym niezmiennym uśmiechem.

Mr. Tupperwill przyszedł dopiero później, gdy Elza przebrała się już i powróciła do salonu. Przygoda jego nie pozostawiła żadnego śladu, był może tylko bardziej jeszcze gadatliwy. Oczy jego rozjaśniły się na widok Elzy i pośpieszył przez salon podać jej miękka, ciepła dłoń.

— To cudowna niespodzianka! — zawołał. — Tym razem spotykamy się w warunkach, bardziej sprzyjających miłej rozmowie!

— Bratową moją zna pan, — rzekł Ralf, a mrs. Hallam, która udawała, że zna bankiera dobrze, stała się wylana i serdeczna.

Mimo to obiad z towarzyskiego punktu widzenia był nieudany. Lu była w najwyższym stopniu znudzona, Elza spoglądała trwożliwie, gdyż niepokój jej wzrastał. Jediną osobą, zadowoloną ze stanu rzeczy, był mr. Tupperwill. Mówił na swój ulubiony temat, dotyczący pochodzenia języka angielskiego, i ciągnąłby swoje wywody filologiczne do końca wieczoru, gdyby Ralf nie skierował rozmowy na inny temat.

— Nie, policja nie odkryła niczego, — odparł mr. Tupperwill na jego pytanie i smutno potrząsnął głową. — Zły byłem, że policja dowiedziała się o tem, i dotąd nie rozumiem, jak się dowiedziała. Chyba że major Amery zawiadomił ją o wypadku. Jestem pewien, że pan tego nie zrobił, drogi Hallamie!

— Naturalnie, że ja zawiadomiłem policję, — rzekł Hallam bez wahania, a mr. Tupperwill widocznie nie był z tego zadowolony. — Był to mój obowiązek. Bickerson zapewne pana odwiedził?

— Był u mnie dwa razy, — rzekł mr. Tupperwill. — To bardzo miły człowiek, ale bardzo, bardzo ciekawy. Zresztą, — Tupperwill zniżył głos i ciągnął tonem poufnym, niezrozumiałym dla pozostałych osób — to, czego się pan spodziewał, stało się. Wiadoma osoba zamknęła swoje konto!

Ralf spojrział znacząco na Elżę, a mr. Tupperwill zmieszał się na chwilę.

— Rzeczywiście? Odrazu panu powiedziałem. Mogłem się o to założyć!

Mr. Tupperwill oświadczył, że nigdy się nie zakłada.

— Pomówimy o tej sprawie później, — rzekł, a wzrok jego skierowany był na Elżę Marlowe.

Okazja nadarzyła się, gdy mrs. Hallam wyszła z Elżą, aby jej pokazać fotografie nagrodzonych psów.

— Powiada pan, że zamknął konto i zabrał kasetkę?

Tupperwill skinął głową. — Po raz ostatni dopuściłem się tego wykroczenia, że mówiłem o sprawach bankowych z najlepszymi choćby przyjaciółmi, — rzekł poważnie. — Nie akceptując zresztą pańskiej teorii, którą uważam nadal za nieprawdopodobną, mianowicie, jakoby Amery miał coś wspólnego z moim wypadkiem, doszedłem jednak do przekonania, że dla bankiera najlepiej jest trzymać język za zębami.

Wypowiedział to zdanie, jakby uczynił wielkie odkrycie, i cofnął się, obserwując wrażenie swoich słów.

— Tak, zamknął konto bez żadnych wyjaśnień, a mogę pana zapewnić, że jestem z tego bardzo, bardzo zadowolony. Nie może pan sobie wyobrazić mojego nastroju podczas ostatniego tygodnia. Zgrozą przejmowała mię myśl, że

Stebbing's Bank prowadzi konto człowieka, który wedle wszelkich pozorów jest poważanym członkiem społeczeństwa, ale który może — powiadam może — pośrednio lub bezpośrednio związany jest z przedsięwzięciem, które samo przez się jest może niewinne, ale które mogłoby być przez moich dyrektorów źle widziane.

Wypowiedziawszy ten powściągliwy sąd, mr. Tupperwill skinął dłonią, jakby chciał zakończyć rozmowę na ten temat. W tej chwili otworzyły się drzwi i weszła Lu. Ralf Hallam poznał po jej twarzy, że stało się coś niemiłego.

— Jakiś pan chce się z tobą widzieć, Ralfie. Powiada, że pragnie z tobą mówić na osobności.

— Kto to jest?

— Mr. Bickerson.

Dwaj mężczyźni wymienili spojrzenia. — Jest pani pewna, że chce mówić z Hallamem, a nie ze mną? — zapytał Tupperwill.

— Nie, chce mówić z Ralfem. Mr. Tupperwill, może wejdzie pan także obejrzeć moje fotografie?

Tęgi pan był widocznie rad z okazji zbliżenia się do Elzy, na którą już podczas obiadu rzucał ukradkowe spojrzenia podziwu, i w pośpiechu opuścił pokój przed swoją gospodynią. W kilka chwil potem wszedł Bickerson, zamykając drzwi za sobą.

— Czy ma pan do mnie jakąś ważną sprawę? Czy coś się stało?

— Tak, stało się coś, — rzekł detektyw. Głos jego brzmiał zimno, a zachowanie było powściągliwe. Nie czekając na zaproszenie, usiadł na krześle, które przed chwilą opuścił mr. Tupperwill. — Na końcu ogrodu na Elgin Crescent, — rzekł, — równoległe do trotuaru biegnie parkan, a za nim stoją krzewy wawrzynu. Człowiek, idący przez Ladbroke Grove, mógłby tam coś wrzucić i być

pewnym, że nikt tego nigdy nie zobaczy. Niestety ogrodnicy obcinali krzewy i znaleźli to.

Wyjął z kieszeni małą flaszkę z czerwoną etykietą i położył ją na stole. Ralf patrzył na nią spokojnie, nie zdradzając nawet drgnieniem powiek swego zainteresowania tym zdradzieckim dowodem.

— Kiedy znaleziono flaszkę, zawierała ona nieznaczną ilość tynktury opjumowej, co jest medyczną nazwą laudanum, — ciągnął Bickerson. — Kupiona ona została w aptece na Piccadilly w dzień śmierci Tarna. W księdze recepty figuruje pańskie nazwisko, Hallam. A teraz chcę panu coś powiedzieć.

Odwrócił nieco krzesło, tak że siedział nawprost Ralfa.

— Orzeczenie lekarskie zostało na moje życzenie przy rozprawie sądowej częściowo zatajone, nie ujawniono bowiem, że w ciele zmarłego znaleziono laudanum i że butelka, stojąca na stole, zawierała tę samą truciznę. Może pan się zastanowić nad wyjaśnieniem, ale uprzedzam pana, że wszystko, co pan powie, będzie spisane i może być w pewnym określonym wypadku użyte przeciw panu.

— Jaki to wypadek? — zapytał Hallam spokojnie.

— W wypadku, gdybym pana oskarżył o zamordowanie Maurycego Tarna! — brzmiała odpowiedź.

ROZDZIAŁ XXIX.

„Pace“.

Ralf wziął flaszeczkę do ręki i obejrzał ją z uśmiechem.

— To się zgadza, — rzekł chłodno. — Kupiłem tę tynkturę opjumową u Kepella — z polecenia Tarna. Mówiąc ściśle, przepisałem mu laudanum, gdyż cierpiał na bezsenność. Okoliczność, że flaszeczkę tę znaleziono w krzakach, wzbudza zapewne pańskie podejrzenia? Co? Przypuszczam, że gdyby znaleziono ją na śmietniku, nie byłaby dowodem. Czy to nowa teoria policji, że mr. Tarn umarł wskutek otrucia? Przypominam sobie mały nóż z czarną rękojeścią — czyż to nie ma nic wspólnego z jego śmiercią?

— Chce pan może twierdzić, że Tarn sam wlał sobie laudanum do wódki? — zapytał Bickerson.

— Nie twierdzę nic, — rzekł Ralf Hallam, wzruszając ramionami. — Nie moją jest rzeczą snuć przypuszczenia. Chwilowo chciałbym tylko odeprzeć przypuszczenia, które łączą moją osobę ze śmiercią Tarna.

Spojrzał na detektywa w zamyśleniu. — Gdyby to należało do mnie, powiedziałbym, iż dziwnem mi się wydaje, że na rozprawie nie wspomniał pan wcale o swojej telefonicznej rozmowie z Tarnem.

Detektyw zarumienił się,

— To było niepotrzebne, — rzekł. — Rozmowa telefoniczna, której pan był świadkiem, wciągnęłaby do sprawy nazwisko osoby trzeciej. Hallam, przy rozprawie sądowej nie wspomniano o znacznej części materiału dowodowego. Naprzykład nie uważałem za wskazane wspomnieć, że dwie godziny przed śmiercią Tarna był pan w jego mieszkaniu...

— Z miss Marlowe! — przerwał Ralf.

— Był pan w mieszkaniu i miał pan dość sposobności, aby wejść do jego pokoju i zatruć wódkę, którą pił, gdyż znał pan jego przyzwyczajenia.

Ralf roześmiał się.

— Chce pan przez to powiedzieć, że miss Marlowe okazała mi pomoc w zatruciu wódki? Powiadam panu, że była przez cały czas w mieszkaniu i że ją tam pozostawiłem. Dlaczego miałbym go oszłomić?

Detektyw nie odpowiedział od razu na to pytanie, lecz rzekł:

— Wypytałem miss Marlowe zupełnie dokładnie i wiem, że pozostawiła pana na piętrze, na którym znajduje się gabinet, a sama weszła na górę, aby spakować rzeczy. Chciała przenocować u jakiejś krewnej. Pozostawiła pana samego przez dziesięć minut, a co dotyczy tamtej sprawy, będę z panem zupełnie szczery. Mam dane, aby przypuszczać, że był pan wmieszany w handel narkotyków, który uprawiał Tarn. Jeśli tak było i dowiedział się pan, że Tarn umówił się ze mną na dziewiątą, zachodzi możliwość, iż pan przypuszczał, że chce on zrobić wobec mnie jakieś zeznanie przeciwko panu. Powiem panu dalej zupełnie szczerze, że nie wierzę, jakoby kupił pan laudanum na zlecenie Tarna.

Ralf wyprostował się i stał się ostrożniejszy. Niebezpieczeństwo, które uważał za minione, powracało w niepokojącej postaci,

— Ton pański nie podoba mi się, Bickerson! — rzekł.
— Jeśli pan sądzi, że handlowałem narkotykami, albo w inny sposób związany byłem z Tarnem, lub że jestem pośrednio czy bezpośrednio odpowiedzialny za jego śmierć, zna pan najprostszą drogę.

Twarz Bickersona była bez wyrazu i Ralf widział, że detektyw nie zamierzał podjąć jego wyzwania.

— To zupełnie łatwe, — rzekł Bickerson, — ale wiem dokładnie, co znajdę, jeśli pójdę tą drogą. Laudanum jest bezwzględnie zapisane w pańskiej książce recept na nazwisko Tarna.

Nagle detektyw roześmiał się głośno i wyciągnął do Ralfa rękę.

— Obawiam się, doktorze, że sprawiłem panu kłopot swemi odwiedzinami, ale morderstwo to wytrąciło mię z równowagi, a szajki handlarzy narkotyków załazy mi już porządnie sadła za skórę. Za kilka dni będę o tem wiedział więcej, niż dzisiaj.

Wziął ze stołu flaszeczkę od laudanum i wsadził ją do kieszeni.

— Gdybym wiedział nieco więcej, w krainie snów byłoby wiele zgryzoty! — rzekł, zabierając się do odejścia.

Ralf odprowadził go do drzwi. Detektyw stał chwilę za drzwiami, potem rzekł krótko „Dobranoc“ i zszedł po szerokich schodach na ulicę. Kiedy Dr. Hallam zamknął za nim drzwi, nastąpiło odprężenie. Opadł na krzesło i otarł pot z czoła.

Jakimże głupcem był! Najprostszą rzeczą byłoby przecież zabrać flaszeczkę do domu i wrzucić do pieca, ale w chwili zbyt wielkiej trwogi popełnił głupstwo, które mogło się stać jego zgubą. Pod jednym względem miał Bickerson rację. Jego książka recept na Half Moon Street wykazałaby, jakie było przeznaczenie laudanum. Dziwnym zbiegiem

okoliczności dokonał tego aktu przezorności, coprawda dopiero później, i dziękował niebu za natchnienie, które skłoniło go do zanotowania fałszywej recepty w książce, której od lat nie używał.

Minęło pełne pięć minut, zanim odzyskał panowanie nad sobą i powrócił do salonu. Gdy wszedł, Lu spojrzała na niego z z troskaniem, ale twarz jego nie zdradzała nic. Elza grała na fortepianie, a otyły mr. Tupperwill stał obok niej i tłustymi palcami trzymał kartkę nut, którą miał właśnie odwrócić.

— Co się stało? — zapytała mrs. Hallam cicho.

— Nic, — odparł Ralf. — Chciał ze mną mówić o Tarnie.

Spojrzał na Tupperwilla i uśmiechnął się. — Wygląda, jakby go mocno chwyciło, — rzekł.

Mrs. Hallam skinęła głową. — Nie ulega wątpliwości, — zgodziła się z nim, a Ralf Hallam ze względu na jakies złe zamiary zadowolony był z tego stanu rzeczy.

A jednak, zapraszając bankiera na obiad, nie miał zamiaru wyrzucić na niego wpływu, chciał tylko natchnąć dziewczynę zaufaniem do domu mrs. Hallam. Znał jej niepokój i kaprysy, a czcigodność mr. Tupperwilla miała stanowić przeciwwagę.

— Cudowna rzecz, naprawdę cu—dow—na! — westchnął Tupperwill, odwracając ostatnią kartkę. — Pokój! Pokój! To dewiza mego domu. To główny motyw mego życia. Moją prywatną kasę otwiera słowo „Pace“ . . . co znaczy . . . hm . . . — Zauważył, jak pożądlive oczy mrs. Hallam spoczęły na nim i zaniepokoił się. — Czy pani śpiewa, miss Marlowe? — zapytał, zwracając się znowu do Elzy.

Elza roześmiała się. — Tylko przy drzwiach zamkniętych, — rzekła uroczyście. — Innemi słowy, wiem, jak daleko mogą się posunąć.

Mr. Tupperwill westchnął znowu. — Szkoda bardzo! — Wzrok jego pełen był nieklamanego podziwu. — Bardzo szkoda. Jestem pewien, że oczarowałaby pani słuchaczów. Ma pani wielkie zdolności, miss Marlowe.

Elza musiała się roześmiać głośno. — To bardzo miło słyszeć takie rzeczy, — rzekła sucho. — Pragnę uważać komplement pański za przeciwwagę wielu niezbyt pochlebnych rzeczy, które słyszę przez cały dzień.

— Co ma znaczyć, że Amery ma maniery brutala, — rzekł Ralf.

— Amery? — Mr. Tupperwill obejrzał się zdumiony. — Czyż panią łączy coś z mr. Amery'm?

— Pracuję w jego biurze, — odparła Elza, nieco zła.

Nie wiedziała sama, dlaczego chciała odeprzeć wzgardliwy ton słów Tupperwilla, a jednak uczyniła to.

— Błędem byłoby oczywiście przypuszczać, że słyszę od majora Amery'ego wiele niepochlebnych rzeczy, — ciągnęła. — Jeśli prawdą są wszystkie historie o panienkach, pracujących w biurach, szczęściem jest posiadać szefa, który nie jest ani zbyt łagodny, ani zbyt serdeczny!

Mr. Tupperwill bawił się swoją wargą. — To prawda! — rzekł. — To zupełna prawda! Rozumie pani chyba, że nie zamierzam powiedzieć o majorze Amery'm niczego uwłaczającego, — dodał. — Byłoby to bardzo niesprawiedliwe z mojej strony, gdybym chciał umniejszać jego zasługi. Toby było wprost niewybaczalne.

Elza zmieniła szybko temat rozmowy, a po kilku minutach siedziała przed stolikiem karcianym i wtajemniczała się w arkana bridża.

O pół do jedenastej mr. Tupperwill spojrzął na zegarek i bardzo był przerażony spóźnioną porą.

— Obawiam się, że zostałem za długo, — rzekł, — ale wieczór był bardzo miły. Drogi mr. Hallam, nie wiem, jak panu dziękować, że mi dał sposobność rozerwać się trochę.

Z głową nieco pochyloną spoglądał na każdego pokolei.

— Czy uważaliby państwo za niewłaściwe, gdybym ich zaprosił na jutro wieczór na obiad — czy też może macie inne plany?

Elza nie miała żadnych planów ani życzeń, prócz jednego, aby jak najrychlej znaleźć małe mieszkanie i w ten sposób jak najrychlej położyć kres swojej wizycie u mrs. Hallam. Ale Ralf zaoszczędził jej kłopotu mówienia, przyjmując zaproszenie bankiera. Odprowadził gościa aż do oczekującego auta, a gdy powrócił, Elza odeszła już do swego pokoju, a mrs. Hallam siedziała przed kominkiem i paliła papierosa.

— Czem on jest? — zapytała.

— Bankierem. Gdzie Elza?

Mrs. Hallam wskazała głową na pokój Elzy.

— Czy muszę iść jutro wieczór do niego? — zapytała.

— Ten staruszek jest najnudniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałam, odkąd wycofano omnibusy końskie. Ten stary bałwan zadurzył się w niej na śmierć.

— W Elzie? — roześmiał się Ralf. — Tak, i mnie się tak wydaje.

— Przecież on jest żonaty? — rzekła mrs. Hallam, puszczając kłąb dymu w ogień kominka.

— Nie, nie jest żonaty. Człowiek taki, jak on, nigdy się nie ożeni.

— Tak? — rzekła mrs. Hallam drwiąco. — Tupperwill jest człowiekiem, który do sześćdziesiątego roku życia pozostanie wolny i nieżonaty, a potem pierwszej lepszej tancerce, która opowie mu smutną historję swego życia, odda klucze domu i poświęci swoje dobre zasady. Uważaj na Elzę, mój chłopcze! Czy on jest bogaty?

— Bogatszy, niż marzą tancerki! — rzekł Ralf cynicznie. Mrs. Hallam spojrzała ponuro w ogień i rzekła:

— Ralfie, czy ty jesteś bogaty?

Spojrzał na nią szybko. — Co przez to rozumiesz?

— Chyba nie trudno na to odpowiedzieć? — rzekła niecierpliwie. — Czy jesteś bogaty?

— Nie tak bogaty, jak jeszcze będę, — rzekł Ralf swobodnie. — Spodziewam się, że za tydzień będę o milion sto siedemdziesiąt cztery tysiące dolarów bogatszy niż dzisiaj.

Taka cyfra wypisana była na kartce, którą znalazł w kasie Tarna. A pieniądze te gdzieś musiały być. Był przekonany, że gdyby miał sposobność przeszukać gabinet Pawła Amery'ego, nietrudnoby mu było odnaleźć skradzione mienie.

Mrs. Hallam nie odpowiedziała. Siedzieli oboje w milczeniu, aż wypaliła papierosa i wrzuciła niedopałek do kominka.

— Zarówno w miłości, jak i w sprawach pieniężnych jesteś optymistą, — rzekła mrs. Hallam. — Zdaje się, że znacznie trudniej będzie ci zdobyć dziewczynę, niż pieniądze. Co to znaczy „Pace“, Ralfie?

ROZDZIAŁ XXX.

Załatwiony list.

Elza od kilku już tygodni nie spała tak dobrze, jak tej nocy. Gdy ją zawezwano do śniadania, które zjadła sama, oswoiła się już zupełnie z nowem otoczeniem. Mrs. Hallam oznajmiła jej już, iż nie wstaje przed południem, a Elza była nawet rada, że ją pozostawiono samą. Przy tego rodzaju mieszkaniach usługa należała do mieszkania — kobiety do sprzątanía przychodziły na wezwanie, jedzenie gotowano w kuchni, która mieściła się w piwnicy, a pokojówka mrs. Hallam wystarczała jej w zupełności.

Kiedy Elza przyszła do biura, majora Amery'ego nie było jeszcze. Zjawił się dopiero koło jedenastej. Zazwyczaj wchodził osobnem wejściem wprost do swego gabinetu, dziś jednak przeszedł przez całe biuro, a gdy Elza powiedziała mu „Dzieńdobry“, wydał się jej niezwykle zmęczony i wyczerpany.

— Dzieńdobry! — mruknął i znikł w swoim pokoju, zamykając drzwi za sobą.

W kilka minut później wszedł Feng Ho i powitał ją jak zwykle uśmiechem.

— Czy major Amery już jest? — zapytał, a gdy otrzymał odpowiedź twierdzącą, zniżył głos i rzekł tajemniczo: — Nocne wędrówki powodują spóźnienia rano!

Coś w jego twarzy przyciągnęło uwagę Elzy.

— Zdaje się, jakby pan sam oddawał się nocnym wędrówkom, Feng Ho, — rzekła, widząc ciemne kręgi pod jego oczyma.

— Jako *Baccalaureus Scientiis* zużywam o północy wiele światła, — odpowiedział Chińczyk spokojnie. — Najpierw muszę uśpić Pi.

— Jak pan to robi? — zapytała Elza zaciekawiona.

— Zamykam go w ciemnym pokoju, — wyjaśnił Feng Ho, — gdzie żaden promyk nie naśladuje światła dziennego i nie pobudza go do śpiewu, gdy pożądany jest sen.

Spojrzał lękliwie na drzwi pokoju Amery'ego.

— Czy chce pan mówić z majorem?

— Nie, miss, — odparł Feng Ho szybko, — nie wcześniej, aż trzeźwa myśl rozwieje resztki fantastycznych urojeń.

Zachowanie jego zdradzało niepokój, nie licujący z jego zwykłą swobodą. O ile Elza wiedziała, nic jeszcze nie pozabawiło go nigdy spokoju. Zauważyła już dawniej, że zaniepokojenie Feng Ho objawiało się w jego mowie. Zazwyczaj mówił poprawną angielszczyzną, jedynie gdy coś trapiło jego myśl, kaleczył mowę i wyrażał się długimi zdaniami.

— Muszę z nim jednak pomówić, — rzekł nagle. — Kiedy się mocno ściska pokrzywę, niweczy się siłę trującego ukłucia.

Zanim Elza zorientowała się, co się stało, Chińczyk zapukał do drzwi, otworzył je i znikł, zamknawszy znowu drzwi za sobą. Elza usłyszała podniesiony głos Amery'ego, który brzmiał bardzo gniewnie. Mówił (jak sądziła) po chińsku; odpowiedzi Feng Ho brzmiały jak szept. Wkrótce głosy ich zagłuszył stukot maszyny do pisania, gdyż Elza nie była ciekawa, a choć zastanawiała się nad

tem, czem Chińczyk mógł wzbudzić gniew swego pana, nie zależało jej bardzo na tem, aby się tej tajemnicy dowiedzieć.

Minęło pełne pół godziny, zanim Feng Ho wyszedł. Twarz jego promieniała. Z niskim ukłonem znikł w swoim pokoju. Rozległ się dzwonek, a gdy Elza, z książką do stenogramów pod pachą, weszła do sanktuarjum swego szefa, zastała go siedzącego na balustradce kominka. Podbródek jego spoczywał na piersi i major miał wygląd przybity i zniechęcony. Kiedy weszła, podniósł nagle wzrok, jakby ją chciał przeniknąć oczyma nawskroś. Potem rzekł:

— Sądzę, że lepiej, aby pani pozostała chwilowo u mrs. Hallam. Cierpi ona wprawdzie na kleptomanię, ale pani przecież nic nie ukradnie!

— Majorze Amery! — zawołała Elza zdumiona.

— Nie chcę powiedzieć nic przeciwko tej pani, — ciągnął major, nie zważając na jej zdumienie. — Zatrzyma panią u siebie, jak długo pani będzie chciała. Na pani miejscu spałowałbym manatki i ulokował się u niej na tydzień lub dwa. Potem wszystko będzie w porządku.

— Rzeczywiście, nie rozumiem pana. Mrs. Trene Hallam była bardzo uprzejma...

Amery przerwał jej ruchem zniecierpliwienia. — O mrs. Hallam niech się pani nie troszczy, ona nie gra roli. Ralf... ale sądzą, że i o niego nie ma się pani powodu troszczyć.

— Dr. Hallam jest moim bliskim i bardzo starym przyjacielem, — rzekła Elza, ale uświadomiła sobie sama, że zamiar okazania się dostojną zawiódł w zupełności.

Zmęczone oczy majora spojrzały jej badawczo w twarz.

— Bardzo bliski przyjaciel? Oczywiście... jest bardzo bliskim przyjacielem. A jednak niech się pani nie niepokoi

o Ralfa. — Potem dodał niespodzianie: — Chciałbym bardzo, aby pani uczyniła coś dla mnie.

Podszedł do biurka, wziął arkusik papieru listowego i zaczął szybko pisać. Naliczyła siedem, osiem, dziewięć wierszy. Potem podpisał z zakrętasem, wytarł list suszką, włożył do koperty i zapieczętował ztyłu lakiem. Napisał nazwisko na kopercie i wręczył Elzie. Ku jej zdumieniu list zaadresowany był do Dra Ralfa Hallama i nosił dopisek „Osobiście“.

— Pragnąłbym, aby pani przechowała ten list w taki sposób, aby miała go pani pod ręką o każdej porze dnia i nocy, — rzekł szybko. — Może Hallam nie jest tak zły, jak przypuszczam. Ale jeśli jest lepszy, omyliłem się bardzo... Niech pani przechowa ten list tak, aby go pani miała zawsze pod ręką! — rozkazał podnieconym głosem. — Gdyby Hallam robił pani jakieś trudności, albo gdyby znalazła się pani w położeniu, w którym nie umiałaby pani sobie poradzić, niech mu pani da ten list!

— Ależ, majorze Amery, nie rozumiem naprawdę, o czym pan mówi. W jakim to położeniu miałabym się znaleźć? — rzekła Elza, trzymając list niezdecydowanie w rękę i spoglądając to na kopertę, to na majora.

— Niech go pani ma przez cały dzień w torebce, a nocy pod poduszką. Gdyby Hallam zapomniał kiedyś o należnych pani względach... wyrażę się jaśniej: gdyby czuła pani przed nim kiedykolwiek lęk, niech mu pani da ten list!

Elza potrząsnęła z uśmiechem głową i wyciągnęła list w jego stronę.

— Nie będę go potrzebowała, — rzekła. — Powiedziałam już panu, że Dr. Hallam i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi, był on też przyjacielem mr. Tarna.

— Prosiłem, aby pani uczyniła coś dla mnie, — przerwał Amery gniewnie, — i to jest wszystko, czego od pani pragnę. Nie przywykłem prosić o przysługi, ale tym razem złamię swoje zasady i proszę panią: niech pani zachowa ten list i zużytkuje go w chwili konieczności! Czy uczyni pani to?

Elza wahała się przez chwilę, potem odpowiedziała:

— Mam wrażenie, że to zupełnie zbyteczne, choć bardzo tajemnicze, ale jeśli pan sobie tego życzy, zgadzam się.

— Doskonale! — zawołał Amery z ożywieniem. — A teraz załatwimy korespondencję urzędową z naszym amerykańskim przyjacielem z policji w Cleveland. Chciałbym się dowiedzieć czegoś o pewnym panu, który chwilowo znajduje się w kłopotach. Niech pani pisze:

„Wielmożny Pan John L. Territet, Prezydent Policji,
Cleveland, Ohio.

Wielce Szanowny Panie! Wczoraj prosiłem Pana depeszą kablową o wiadomość, czy Filip Moropoulos ...“

Elza spojrzała na niego zdumiona.

— Nazwisko to wydaje mi się znajome! Czy to nie ten człowiek, który zaaresztowany został w związku z aferą handlarzy narkotyków? Czytałam o tem w gazecie.

Amery skinął głową i ciągnął:

„... czy Filip Moropoulos, który został przez Pana uwięziony, nie posiada w Anglii jakichś pseudonimów. Z pewnych względów chciałbym stwierdzić, czy nie jest on identyczny z człowiekiem, znanym pod nazwiskiem ...“

Zapukano do drzwi. Była to służąca z biura, w ręku miała depeszę kablową. Elza przyjęła depeszę i wręczyła ją przez biurko Amery'emu.

— Hm! — rzekł major i otworzył depeszę, — akurat w porę. List będzie zbyteczny.

Machinalnie podsunął depeszę Elzie, która przeczytała:

„Amery Co., Londyn. Oskarżenie przeciw Moropoulosowi nie dało się utrzymać. Zwolniony, wyjechał do Anglii“.

Depesza była podpisana: „Prezydent Policji“.

— Hm! — rzekł znowu Amery. — Zwolniony? Oznacza to dla kogoś złe wiadomości.

Elza nie zapytała, kim jest ów „ktoś“, dziwiła się tylko, że major okazywał jej tak niezwykle zaufanie. Widocznie teraz dopiero zdał sobie sprawę z tego, że dał jej depeszę do przeczytania, gdyż wyrwał jej ją.

— To wszystko! — rzekł krótko. — Zadzwoń, gdy będę panią potrzebował, ale potrwa to dość długo.

ROZDZIAŁ XXXI.

Klient banku.

Dom mr. Tupperwilla na Grosvenor Place był wzorem domu bankiera. Wszędzie, od piwnic do poddasza, panował porządek, czystość i nierażący zbytek. Był to dom, w którym wszystko ułożone było według jednego schematu, w którym życie zaczynało się o szóstej rano, gdy służąca rozpalala ogień w kuchni i w piecach, a kończyło o pół do dwunastej wieczorem, gdy lokaj starannie zamykał drzwi domu, drzwi spiżarni i gasił ostatnie światło w przedpokoju.

O każdej porze mr. Tupperwill mógł na podstawie starannie wypisanego rozkładu, znajdującego się zawsze w górnej prawej szufladzie jego biurka, stwierdzić, co robił każdy z jego służących, w jakim stanie znajdował się każdy z jego pokoiów i ile benzyny było w zbiorniku każdego jego automobilu.

W czwartki o piątej popołudniu mr. Tupperwill za-pytywał w urzędzie radjonadawczym o dokładną godzinę, a nastawiwszy swój zegarek kieszonkowy co do sekundy, przechodził przez wszystkie pokoje, nastawiając i nakręcając swoje niezliczone zegary. Zbiór zegarów nie należał do największych pasyj mr. Tupperwilla.

Śniadanie, które jadł zawsze o pół do dziewiątej, składało się z dwóch mocno wypieczonych nerek, plasterka pieczonej wieprzowiny, trzech plasterków „toast'u“ i dwóch

filizanek kawy. Nigdy nie jadał mniej, nigdy więcej. Po śniadaniu przerzucał trzy gazety bankowe, które leżały złożone obok niego, potem czytał artykuł finansowy „Times'a”. Dwadzieścia pięć minut po dziewiątej, prawie co do minuty, schodził do hall'u, gdzie służący pomagał mu włożyć palto, i zazwyczaj biło pół do dziesiątej, gdy schodził po schodach do oczekującego auta. Przy drzwiach służący zęgnął go, nadmieniając, zależnie od stanu meteorologicznego, że dzień jest chłodny lub gorący, wilgotny lub suchy. Mr. Tupperwill miał zwyczaj zgadzać się w zupełności ze zdaniem służącego. Była to jedyna chwila, gdy stosunek ich nie był stosunkiem pana i sługi, gdyż wszystkie inne nowości, z wyjątkiem pogody, komunikował mr. Tupperwillowi jego kamerdyner.

Atoli tego ranka bankier odstąpił od swoich zwyczajów, dzwoniąc na służącego przed ukończeniem śniadania.

— Weeks, zaprosiłem na dzisiaj wieczór kilka osób.

— Słucham, sir, — odparł Weeks, zastanawiając się, jakich to gości mógł mr. Tupperwill zaprosić.

— Wraz ze mną będzie nas do obiadu czworo. Pomów z którąś z pokojówek — ale zaufaną — aby się zajęła damami. Moją sypialnię można użyć jako garderoby — tak, to będzie najlepiej, — rzekł mr. Tupperwill z namysłem. — Pamiętaj, żeby na toaletce było wszystko, czego damy potrzebują — puder i tak dalej. Pomów z gospodynią o kolorach i gatunkach i zakup też puderniczki.

— Słucham, sir, — rzekł zdumiony Weeks.

— Obiad może być trochę obfitszy, niż zwykle, — ciągnął bankier. — Myślę, że najlepiej będzie: zupa „Julienne“, ryba, kura „à la reine“, lody i smaczna legumina, tak, to będzie doskonale. Dobry szampan i lekkie wino reńskie dla pań — i to będzie odpowiednie.

— O której godzinie, sir?

— O pół do dziewiątej. W salonie przygotuj stolik do bridża!

Wydał jeszcze kilka drobnych poleceń i z pięciominutowem opóźnieniem udał się do banku.

Chociaż z natury był bardzo flegmatyczny, spędził jednak ranek dość czynnie, gdyż podobnie jak major Amery, sam otwierał i załatwiał swoją korespondencję, nie korzystając z usług bladej panienci, która pełniła funkcje jego sekretarki.

Jak już wspomnieliśmy, bieg interesów w Stebbing's Banku odbywał się dość dziwnie. Nazwiska klientów były nieznanne nawet najbliższym i najzaufanszym przyjaciółom właściciela. Wielcy kupcy, mali kupcy, ludzie wolnych zawodów, nawet filary innych banków — uważali że rzecz bardzo wygodną, posiadać konto, nie pozostające w żadnym widocznym związku z ich nazwiskiem.

Przeważnie to pragnienie pozostania w ukryciu nie kryło nic zdrożnego. Zamiłowanie do tego, by prawica nie wiedziała, co czyni lewica, nie jest właściwe tylko specjalnej klasie ludzi lub specjalnym charakterom. Ciekawi urzędnicy urzędu skarbowego mogli zaglądać do ksiąg Stebbing's Banku, a jednak stali wobec zagadki... Ciekawi ludzie, którzy chcieliby się dowiedzieć, kto stoi poza jakąś imprezą teatralną, mogliby się dowiedzieć nazwiska człowieka, który, gdy kasa teatru nie miała dość pieniędzy, podpisywał czek i pokrywał wydatki. A jednak nie odgadliby, że zwykle nazwisko „T. Smith“, stojące w rogu czeku, kryło wielkiego kupca, którego nikt o taką gotowość nie posądził.

Mr. Tupperwill był przystanią wielu tajemnic, a jeśli bank jego, posiadający tak wielu anonimowych klientów, miał jakąś złą stronę, to tylko tę, że rachunki bieżące dawały konserwatywnemu bankierowi mało okazji do wiel-

kich zysków. Mimo to Tupperwill uprawiał i inne transakcje bankierskie, dyskonto, pożyczki krótkoterminowe i inne operacje, zwiększające dochody bankiera.

Zazwyczaj był od trzy na dziesiątą do pół do drugiej tak zatopiony w pracy, że w wyjątkowych tylko wypadkach przyjmował ważnych interesantów. Nic więc dziwnego, że na widok starszego buchaltera, wchodzącego z kartą wizytową w rękę, mr. Tupperwill zmarszczył brew i zrobił odpychający ruch ręką.

— Teraz nie, mój drogi panie! — zawołał z wyrzutem. — Naprawdę nie mogę nikogo przyjąć. Kto to jest?

— Konto, które zostało wczoraj zamknięte, — rzekł buchalter.

Mr. Tupperwill wyprostował się na krześle. — Amery? — zapytał cicho.

— Tak, sir. Mówi, że nie zajmie panu więcej, jak dziesięć minut.

Mr. Tupperwill odsunął lampę, przy której pracował — gdyż był krótkowzroczny — włożył papiery do skórzanej teczki, poczem dopiero wziął wizytówkę z ręki buchaltera. Przypatrywał się jej długo, jakby kartka ta mogła mu zdradzić powód wizyty Amery'ego.

— Niech pan poprosi! — rzekł cicho, poprawiając fotel w stylu Ludwika XV.

Amery wszedł i przyjęty został z uprzejmością, należną mu, jako byłemu klientowi.

— Przyszedłem, gdyż sądziłem, że jestem panu winien wyjaśnienie, mr. Tupperwill. Zamknąłem wczoraj swoje konto u pana.

Mr. Tupperwill poważnie skinął głową. — Zawiadomiono mię o tem, — rzekł, — i muszę przyznać, że doznałem zdziwienia i — ulgi.

Lekki uśmiech zaigrał na ustach byłego urzędnika z Indyj.

— Ulga, jakiej pan doznał, dotyczy zapewne raczej niezadowolającego charakteru klienta, niżeli konta samego, gdyż było ono dość wysokie.

— Było bardzo wysokie, — przyznał mr. Tupperwill, — ale, jeśli pozwoli mi pan na tę uwagę, bardzo tajemnicze.

— Czyż wszystkie konta w pańskim banku nie są tajemnicze? — zapytał Amery z zimną krwią. Bankier nie odpowiedział na to.

— Nie mogłem się wyzbyć uczucia, że używa pan Stebbing's Banku do celów ubocznych, — rzekł. — Jestem pewien, że wybaczy mi pan, o ile się myślę. Ale niestałość pańskiego konta była jedną z jego niezadowolających stron.

— Miało ono być stałym, — odparł Amery. — Chcę panu coś wyznać — otworzyłem sobie konto w Stebbing's Banku w specjalnym celu. Będę zupełnie szczery i powiem panu otwarcie, że chciałem wynaleźć sobie jakąś nieprawidłowość, któraby mię upoważniła do zażądania urzędowego zbadania pańskich ksiąg.

Mr. Tupperwill spojrział na niego zdumiony.

— Teraz wiem, że droga ta była bezużyteczna, gdyż muszę przyznać, że o rzemiośle bankierskiem wiedziałem mniej, niż mi się zdawało.

— Chciał pan kazać zbadać moje księgi? — zapytał mr. Tupperwill wolno, uświadomiwszy sobie potworność tego planu. — Czegoś podobnego... czegoś podobnego nigdy jeszcze nie słyszałem.

— Wierzę panu. Ale, mr. Tupperwill, wiódł pan bardzo szanowny żywot, — ciągnął Amery. — Jak już wspominałem, zamknąłem swoje konto z chwilą, gdy się przekonałem, że plan mój był bezużyteczny, a przytem, gdy się tegoż dnia dowiedziałem wszystkiego, wszystkiego, co chciałem wiedzieć. Tupperwill, kto to jest John Stillman?

Paweł Amery miał fatalną zdolność przerażania ludzi. Mr. Tupperwill zerwał się na te słowa z fotelu.

— Stillman? — wybełkotał. — Nie... nie rozumiem pana.

— Nikt mnie nie rozumie! — zawołał Amery. — To pewnie dlatego, że mówię zbyt wyraźnie. Ma pan w swych księgach konto człowieka, którego nazwisko brzmi Stillman — konto znacznie większe, niżeli było moje i znacznie niebezpieczniejsze. Stebbing's Bank przeżyłby prowadzenie mego konta w swych księgach, ale konto Stillmana wtrąci pana, pański cały majątek i pański bank w takie błoto, że się pan w niem udusi!

Bankier wlepił w niego nieruchomy wzrok. — Wzbraniam się najkategoryczniej mówić o sprawach mego banku, — zawołał, uderzając pięścią w biurko. — To jest rzecz haniebna, niezgodna z etyką bankową! Pozwoli pan, sir...

Amery zmusił go skinieniem ręki do milczenia.

— Wszystko to może być, ale zapewniam pana, że Stillman, jeśli się nie mylę co do jego osoby, działa bardziej zabójczo, niżeli jad żmii.

— Wzbraniam się mówić o tej sprawie! — zawołał mr. Tupperwill z gniewem i nacisnął guzik dzwonka. — Panie, mówi pan o damie — o czarującej damie — o damie, która, chociaż zajmuje tylko niskie stanowisko w pańskim biurze w City, zasługuje jednak na mój szacunek i podziw, sir.

Amery spojrział na niego zdumiony. — O damie? — zapytał niedowierzająco. — W City — w moim biurze? Boże wielki!

ROZDZIAŁ XXXII.

Spekulant.

John Stillman, tajemniczy klient Stebbing's Banku, była to Elza Marlowe! „Potwór“ patrzył na bankiera nieruchomo, z twarzą czerwoną, niezdolny wymówić ani słowa. Siostrzenica Maurycego Tarna! Więc mimo wszystko była wplątana w tę sprawę?

— Przypuszczam, że mówi pan o miss Marlowe?

— Nie mówię o nikim, sir. — Głos mr. Tupperwilla brzmiał ochryple z wściekłości. — Chce pan, abym zdradził świętą tajemnicę. Tego panu nigdy nie wybaczę!

Buchalter wszedł na dźwięk dzwonka.

— Niech pan wyprowadzi majora Amery'ego z tego pokoju i pod żadnym pozorem nie wpuszcza go tu nigdy więcej!

Amery ciągle jeszcze patrzył na niego.

— Albo oszukano pana haniebnie, albo kłamie pan, Tupperwill, — rzekł. — Miss Marlowe nie ma u pana konta ani pod własnym, ani pod cudzym imieniem.

— Stanowczo odmawiam wypowiedzenia jeszcze jednego słowa w tej sprawie. Oto drzwi, panie!

Gość chciał jeszcze coś odpowiedzieć, ale zrezygnował i wyszedł.

Przez kwadrans mr. Tupperwill siedział, szalejąc z wściekłości, wreszcie opanował się dostatecznie, aby zadzwonić na buchaltera.

— Proszę mi przynieść konto mr. Stillmana! — rozkazał krótko.

— Chciałem już pomówić z panem o tem, sir!

— To zbyteczne! — krzyknął bankier. — Niech pan przyniesie konto!

Po kilku minutach leżała przed nim otwarta księga. Mr. Tupperwill odzyskał dawną uprzejmość.

— Musi mi pan — hm — wybaczyć zgryźliwość, ale major Amery zdenerwował mię bardzo — bardzo mię zdenerwował.

Spojrzał na otwartą kartę i twarz jego zasępiła się.

— Nie przeciążył konta, — rzekł.

— Nie, nie przeciążył, ale też to jest wszystko, co można powiedzieć. Spekulacje jego były olbrzymie. Niech pan spojrzy! — Przesuwał palcem po kolumnach cyfr. — Wszystko czeka maklerów giełdowych. Spekulował w Angorze na nafcie, mamy olbrzymie ilości jego akcji, ale w ciągu tygodnia spadły one z pięćdziesięciu siedmiu na trzystaście. Chciałem już pana prosić, aby pan był łaskaw pomówić z mr. Stillmanem.

— Czy mówił pan z nim kiedy? — zapytał bankier, nie patrząc na urzędnika.

— Nie, sir, konto zostało założone przez pana, i nie przypominam sobie, aby mr. Stillman był kiedykolwiek w banku. Podpis na czekach wydawał mi się jakby kobiecy.

— Dobrze już, dobrze, — rzekł mr. Tupperwill. — Napiszę sam do mr. Stillmana. Jak widzę, stracił on w ciągu pół roku przeszło ćwierć miljona. — Z wielkim hałasem zamknął księgę i dał znak, aby ją zabrano.

Ćwierć miljona, pomyślał przerażony, — wyrzucone na ulicę!

Dla mr. Tupperwilla kapitał był żywą istotą, bolało go, gdy się z nim obchodzono okrutnie. Ćwierć miljona

zostało zmarnotrawione. Sama myśl o tem była przerażająca. Wziął arkusik papieru listowego i zaczął pisać. Kiedy doszedł do połowy, przeczytał list z twarzą niezadowoloną, podszedł do kominka, zapalił zapalną i obserwował, jak papier zmieniał się w popiół. Tego dnia nie pracował więcej, gdyż myśl jego była zajęta.

Około czwartej zadzwonił na buchaltera.

— Konto Stillmana niepokoi mnie bardzo! — rzekł. — Jeżeli się nie mylę, „Stillman“ jest pseudonimem (z greckiego „pseudo“, fałszywe znaczenie) pewnej młodej damy, która przed laty została wprowadzona do naszego banku. Zapewniono mnie wówczas, że odziedziczyła ona duży majątek.

— Tak? — zapytał buchalter, jakby nic go nie mogło zdziwić. — Dama z arystokracji?

— Nie, nie dama z arystokracji, — odparł mr. Tupperwill. — Zajmuje nawet zupełnie podrzędne stanowisko w jednej z firm londyńskich. O ile sobie przypominam, chciała się przygotować do kariery kupieckiej. Muszę przyznać, że inwazja handlu przez płec piękną niezbyt mi się podoba, ale na to nic nie można poradzić.

— Jak mam postąpić, gdyby przedstawiono dalsze czeki? — zapytał buchalter. — Mr. czy miss Stillman ma bardzo małą sumę na koncie.

Mr. Tupperwill spojrział w sufit. — Uważam, że trzeba czeki honorować, — rzekł spokojnie. — Tak, trzeba je honorować, oczywiście jeżeli nie opiewają na wielkie — to znaczny nadmierne — sumy.

— To właśnie chciałem wiedzieć! — rzekł buchalter, — gdyż akurat otrzymałem od Stillmana czek na dwadzieścia pięć tysięcy funtów, a na koncie jest pięćdziesiąt funtów.

Mr. Tupperwill zbladł.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Zaproszenie.

Elza Marlowe nie zdziwiłaby się, gdyby wchodząc do pokoju „Potwora“, zastała go stojącego na głowie. Zachowanie jego było zawsze tak niezwykle, że nic jej już nie dziwiło, a nawet oswoiła się poniekąd z wtrącaniem się do jej życia prywatnego.

Kilkakrotnie chciała już zniszczyć list, który jej dał, ale za każdym razem powstrzymywało ją uczucie, że postępuje niesprawiedliwie wobec człowieka, który z pewnością nie okazywał jej niezyczliwości. Ale uczucia jej do poprzedniego przyjaciela zmieniły się bardzo. I teraz jeszcze nie zdawała sobie pojęcia z występności Hallama. Od czasu do czasu czytała w gazetach o „pladze narkotyków“, ale jak dotąd, nie budziło to w niej specjalnego zainteresowania. Uważała to za rzecz bardzo niemłą, ale to było wszystko, gdyż nigdy nie zetknęła się z ofiarą tego występkę, a myśli jej oddane były wyłącznie istotom zdrowym, nie zaś tym, które oddawały się zgubnemu nałogowi.

Choć wycierpiała już wiele, zachowanie majora Amery'ego tego popołudnia było dla niej szczególnie niemłe. Wszystko wydawało mu się złe. Szalał jak wściekły pies, biegał przez pokoje jak wichur, z najdrobniejszych powodów łajał pracowników.

— Przypomina mi owego hałaśliwego cowboya, — rzekła miss Dame, drżąc z oburzenia, — który stara się o córkę swego pana i ciągle bije ludzi i strzela do nich, aż zjawia się piękny młodzieniec, który poróżnił się ze swoim ojcem milionerem i rzuca cowboyowi szklanekę w głowę.

— Co on pani zrobił? — zapytała Elza ubawiona.

— Co mi zrobił? — powtórzyła rozgniewana panienska. — Amery jest krzykliwym pyszałkiem i niczem więcej. Chciałabym, żeby ojciec mój pomówił z nim kilka słów. Gdyby ojciec mój spojrział tylko na niego, schowałby się w mysią dziurę.

— Nie przypuszczam, aby ojciec pani schował się w mysią dziurę, — rzekła Elza, udając, że ją źle zrozumiała.

— Nie mój ojciec, ale ten kobietożerczy wampir! Ale, zapomniałam, miss Marlowe — kiedyż pani nareszcie przyjdzie do nas na herbatę? Nie widziała pani jeszcze naszego nowego domu.

Elza od dłuższego już czasu uchylała się od tego zaproszenia.

— Przyjdę kiedyś, — odpowiedziała.

— Oczywiście nie należymy do pani sfery, — rzekła miss Dame, — ale ojciec mój jest gentlemanem od stóp do głowy, a w całym West End nie znajdzie pani piękniej umeblowanego domu.

Elza roześmiała się. — Nie przyjdę przecież po to tylko, aby oglądać wasze meble, Jessie. Naprawdę przyjdę, kiedy tylko będę mogła. Ta straszna rozprawa sądowa...

— Rozumiem panią, moja droga, — rzekła miss Dame melancholijnie. — Wiem, co pani czuje. Pearl Winsome występuje często w podobnych rolach. A co dotyczy Jego Wysokości...

W tej chwili w sąsiednim pokoju rozległ się lekki szmer. Czy krzesło zatrzeszczało, czy nóż do papieru uderzył o kałamarz, ale szmer ten wystarczył, aby skłonić miss Dame do ucieczki.

Elza została tego dnia zwolniona wcześniej, niż zwykle i była z tego bardzo zadowolona, gdyż chciała zabrać z hotelu kufer i mały aparat radjowy, który zamierzała założyć w swoim nowym pokoju. Po drodze z hotelu na Herbert Mansions zdała sobie sprawę, że przed niewielu godzinami nie miała najmniejszego zamiaru zostać gościem mrs. Trene Hallam dłużej, aniżeli to było konieczne. A jednak znajdowała się w aucie ze swoim bagażem i była po drodze do niej, aby wizytę swą przeciągnąć na czas nieograniczony! Nie pytała siebie o przyczynę zmiany, gdyż znała ją aż nadto dobrze. Major Amery rozstrzygnął tę sprawę w dwóch zdaniach. Poddała się jego tyrańskiej woli.

Mrs. Halam obserwowała zakładanie aparatu radjowego z większą dozą zainteresowania niż zachwyty i okazała zadowolenie na wiadomość, że Elza zamierza go zatrzymać w swoim pokoju.

— To wygląda dość niebezpiecznie, — rzekła mrs. Hallam. — Nie zniosłabym koło siebie tylu drutów i całej tej elektryczności! Jak to właściwie funkcjonuje?

Ale pod względem Elza wiedziała nie więcej, niż każdy przeciętny miłośnik radja.

— Więc pozostaje pani? — zapytała Lu, a ton jej brzmiał niezbyt zachęcająco.

— Prosiła mnie pani, abym pozostała przez miesiąc, — odpowiedziała Elza nieco zmieszana.

— Jak długo pani pragnie, moja droga! — Próba nadania głosowi nieco ciepła, niebardzo się pani Lu udała.

W głębi duszy mrs. Hallam czuła się źle. Nienawidziła nieznajomej, a przedewszystkiem nie lubiła tego, co nazy-

wała „najnowszą zdobyczą Ralfa“. Elza była ładna, mrs. Hallam musiała to przyznać, ale nie był to jej typ. Nie miała z nią żadnego pokrewieństwa duchowego, choć sama sobie tego otwarcie nie przyznawała.

— Będzie pani dużo czasu spędzała na słuchaniu? — rzekła głosem pełnym nadziei. Kiedy Elza potwierdziła, mrs. Hallam nabrała więcej zainteresowania dla aparatu. Elza wyjaśniała jej rozmaite programy.

— Opera! — rzekła mrs. Hallam. — Opera jest bardzo ładna, ale śpiew psuje wszystko. Chciałaby pani znowu zobaczyć tego starego — no, jakże on się nazywa?

— Mr. Tupperwilli? — zapytała Elza ze śmiechem.

— Nieszczerólnie.

— Nie podoba się pani?

— Tego nie mogę powiedzieć. Wydaje się bardzo miłym człowiekiem.

— Zdaje się, że zrobiła pani na nim wielkie wrażenie, — rzekła Lu, — a on ma moc pieniędzy. Może jest bardzo dzielny człowiekiem, ale moim zdaniem podobny jest do morza Martwego. Nie lubię mężczyzn, mówiących o rzeczach, których się po nich można spodziewać.

— W takim razie podobałby się pani major Amery, — rzekła Elza.

Lekki rumieniec okrył twarz mrs. Hallam.

— Kiedy ten człowiek umrze, włożę białą suknię, — rzekła z nienawiścią.

Rozpakowując skrzynkę, Elza myślała o tem, że tak wielu ludzi nienawidzi „Potwora“. Świadomość, że ona sama nie znajduje się wśród tych „tak wielu ludzi“, przerażała ją.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Gentleman z Cleveland.

W Scotland Yardzie odbywała się rozmowa, przed drzwiami stało dwóch urzędników, aby eskortować człowieka, który jeszcze nie nadszedł.

Sir James Boyd Fowler, naczelnik oddziału kryminalnego Scotland Yardu, siedział w swoim gabinecie z komisarzem i inspektorem kryminalnym. Dochodziła piąta i mr. Bickerson raz poraz spoglądał na zegarek.

— Powinni nadejść lada chwila, — rzekł komisarz Wille. — Czy sądzi pan, Bickerson, że człowiek ten złoży panu ważne zeznanie?

— Owszem, — odpowiedział Bickerson. — Trzy miesiące przed aresztowaniem był w Londynie i mam dane przypuszczać, że znajdował się w bardzo bliskich stosunkach z „Amatorami“ lub też z szajką Soyoki.

— Myśli pan, że zasypie? — zapytał Sir James. — To rzecz najważniejsza — czy ich zasypie? Podczas ostatnich czterech dni otrzymałem od sekretarza stanu trzy listy z żądaniem raportu. A jak dotąd, nie odkryliśmy nic. Jest pan pewien, że Amery należy do tego?

— Nigdy jeszcze nie byłem tak pewien, — odpowiedział Bickerson bez wahania.

Sir James mruknął coś do siebie.

— Czy Soyoka zamordował Tarna? Sądzi pan, że Amery maczał w tem ręce? — zapytał.

— Jestem tego pewien. Wszystko wskazuje na to, że jest on człowiekiem, którego szukamy. Przeszłość jego wystarcza, aby go skazać. Został wydalony ze służby politycznej, bo zajmował się handlem opjum. Jest on albo Soyoką, albo, co prawdopodobniejsze, przywódcą „Amatorów“.

— Mówił pan przecież, że tym jest Hallam! — przerwał komisarz.

— Jestem pewien, że i Hallam należy do tej sprawy — co do tego niema wątpliwości. Ale jeżeli major Paweł Amery jest naczelnikiem, to Hallam nic o tem nie wie. Tak się dzieje we wszystkich szajkach. Na czele stoi ktoś, co posiada całą władzę, kieruje wszystkim, finansuje wszystkie przedsięwzięcia i chowa zarobki, a pod nim ktoś, kto myśli, że on to robi. Amery jest handlarzem narkotyków, a śliski jest przytem jak węgorz i przebiegły jak djabeł.

— Miał pan wiele trudu ze sprowadzeniem Moropoulosa? — zapytał komisarz.

— Absolutnie nie, dowody przeciwko niemu były za słabe i prokurator musiał cofnąć oskarżenie. Skomunikowałem się telegraficznie z policją z Cleveland i poprosiłem o skierowanie tu tego człowieka. Jedzie on zresztą w towarzystwie urzędnika policji kryminalnej z Cleveland. Sądząc z jego opisu, przypuszczam, że będzie mówił. A jeśli będzie mówił, zaprowadzi tych ludzi tam, gdzie ja ich chcę mieć. To nasz człowiek.

Policjant w uniformie wbiegł do pokoju i położył przed szefem kartkę.

— Oto jest, — zawołał Sir James. — Wprowadzić!

Po chwili policjant powrócił w towarzystwie trzech ludzi, z których jeden był urzędnikiem Scotland Yardu. Drugi, wysoki, chudy mężczyzna był widocznie detektywem amerykańskim, podczas gdy trzeci, tęgi i zażywny człowiek, nie miał absolutnie wyglądu przestępcy. Wyglądał na to, czem niewątpliwie był — na dość zamożnego właściciela sklepu. Chociaż był Grekiem, wymowa jego nie zdradzała cudzoziemca. Ukłonił się grzecznie naczelnikowi i z uprzejmem podziękowaniem usiadł na krześle, które mu wskazał Bickerson.

— Tak, jestem Moropoulos. Ten pan jest zapewne szefem? — Wskazał głową na Sir Jamesa. — Tak sobie odrazu pomyślałem. No, moi panowie, zanim przystąpimy do rzeczy, muszę panom oświadczyć: ja nikogo nie zasypię. Przyjechałem do Europy, ponieważ prezydent policji w Cleveland powiedział mi, że jeżeli będę panom użyteczny, nasza policja wstrzyma przeciwko mnie dochodzenie. Nie sądzę, żebymi mieli coś do zarzucenia, ale to kwestja poglądów. O żywych mówić nie będę; o zmarłych... — zaakcentował ten wyraz — tak, o nich mogę powiedzieć, ile pozwala uczciwość. No kapitanie, zaczynaj pan!

— Zdaje się, że ma pan na myśli Maurycego Tarna? Moropoulos skinął głową. — Tak, mam na myśli Maurycego Tarna. Nie wiem, czy on był głównym człowiekiem, ale z pewnością był jednym z nich. Robiłem z nim interesy. W specjalnie sporządzonej skrzynce sprowadziłem dla niego z Niemiec znaczną ilość kokainy. Znaleźliście ją pewnie, kiedyście przeszukiwaliście jego mieszkanie. Miała pięć drewnianych szuflad, jedną nad drugą.

— Nigdy nie widziałem tej skrzynki, — rzekł Bickerson.

— Może ją spalił. Powiadam tylko, że przywoziłem tę skrzynkę i przed odjazdem miałem z nim dłuższą rozmowę.

— Czy mówił z panem o szajce Soyoki?

Twarz Greka przybrała wyraz ponury.

— Nie. Soyoka kazał mnie schwytać. Jeden z urzędników policji zdradził mi to. Powiadał, że wkroczyłem w sferę działania tego człowieka. Ale to kłamstwo, gdyż byłem w całym Ohio jedynym uprawiającym ten handel na wielką skalę.

— Czy ma pan jakieś wskazówki do przypuszczenia, kim jest ten człowiek? — zapytał Bickerson.

— Musi to być ktoś wielki w Londynie. Jakiś oficer, czy coś podobnego, zdaje się, że ma tytuł.

— Nie słyszał pan nigdy jego nazwiska? — zapytał Sir James. — Czy to może nie major Amery?

— Amery? — powtórzył Grek wolno. — Na to nie mógłbym przysiąc. Wiem tylko, że miał mnie na oku, a jeden z jego ludzi zasypał mnie w policji. O, tak, — dodał swobodnie. — Miałem już towar, ale nie złapali go przy mnie. I sprawa upadła. Kiedy policja przyszła do mojego sklepu, znalazła tylko sos tomatowy!

— Czy Tarn miał współników? Pan to powinien wiedzieć, Moropoulos? — zapytał Sir James.

— Odróżniam doskonale żywych od umarłych. Jeżeli który z jego przyjaciół umarł, pokażcie mi świadectwo śmierci, a będę mówił. A jeśli nie... — wzruszył ramionami.

Sir James i Bickerson zamienili kilka słów, poczem dali znak detektywowi amerykańskiemu.

— Człowiek ten nie jest uwięziony?

— Nie! O ile idzie o mnie, jest wolny jak ptaszek. Przybyłem tu tylko, że tak powiem, jako „przyzwoitka“.

— Czy to, co on mówi, jest prawdą? — zapytał Sir James cicho. — Oskarżenie przeciwko niemu upadło?

Urządник z Cleveland skinął potakująco głową.

— Tak. Za prędki był dla nas. Myśleliśmy, że złapiemy go z towarem, ale spóźniliśmy się o pięć minut.

Bickerson zaopiekował się Grekiem i odprowadził go do najbliższej restauracji.

— Nie, — rzekł Grek, — dla człowieka głodnego nigdy nie za wcześnie na obiad. Jazda z Liverpoolu to najbardziej głodowe tysiąc mil, jakie kiedykolwiek przeżyłem. Dwieście? Zdawało mi się, że więcej.

— Zarezerwowałem dla pana pokój w jednym z najlepszych hoteli, — rzekł Bickerson, gdy zasiedli przy stoliku. — A jeżeli ma pan skąpo pieniędzy, niech mi pan tylko powie. Chciałbym panu jak najbardziej uprzyjemnić pobyt w mieście.

Moropoulos potrząsnął głową z wyrzutem.

— Słuchajno, chłopcze, — rzekł życzliwie, — u nas się to zupełnie inaczej robi. Mamy poprostu artystów! Oni nawet *mnie* potrafią oszukać! Wydaje mi się strasznie głupie, że pan ma być moim jedynym przyjacielem w tem wielkiem mieście. Zapłacę sam za jedzenie. Poto tylko, żeby mieć satysfakcję i móc panu powiedzieć, że usłyszeliście ode mnie całą śpiewkę, jaką sobie przygotowałem, wyjeżdżając z domu.

Bickerson uśmiechnął się, choć nie zbierało mu się wcale na śmiech.

— Niczego nie chcemy się od pana dowiedzieć, — rzekł, chcąc uspić czujność Greka. — Wątpię zresztą, czy może nam pan powiedzieć coś nowego. Wiemy, że Hallam...

— Kto to jest Hallam? — zapytał Moropoulos nieco zdziwiony. — Zdaje się, że to przyrodni brat Stillmana...

— Stillmana!

— Aha!

Greki zdawał się ubawiony wrażeniem, jakie to słowo wywarło. — Myślałem, że już o tem wiecie. Czy to jakiś nowy?

— Dla mnie naprawdę nowy, — rzekł Bickerson, opanowawszy osłupienie. — Kto to jest Stillman?

Greki zastanawiał się długo nad tem pytaniem, a gdy odpowiedział, głos jego brzmiał zupełnie stanowczo.

— Nie znam Stillmana i nie widziałem go nigdy. Wszystko, co o nim wiem, powiedział mi pewien człowiek Soyoki, z którym pracowałem dawniej w New Yorku. Stillman to jeden z ich „starszych“, ale zdaje się, że to nie jest jego prawdziwe nazwisko. No, ale teraz koniec z odpowiadaniem na pytania.

Bickerson był dość mądry, aby przerwać rozmowę o handlarzach narkotyków, aż Moropoulos zaspokoi głód. Ale ani wyborowe wino, ani doskonały likier nie uczyniły Greka rozmowniejszym. Bickerson odprowadził go do hotelu, poczem udał się z wizytą do Ralfa Hallama.

Gdy detektyw nacisnął dzwonek, Ralf otworzył sam. Ubrany był wieczorowo.

— Hallo! — zawołał niechętnie. — Czy pan przychodzi obejrzeć sobie książkę recept?

— Niech pan zapomni o tem! — rzekł Bickerson uprzejmie. — Nie, Hallam, przyszedłem się z panem pożegnać, a potem nie zobaczymy się sto lat, chyba zawodowo. — Widząc powątpiewające spojrzenie Ralfa, dodał z uśmiechem:

— Jeśli mówię „zawodowo“, to rozumiem przez to jako pacjent i lekarz. Czy man pan dla mnie chwilkę czasu?

— Niech pan wejdzie! — rzekł Ralf, wchodząc pierwszy do jadalni.

— Chciałbym się mianowicie dowiedzieć od pana rzeczy następującej: Zna pan przecież dość dobrze mienie zmar-

łego Tarna. Czy przypomina pan sobie wśród jego rzeczy skrzynkę z pięcioma szufladami?

— Nie, — odpowiedział Ralf bez wahania. — Gdybym wiedział coś o tem, powiedziałbym panu. Dlaczego pana ta skrzynka interesuje?

— Nic szczególnego — miała tylko podwójne dno. I pomyślałem sobie, że może staruszek coś tam ukrył...

Zauważył, jak twarz Ralfa Hallama zmieniła się nagle. W oczach jego ukazał się błysk podniecenia, które usiłował ukryć.

— Myśli pan o czemś miłem? — zapytał uważny detektyw, a Ralf skinął głową potakująco.

— Bardzo miłem! — rzekł.

Mysłał o milionie dolarów.

Jeżeli to było prawdą? Jeżeli Tupperwill mylił się? Jeżeli pieniądze, które bankier widział w safe'ie Amery'ego, stanowiły prawną i niezaprzeczną własność „Potwora“? Jeżeli Tarn zabrał pieniądze do domu i ukrył w tej skrzynce? Elza musiała wiedzieć, gdzie była skrzynka. Takie były jego myśli, gdy auto wiozło go na Herbert Mansions. Drugą możliwością było, że pieniądze znajdowały się w ręku Amery'ego lub złożone były w banku. Ale i ta możliwość istniała, choć była bardzo mało prawdopodobna. Na samą myśl o tem zimny i gorący dreszcz przenikał Ralfa.

Kiedy przyjechał, Elza była w swoim pokoju.

— Bardzo miła towarzyszka! — rzekła mrs. Hallam ironicznie. — Pół nocy spędza w swoim pokoju ze słuchawkami na głowie. Co się stało?

— Nic, — odparł Ralf. — Idziemy na obiad do Tupperwilli.

Mrs. Hallam jęknęła. — Wyobrażam sobie, w jakiej trupiarni ten człowiek mieszka, — rzekła. — Ralfie, chłopcze drogi, dla ciebie wyrzekłam się dwóch wieczorów tanecznych — i to najmiłszych!

— Zawołaj Elzę! — krzyknął Ralf, którego cierpliwość w obecności żony zawsze była na wyczerpaniu.

Elza zaoszczędziła swojej gospodyni trudu, gdyż nadeszła właśnie w chwili, gdy pani Lu otwierała drzwi salonu. W nowej sukni, którą włożyła z tej okazji, wyglądała bardzo ładnie, choć wizytę u bankiera uważała dziś za rzecz bardzo niemiłą i oświadczyła to szczerze.

— Ze względu na Tarna? — zapytał Ralf. — Nie byłaś z nim przecież tak blisko spokrewniona, abyś musiała nosić żałobę. Wyglądasz zmęczona, — dodał współczująco. — Czy miałas znowu ciężki dzień w biurze?

Elza potrząsnęła głową. Mrs. Hallam pozostawiła ich na chwilę samych, i Ralf nie chciał przepuścić okazji.

— Czy przypominasz sobie Elzo, że wujek twój miał kufer czy skrzynkę z kilkoma szufladami, umieszczonemi jedna nad drugą?

Elza podniosła na niego zdumiony wzrok. — Oczywiście, przypominam sobie doskonale, gdyż skrzynka ta znajduje się w tym domu, — rzekła.

Ralf musiał skupić wszystkie siły, aby opanować zdenerwowanie.

— Zapakowałam do niej swoje rzeczy, — dodała Elza, burząc nadzieje Hallama.

— Więc była pusta?

— Tak, była pusta, — Elza zawahała się, — a przynajmniej górne szuflady były puste. Jednej czy dwóch dolnych szuflad nie mogłam wyjąć. Dzisiaj, kiedy rozpakowywałam

skrzynkę, zauważyłam, że są one przyśrubowane do bocznych ścian, myślę więc, że musi tam coś być, bo skrzynka po opróżnieniu nawet była dość ciężka. Dlaczego pytasz o to?

— Bez specjalnego powodu, — odparł Ralf. — Podobała mi się bardzo ta skrzynka, a wujek twój mówił, że jeżeli chcę, mogę ją sobie zabrać.

— Możesz ją dostać, — rzekła Elza z uśmiechem, — ale musisz mi zamiast niej dać inny kuferek.

Ralf odwołałby najchętniej wizytę u bankiera, aby móc natychmiast przewieźć skrzynkę na Half Moon Street, ale nie wolno było okazywać takiej niecierpliwości. W tej chwili powróciła mrs. Hallam, i nie mówiono więcej o tej sprawie.

Dopiero później, gdy opuszczali dom, Ralf znalazł odpowiednią chwilę na ostrzeżenie Elzy.

— Nie otwieraj siłą dolnych szuflad, — szepnął cicho, aby żona nie dosłyszała. — Obawiam się, że jest tam coś — no, szczerze mówiąc, — coś, co nie powinno tam być!

— Narkotyki?

Ralf skinął głową.

Niecierpliwy głos mrs. Hallam odezwał się z klatki schodowej.

— Idziecie? — Elza pobiegła szybko naprzód. — To będzie strasznie nudny wieczór, — westchnęła mrs. Hallam, siadając do auta. — Najlepiejby było, gdyby mnie od razu zachloroformowano!

Innego zdania był mr. Tupperwill, czyniąc ostatnie przygotowania na przyjęcie gości. Obejrzał salon, potem wbiegł do jadalni, wreszcie wszedł na górę do swojego pokoju i poważnie zbadał wszystko, co przygotowała doświadczona gospodyni, poczynając od karminu do warg, a kończąc

na kremie. Z satysfakcją stwierdził, że na przyjęcie gości przygotowane zostało wszystko, co mogło im być potrzebne.

Zgrabna pokojówka poprowadziła damy na górę, a mrs. Hallam z zadowoleniem przyglądała się urządzeniu pokojów.

— W tych meblach tkwi milion funtów! — rzekła z zadością, oglądając meble w stylu „Empire“.

Dotykając ręką jedwabnych obić, aby zbadać gatunek materji, natrafiła na złożoną ramę obrazu, która zdaniem jej wisiała trochę za nisko. Natychmiast odgadła przyczynę, a gdy uniosła nieco obraz, ujrzała na ścianie okrągłą płytkę stalową. Czy to była ta prywatna kasa, o której tak niejasno wspomniał mr. Tupperwill? Nieprzewyżnione instynkty złodziejskie wzbudziły się w pani Lu. Jakie to było słowo — czy nie „Pace“? Tak, tak!

W lustrze widziała Elzę, która zdejmowała płaszcz i odwracała się właśnie. Szybkim ruchem przywróciła mrs. Hallam obrazowi dawne położenie i podeszła do toaletki. Twarz jej poczerwieniała jeszcze bardziej, a serce biło mocno.

— Niech pani spojrzy na to wszystko! — zawołała, wskazując na szeregi flakoników i pudełek. — Biedny staruszek!

Elza roześmiała się cicho. — Biedny mr. Tupperwill! Nie przyzwyczajony jest do przyjmowania dam.

— To przynajmniej dobry znak, — rzekła Lu. — Ciekawam, czy należy on do tych ekscentrycznych milionerów, którzy rozdają podarunki podczas przyjęć.

„Pace“! — Takie było to słowo. Teraz wiedziała dokładnie. Trudno jej było wyjść z pokoju, ale służąca stała za drzwiami, trzeba więc było czekać na inną sposobność.

Człowiek tego rodzaju, co Tupperwill z pewnością kolekcjonował rzadkie klejnoty, przynajmniej wyglądał na to. Nie dostrzegłby nawet braku jakiegoś drobnego przedmiotu. Pani Lu nie mogła opanować swojej namiętności do łatwych „zdobyczy”. Gdy zeszła do oczekującego mr. Tupperwilla, powzięła postanowienie, że zabierze sobie przynajmniej jakąś „pamiątkę” po tym nudnym obiedzie.

Obiad był rzeczywiście nudny, gdyż bankier nie był usposobiony rozmownie, a w rozmowie powracał stale do swoich trosk w interesie, tak że Elza z trudnością powstrzymywała ziewanie.

— Miałem bardzo niemiłe popołudnie, — opowiadał mr. Tupperwill przy kawie. — Bardzo niemiłe popołudnie. Naprawdę nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek przeżył tak niemiły dzień. Klienci potrafią człowiekowi działać na nerwy.

— Sądziłem, że pod tym względem ma pan wzorową klientelę, — rzekł Ralf.

I on był bardzo milczący przez cały czas, a myśl jego zajęta była prawdopodobną zawartością skrzynki.

— Zazwyczaj tak, — odparł Tupperwill, — ale ten klient był wyjątkowo niemiły.

Rad był, gdy po długiej partji bridża, podczas której Lu oszukiwała haniebnie, panie wstały i udały się na górę, aby się ubrać do odejścia.

— Obawiam się, że byłem bardzo nudny.

Ralf mruknął coś, wychodząc, aby wziąć od melancholijnego lokaja palto i kapelusz.

— A chciałem, aby to przyjęcie było wesołe, — rzekł mr. Tupperwill z żalem. — Ale humor mój był dzisiaj do niczego.

— Jestem pewien, że panie czuły się bardzo dobrze, — uspokoił go Ralf.

— Mam nadzieję, — rzekł bankier z powątpiewaniem.

— Mam szczerą nadzieję.

Elza była już ubrana i opuszczała pokój, gdy mrs. Hallam zatrzymała się.

— Niech pani na mnie nie czeka, moja droga! Zejdę zaraz! — Schyliła się nad pantoflem. — To przeklęte sznurowadło znów mi się odwiązało!

— Pomóc pani?

— Nie, nie, niech pani idzie! — odparła mrs. Hallam niecierpliwie. Ręce jej drżały z podniecenia.

Zaledwie drzwi zamknęły się za Elzą Marlowe, Lu podbiegła do obrazu, odsunęła go i drżącymi dłońmi przekreśliła płytkę metalową. Nadśluchiwała, czy z korytarza nie słychać jakiegoś dźwięku. Miała sama małą kasę ścienną i wiedziała, jak się z nią obchodzić. Po chwili drzwi były otwarte.

Zobaczyła kilka okładek książek handlowych, kilka płaskich pudełek, ale jedynym wartościowym przedmiotem w pobliżu było coś, przypominającego kształtem złotą papierośnicę. Lu nie mogła się zająć dokładnem zbadaniem zawartości kasy, lecz chwyciła papierośnicę, zamknęła drzwi, przekreśliła płytkę kilkakrotnie i przysunęła zpowrotem obraz. Zanim Elza zeszła ze schodów, mrs. Hallam dogoniła ją.

Zauważyła, jak spojrzenie Ralfa spoczęło na niej spokojnie, badawczo i podejrzliwie. Hallam znał swoją żonę dobrze. Ale ona odpowiedziała na jego spojrzenie bezczelnem podniesieniem oczu, i zanim Ralf mógł sobie zdać sprawę, skąd pochodził rumieniec na jej twarzy, rozpoczęła ożywioną rozmowę z gospodarzem.

Tupperwill odprowadził Elżę do auta; Ralf z żoną szli za nimi.

— Nie zrobiłaś chyba znowu jakiegoś głupstwa? — zapytał Ralf cicho.

— Co przez to rozumiesz? — zapytała Lu zdumiona.

— Czy jakieś klejnoty Tupperwilla nie leżały gdzieś bez dozoru? Gdybyś chciała to zrobić u mego przyjaciela...

— Oszalałeś! — zawołała mrs. Hallam z gniewem. — Czy przypuszczasz, że zrobiłabym coś podobnie głupiego, aby...

W tej chwili znaleźli się blisko Elzy i Tupperwilla i pożegnali się.

— Jedźcie wprost do domu? — zapytał Ralf, gdy auto ruszyło.

— A dokądżeby? — zapytała Lu. — Czy masz jakąś propozycję?

— Pojedźmy do „Mispah“. W tym klubie możemy zjeść kolację i potańczyć, aby zatrzeć ponure wrażenie obiadu u Tupperwilla.

Spojrzał na Elżę, która zawahała się.

— Nie potrzebujemy siadać na dole, w sali tanecznej, — rzekł. — Możemy zjeść kolację na balkonie i obserwować stamtąd publiczność.

Elza zgodziła się niechętnie.

Choć klub „Mispah“ nie reklamował się wcale, był to jeden z najelegantszych lokali tanecznych Londynu, a gdy Hallam torował drogę przez ludny balkon do zamówionego stolika, sala na dole pełna była ludzi. Elza, dla której życie w lokalach nocnych było czemś zupełnie nowem, rozglądała się z zaciekawieniem po pstrym tłumie eleganckiej publiczności.

— Oto co Jessie Dame nazwałaby życiem, — rzekła z uśmiechem. — Biedna Jessie! Jedyłą jej ambicją jest znajdować się w rozbawionym tłumie, składającym się przeważnie z ufraczonych panów, i czuć się na równej stopie z arystokracją.

— Niezbyt chwalebna ambicja, — rzekł Ralf wesoło. — Zresztą tutaj jest mało arystokracji, choć trochę się znajdzie. Oto Letty Milenko z teatru „Gaiety“. Ten wysoki pan to lord Sterrer. A tego stracha na wróble, z którym tańczy, nie znam.

Elza patrzyła bez ruchu i bez słowa na tancerkę lorda Sterrera. Była to wysmukła panienska średniego wzrostu, na której sukni zwiślała formalnie. Uszy jej, szyja i włosy połyskiwały od brylantów, a wielkie dłonie, spoczywające na grzbiecie czarnego ubrania tancerza, rzucały ogień. Kiedy odwróciła się twarzą do nich, Elza ujrzała, że miała oczy przymknięte, a na twarzy wyraz najwyższej rozkoszy.

Była to romantyczna miss Dame!

ROZDZIAŁ XXXV.

Major Amery dziwi się.

Jessie Dame! Co do tego nie było wątpliwości, niepodobna było się omylić. To była Jessie Dame, lśniąca od brylantów, ubrana w elegancką suknię i tańcząca w najelegantszym lokalu nocnym Londynu.

W pierwszej chwili Elza pomyślała, że się myli. Ale potem. . . nie, to była Jessie! Kiedy taniec skończył się i miss Dame spojrzała w górę, Elza cofnęła się, aby nie być dostrzeżoną.

— Czy poznałaś tam kogoś ze znajomych? — zapytał Ralf, obserwujący wrażenie, jakie widok sali wywierał na Elzę.

— Tak, znam tę panienkę, — odpowiedziała Elza krótko. — Czy ty ją znasz?

Ralf potrząsnął głową. — Nie, ale widziałem ją już tutaj kilka razy. Przychodzi zwykle z pewnym panem w średnim wieku — oto on!

Wskazał na stolik, do którego torowała sobie drogę Jessie Dame ze swoim tancerzem. Człowiek, którego wskazał Ralf, był tęgi i łysy. Rysy jego, dość zwyczajne, wpadały w oko dzięki długim, rudym wąsom wojskowym.

Jessie! Odkrycie to przeraziło Elzę. Nie przypuszczała nigdy, aby ta niezgrabna dziewczyna, marząca zawsze o bohaterach i bohaterkach filmowych, mogła wieść podwójne życie. Wyobrażała ją sobie zawsze jeśli nie w ubó-

stwie, to w każdym razie w skromnych warunkach materialnych. A oto ukazywała się jej w bogatym stroju, na przyjacielskiej stopie z ludźmi, o których Elza nigdyby nie przypuściła, że mogą być znajomymi Jessie Dame.

Elza doszła do wniosku, że myśli jej były filisterskie. Nie było powodu, dla którego Jessie Dame nie miałyby tańczyć w klubie „Mispah“, albo dla którego naiwny ojciec, o którym Elza słyszała często, nie miał jej obsypywać brylantami. Chwilowo jednak nie mogła Elza opanować niemiłego uczucia na widok niezgrabnych ruchów koleżanki, którą obserwowowała ze swego miejsca.

Ralf zauważył, że musiało zajść coś niezwykłego, ale nie przypuszczał ani na chwilę, aby zmieniony wyraz twarzy Elzy miał coś wspólnego z panienką, która tańczyła z lordem Sterrerem. Poprosił ją do tańca, a gdy odmówiła, mrs. Hallam zagadnęła go natychmiast.

— Niech dziś przynajmniej raz zatańczę! — zawołała i po chwili znikła z nim w tłumie. Elza była rada, że pozostała sama, gdyż wydarzenia tego wieczora poczęły na nią oddziaływać.

Cofnęła krzesło, tak że sama niewidziana, mogła jednak obserwować Jessie Dame. Orkiestra zagrała znowu i tłum ludzki zafalował na sali. Jessie nie tańczyła tym razem, a tancerz jej odszedł.

Spojrzenie Elzy powróciło na balkon, ku siedzącym tutaj gościom, i dziewczyna omal nie wydała okrzyku przerażenia. Przy stoliku między dwiema kolumnami siedział samotny obserwator. Właśnie patrzył na nią, a gdy spojrzenia ich spotkały się, wstał i podszedł z ukłonem. Uznała to za bardzo uprzejme z jego strony, a zainteresowanie, jakie okazał jej obecnością, wydało się jej bardziej nieoczekiwane, niżeli to, że spotkała majora Amery'ego w tak wesołym lokalu.

Major podszedł do stolika i usiadł na krześle, które opróżnił Ralf. Wzrok jego pomknął ku miejscu, gdzie chwiał się lekko wachlarz Jessie Dame.

— Szkielet na balu, — rzekł drwiąco.

Ten zgryźliwy humor był tak komiczny, że Elza musiała się roześmiać.

— Rzadko przychodzę do klubu „Mispah“, — ciągnął Amery, — ale gdybym tu bywał częściej i widział tę panią, zaoszczędziłbym sobie bardzo przykrego popołudnia.

Elza nie odpowiedziała nic, sądząc, że to żart.

— Taka wesoła i taka dziewicza! — mówił major. — Jakie to dziwne! Nigdybym sobie jej nie mógł wyobrazić w takim otoczeniu.

— Dlaczego, majorze Amery? — zapytała Elza, gotowa bronić koleżanki, choć wydawała się sobie obłudna, gdyż miała to samo wrażenie, które wysłowił teraz Amery. — Jessie pracuje wiele i ma tyleż prawa do rozrywki, co i ja. Może i to pana dziwi, że ja tu jestem?

Amery potrząsnął głową. — Była pani na obiedzie u Tupperwilli, — rzekł, — i Hallamowie zabrali panią tutaj. Zresztą pani się do tego obrazu lepiej nadaje. Brylanty w uszach miss Dame są piękne.

Ilekróć Jessie poruszała głową, klejnoty połyskiwały w świetle lamp.

Amery spojrzął wdół, gdzie Ralf z trudnością torował sobie drogę przez zatłoczoną salę.

— To Dr. Hallam i jego bratowa, — rzekła Elza.

— Jego żona, — poprawił Amery, a widząc zdumione spojrzenie Elzy, dodał: — Czyżby pani nie wiedziała, że on jest żonaty? Nie mówił pani o tem?

— Nie, nie wiedziałam.

W głowie Elzy powstał zamęt. Dlaczego Ralf zataił przed nią prawdę? Co miało to kłamstwo na celu? „Potwór”, jakby odgadując jej myśli, ciągnął:

— Myślę, że tak mu było wygodniej. Jego arcymiła żona ma niezbyt miłe przyzwyczajenia. Czy zginęły pani jakieś drobne klejnoty?

Elza potrząsnęła zdumiona głową. — Więc pan poważnie mówił, że ona ma kleptomanję?

Amery skinął głową. — Tak się to w nauce nazywa. Ja osobiście nazwałbym ją poprostu złodziejką. Niech się pani nie przeraża, wiele poważanych osób cierpi na tę chorobę.

Ralf był żonaty! Elza nie mogła tego zrozumieć. A jednak przypomniała sobie swoje poprzednie zdziwienie, że nie słyszała nigdy o „bratowej”. Teraz rozumiała przyczynę.

Przez chwilę miała niemiłe uczucie, potem uświadomiła sobie położenie i musiała się roześmiać.

— Więc ona jest szkieletem na jego balu?

Oczy Amery'ego zabłysły na chwilę, potem spowaźniał znowu.

— Albo on na jej! Tego nie jestem zupełnie pewien. Pan, który towarzyszy miss Dame, jest jej ojcem. Wie pani o tem przecież? Dowiedziałem się o tem dopiero, gdy zasiągnąłem informacyj. Nie widziała go pani nigdy zbliżona? Niech mu się pani przyjrzy, jeżeli interesuje panią antropologja. Jasnoniebieskie oczy, podbródek wielki, tłusty i prosty — to niezawodne oznaki skłonności epileptycznych. Wąsy są bardzo grube — Mantegazza uważa to za zły znak.

— Mantegazza? — spytała Elza zdumiona.

— To antropolog włoski — jeden z nielicznych uczonych z tej dziedziny, których badania zasługują na uwagę. Wąsy powinny mieć grubość 0,015 milimetra. Jeśli są

grubsze, właściciel ich jest albo wielkim przestępcą, albo wielkim uczynym.

Elza przysłuchiwała mu się zdumiona. Teraz dopiero przypomniała sobie, jak niemiłe było dla niej, gdy wymieniał jej dokładny wzrost albo wspominał o wypadku z palcem. Zrozumiała, że studja te były jego pasją.

— Widzę, że pan te sprawy studjował, majorze Amery?

— Tak, przed laty, kiedy byłem w służbie indyjskiej. Zanim wstąpiłem na występłą drogę, która interesuje teraz Scotland Yard, zajmowałem się antropologją.

Elza spojrzała na niego bystro. Na twarzy jego nie drgnął ani jeden muskuł, a rumieniec wstydu nie okrył jego policzków, gdy przyznawał się do swego zbrodniczego życia. Ale w głosie jego nie było też przechwałki. Stwierdzał tylko fakt, nie ulegający wątpliwości.

Orkiestra przestała grać, słuchacze bili brawo, a Amery czekał, z oczyma utkwionemi w Ralfie i jego żonie. Dopiero, gdy muzyka rozległa się znowu, a major spostrzegł, że małżeństwo tańczy nadal, zaczął znowu mówić.

— Czy pani zna Dame'ów?

— Znam Jessie. Ojca jej nie poznałam dotąd.

— Mam na myśli, czy pani była już kiedyś w ich domu?

— Jessie prosiła mię na herbatę, ale nie poszłam.

— Powinna pani pójść. Na pani miejscu uczyniłbym to jak najrychlej. To bardzo ładny dom, w pobliżu Notting Hill Gate. Dom nieco za wielki, jak na ludzi w ich położeniu, z pięknym ogrodem, na końcu którego znajduje się garaż.

— Mają auto?

— Nie wiem. Właściwie nie interesowałem się tem szczególnie, widziałem tylko ich dom — tak jak widziałem dom każdego urzędnika firmy Amery & Amery. Położenie panienki, mieszkającej przy rodzicach — a raczej przy

ojcu, gdyż o ile wiem, miss Dame nie ma matki — trudno jest określić. Ojciec jej może być wszystkim lub niczem. Ale, ale, czy pani ma w domu czarną skrzynkę, która należała do Tarna — skrzynkę z pięcioma szufladami?

Słowa te padły tak nagle, że Elza mimowoli odpowiedziała twierdząco.

— Skąd pan wie? Jaka tajemnica związana jest z tą skrzynką? Jest pan drugim człowiekiem, który o niej mówi.

— Tylko drugim? — zapytał Amery szybko. — Jest pani pewna, że tylko dwóch ludzi pytało panią o skrzynkę? Ja i kto jeszcze?

— Dr. Hallam. Czy sądzi pan, że w tej skrzynce coś jest? Elza wyglądała poważnie, a Amery skinął głową.

— Narkotyki?

— Tak, narkotyk, który oszołamia cały świat, — rzekł Amery wesoło. — Na pani miejscu nie badałbym jej zbyt dokładnie, a pod żadnym pozorem nie powinna jej pani oddać. Oto idzie pani zacny przyjaciel. Sądząc z jego wyrazu twarzy, musiał mnie poznać.

— Nie zaczeka pan, abym go panu przedstawiła?

Amery zawahał się. — Owszem, zaczekam, — rzekł wreszcie.

Po chwili Ralf zbliżył się do stolika.

— Czy znasz majora Amery'ego? — zapytała Elza.

Ralf uklonił się.

— Mrs. Hallam zna pan zapewne? — spytał.

— Tak, miałem już zaszczyt poznać pańską żonę.

Spojrzenia ich spotkały się wyzywająco, a Ralf pierwszy spuścił wzrok.

Więc Elza wiedziała! No, wcześniej czy później musiała się o tem dowiedzieć, lepiej więc, że dowiedziała się w takich warunkach.

— Udało mi się stwierdzić, kim jest ta panienska z brylantowemi kolczykami, — rzekł, siadając. — To jedna z pańskich pracowniczek.

— Miss Dame? Tak, to nasza pracowniczka.

— Musi pan płacić wysokie pensje, mr. Amery? — zapytał Ralf sucho.

— Widocznie, — brzmiała chłodna odpowiedź.

Amery wstał i ukłonił się Elzie. Potem powrócił na swoje miejsce między kolumnami, nie spojrzawszy nawet na mrs. Hallam.

— Więc zdradził ci moją występłą tajemnicę? — zapytał Ralf.

Chciał zbyć sprawę uśmiechem, ale musiał się zarumienić pod badawczem spojrzeniem Elzy.

— Sprawa przedstawia się tak, — wyjaśnił zmieszany, — że Lu i ja nie mogliśmy się nigdy zgodzić z sobą. Wina leży prawdopodobnie po mojej stronie. Ale pozostaliśmy mimo to dobrymi przyjaciółmi.

— Aż do jednego punktu! — przerwała mu mrs. Hallam. — Czy to on opowiedział pani, że jesteśmy małżeństwem? Człowiek ten powinien rozgłaszać plotki na szpaltach „Megaphone’u“!

ROZDZIAŁ XXXVI.

Nieporządek w domu.

Długo jeszcze po tem, jak Elza skinąwszy mu lekko głową z uśmiechem, udała się do domu, siedział Amery z papierosem w ustach przy trzeciej filiżance kawy. Wreszcie ujrzał, że miss Dame znikła. Na znak, że klub będzie zaraz zamknięty, zgaszono część lamp. Wreszcie i major wyszedł po szerokich schodach na Citron Street. Deszcz padał, a portjer z otwartym parasolem podniósł pytającą rękę.

— Nie, dziękuję! — rzekł Amery. — Pójdę pieszo.

Minął Leicester Square, przeszedł przez tłum koło placu Piccadilly i skierował się przez Regent Street. Nie uszedł jeszcze daleko, gdy zauważył, że ruchy jego są obserwowane. Gdy się odwrócił, ujrzał dwóch ludzi, idących za nim wolno, i musiał się roześmiać.

Kiedy skręcał na Hanover Square, jeden z mężczyzn przyśpieszył kroku, a gdy przechodził koło niego, Amery usunął się nieco, aby mu zrobić miejsce. Hanover Square był pusty zupełnie, widać było tylko samotną taksówkę.

Amery gwizdnął i auto zbliżyło się do niego. Drzwiczki były otwarte, a gdy chciał wsiąść, z za auta wyszedł jakiś człowiek. Niepodobna było rozeznać jego twarzy, gdyż nasunął na oczy kapelusz filcowy, a jedwabny szalik zasłaniał mu usta.

— Dobrywieczór, mr. Stillman! — zawołał Amery uprzejmie,

Zanim wypowiedział te słowa, udawał, że idzie w stronę nadchodzącego człowieka, ale wypowiedziawszy je, jednym susem skoczył do auta i zamknął za sobą drzwiczki. Nieznajomy ujrzał tylko naprzeciw siebie lufę rewolweru.

— Wszak mr. Stillman? — zapytał Amery.

Całe zajście odegrało się tak szybko, że nieznajomy wydawał się zaskoczony.

— Nie wiem, o czym pan mówi, — rzekł głosem stłumionym. — Radzę panu tylko, rzuć pan tę sprawę i wynoś się!

— To stara śpiewka, — odparł Amery chłodno. — Zdaje się, że powiedziałem te same słowa jednemu z waszych współników, kolegów czy przyjaciół, niejakiemu Maurycemu Tarnowi. Mówi pan za wiele!

Nieruchoma postać na trotuarze poruszyła tylko dłonią, ale choć było bardzo ciemno, Amery dostrzegł ten ruch.

— Trzymaj pan ręce spokojnie, przyjacielu, bo za dwie minuty to auto zawiezie pańskiego trupa do szpitala Middlesex, a najlepszy chirurg nie przywróci już panu życia. Nie chciałbym, aby przyjaciel nasz, szofer, miał w swoim aucie zabrudzone siedzenie.

— Słuchaj pan! — zawołał nieznajomy głosem ochrypłym z wściekłości. — Zdaje się, że panu życie miłe? W takim razie usuń się pan z tej historii. Nie wiem, kto to jest Stillman, nie nabierze mnie pan. Ale wiem, kim pan jest. W najniższej szufladzie pańskiego biurka jest wiele zajmujących listów.

Ping!

Amery wychylił się z okna i ujrzał błysk lufy rewolwerowej jeszcze dość wcześnie, aby się rzucić na dno auta. Uczuł, jak kula gwizdnęła mu koło ucha, a zanim się podniósł, przerażony szofer puścił auto w ruch. Kiedy Amery odwrócił się, ujrzał postać, przebiegającą przez jezdnię. W duchu rad był z szybkiej jazdy szofera,

— Jadę do najbliższego posterunku policji! — rzekł szofer, drząc, gdy Amery wychylił się z okienka, aby mu wydać dyspozycje. — Nic mnie nie obchodzi, co pan mówi. Zawiozę pana do najbliższego posterunku policji. Takich rzeczy nie można robić w mojem taxi!

Ale z okienka wysunęła się ręka z nowiutkim banknotem. W świetle lampki, oświetlającej taksometr, ujrzał szofer magiczny wyraz „Dziesięć“ i zmienił natychmiast ton.

— All right! Dokąd pan chce jechać?

„Potwór“ wymienił kierunek i rozparł się na siedzeniu. Ale to dopiero szybko poszło! Nie powinien się więcej na takie niebezpieczeństwo narażać.

Zazwyczaj w hall'u jego domu paliło się światło, przenikające przez matowe szyby, ale gdy Amery wysiadł z auta i otworzył drzwi, w domu panowała zupełna ciemność. Uszu jego nie doszedł żaden odgłos prócz tykania zegara w hall'u. Namacał kontakt i zapalił światło.

Pierwsza rzecz, która rzuciła mu się w oczy, to że drzwi do jego gabinetu były otwarte. Kiedy skierował się w tę stronę, usłyszał za sobą kroki, a gdy się odwrócił, ujrzał twarz Feng Ho. Chińczyk owinięty był od stóp do głowy w deszczowy płaszcz.

— Nieznośne żywioly... — zaczął, ale spojrzawszy na twarz Amery'ego, zapytał szybko w dialekcie kanton-skim: — Co się stało?

— Nie wiem, — odpowiedział „Potwór“ w tym samym języku, — ale zdaje się, że ktoś tu był w naszej nieobecności. Chińczyk wbiegł pierwszy do gabinetu i zapalił światło. Amery usłyszał jego okrzyk zdumienia, a gdy wszedł za nim, poznał przyczynę.

Pokój był w straszliwym nieładzie. Połowa szuflad biurka leżała na podłodze, szafy były wyłamane, meble poodsuwane z miejsc, a mała szafka wywrócona.

— Gdzie Chang? Idź, poszukaj go! — rozkazał Amery szybko.

Chińczyk śpiesznie opuścił pokój, a w kilka minut później Amery usłyszał, jak go wołał. Natychmiast pobiegł w kierunku głosu. Feng Ho klęczał na podłodze obok nieruchomej postaci, tak związanej i zakneblowanej, że niepodobna była do istoty ludzkiej. Kiedy Feng Ho uwolnił go z więzów i kajdanów, sługa był jeszcze ciągle nieprzytomny.

— Walki tu nie było, — rzekł Amery, rozglądając się po małej spiżarni, w której znaleziono związanego.

Feng Ho wyszedł do kuchni i powrócił z miską wody.

— Weszli przez kuchnię, — wyjaśnił, — okno jest otwarte.

Europejska służba Amery'ego nie sypiała w domu i opuszczała zazwyczaj jego mieszkanie o pół do jedenastej, włamywacz musiał więc wejść po tym czasie.

— Zabrali moją teczkę z aktami, — rzekł Amery, przejrzawszy rozsiane po podłodze papiery.

Wskazał na kasetkę stalową. Zamek był wyłamany, a miejsce, gdzie się kasetka znajdowała w biurku, było tylko stosem połupanego drzewa.

Dziwne było, że żaden z nich nie zaproponował zawezwania policji. Nie przyszło im to nawet na myśl.

Kiedy Feng Ho wyszedł, aby zajrzeć do nawpół żywego Chińczyka, Amery podniósł słuchawkę, ale nie zadzwonił na policję.

— To się musiało stać przed pół godziną, — rzekł Amery, ukończywszy rozmowę telefoniczną. — Szybka robota!

Znowu podniósł słuchawkę i wymienił numer. Natychmiast odpowiedział głos Ralfa Hallama.

— Czy to pan, doktorze Hallam?

— Tak!

— Więc jest pan w domu? — zapytał Amery z uśmiechem i nie czekając na odpowiedź, odłożył słuchawkę.

— Szybka robota! — mruknął. — Pomóż mi to zebrać.
Gdzie zostawiłeś Changa?

— Położyłem go na łóżku. Trochę jest poturbowany, ale nie ranny, — mruknął Feng Ho z ową zimną obojętnością, która sprawia na Europejczykach tak niemiłe wrażenie.

— Będzie żył!

— Myślę.

Chang nie tylko żył, ale po upływie godziny rozruszał się już o tyle, że począł wzywać swych bogów domowych, aby pognębili jego napastników.

— Zasnąłem, *tao*, — przyznał się otwarcie, — i nie wiedziałem, co się stało, aż uczułem, że głowa moja tkwi w worku, a ręce są związane.

— Gdybyś nie spał wtedy, spałbyś teraz, Chang! — rzekł Amery znacząco.

Resztę nocy spędził na porządkowaniu swoich papierów, ale najważniejszego zbioru dokumentów nie było. Wiedział o tem, zanim przystąpił do porządkowania. Wiedział o tem od chwili, gdy rozmawiał ze Stillmanem. Jutro musi być wcześniej w biurze. Były tam równie ważne rzeczy, jak jego teka z dokumentami, i rzeczy te nie powinny być znalezione.

ROZDZIAŁ XXXVII.

Cztery bronzowe paczki.

Elza obudziła się wśród nocy z uczuciem wielkiego niepokoju. Wstała, zapaliła światło i usiadła na brzegu łóżka, aby zanalizować swoje myśli i zbadać przyczynę niepokoju. Czy było nią odkrycie, że Ralf Hallam był żonaty? Myśl tę odrzuciła, jako nierozumną. Jessie Dame? Bezwątpienia widok Jessie w klubie „Mispah“, widok Jessie w kosztownej toalecie i klejnotach, zaniepokoił ją niemało. Ale Amery miał rację, twierdząc, że trudno wyrokować o pracujących panienkach. Mogą one pochodzić z domów, gdzie cała rodzina znosi głód, a nikt nie przeczuwa nieraz tragedji, jaka kryje się pod ich zgrabnemi sukienkami i uprzejmem obejściem; mogą też być córkami ludzi bogatych, stojących towarzysko znacznie wyżej od pracodawcy. Elza słyszała często, jak Jessie Dame mówiła o swoim „papiu“, i uważała to wyrażenie za przesadne. Widocznie zachowanie Jessie spowodowane było świadomością własnej wyższości.

Nie, Jessie nie była powodem jej niepokoju. Potrafiła ona troszczyć się o siebie sama, mimo całego swego romantyzmu. Elza postanowiła złożyć jej dzisiaj dawno odraczaną wizytę, gdyż ciekawa była, jakie jest życie domowe koleżanki.

Z pewnością ani Jessie, ani Ralf nie wywołali jej niepokoju. Więc cóż ją tak głęboko zaniepokoiło? Miała niejasne wrażenie, że grał tu rolę Amery, jego dziwactwo, jego samotność i ów niesamowity cień, jaki rzuciło na niego podejrzenie Elzy. Wiedziała, że uprawia on proceder, który był równie niebezpieczny, jak niegodny. Bez wątpienia on to dokonał napadu na flegmatycznego bankiera, a to dlatego jedynie, że mr. Tupperwill za wiele mówił. Zimny, cyniczny, bez sumienia i bez litości... i bardzo samotny — takim był Paweł Amery.

Elza przeraziła się sama swemi myślami. Słyszała kiedyś o człowieku, którego zasadą przy zdobywaniu serc kobiecych było: „Traktuj je źle i utrzymuj je stale w ruchu!“ Czy i ją traktowano według tej recepty i czy to było rezultatem?

Otrzeźwiała zupełnie. Uczucie niepokoju rozwiało się pod wpływem tego przerażającego odkrycia. Spojrzała na zegarek, była czwarta. Potem wzrok jej padł na zniszczoną skrzynkę, która wzbudziła takie zainteresowanie Hallama i Amery'ego. Podniosła wieko, wyjęła trzy górne szuflady i usiłowała wyjąć także czwartą, ale śruby trzymały mocno. Uniosła jeden koniec skrzyni próbując jej wagę. Pod tą przyśrubowaną szufladą coś było.

Była godzina piąta, gdy powróciła do łóżka, ale nie poto, aby spać. Zanim zjawiła się służąca mrs. Hallam, Elza ubrała się i przygotowała sobie śniadanie. Nawet teraz nie odczuwała zmęczenia. Po dżdżystej i chłodnej nocy nastąpił piękny ranek, który wzbudził w jej sercu uczucie błogości.

— Wcześniej pani wstała, — mruknęła służąca, gdyż służba nie lubi wczesnego wstawania.

— Muszę być wcześniej w biurze, — wyjaśniła Elza, czując się zobowiązana do jakiegoś wyjaśnienia, a nie

chcąc, aby mrs. Hallam dowiedziała się o jej bezsennej nocy.

Zgodnie ze swoim charakterem, raz wyraziwszy zamiar udania się wcześniej do biura, Elza istotnie już o ósmej znalazła się na Wood Street, zastanawiając się, czy biuro będzie już otwarte.

Było nietylko otwarte, ale miało już i innych wczesnych gości. Elza ujrzała dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali przy bramie, i w jednym z nich poznała Bickersona. Trudno się było omylić co do jego wysokiej postaci. Był odwrócony od niej, a gdy się Elza zbliżyła, ruszył wolno wzdłuż ulicy, rozmawiając ze swoim towarzyszem. Zanim odwrócił się znowu, Elza znikła w drzwiach wejściowych.

Służba uprzątnęła już pokój i wyszła, najwidoczniej Elza była jedyną osobą w całym domu. Na szczęście miała dużo pracy i weszła do zimnego pokoju Amery'ego, aby poszukać kartoteki adresowej, którą chciała uporządkować. Mimo wielkiej systematyczności w innych sprawach, był Amery pod tym względem bardzo nieporządnym, i Elza musiała po całym pokoju szukać oddzielnych kartek adresowych.

Drzwi były szeroko otwarte. Usłyszała wyraźnie kroki na schodach i zastanowiła się, który to z pracowników przyszedł tak wcześnie. Potem usłyszała głos Bickersona, i dwaj mężczyźni weszli do jej pokoju. Elza podniosła głowę, nadsłuchując.

— Przyjdzie o dziewiątej. Wolałbym, aby rewizja odbyła się w jego obecności, — rzekł nieznamy głos, a z uniżonego tonu, w jakim odpowiedział Bickerson, widać było, że nieznamy jest jego przełożonym.

— Jak pan sobie życzy, sir. Nie zrobiłem dotychczas użytku z rozkazu rewizji, ale wiadomości, jakie otrzymałem

dzisiaj rano, pozwalają przypuszczać, że to się znajduje w tym domu. Obok kominka jest szafka ścienna, którą zauważyłem podczas poprzedniej wizyty.

Elza słuchała bez tchu. Rozejrzała się i dostrzegła długą wąską szafkę, której Amery nie używał nigdy. Czem było owo „to“? Czy miała pójść do Amery'ego i ostrzec go? Możeby to pomogło, ale nie zapobiegłoby napewno odkryciu tajemniczego przedmiotu, cokolwiekby nim było.

Ktoś zbliżył się do drzwi gabinetu.

— Pokażę panu to miejsce, — rzekł Bickerson.

Elza rozejrzała się, a po chwili znikła w małym pokoiku, który Amery używał jako umywalni i garderoby. Był już najwyższy czas.

— O tu, — usłyszała głos Bickersona, — na prawo od kominka. Większość tych starych biur ma takie szafki ścienne. Nie wiem, dlaczego nie mielibyśmy jej już teraz otworzyć.

— Niech pan zaczeka, aż on przyjdzie — mruknął drugi głos, potem dwaj detektywi wyszli z gabinetu.

Elza powróciła do pokoju Amery'ego. Mężczyźni, wychodząc, przymknęli drzwi, klucz tkwił w zamku. Nie zastanawiając się nad skutkami, Elza przekręciła go i podbiegła do szafki przy kominku. Była zamknięta, a próby otworzenia jej spełzły na niczem. W rozpaczy chwyciła Elza pogrzebacza i z siłą, którejby się sama po sobie nie spodziewała, rozbiła nim drzwiczki szafki. Mężczyźni musieli usłyszeć hałas, gdyż powrócili, a jeden z nich usiłował otworzyć drzwi.

— Kto tam jest? — zabrzmiał gniewny głos.

Elza nie odpowiedziała. Raz jeszcze uderzyła w drzwiczki, aż otwór powiększył się o tyle, że mogła zajrzeć do środka.

Na półeczce leżały cztery małe paczuszki, każda mniej więcej po trzy cale w kwadracie, owinięte każda w brązowy papier i przewiązane sznurkiem. Elza wsadziła rękę przez otwór i wyjęła pierwszą paczkę. Etykieta nosiła napis częściowo niemiecki, częściowo angielski, ale Elza nie potrzebowała znać języka niemieckiego, aby wiedzieć, że paczuszka zawierała kokainę.

Co miała robić? Kominek był pusty. Potem przypomniała sobie umywalnię.

Ktoś pukał do drzwi.

— Kto tam jest?

Elza zacisnęła zęby, nie myśląc o niczem, jeno o niebezpieczeństwie grożącym Amery'emu. Rozerwała opakowanie i wysypała biały, połyskujący proszek do umywalki.

Odkręciła obydwie kurki, potem opróżniła drugą, trzecią i czwartą paczkę. Nie czekając, aż woda splucze truciznę, powróciła do pokoju Amery'ego, wzięła z biurka zapalniczkę, podpałała papier, w który kokaina była zapakowana i obserwowano go, aż nie zmienił się całkowicie w popiół. Kiedy powróciła do umywalni, po białym proszku znikł wszelki ślad. Wówczas wróciła do gabinetu, podeszła spokojnie do drzwi i otworzyła je. Bickerson wszedł z twarzą czerwoną, za nim stał wysoki starszy mężczyzna o bielejącym włosie.

— Co pani zrobiła? — zapytał Bickerson szorstko. — Dlaczego pani nie otwierała, kiedy wołałem?

— Gdyż nie uznaję pańskiego prawa do wydawania mi rozkazów, — odparła Elza.

Detektyw spojrzął na rozbite drzwiczki szafki ściennej.

— Widzę już! Więc pani, moja młoda miss, współpracuje z Amery'm? Dobrze wiedzieć o tem. Wie pani chyba, że naraziła się pani na wielką karę?

— Za jakie przestępstwo? — zapytała Elza ze spokojem, nie licującym z jej obecnym stanem. — Że dbam o interesy swego pracodawcy?

— Co pani tam znalazła?

— Nic.

Bickerson ujrzał spalony papier na kominku.

— Więc nic? — syknął przez zęby.

Usłyszał dźwięk prądu wody, wbiegł do umywalni i zrozumiał wszystko.

— Co pani tam znalazła? — zapytał po raz drugi. — No, miss Marlowe, nie zechce się pani chyba sprzeciwić prawu! Co było w tej szafce?

— Nic! — powtórzyła Elza stanowczo.

Była blada zupełnie, a kolana zdały się uginać pod nią, mimo to stała wyprostowana przed detektywem. W podniesionym podbródku i błyszczących oczach było wyzwanie.

— Kiedy pan pierw mówił, nie wiedział pan, że ona tu jest, — rzekł starszy mężczyzna z uśmiechem. — Moja panienko, dała pani dzielnemu inspektorowi policji kryminalnej nauczkę, której, jak sądzę, nigdy nie zapomni!

Bickerson przystąpił do skrupulatnego przeszukiwania pokoju. Szafka ścienna na lewo od kominka była otwarta i pusta. Jedną po drugiej otwierał szuflady biurka Amery'ego. Wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i uklęknął, aby otworzyć najniższą szufladę, gdy w drzwiach gabinetu ukazał się człowiek, którego wszystkie te zabiegi dotyczyły.

— Czy pan czegoś szuka? — zapytał uprzejmie.

— Mam rozkaz zrewidowania pańskiego biura, — rzekł Bickerson głosem drżącym z gniewu.

—^xWątpię, — odparł Amery chłodno. — Od kiedyż to Scotland Yard ma prawo rewidować biuro w City?

Mam wrażenie, że w obrębie owej mili kwadratowej, znanej pod nazwą City of London, służbę bezpieczeństwa sprawuje wyborowa policja, a o ile mi wiadomo, panowie ci dbają bardzo o to, aby im władzy z rąk nie wydzierano. Czy mogę zobaczyć rozkaz?

Wziął dokument z rąk detektywa i począł go czytać.

— Jest to pełnomocnictwo do zrewidowania mego domu na Brook Street, a nie tego biura, — rzekł wreszcie, — jestem zdumiony, że pan komisarz Wille zgodził się na to bezprawne postępowanie.

Wyższy z dwóch mężczyzn podniósł głowę.

— Miałem wrażenie, że zezwolenie udzielone zostało przez komisarza policji z City, — rzekł zmieszany. — Tak mi pan przecież powiedział, Bickerson!

— Detektyw z City jest na dole! — odparł Bickerson.

— Jeśli major Amery przywiązuje tak wielką wagę do form prawnych, zavezwiemy detektywa z City.

Kiedy ten wszedł, Elza poznała w nim człowieka, z którym Bickerson rozmawiał na ulicy. Pokazał dokument, uprawniający do rewizji, i był nieco stropiony, że przeszukiwanie biura rozpoczęto bez niego. Aczkolwiek bowiem pomiędzy policją ze Scotland Yardu i załogą City panowała przyjaźń, to jednak, jak wspomniał Amery, urzędnikom z Yardu nie wolno było pracować na wschód od Temple Bar ani na zachód od Aldgate Pump.

— Tutaj nic niema, — oświadczył Bickerson, gdy Amery otworzył zamkniętą szufladę, a detektyw z City przeszukał ją. — Ale co *było* tutaj? — Wskazał na zniszczone drzwiczki szafki ściennej. Była to pierwsza rzecz, którą zauważył Amery, wchodząc. — Coś tam było, a ta pani wyjęła to i zniszczyła. Zdaje się, miss Marlowe, że będzie pani tego żałowała.

— Gdy się to stanie, — rzekł Amery chłodno, — zatelefonuję panu.

Nie odezwał się więcej, aż detektywi opuścili budynek, potem zwrócił się do Elzy, obserwując ją z zainteresowaniem.

Następnie spojrzenie jego pobiegło ku szafce.

— Więc pani to zrobiła?

Elza skinęła głową.

— Co pani tam znalazła?

— Dlaczego pan udaje, majorze Amery? — palnęła Elza. — Wie pan doskonale, co tam znalazłam! Cztery paczki tego świństwa!

— Opjum?

— Nie wiem, co to było, ale zdaje się, że kokaina. Było białe i połyskliwe.

— To była kokaina. Cztery paczki? — Amery gwizdnął lekko. — I spłókała ją pani?

— Tak! — odparła Elza krótko i chciała powrócić do swojej roboty.

— To bardzo dobrze. — Uprzejmość jego brzmiała zupełnie mechanicznie. — Nawet niezwykle dobrze! Cztery paczki kokainy? Może niemieckiej?

— Oczywiście niemieckiej! — odpowiedziała Elza niecierpliwie. — Wie pan...

— Nie wiem nic. Nic mnie bardziej nie zdziwiło, jak wiadomość, że w tym domu były narkotyki.

Podszedł do biurka, uderzył lekko w jeden róg, i ku zdumieniu Elzy blat biurka cofnął się, ukazując płaską przestrzeń, w której leżała cienka paczka papieru. Amery wyjął ją, wsadził do kieszeni i zasunąwszy blat zpowrotem, uśmiechnął się.

— Czy mr. Bickerson podczas swej nieostrożnej rozmowy nie wspomniał, skąd wie, że w pokoju moim była kokaina?

— Nie, powiedział tylko, że dowiedział się o tem dzisiaj rano.

— Rozumiem! A teraz chciałbym tylko wiedzieć, w jaki sposób przyjaciel nasz umieścił ją tam?

— Nasz przyjaciel — jaki przyjaciel?

— Niejaki mr. Stillman, — rzekł Amery niedbale, — który przyszedł przed godzinami biurówemi i podłożył truciznę.

— Ale... ale... — wyjąkała Elza, — czyż pan nie handluje narkotykami?

Amery uśmiechnął się.

— W całym swem życiu nie kupowałem nic bardziej niebezpiecznego, jak guma do żucia, — rzekł.

ROZDZIAŁ XXXVIII.

Poprawianie listu.

Elza spojrzała na niego osłupiała. — Przecież pan jest Soyoką! Wiem o tem. . . sam pan przyznał!

Twarz Amery'ego była bez wyrazu.

— Pozostawmy tę sprawę nierozstrzygniętą. Nigdy nie kupowałem ani sprzedawałem innych narkotyków, jak chyba wspomniany artykuł.

Elza oddychała ciężko. — Nie rozumiem tego.

— I niech się pani nie stara zrozumieć.

Amery podszedł do zburzonej szafki ściennej.

— Pogrzbacz? — zapytał. — Oczywiście pogrzbacz! Niech mi pani powie, proszę, skąd to pani na myśl przyszło?

Elza opowiedziała w kilku słowach, jak przyszła wcześniej do biura i ujrzała detektywów przed domem, jak podsłuchiwała rozmowę Bickersona z komisarzem, i co zrobiła potem.

— To cudowne! — zawołał Amery. — Pani jest niezwykłą dziewczyną!

Elza zarumieniła się i uczuła, jak łzy napływają jej do oczu, gdyż chwila reakcji zbliżała się. Chciała odejść, aby odzyskać znowu siły moralne. Amery musiał to zauważyć, bo zachowanie jego stało się takie, jak zwykle.

— Niech pani powie Feng Ho, że chcę z nim pomówić!

Elza zastała pana Feng Ho, jak łaskotał długim pendzelkiem kanarka. Chińczyk nie przerwał tego zajęcia, aż Elza rzekła:

— Feng Ho, w gabinecie majora Amery'ego coś się stało. Chce z panem pomówić.

Wówczas dopiero Feng Ho zerwał się z małpią szybkością.

Kiedy Elza spojrzała na zegar biurowy, przekonała się, że było dopiero trzy kwadranse na dziewiątą. Ucieszyła się, że pozostaje jej jeszcze przed rozpoczęciem zajęć krótka chwila wypoczynku. Czuła się słaba i wyczerpana, dałaby wiele za to, aby móc opuścić biuro na godzinę.

Kiedy wkrótce potem do biura weszła miss Dame, Elza zastanowiła się na widok jej ognistych, rudych włosów i spłaszczonego noska, czy ta skromnie ubrana i niepozorna dziewczyna mogła być ową usianą brylantami damą z poprzedniego wieczora.

Nie widać było w jej zachowaniu ani śladu owego znużenia, które cechuje ludzi, spędzających nocę na zabawach. Miss Dame była gadatliwa jak zwykle.

— Wie pani, moja droga, kogo spotkałam na dole? Słynnego detektywa, mr. Dickersona!

— Bickersona!

— Bicker — czy Dicker, to dla mnie wszystko jedno! Jaki to elegancki człowiek! Sposób, w jaki zdejmuje kapelusz przy ukłonie, wskazuje, że jest on stworzony do czegoś lepszego, niż do roli detektywa. A jednak znałam kilku detektywów, którzy byli skończonymi gentlemanami, ale to byli tajni agenci, wie pani? Kiedy zaginą jakieś plany państwowe — rozumie pani przecież, co mam na

myśli? — papiery państwowe, dotyczące wojny, gdzie mają być budowane fortece i tak dalej, wtedy używa się takich ludzi. Ale oni są młodszy od Bickersona, — dodała, jakby żałując utraconej okazji przygody.

— Jessie, od jak dawna jest pani członkinią klubu „Mispah“?

Miss Dame upuściła papiery, które trzymała w ręku i usiłowała, podnosząc je, pokryć zmieszanie.

— Tak mię pani przestraszyła, moja droga! Skąd pani wie, że należę do klubu „Mispah“? — zapytała z niejaką dumą. — Dlaczegoż nie miałabym być członkinią klubu? Młoda dziewczyna jak ja, chciałaby przecież także poznać nieco życie. Ale właściwie nie jestem członkinią. Papcio jest członkiem. Dlaczego pani pyta — czy mię pani widziała?

Elza skinęła głową.

— Tak, widziałam panią, — odpowiedziała spokojnie, a miss Dame odrzuciła głowę w tył.

— Chyba w tem nic złego niema? — zapytała wyzywająco. — Sądzę, że młoda dziewczyna musi żyć. Nie może przecież zachowywać się jak stara panna. Czas jest na zaśniedziałość, kiedy się człowiek zestarzeje. A jeśli papcio bywa ze mną, nikogo to nie może obchodzić. Nie chcę przez to bynajmniej powiedzieć, że wtyka pani nos w nie-swoje sprawy! Jak się pani podobała moja suknia? — dodała zupełnie bez związku. — Klejnoty. . . były oczywiście tylko wypożyczone. Nie są prawdziwe. A raczej tak — są prawdziwe — prawdziwe — ale...

Wahała się pomiędzy dumą z posiadania tak cennych klejnotów, a obawą przed wrażeniem, jakieby to mogło wywołać.

— Miss Marlowe, niech pani nie sądzi, że nie jestem dobrą dziewczyną, — rzekła z komicznym wysiłkiem na-

dania sobie cnotliwego tonu. — Ale mój papcio jest dość zamożny. Nie mówię tego nikomu, gdyż dziwionoby się, że pracuję tu, że tak powiem, za nędzną zapłatę. Nie potrzebuję wogóle pracować.

— Dziwię się, Jessie, że pani to robi.

Miss Dame była widocznie sama zdziwiona swoim postępowaniem, gdyż nie odpowiedziała odrazu, a choć dwa razy rozchyliła wargi do mówienia, dopiero przy trzeciej próbie dała odpowiedź, która brzmiała zupełnie nieprzekonywująco.

— Papcio życzy sobie, abym się czemś zajmowała. Powiada, że kto nic nie robi, temu djabeł znajduje robotę. Papcio jest bogaty.

— Major Amery jest także tego zdania, — potwierdziła Elza.

— Amery? — krzyknęła miss Dame, blednąc. — Czy i on mnie widział? Był tam?

Elza skinęła głową.

— W „Mispah“ — ta kreatura w „Mispah“?! Cóż powiedział, miss Marlowe? Śmiał się pewnie?

— Tak — bardzo!

— No pewno! Założyłabym się, że jest o mnie najgorszego zdania. Czy widział i papcia?

— Tak, ojca pani również.

— Och! — rzekła miss Dame, a po chwili namysłu dodała: — To się już nie da zmienić. Czy wzywał mnie dzisiaj rano?

— Nie. Zdaje się, że go pani dzisiaj zupełnie nie obchodzi. Ale to nie znaczy...

— Wiem, że to nic nie znaczy, — przerwała Jessie. — Amery jest jednym z owych skrytych i podstępnych ludzi,

którzy wszędzie wietrzą coś złego, i zanim się wie, o co idzie — kłapa!

Stała się znowu zamyśloną i zapewniła kilkakrotnie, że to się już zmienić nie da.

— Kupiłam ją na Shaftesbury Avenue — mówię o sukni — czternaście gwinei. To moc pieniędzy, ale poniżej tej ceny nie można dostać czegoś eleganckiego. Papcio zbiera brylanty. Jest w interesie — w jubilerskim interesie —, ale tylko — z amatorstwa.

Widać było, że miss Dame zaciekawiona była bardzo, jakie wrażenie wywarła na Elzie, a zwłaszcza na majorze Amery'm.

— Jeżeli mię widział z papciem, to powinien rozumieć, że wszystko jest w porządku? To znaczy, powinien wiedzieć, że nie jestem niesolidną panienką, która ściąga mężczyzn w zepsucie.

Elza z trudnością powstrzymywała się od śmiechu.

— Uważam, że nie warto troszczyć się o to, co myśli major Amery, — uspokoiła koleżankę, — a jeśli on o tej sprawie nie wspomni, jabym na pani miejscu tego nie robiła.

— Hm! — mruknęła miss Dame z powątpiewaniem.

Przez całe przedpołudnie nie pokazała się więcej, a Elza była z tego rada, gdyż Amery był w humorze bardzo niezdecydowanym. Zazwyczaj listy jego do korespondentów zagranicznych wymagały tylko niewielkich poprawek. Elza przepisywała je tak, jak major dyktował. Rzadko zdarzało się, aby kazał list zniszczyć i rozpocząć na nowo. Tego ranka podyktował długi list, a Elza kończyła już przepisywanie, gdy Amery wszedł do jej pokoju.

— Niech pani zostawi ten list — rozkazał. — Proszę wejść do mnie, podyktuję nowy!

Z drugim listem powtórzyło się to samo. Kończyła właśnie ostatnie zdanie przepisywania, gdy wszedł znowu do pokoju.

— Ten list niezupelnie mi się podoba. Spróbujemy jeszcze raz.

Był to list dla kupca chińskiego w Szanghaju, ale treścią jego nie była sprzedaż ani kupno towarów, lecz jakaś tajemnicza istota, która zwała się „F. O. I.“ Pan F. O. I. był niezbyt zadowolony ze stanu rzeczy. F. O. I. sądził, że po stronie chińskiej powinno się postępować nieco energiczniej. Ale równocześnie F. O. I. uznawał trudności i pochwalał bardzo wszystko, co zdziałał mr. T'Chang Fui Zen. Poza tem F. O. I. zatroskany był bardzo o pewnego pana, zwanego Stillman, „choć”, głosił list, „mogę stwierdzić identyczność tego pana i spodziewam się w krótkim czasie obzwać go ku naszemu zadowoleniu“. To zdanie powtarzało się w każdej redakcji listu i było widocznie punktem głównym, podczas gdy pozostałe nieskończone wywody zmieniały się zupełnie przy każdym dyktandzie.

— Znudziło panią zapewne pisać ten sam list tyle razy na nowo? — zapytał Amery, kładąc wreszcie swój podpis pod ostatnim listem.

Elza uśmiechnęła się — Nie, to się przecież często nie zdarza. Zresztą przyzwyczajam się do pańskiego trybu postępowania, majorze Amery. Mam nadzieję, że wkrótce będę pana rozumiała.

— A w sobotę chce nas pani opuścić! — odparł Amery w zamyśleniu. Kiedy spojrzenia ich spotkały się, uśmiechnął się, jakby ubawiony dobrym żartem.

Wszedł za nią do jej pokoju i rozejrzał się szybko.

— Ależ naturalnie, — rzekł. — Choć to wszystkiego nie wyjaśnia!

Elza spojrzała na niego.

— Nie wyjaśnia wszystkiego? — powtórzyła.

— Myślałem o czem innym.

Po lunchu żądał jej zupełnie bez związku jedno z owych pytań, które ją tak często wprawiały w osłupienie.

— Dokąd pani idzie dzisiaj wieczorem?

— Dzisiaj wieczorem? Nigdzie, — odparła Elza.

Ciągle jeszcze nie mogła się przyzwyczaić do dziwnego postępowania „Potwora“.

— Jest pani tego pewna?

— Ależ oczywiście, panie majorze. Jestem tego najzupełniej pewna, zwłaszcza, że dzisiaj będzie transmisja „Fausta“ z Opery, a ja lubię bardzo muzykę.

Po raz pierwszy ujrzała, że Amery był zdumiony.

— „Faust“? To dziwne!

— Nie widzę w tem nic dziwnego, — roześmiała się Elza. — Jestem jedną z owych miłośniczek radja, które zarazem ubóstwiają operę. Za nic w świecie nie chcę stracić ani jednego tonu, ani jednego słowa.

— Bardzo dziwne! — powtórzył Amery. — „Faust“!

Elza nie mogła zrozumieć, co w tem dziwnego, ale zbyt dobrze znała „Potwora“, aby kontynuować rozmowę na ten temat. Jak się spodziewała, Amery zaczął nagle mówić o czemś innym, co nie miało nic wspólnego z operą ani radjem.

— Niech pani nie zapomni, co mówiłem o skrzynce! — rzekł jeszcze. Zanim Elza zdążyła odpowiedzieć, Amery wyszedł już z pokoju, zamknął za sobą drzwi gabinetu i przekręcił klucz.

Elza zmarszczyła brew. Czy on był zupełnie...? Ludzie, którzy spędzili wiele lat w gorącym klimacie, zwłaszcza

w Indjach, bywali dziwni. Znała pewnego starego generała z Indyj, który zawsze rozpoczynał obiad od leguminy, a kończył na zupie. Nie przypuszczała, aby „Potwór“ zrobił coś tak ekscentrycznego, ale mimo to był bardzo dziwny.

W czasie przerwy południowej bardzo prozaiczna przyczyna sprowadziła ją do mieszkania mrs. Hallam: musiała zmienić podartą pończochę. Mrs. Hallam dała jej klucz, i wchodząc do mieszkania, Elza przypuszczała, że jest zupełnie sama, gdyż pani Lu powiedziała jej, że na lunch wychodzi z domu. Minęła korytarz, otworzyła drzwi do swego pokoju i stanęła jak wryta.

Czarna skrzynka stała na środku pokoju i była otwarta. Obok niej klęczał Ralf Hallam, bez marynarki, usiłując odśrubować dolną szufladę zapomocą śrubociągu.

ROZDZIAŁ XXXIX.

Ralf wyjaśnia.

Zerwał się przerażony i czerwony.

— Hejże, dziewczyno! — zawołał, starając się napróżno przybrać ton swobodny. — Myślałem, że najlepiej będzie, jeżeli rozwiążę tajemnicę twojej skrzynki.

— Nie sądziłam, Ralfie, że skrzynka ta zawiera jakąś tajemnicę, — rzekła Elza chłodno, — a przytem nieładnie jest, że chcesz całą sensację odkrycia zachować dla siebie.

Ralf wstał, otrzepał kolana z kurzu i włożył marynarkę.

— Rzeczywiście, Elzo, chciałem ci zaoszczędzić bardzo przykrego odkrycia, — rzekł. — Nie chcę powiedzieć nic złego o Maurycym Tarnie, ale mam wrażenie, że w tej skrzynce ukryte jest coś, co sprawi na tobie bardzo niemiłe wrażenie.

Spokojny uśmiech Elzy nie podobał mu się.

— Jestem zahartowana na wszelkie przykrości, Ralfie.

Hallam podniósł pierwszą szufladę, chcąc ją włożyć napowrót do skrzynki.

— Skończ swoją robotę! Nie pozbawiaj mnie mojej cząstki w tej niespodziance! Jedna śrubka już jest wykręcona, pozostają jeszcze trzy tylko!

— Chcesz, żebym otworzył, Elzo? — zapytał zmieszany.

— Na twojem miejscu zacząłabym z tem jeszcze. Pozostaw mnie na chwilę samego, abym mógł sprawdzić, czy niema tam czegoś, czego nie powinnaś widzieć!

Elza chciała mu odebrać śrubociąg, ale on wyrwał jej rękę.

— Daj pokój! — rzekł. — Żałuję bardzo, jeżeli ci sprawiłem przykrość, ale wierz mi, że chciałem dla ciebie jak najlepiej.

— Dlaczego więc nie kończysz swojej roboty i nie pokażesz mi, co jest do zobaczenia? Nie martw się, że mnie mogłeś dotknąć, Ralfie, bo jeżeli nie jestem jeszcze na wszystko zahartowana, to w każdym razie znajduję się na najlepszej drodze do tego. Czy nie wykręcisz i pozostałych śrubek?

— Nie, właśnie w chwili, gdy weszłaś, doszedłem do przekonania, że to właściwie nie prowadzi do celu.

Elza obserwowała go, jak wkładał szuflady, zamknął wieko i odsunął skrzynkę zpowrotem na dawne miejsce pod ścianą. Śrubociągu nie odłożył jednak.

— Wcześniej dziś wróciłaś, — rzekł. — Jak słyszałem, wcześniej też wyszłaś rano. Czy Amery stał się o tyle ludzki, że zwolnił cię na resztę dnia? Spotkałem dziś Tupperwilla; pytał o ciebie. Dziwny człowiek z niego! Wywarłaś na nim ogromne wrażenie, Elzo, i nie zdziwiłbym się, gdyby nasz tegi przyjaciel pod jakimkolwiek pretekstem zaprosił nas znowu.

Mówił dalej i znać było po nim niepokój. Chętnie poszedłby już, ale chciał się przekonać, czy Elza nie dokończy jego rozpoczętego dzieła. Wreszcie Elza rozstrzygnęła sprawę.

— Chciałabym teraz mieć pokój dla siebie, — rzekła i prawie wypchnęła go za drzwi.

Kiedy zmieniła pończochy i zeszła do jadalni, Ralf zabierał się właśnie do odejścia.

— Czy mogę ci towarzyszyć? Jadłaś już?

— Tak, jadłam już!

Niechęć Elzy była tak widoczna, że Ralf począł wkładać rękawiczki.

— Nie sądź, że powodem mego postępowania były jakieś zakusy wobec twego mienia. Wierz mi Elzo, że jestem zupełnie poważnie zdania, iż powinnaś otworzyć skrzynkę tylko w mojej obecności.

— Więc otwórz ją teraz!

— Nie, chwila jeszcze nie nadeszła. Zrozumiesz, dlaczego, kiedy — no, kiedy będziesz starsza! — dodał niezręcznie.

Gdy Ralf wyszedł, Elza pobiegła do kuchenki, aby wyszukać śrubociąg, gdyż postanowiła dowiedzieć się, co Hallam ukrywał przed nią. Ale w gospodarstwie mrs. Hallam nie było widocznie narzędzi. Zamknęła więc drzwi do swego pokoju i zabrała klucz. Kiedy wyszła na ulicę, zobaczyła Ralfa na trotuarze. Wydawał się bardzo zakłopotany i gryzł paznokcie, ale uczył widocznie ulgę, gdy zeszła tak szybko po nim.

— Masz klucz do mieszkania? — zapytała Elza. — Czy mogę cię o niego poprosić?

Ralf wahał się przez chwilę, ale jednak wyciągnął klucz z kieszonki od kamizelki.

— Jesteś bardzo despotyczna, Elzo! Żeby pozbawiać mię klucza od mego...

— Chyba nie od twego mieszkania? Ralfie, czułabym się skrupowana, gdybym wiedziała, że możesz o każdej porze dnia i nocy wejść do mieszkania, — odpowiedziała spokojnie, a Ralf po raz drugi w tak krótkim przeciągu czasu zaczerwienił się po uszy.

Elza podziękowała mu za towarzystwo, wzięła taksówkę i pojechała do restauracji w City, gdzie zjadła lekki lunch, poczem wróciła do biura.

Drzwi do gabinetu Amery'ego były jeszcze ciągle zamknięte, a gdy zapukała, major zapytał ją szorstko, czego chce. Po chwili otwarto drzwi, a gdy Elza weszła do gabinetu, nie zastała w nim nikogo.

O trzeciej zadzwonił telefon. Elza przyjmowała zazwyczaj telefon, a gdy ktoś chciał się połączyć z Amery'm, pytała majora, czy chce mówić.

— Czy mogę pomówić z miss Marlowe? — zapytał znajomy głos.

— Jestem przy aparacie.

— Tu mr. Tupperwill. Czy major Amery jest w biurze? Poznała głos, zanim bankier wymienił swoje nazwisko.

— Nie, mr. Tupperwill, majora niema.

— Czy było możliwe, miss Marlowe, abym z panią pomówił? Sprawa jest dość ważna i chciałbym bardzo, aby major Amery nie dowiedział się, że do pani dzwoniłem.

— Mogę się z panem spotkać dopiero po godzinach biurowych. Teraz musiałabym prosić o pozwolenie opuszczenia biura.

Długie milczenie.

— Czy to konieczne? — zapytał lękliwy głos bankiera.

— Mogę panią zapewnić, że nie prosiłbym pani o przybycie bez wiedzy szefa, ale sprawa jest bardzo pilna, naprawdę bardzo pilna, miss Marlowe. Chciałbym pomówić z panią najdalej za pół godziny.

Elza zastanowiła się, czy to możliwe.

— Dobrze, przyjdę, — rzekła i przerwała dziękczynienia, odwieszając słuchawkę.

Amery dawał jej więcej swobody, niżeli miewały zazwyczaj sekretarki, i mogła wyjść, nie pytając go o pozwolenie; w tym jednak wypadku nie chciała skorzystać z tej swobody. Zastanowiła się nad tem jeszcze raz i zapukała do drzwi gabinetu.

— Proszę!

Amery powrócił tak cicho, że Elza nie słyszała nic.

— Chciałabym wyjść na pół godziny.

— Dokąd pani chce pójść? — zapytał Amery szorstko.

— Ktoś chciał się ze mną zobaczyć. . . mr. Tupperwill.

— Tak!

— Zdaje się, że nie chciał, aby pan o tem wiedział. To chyba zupełnie naturalne? Czy ma pan coś przeciwko temu?

— Nie, bynajmniej, ale cieszy mnie, że mi pani o tem powiedziała. Jeżeli Tupperwill zapyta, czy ja o tem wiem, powie mu pani?

— Ależ oczywiście!

— Na pani miejscu postąpiłbym tak właśnie.

Kiedy Elza jechała omnibusem na Old Broad Street, pomyślała sobie, że Amery jest bardzo dziwnym człowiekiem — jednym z najdziwniejszych ludzi, jakich знаła. Interesowały go takie niepozorne szczegóły. A wielkie, poważne sprawy życia nie obchodziły go wcale.

ROZDZIAŁ XL.

Nowy szofer.

Gabinet mr. Tupperwilla w banku znajdował się w jednym z owych niezliczonych dziedzińców, rozgałęziających się od Old Broad Street i wydających się obcemu prawdziwym labiryntem. Gdy Elza znalazła się na schodach, prowadzących do sanktuarjum, ukazał się sam mr. Tupperwill. Miała wrażenie, że czekał na nią, gdyż zbiegł szybko ze schodów. Ujął ją po ojcowsku pod ramię i poprowadził przez labirynt krzyżujących się korytarzy.

— To najkrótsza droga na Lothbury, — rzekł, nie wtajemniczając jej w ważną sprawę, w której ją zawezwał.

Na Lothbury czekało jego auto. Na zamkniętem siedzeniu przedniem ujrzała Elza brodatego szofera.

— Mam mało czasu, — oznajmiła.

— Nie zatrzymam pani ani chwilę dłużej, niż trzeba, — zaznaczył mr. Tupperwill z naciskiem.

Szofer miał widocznie zawczasu wydane instrukcje, gdyż po chwili auto ruszyło przez Moorgate Street w stronę City Road.

— Sprawa, w której chciałem z panią mówić, jest tak ważna, tak bardzo ważna, że nie chciałem jej poruszać

w banku. W firmie, w której pani pracuje, zatrudniona jest, o ile mi wiadomo, także niejaka miss Dame?

Elza skinęła głową.

— Spotkałem ją kiedyś, — ciągnął Tupperwill, widocznie zdenerwowany bardzo. — Została ona wprowadzona do banku. Czy ma pani coś przeciwko temu, że zasunę firanki?

Okna auta miały grube firanki, które tęgi pan zasunął, nie czekając na odpowiedź. Potem rzekł:

— Ze względu na panią i na mnie, gdyż nie chciałbym, aby ktoś widział nas razem.

— Dlaczego?

— Przyczyna jest bardzo ważna — prędzej czy później dowie się pani o niej. Czy pani zna miss Dame?

— Znam ją bardzo dobrze.

— Czy pani wiadomo... — Głos jego zniżył się do szeptu, —... że jest to dama bardzo bogata?

— Nie, — odpowiedziała Elza. — Miałam wrażenie, że ojciec jej jest bogaty, a ona ma tyle tylko, ile on.

— Tak pani sądzi? — Mr. Tupperwill zagryzł wargi i milczał, aż wjechali na pustą ulicę w Islington.

— Dokąd my jedziemy, mr. Tupperwill? Muszę być najdalej za pół godziny w biurze!

— Rozumiem. Niech mi pani wierzy, że nie zatrzymam pani ani chwili dłużej, niż trzeba, a major nie odczuje pani braku, nawet jeśli powrócił.

— Major Amery powrócił przed moim odejściem i oczywiście zakomunikowałam mu, że udaję się do pana.

Miała wrażenie, że bankier nie dosłyszał tego, gdyż nie odpowiedział.

— Wrócił przed pani odejściem? — rzekł wreszcie. — I powiedziała mu pani o spotkaniu ze mną? Tego się spodziewałem. Samo przez się nie jest to może rzeczą ważną i przeciętny pracownik nie zwróciłby może na to uwagi, ale jestem zdania, że pracodawca nie powinien być okłamywany nawet w najdrobniejszych sprawach.

Znajdowali się teraz na pustej ulicy. Po jednej stronie biegł mur fabryki, po drugiej stało kilka odosobnionych, ubogich domków. Tylko na samym końcu znajdował się wielki dziedziniec, otoczony murem, z otwartą w tej chwili bramą.

Auto wykonało nieznaczny zwrot, jakby chciało wjechać do bramy. W tej chwili mr. Tupperwill zerwał się, otworzył z hałasem okno i krzyknął coś szoferowi. Auto pojechało natychmiast prosto i wolno minęło otwartą bramę. Wyjrzawszy przez okno, zobaczyła Elza kwadratowy dziedziniec, obstawiony z trzech stron zabudowaniami, które wyglądały jak stajnie.

— Ciekaw jestem, dlaczego mój szofer zrobił to? — rzekł mr. Tupperwill zdumiony. — Nie podoba mi się to, miss Marlowe! Zupełnie mi się to nie podoba. To nowy człowiek, którego przyjąłem dopiero w zeszłym tygodniu. Puf! — Otarł pot z twarzy. — Doszedłem do stanu, gdy w najdrobniejszym wypadku widzę coś podejrzanego. Mam ciągle wrażenie, że obracam się w atmosferze, nasyczonej tajemniczością i niebezpieczeństwami. Od owego haniebnego napadu, miss Marlowe, nerwy moje są w stanie zupełnego rozstroju.

Pozostawili teraz za sobą ubogie uliczki i jechali szosą Islingtonską, jak Elza zauważyła z ulgą, w stronę City.

— Chciał pan mówić ze mną o miss Dame? — rzekła Elza.

— Tak, tak, ale ten wypadek zmieszał mnie zupełnie. . . Miss Dame. . . tak. Dziwna dziewczyna. Więc nie uważa jej pani za bogatą? — zapytał z zaciekawieniem. — A jeśli twierdzi, że jest bogata, to okłamuje mnie?

— Pana? Nie ma chyba konta w Stebbing's Banku?

Dyskretny mr. Tupperwill nie odpowiedział na to pytanie. Widocznie myśl jego zajęta była ciągle jeszcze podejrzeniem wobec nowego szofera, gdyż nagle zawołał podniecony:

— Nie podoba mi się to — zupełnie mi się to nie podoba. A jednak człowiek ten miał najlepsze referencje!

Elza roześmiała się. — Mr. Tupperwill, przesadza pan z pewnością. To był bezwątpienia zupełnie niewinny przypadek.

— Nie wiem. Mogli mnie zwabić w ten dziedziniec i zamordować! Niech się pani śmieje! Śmiech jest przywilejem młodości, a lęk instynktem wieku dojrzałego. Muszę to zapisać, to brzmi jak epigramat.

Widocznie w zdenerwowaniu nie zamierzał zajmować się więcej panną Dame i ciemnymi stronami jej życia, pozostawiając Elzie powiązanie luźnych zdań, jakie o jej koleżance wypowiedział, w logiczną całość.

Auto zatrzymało się na Wood Street i Elza powróciła do biura bardzo zmieszana. „Potwór“ siedział przed jej maszyną do pisania i z wielką trudnością odszukiwał poszczególne litery.

— Gdzie jest h? — zapytał, nie patrząc na Elzę.

Dotknęła klawisza.

— Przejazdźka była miła? Podobno Tupperwill kupił nowe auto.

— Skąd pan wie, że jechałam autem?

— Feng Ho widział panią. Czy zauważyła pani nowego szofera mr. Tupperwilla?

— Widziałam tylko tył jego głowy.
Amery roześmiał się. — Powinna pani obejrzeć jego grzbiet.

— Dlaczego?

Major nie zaspokoił jej ciekawości, ale Elza czuła, że poza tym niewinnym uśmiechem kryje się coś strasznego, i zadrżała.

— Co za potworna myśl! — zawołała.

— Bez wątpienia. Bardzo mi przykro. A jednak grzbiet mordercy ma dla mnie coś pociągającego.

— Mordercy? — szepnęła Elza.

— Tak sędzę. — Ciągłe jeszcze odszukiwał z trudnością litery na maszynie. — Ten szofer zamordował Maurycego Tarna!

ROZDZIAŁ XLI.

Jessie Dame w domu.

— Takie jest przynajmniej moje zdanie, — rzekł, nie spoglądając na Elzę. — Gdzie jest i? Nigdy nie mogę na tej maszynie znaleźć j. O, już mam! Tak, wysoki mężczyzna w okularach szoferskich, z brodą. Broda i okulary są przebraniem, ale broda jest bardzo dobra. Sporządzona jest na jedwabnej podszewce, która otacza podbródek tak ściśle, jak rękawiczka pani palec.

Ciągle jeszcze nie podnosił głowy.

— Tak, to był nasz przyjaciel! — ciągnął swobodnie. — Daleko pani była?

Elza opisała mu drogę i opowiedziała o wypadku z bramą.

— Mam wrażenie, że mr. Tupperwill niepokoił się zbyt, — rzekła.

— Bynajmniej! — odparł Amery spokojnie. — O nie, bynajmniej nie zbyt! Gdyby auto wjechało w tę bramę, nasz bankier nie żyłby już teraz. A gdyby żył, znajdowałby się w tak rozpaczliwym stanie, że wzywałby śmierci.

— Czy pan to mówi poważnie?

Major Amery podniósł głowę. — Zdaje się, że panią zaniepokoiłem. Tak, mówiłem poważnie.

— Czyż mr. Tupperwill zna charakter tego człowieka? — zapytała Elza przerażona,

— Będzie ostrzeżony, zanim dzień minie. Czy widziała pani twarz szofera?

— Nie, bardzo pobieżnie. Siedzenie przednie w aucie mr. Tupperwilla jest zamknięte. Zauważyłam tylko, że był to człowiek silnie zbudowany, i wydało mi się dziwne, że miał brodę. Czy pan go zna rzeczywiście?

— Tego człowieka? Tak, niejaki mr. Stillman. Bardzo silny człowiek, prawda? Tak, to on. O czym mr. Tupperwill chciał z panią mówić?

Elza zawahała się. — Nie widzę powodu, aby panu tego nie powiedzieć. O miss Dame.

— Tak sobie odrazu pomyślałem, — odparł Amery niespodzianie.

— Coby się ze mną stało?

— Z panią? — Amery wstał wolno, wyjął papier z maszyny, podarł go na kawałeczki i wrzucił do kosza. Dopiero potem odpowiedział.

— Przypuszczam, że pani nie stałoby się nic złego, ale przestraszyłaby się pani bardzo.

— Więc tylko mr. Tupperwill znajdował się w niebezpieczeństwie?

— W prawdziwym niebezpieczeństwie, tak — w niebezpieczeństwie życia, a to jedyne niebezpieczeństwo, o którym warto mówić. Kiedy pójdzie pani na herbatkę do miss Dame?

— Nie wiem jeszcze. Nie zdecydowałam się dotychczas.

— Niech pani idzie dzisiaj! — rzekł Amery. — „Papcio“ zainteresuje panią bardzo.

Mimo zdenerwowania Elza musiała się roześmiać.

— Więc pan wie, że ona go tak nazywa?

Amery wszedł do swego pokoju, a Elza poszła za nim, gdyż chciała otrzymać od niego odpowiedź na jeszcze jedno pytanie.

— Majorze Amery, — zaczęła, — przypomina pan sobie zapewne ów wieczór, gdy mr. Tupperwill został napadnięty?

— Zupełnie dokładnie.

— Wie pan, że znalazłam broń w pańskiej szafce?

— Wiem.

— Czy pan go uderzył?

Amery skinął głową. — Tak, ja. Ale niech się pani uspokoi, to był przypadek. Uderzenie nie było przeznaczone dla mr. Tupperwilla, nie miałem najmniejszego pojęcia, że znajduje się on w sąsiedztwie. Ale teraz zapomnijmy o tym niemiłym wypadku.

Gdy Elza zakomunikowała Jessie Dame o swoim zamiarze, koleżanka jej nie okazała zbyt wielkiej radości.

— Nie wiem, czy dzisiaj będzie dobrze, — rzekła, a Elza gotowa była przyjąć wszelkie usprawiedliwienie i zrzec się swego zamiaru. Była rada, gdy Jessie mruknęła coś o innym wieczorze i znikła.

Ale wizyta nie miała być jednak odłożona.

Właśnie gdy Elza miała odejść, miss Dame weszła do jej pokoju zupełnie ubrana.

— Wysłałam, żeby zatelefonować do papcia, — rzekła, dysząc ciężko. — Będzie bardzo rad z pani odwiedzin. Jeśli pani nie ma nic przeciw temu, możemy pojechać autem.

Kiedy indziej rozrzutność koleżanki uderzyłaby Elzę niemile, ale wiadomość o jej bogactwie rozwiąła wszelkie skrupuły.

Dom państwa Dame znajdował się na małej ślepej uliczce, przylegającej do Ladbroke Grove. Od strony ulicy była mała murawa, wzdłuż parkanu ciągnęły się nieodzwonne krzewy wawrzynu, a do drzwi wejściowych prowadziło sześć schodków.

Gdy tylko Elza weszła do domu, przekonała się, że Jessie Dame żyła znacznie wystawniej, niż sobie wyobrażała. Pokój, do którego ją wprowadzono, był pięknie umeblowany, a jeśli urządzenie miało jakiś błąd, to chyba tylko nadmierną rozrzutność.

— Zawiadomię papcia, że pani przysłała, — rzekła miss Dame, wybiegając z pokoju. Po chwili wróciła z łysym, tęgim panem, którego Elza widziała już w klubie „Mispah“.

Pierwszą rzeczą, na którą zwróciła uwagę, było to, że dokładny opis majora Amery'ego zgadzał się w zupełności. Mr. Dame miał oczy jasne, podbródek mięsisty, a wąsy najwidoczniej farbowane. Gdyby nie to i zupełna łysina, wyglądałby zbyt młodo, jak na ojca Jessie, gdyż cerę miał jeszcze bez zarzutu.

— Bardzo mi miło poznać panią, — rzekł.

Głos jego brzmiał szorstko, jakby mr. Dame był przeziębiony. — Dawno już spodziewałem się, że przyjdzie pani kiedyś z Jessie. Chce pani obejrzeć dom?

Był widocznie dumny ze swego domu i nie uspokoił się pierw, aż pokazał jej każdy pokój, a nawet niezwykle czystą kuchnię. Okazać ustawiczne zainteresowanie przy oglądaniu trzypiętrowego domu, byłoby w normalnych warunkach trudne, ale w tym domu i jego właścicielu było coś, co Elzę naprawdę interesowało. Bez znużenia podziwiała wszystkie pokoje, a nawet cudowne urządzenie kuchni.

— Nie szczędzono tu żadnych wydatków! — rzekł mr. Dame z dumą. — Nieraz mówiłem Jessie, że z takiego domu powinna być dumna i nie pytać o nic więcej. Rozumiem przez to, że powinna być zadowolona z tego, co posiada. Czy i pani jest tego zdania, miss?

— Bezwątpienia.

Widocznie Jessie miewała chwile ciekawości i niepokoju, myślała Elza, idąc za dumnym właścicielem do ogrodu. Ogród był bardzo wielki, widać było wprawna rękę doświadczonego ogrodnika. I tu nie szczędzono żadnych wydatków, aby wywołać jak najlepszy efekt.

Na końcu ogrodu stała solidnie zbudowana szopa z dwoma małymi okienkami tuż pod stromym dachem. Kiedy Elza rozglądała się po ogrodzie, otworzyły się drzwi i z szopy wyszedł człowiek z łopata. Był bez marynarki, a gdy wyszedł na świeże, chłodne powietrze, otarł sobie skroń rękawem koszuli. Przez chwilę zdawało się, że nie widzi mr. Dame'a i jego gościa. W chwili, gdy Elza poznała go, wbiegł szybko zpowrotem do szopy i zatrzasnął za sobą drzwi. Ale ta chwila wystarczyła, aby go Elza poznała.

Był to brodaty szofer, morderca Maurycego Tarna!

ROZDZIAŁ XLII.

Podpis na czeku.

Mr. Dame widocznie nie zauważył nic, gdyż myśl jego zajęta była w tej chwili małemi klombami, i nie spostrzegł nawet, że dziewczyna patrzyła w stronę szopy.

— Czy to garaż? — zapytała Elza.

— Tak, to garaż, — odpowiedział mr. Dame krótko. — Wejście jest po drugiej stronie, Przechodzi tam ulica. Musi pani przyjść latem, miss, obejrzyć moje róże.

Elza obawiała się, że mr. Dame spostrzeże jej bladość, ale był on widocznie zbyt zajęty swoim ogrodem, aby widzieć cokolwiek innego. W tej chwili rozległ się dzwonek, wzywający ich do pięknie urządzonego pokoju na herbatę. Elza odzyskała już spokój.

— Co pani sądzi o swoim szefie, miss? — zapytał ojciec Jessie, wylewając połowę zawartości swojej filiżanki na spodeczek.

Elza nie miała najmniejszej chęci do rozmawiania o „Potworze“, zwłaszcza z ludźmi, których dopiero przed kilku minutami poznała.

— Słyszałem, że pracowniczki mają u niego piekło, — ciągnął Dame. — Ciągłe powtarzam Jessie, że powinna porzucić posadę i pozostać w domu, ale to uparciuch, chce mieć własną wolę! Oj, kobiety, kobiety!

Sposób, w jaki wypowiedział te słowa, przypomniały Elzie mr. Tupperwilla, ale gruby bankier podobał się jej, podczas gdy do tego człowieka o podstępnych oczach czuła dziwną niechęć.

— Czy pan ma auto, mr. Dame? — zapytała, aby odwrócić rozmowę od Amery'ego.

— Jeszcze nie, ale będę miał w najbliższej przyszłości. Przed trzema czy czterema laty kazałem postawić garaż, ale już rok w nim nie byłem.

— Ojczulek nie wpuszcza nikogo do garażu, — wyjaśniła Jessie. — Powiada, że dopóki nie może pokazać auta, nie ma tam poco wprowadzać gości. Dziwię się, że dotychczas nie kupił auta.

— Wszystko we właściwym czasie. Śpiesz się powoli, festina lente, jak mówi przysłowie, — rzekł mr. Dame zadowolony z siebie.

Gdy nadeszła wreszcie pora odejścia, Jessie odprowadziła Elzę do schodów.

— Co pani sądzi o papciu? — zapytała.

— Bardzo zajmujący człowiek! — odparła Elza bez zapału.

— Idzie pani pewnie do domu? To musi być bardzo miło, mieszkać samej!

Elza spojrzała na dziewczynę. W jej zamyślonych oczach, w jej głosie, było coś, coś szczególnego, co zmieniało ją zupełnie. Ale było to tylko przelotne. Po chwili stała się znowu dawną Jessie.

— Niech pani przychodzi zawsze, kiedy będzie pani miała apetyt na filiżankę herbaty! Papcio będzie bardzo rad, pokaże pani ogród, — zawołała, wbiegając zpowrotem na schody, i zanim Elza wyszła za furtkę ogrodową, zamknęła drzwi domu.

Mr. Dame starannie obciął koniec cygara i czekał na córkę w jadalni.

— Więc to jest miss Marlowe?

— Tak, to jest miss Marlowe. Dlaczego tak bardzo chciałeś ją poznać, ojcze?

— Dlaczego tak bardzo chciałeś ją poznać, ojcze? — powtórzył, przedrzeźniając ją. — Musisz się odzwycząić od tych ciągłych pytań! No, co masz dla mnie?

Jessie podeszła do stolika, na którym wchodząc położyła swoją teczkę, otworzyła ją i wyjęła kilka arkusików zgnieconego papieru, który mu podała.

— Co to jest? — zapytał gniewnie.

— To wszystko, co mogłam znaleźć. Wyjęłam to z kosza do papierów.

— Czyżby nie pisał innych listów?

— Możliwe, — odparła córka. — Zdaje się, że on ma jakieś podejrzenia. Dotychczas ja otrzymywałam wszystkie listy i wciągałam je do dziennika. Dzisiaj zatrzymał wszystkie swoje prywatne listy, a kiedy posłałam po niego chłopca, odpowiedział, że od dzisiaj sam będzie swoje listy wysyłał.

Mr. Dame spojrział ponuro najpierw na córkę, potem na papiery, które trzymał w ręku.

— To wszystko ten sam list, — rzekł. — Naco mi to?

— Nie wiem, ojcze. Zrobiłam, co mogłam. Chwilami wstydę się spojrzeć mu w oczy. Ciągłe to szpiegowanie... Gdyby miss Marlowe wiedziała...

— Nie gadaj głupstw! Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie dostaję jego listów!

— Powiedziałam ci już. Czy mogę wyrywać mu je z ręki i odpisywać? Pierw było łatwo, ale teraz muszę robić jak dawniej — wyciągać wszelkie możliwe papiery z kosza.

Dame przeczytał list uważnie, wodząc po nim tłustym palcem.

— F. O. I. — co to znaczy? — mruknął do siebie. — Dobrze, Jessie, możesz iść do swego pokoju. Bądź na siódma gotowa, pójdziemy na obiad!

Jessie potrząsnęła głową.

— Wolalabym dzisiaj nie wychodzić.

— Co ty wolisz, a co ja wolę, to dwie różne rzeczy. Idź się ubrać!

Jessie Dame wyszła posłusznie, a gdy po trzech kwadransach powróciła ubrana, ojciec siedział jeszcze w żakiecie.

— Zmieniłem zdanie, — rzekł. — Pójdiesz sama. Ale pierw podpisz to.

Na stole leżały trzy niewypełnione czeki Stebbing's Banku. Jessie wzięła pióro, podpisała „J. Stillman“ i oddała czeki ojcu.

— Co jeszcze, ojcze? — zapytała lękliwie.

— Jedz w restauracji „Cardinal“, a o pół do dziesiątej idź do klubu „Mispah“. Gdyby ktoś o mnie pytał, powiedz, że jestem tam gdzieś. Zostaniesz tam do drugiej. Mówiłaś zawsze, że lubisz towarzystwo ludzi eleganckich — dzisiaj możesz zabawić z nimi dłużej. Rozumiesz?

— Tak, ojcze.

— Masz nie wracać do domu ani minuty przed drugą!

— Rozumiem, ojcze.

Jessie wzięła płaszcz z krzesła i opuściła pokój.

Z wyrazu jej twarzy nie domyśliłby się nikt, że Jessie Dame chciała się rzucić w wir zabawy i spędzić wieczór w towarzystwie eleganckich ludzi.

ROZDZIAŁ XLIII.

Mr. Tupperwill szuka rady.

Długo jeszcze po tem, jak Elza Marlowe opuściła biuro, major Amery siedział przy biurku, a szybkie jego pióro zapełniało jeden arkusik papieru po drugim. Amery miał wyjątkowo czytelne pismo, które wyglądało prawie jak druk, i pisał niezmiernie szybko.

Kończył już szósty arkusz, gdy do drzwi zapukano lekko. Amery podszedł do drzwi i otworzył je. Był to dozorca nocny.

— Przepraszam bardzo, że przeszkadzam, sir, ale jakiś pan chciał z panem mówić — niejaki mr. Tupperwill!

Amery spojrzął na zegarek, było pół do siódmej.

— Niech wejdzie! — Potem podszedł do biurka schował wszystkie papiery do szuflady i odwrócił krzesło tak, że siedział nawprost drzwi, przez które wkrótce wszedł mr. Tupperwill.

Bankier był najwidoczniej bardzo zakłopotany. Zamknął drzwi i zatrzymał się za krzesłem, które mu wskazał Amery. Skrzyżował ręce na grzbiecie, sprawiając wrażenie początkującego polityka, który zamierza wygłosić swoje pierwsze przemówienie.

— Wizyta ta wyda się panu dziwna, majorze Amery, — zaczął ochrypłym głosem, — zwłaszcza, że nie mogę rościć

sobie pretensyj do miana — hm — pańskiego przyjaciela, ani nawet bliskiego znajomego.

— Spodziewałem się, że pan przyjdzie, — odparł Amery krótko. — Nie zechce pan usiąść?

Mr. Tupperwill uniósł poły tużurka i usiadł ostrożnie.

— Istotnie umysł mój jest w stanie takiego zamroczenia, że nie wiem już sam, do kogo się zwrócić o pomoc lub radę. Rozważywszy sobie to wszystko w ciszy mego gabinetu, zdecydowałem się zwrócić do pana, jako do jedyne go człowieka w świecie, który posiada dość doświadczenia, gdyż może pan mógłby mi — pomóc w powzięciu właściwej decyzji. Majorze Amery, jestem otoczony nieprzyjaciółmi. Jeśli wydaje się to panu przesadą, niech mnie pan posłucha przez chwilę. Sprawa, o której chcę z panem mówić, dotyczy nietylko mojej czci, ale i podwalin mego przedsiębiorstwa.

Przerwał i zwilżył suche wargi. Amery nie odpowiadał, lecz czekał spokojnie na to, co nastąpi.

— W chwili, gdy byłem bardzo rozgniewany, raczył pan przepowiedzieć mi coś, co się teraz niestety zaczyna sprawdzać, — ciągnął mr. Tupperwill. — Proroctwo to dotyczyło pewnego klienta banku, który miał mnie i firmę moją wtrącić w ruinę. Obawiam się bardzo, że słowa pańskie sprawdzą się w bardzo krótkim czasie. Majorze Amery, obdarzyłem pewną osobę zaufaniem, na jakie sobie kupiec i bankier pozwolić nie może. Zostałem oszukany, straszliwie oszukany. Bank padł ofiarą nikczemnej złośliwości tej osoby, a teraz nietylko mienie moje, ale i życie jest zagrożone. Przed dwoma laty stałem na czele najbardziej kwitnącego przedsiębiorstwa w City of London.

— Przed dwoma laty, — przerwał Amery, — stał pan na czele zbankrutowanej firmy, utrzymywanej tylko fałszerstwami ksiąg. — Słowa jego brzmiały jak uderzenia stalowego młota. — Stebbing's Bank jest zbankrutowany od

lat! — ciągnął bezlitośnie. — Chwalił się pan, że się pan oparł zakusom wielkich trustów, które chciały pana wessać. Prawdą jest, że nie poważył się pan poddać swoich ksiąg bezpartyjnej rewizji, gdyż wiedział pan doskonale, że uczciwa rewizja ksiąg zaprowadziłaby pana przed sąd i w najlepszym razie do więzienia dla dłużników.

Barwa twarzy mr. Tupperwilla nie zmieniła się, ale dolna jego warga opadła, a oczy patrzyły błagalnie w twarz oskarżyciela.

— Spodziewam się, że to co pan mówi, jest nieprawdą, — zaczął cichym głosem. — Bo gdyby tak było, jestem bardziej oszukany, niż przypuszczałem, jestem ofiarą sprzysiężenia. Pewne nierozważne postęпки, które doszły do wiadomości pewnego człowieka bez sumienia, oddały mię w jego ręce. Wszystkie okoliczności tej sprawy spisałem czarno na białem i przyszedłem tutaj, aby pana zapytać, czy dokument taki, gdybym go panu dał, mógłby być panu lub mnie przydatny?

— Pod żadnym względem! — odparł Amery bez wahania, a mr. Tupperwill stracił całą odwagę.

— Podczas ostatniej naszej rozmowy wspomniał pan pewnego pana — hm — pana Stillmana. Majorze Amery, chciałbym uniknąć nieprzyjemności, a przede wszystkim chciałbym uniknąć — ruiny! Pan, który się tak doskonale na tem zna, pan może mi poradzić. Może po raz ostatni mówimy o tej sprawie, może to ostatnia okazja do wypowiedzenia się!

Amery spojrział na niego poważnie. — Znajdą się i inne okazje, — podkreślił.

Przed końcem rozmowy mr. Tupperwill miał jeszcze coś do powiedzenia.

— Jestem człowiekiem pokoju. Gwałtowne czyny ludzi budzą we mnie odrazę. Przeżyłem straszne doświadczenie i nie chcę, aby się ono powtórzyło.

Wskazał na bliźnę na głowie.

— A jednak mam wrażenie, jakby czekał mnie nadmiar czynów gwałtu. Jestem otoczony przez pozbawionych sumienia, złych, może okrutnych nawet ludzi, którzy nie cofną się przed wywarciem na mnie zemsty, i zwracam się do pana o pomoc. Majorze Amery, przed tygodniem przyjąłem nowego szofera. Człowiek ten przyszedł do mnie z najlepszymi referencjami. Miał dobre świadectwo służby wojskowej, miał polecenia swoich poprzednich pracodawców, a jako szofer jest ideałem, a jednak nie mogę... — mr. Tupperwill zawahał się — ... pozbyć się podejrzania, że nie jest on tym, za kogo chce uchodzić. Wchodzi on i wychodzi z mego domu, jak każdy inny ze służby, a raz zastał go kamerdyner w mojej sypialni.

Pochylił się naprzód i ciągnął głosem stłumionym:

— W sypialni mej jest mała wmurowana kasa, w której przechowuję pewne ważne dokumenty i nieco klejnotów, nie posiadających szczególnej wartości. Dzisiaj rano zauważyłem brak książeczki, w której odnotowane były szczegóły mego konta prywatnego. Nie jest to zwyczajna książeczka, wygląda jak złota papierośnica; podarował mi ją przed laty mój ojciec.

— Co zawierała ta książeczka prócz pańskiego prywatnego konta?

— Nic — kilka adresów, kilka notatek co do majątku rodowego, hasło, otwierające moją kasę w banku i moje prywatne depozyty w Banku Angielskim.

— Jeśli pan sądzi, że człowiek ten ukradł panu notatnik, — rzekł Amery znudzony, — dlaczego nie zawiadomi pan policji?

Mr. Tupperwill podniósł głowę.

— Powiedział pan, że przedsiębiorstwo moje jest zbankrutowane, zarzucił mi pan, że nie mogę poddać swoich

ksiąg bezpartyjnej rewizji, napomknął pan, że nad Stebbing's Bankiem unoszą się tajemnice, których nie należy poruszać. Jedna czy dwie z tych tajemnic znajdują się w tej książeczce, majorze Amery!

Bankier wstał i zaczerpnął oddechu.

— Obawiam się, że pana znużyłem, ale niech pan pomyśli, że jestem w ciągłej obawie i rozpacz, że znajduję się w bardzo kłopotliwym położeniu. Pańska rada, pańska pomoc, pańskie współdziałanie, może mogłoby mi pomóc bardzo, a przyniosłoby i panu korzyść.

Otarł cylinder rękawem, spojrzął w zamyśleniu na zburzoną szafkę ścienną, uklonił się i chwiejnym krokiem opuścił pokój.

Amery nadśluchiwał, aż kroki jego przebrzmiały, potem zapalił wąskie czarne cygare, puszczając kłęby dymu w sufit. Głębokie brózdki zorały jego czoło, a twarz jego zdradzała silne podniecenie. Nikt nie pomyślałby, że myśl jego zajęta była w tej chwili Elzą Marlowe.

ROZDZIAŁ XLIV.

Major Amery wychodzi.

Zegar wieżowy wybił siódmą, gdy major Amery wyszedł na Wood Street. Na Cheapside przepuścił trzy taksówki, zanim wsiadł do czwartej. Zaledwie położył dłoń na klamce drzwi swego mieszkania, gdy Feng Ho otworzył mu i wszedł za nim do gabinetu.

— Czy pan zna niejakiego mr. Jarvie?

Amery skinął głową.

— Zaaresztowano go dzisiaj popołudniu. A także niejakiego mr. Sainsona w Hull.

Amery znowu skinął głową. — Bickerson robi się pilny! — rzekł. — Można się spodziewać, że i godzina doktora Ralfa Hallama wybije niezadługo.

— Gdyby to ode mnie zależało, wyprawiłbym go dawno do ogrodu wiecznej nocy, — rzekł Feng Ho znacząco. Rozmawiali po chińsku. Chińczyk stał przy biurku i patrzył na swego pana, który przeglądał listy.

— Feng Ho, byłaby to ciężka kara za głupotę!

— Za morderstwo, master! Gdyż ten Hallam zabił starego Tarna, przeszukiwałem właśnie pokój, kiedy wszedł. Cudowne moje uszy dosłyszały szmer noża, kiedy go wyciągał z kieszeni. Lepiejby było, gdybym był nie zgasił światła w domu, ale tak mnie to skusiło. Kontakt główny jest

na dole, akurat koło drzwi wejściowych, chciałem się upewnić, że staruszek śpi. Gdyby tak nie było, zgaszone światło wywabiłoby go z pokoju.

— A jednak mylisz się. Człowiekiem, który zabił Tarna, był Stillman.

Chińczyk niecierpliwie otwierał i zamykał usta, ale nie odezwał się więcej. Wszedł za swoim panem na górę, a podczas gdy Amery kąpał się, Feng Ho wyjął z szafy jego frak. Gdy „Potwór“ ukończył toaletę, wydał Chińczykowi polecenia.

— Będę w łoży No. 1 — najbliższej sceny. Daj mi słuchawkę!

Feng Ho wyjął z szuflady małe, płaskie, czarne pudełko, które Amery wsadził do kieszeni.

— I rewolwer!

Feng Ho wyjął z tej samej szuflady krótki, ciężki browning, zajrzał do magazynu i przesunął bezpiecznik.

— To lepsze! — rzekł.

Jakby cudem w ręku jego ukazał się krótki, szeroki nóż z lakierowaną rękojeścią. Potarł go wolno o powierzchnię dłoni, wziął ze stołu kawałek papieru, zwinął go i podrzucił kulkę papierową do góry. Kiedy kulka spadła, nóż błysnął nagle i papier spadł na podłogę przepołowiony.

— Wszyscy mężowie lękają się stali! — zacytował dumnie przysłowie kantońskie: — Jest bezszelestna, szybka i skuteczna.

Major Amery uśmiechnął się. — Wierzę, — odparł sucho, — ale wolę zabrać rewolwer. — Wsadził go do tylnej kieszeni spodni. — A teraz podaj mi kilka sznytek i kieliszek tokaju! Auto miej w pogotowiu na małej uliczce koło rynku Covent Garden! Wmieszaj się w tłum przy głównem wejściu. Jest tam zawsze wielkie zbiegowisko ludzi, którzy oglądają gości, wychodzących z Opery.

Posiliwszy się, podszedł Amery do telefonu i wymienił numer.

— Czy Scotland Yard? Czy jest komisarz Wille?

Po chwili odezwał się głos, nie należący do komisarza.

— Major Amery! — krzyknął „Potwór“, odpowiadając na pytanie.

Teraz zabrzmiał tubalny głos komisarza.

— Tu major Amery. Pragnę złożyć policji ważne zeznanie i chciałbym, aby mr. Bickerson przybył do mnie o jedenastej.

— O co idzie? — zapytał Wille.

— Wołałbym zakomunikować to Bickersonowi, gdyż on się tą sprawą zajmuje.

— Handel narkotyków — co? Dobrze, zatelefonuję do niego i przysię go do pana.

— O jedenastej! — powtórzył Amery i z uśmiechem odłożył słuchawkę.

*

Wiadomość o zaarrestowaniu mr. Jarvie podziałała na Ralfa Hallama, jak uderzenie piorunu, a gdy wkrótce potem otrzymał wiadomość telefoniczną z Hull o zaarrestowaniu drugiego członka szajki, ogarnął go paniczny lęk. Spędził bardzo niemiłą godzinę, zamknąwszy się w swoim pokoju i paląc papiery oraz małe książeczki z rachunkami. Była już dziewiąta, gdy sobie przypomniał, że obiecał przyjść do Lu i że żona będzie na niego czekała.

Zastał ją w stanie najwyższego zdenerwowania.

— Muszę iść na obiad! — wołała krzykliwym głosem.

— Czy ty nie masz w domu zegarów?

— Gdzie dziewczyna? — mruknął Ralf.

— W swoim pokoju, spędza tam wszystkie wieczory.

Czy ona tu pozostanie całe życie?

— Opuści cię za dzień lub dwa. Chodź tu!

Otworzył drzwi do salonu i wciągnął ją za sobą.

— Słuchaj Lu! Żle jest ze mną. Mam kłopoty — z policją — jeśli interesa moje rozchwieją się, a zdaje się, że to nastąpi, potrzeba będzie całego mego sprytu, aby się wygrzebać z pod ruin. Mam trochę gotówki, ale potrzeba mi znacznie więcej, musisz mi więc pomóc w miarę możliwości, jeżeli nie chcesz, żeby się twoja pensja skończyła.

— Co to ma znaczyć? — zapytała mrs. Hallam podejrzliwie.

— Słuchaj! — Widziała, że mówił poważnie. — Zostaniesz tu do jedenastej, potem pójdziesz na kolację. Chciałaś przecież pójść do klubu „Mispah“? Tańce potrważą długo. Zostań do końca, to jest do drugiej.

Rzuciła na niego podejrzliwe spojrzenie. — Rozumiem! — zawołała, a Ralf musiałby być głupcem, aby w tonie jej nie odczuć szyderstwa.

— Dziewczynie nic się nie stanie, możesz być o to spokojna.

— Nawet toby mi snu nie zepsuło, — rzekła mrs. Hallam obojętnie. — Spodziewam się jednak, Ralfie, że wiesz dobrze, jak daleko możesz się posunąć. Ona ma dla ciebie jakiś list.

Ralf otworzył usta ze zdumienia.

— List dla mnie, co to ma znaczyć?

— Służąca znalazła go dzisiaj pod jej poduszką. Zaadresowany jest do doktora Ralfa Hallama, pismo jest Amery'ego. W górnym rogu koperty znajdują się słowa: „Użyć w wypadku konieczności!“ Błady jesteś, Ralfie. Czy on coś wie o tobie?

— Nic! — odpowiedział Hallam brutalnie. — Skąd wiesz, że list jest od niego?

— Gdybym nie wiedziała, mogłabym odgadnąć. Pod tą uwagą znajdują się inicjały — P. A. Ostrzegam cię, bądź ostrożny!

— Zapewniam cię, że dziewczynie nic się nie stanie. Ona mi zupełnie nie potrzebna, potrzebuję czego innego. Ułożyłem sobie wszystko dobrze, Lu. Gdybym przyszedł wśród nocy, pomyślałaby sobie Bóg wie co, ale jeżeli jej powiem, że chcę tylko obejrzeć skrzynkę, uspokoi się i pozwoli ją zabrać.

— Co jest w tej skrzynce? — zapytała Lu ciekawie. — Zajrzałam niedawno, dolna część jest przyśrubowana. Czy mam zostać do jedenastej? To konieczne?

Ralf skinął głową. — Lepiej, żeby myślała, że ty jesteś w domu. Co ona robi teraz?

— Słucha radio, — rzekła Lu niecierpliwie. — Dobrze, zrobię, czego żądasz. Czy ci czegoś potrzeba?

— Tylko klucza. Ona ma mój.

Lu dała mu klucz od mieszkania, Ralf wsadził go do kieszeni.

— Czekaj! Zanim odejdziesz, chciałabym się dowiedzieć nieco więcej o tym krachu, który cię czeka. Czem ty się zajmujesz? Handlem narkotykami?

— Jak to odgadłaś?

— Jest to jedyne przestępstwo, związane z tak niewielkim niebezpieczeństwem, że ty mógłbyś się do niego zabrać, — dopowiedziała mrs. Hallam spokojnie. — Tarn też do tego należał? Tak sobie pomyślałam. A Tupperwill?

— Tupperwill? — rzekł Ralf pogardliwie. — Nie sądzę, aby on miał za wiele pieniędzy, ale poza tem wszystko jest u niego w porządku.

Lu roześmiała się spokojnie.

— Jestem tego samego zdania — sądzę, że on nie ma za wiele pieniędzy. Chociaż oprawia swoje książki w złoto...

Urwała, gdyż Ralf spojrział na nią badawczo.

— Zajrzałam do jego biblioteki, — dodała, zupełnie nie zmieszana. — Ma same wydania klasyków w złożonych oprawach.

Odprowadziła go aż do drzwi i zamknęła je za nim. Potem powróciła do swojej sypialni, otworzyła szufladę stołu i wyjęła z niej mały, złoty przedmiot, który można było przyjąć za papierośnicę, ale który był w istocie notesem w złotej oprawie. Przewracała kartki ze zdradzieckim uśmiechem, potem rzuciła książeczkę zpowrotem do szuflady. Naraziła się dla niczego na wielki trud i niebezpieczeństwo, odczuwała więcej satysfakcji i dumy, gdy oglądała diamentową gwiazdę, którą „zdobyła“ w podróży do Indyj.

O dziesiątej zapukała do pokoju Elzy i weszła, nie czekając na odpowiedź, gdyż wiedziała z doświadczenia, że zapalona miłośniczka radja nie słyszała nic, prócz tonów, unoszących się w eterze.

Elza z uśmiechem zdjęła słuchawki.

— Jakie to cudowne! Dziwię się, mrs. Hallam, że pani nie chce posłuchać. Czy pani wychodzi?

— Nie wiem jeszcze. Jeszcze się nie zdecydowałam. Czuje się pani tutaj zupełnie dobrze?

— Najzupełniej! — odparła Elza. — Niech się pani o mnie nie troszczy. Mrs. Hallam, zdaje się, że znalazłam odpowiednie mieszkanie. Nie chciałabym ani dnia dłużej, niż to konieczne, być dla pani ciężarem.

— Jest pani zawsze mile widziana, — rzekła mrs. Hallam obłudnie. — Niech pani pozostanie jak długo pani chce, moja droga!

Spojrzała na skrzynkę pod ścianą.

— Dlaczego nie każe pani odstawić tej skrzynki do komórki? — zapytała. — Zajmuje moc miejsca, można ją tam kazać przenieść.

— Może tutaj pozostać, aż się nie wyprowadzę, — odpowiedziała Elza. Dalsza rozmowa składała się przeważnie z pauz, gdyż Elza chciała nałożyć znowu słuchawki, a pani Lu śpieszno było przebrać się.

Wreszcie znalazła pretekst do wyjścia. W jadalni zabrzmiał telefon. Dzwonił Ralf.

— Nie zaszkodzi, jeżeli będziesz miała ulicę na oku, — rzekł. — Gdybyś zauważyła, że ktoś obserwuje dom, daj mi znać!

— Obawiasz się tego? — zapytała Lu i otrzymała brutalną odpowiedź.

Gdy Elza nałożyła znowu słuchawki, radio podawało sprawozdania ze stanu pogody, ostatnie nowości dnia i t. p.

— Za kwadrans, — rozległ się głos, — odbędzie się transmisja ostatniego aktu „Fausta“ z Opery.

Elza odłożyła słuchawkę i próbowała czytać. Ale myśli jej były gdzie indziej, podobnie jak pierw, gdy słuchała arcydzieła Gounoda. „Potwór“ miał w sobie coś pociągającego, ale nie był to ów pociągający urok, jaki wywiera zazwyczaj zepsucie. Elza czuła, że przeniknęła zewnętrzną zasłonę tego człowieka i dojrzała coś z jego wnętrza. Był dla niej zagadką, obawiała się go, ale nie był dla niej odpychający. Jej subtelny instynkt kobiecy pozostawał pod wrażeniem zalet jego charakteru, a jakiegokolwiek mogły być jego błędy i przewinienia, Elza czuła, że w istocie był on dobrym człowiekiem. Musiała się roześmiać z własnych myśli.

A jednak był dobry, i mimo swej szorstkości życzliwy, i mimo jej podejrzeń godzien zaufania. Był to człowiek, którego trzeba było ujmować jako całość, zamykając oczy na jego błędy, wybacząc mu przewinienia. Zastanowiła się, czy wiele kobiet kochało go i czy któraś zadała sobie trud zajrzenia pod powierzchnię i odszukania tam czegoś

godnego podziwu. We własnych myślach nie sądziła nawet, że go podziwia lub kocha. Ale zastanawiając się tak szczególnie nad jego charakterem, nie była pewna, czy go nie lubi. Czując, że jest na pochyłości, chwyciła więc szybko słuchawki i usłyszała jeszcze oklaski, jakie wywołała wstępna arja.

Opera brzmiała wspaniale. Nie brzmiałaby lepiej, gdyby Elza siedziała w łoży, w pobliżu sceny. Każdy ton, każdą subtelną kadencję słyszeć było doskonale.

Śpiewała właśnie Małgorzata, gdy nagle głos aktorki umilkł, a natomiast Elza usłyszała bezładną mieszaninę głosów. Z niezrozumiałego chaosu doszły ją słowa: „Precz — wynosić się ze sceny!” Potem inny grzmiący głos krzyknął jej do ucha:

— Elzo!

Drgnęła przerażona. Był to głos majora Amery'ego.

— Elzo, niech pani zamknie drzwi, niech je pani zabarykaduje! Niech pani nikogo nie wpuszcza! Słyszysz pani? Niech pani natychmiast zamknie drzwi! Grozi pani śmiertelne niebezpieczeństwo!

ROZDZIAŁ XLV.

Alarm.

Major Amery siedział w głębi łoży i słuchał, ale nie pięknych melodyj opery. Sąsiednia łoża była pusta. Dwa razy otworzył czarne pudełko, wyjął coś, co przypominało wyglądem stetoskop i przyłożył koniec płytki do ściany. Z łoży nie dochodził żaden odgłos, aż kurtyna podniosła się do ostatniego aktu „Fausta“. Potem usłyszał bez mikrofonu szmer odsuwanych krzeseł. Dwaj mężczyźni weszli do łoży, a wnosząc z dźwięku ich głosów, usiedli w głębi. Amery przytknął odbiornik do ściany i począł nadsluchiwać. Głosy poznał natychmiast.

—... ona jest naszą najlepszą kartą. Myślę, że możemy się porządnie obłowić...

Drugi głos mruknął coś i zamilkł.

—... o tem właśnie myślałem. Możemy ubić dwa interesy naraz. To jest napewno w skrzyni! Stary zabrał to z biura w dzień śmierci i zaniósł na Elgin Crescent. . . Same amerykany, łatwo je zmienić, ale dziewczynę też muszę mieć. Wydałem dyspozycje — o jedenastej — pięć minut przed jedenastą — jestem przyzwyczajony pracować punktualnie...

Nastąpiła cisza. W tej chwili Amery pociągnął nieostrożnie za cienki drucik, łączący mikrofon z czarnem

pudełkiem, zawierającym baterję. Drut pękł. Zgrabne palce „Potwora“ usunęły natychmiast jedwabną izolację na zerwanych końcach i naprawiły uszkodzenie. Ale gdy przyłożył znowu odbiornik do ściany, nie usłyszał nic. Pomyślał, że baterja musi być nie w porządku, usunął więc słuchawkę, wyszedł na korytarz i ostrożnie otworzył drzwi sąsiedniej łoży. Była pusta!

— Pięć minut przed jedenastą!

I pracowali punktualnie! Spojrzał na zegarek i zdrętwiał. Była dokładnie ta godzina.

Wahał się tylko przez chwilę. Małgorzata stała pośrodku sceny i czarowała słuchaczy, ale on nie widział Małgorzaty, nie słyszał jej głosu. Zmysły jego były daleko, w mieście, przy bezbronnej dziewczynie, która słuchała przez radjo. W następnej chwili wyskoczył z łoży na scenę.

W teatrze powstało wielkie zamieszanie. Małgorzacia uciekła przerażona za kulisy, z kulis bocznych odezwały się wściekłe głosy, ale on szedł wzdłuż rampy, szukając mikrofonu. Gdy go znalazł, nachylił się i wykrzyknął swoje ostrzeżenie. W tej chwili uchwyciły go silne ręce i odciągnęły z pola widzenia słuchaczy. Potem znalazł się naprzeciw rozgniewanego dyrektora.

— Proszę zawołać policję! — krzyczał gwałtowny głos.
— On jest pijany!

Dwaj silni robotnicy teatralni trzymali go mocno za ramiona. Drżący ze wściekłości dyrektor wymachiwał pięściami przed nosem Amery'ego. Potem major rzekł:

— Niech mnie pan zaprowadzi do swego gabinetu. Muszę panu coś zakomunikować.

— Może pan to tutaj powiedzieć! — wołał podniecony dyrektor. — Czego pan jeszcze chce?

Amery szepnął coś i wyraz twarzy dyrektora zmienił się.

— Prawdopodobnie kłamie pan, ale chodźmy! — rzekł, a „Potwór“ ruszył za nim do małego gabinetu za sceną.

Na stole stał telefon i Amery, nie pytając o pozwolenie, podniósł słuchawkę. Połączenie zostało szybko uskutecznione, a dyrektor, jakby rażony piorunem, słuchał, jak Amery mówił szybko i gniewnie. Major odłożył słuchawkę i zawołał:

— A teraz szybko, do wyjścia!

Dyrektor poprowadził go przez wąskie korytarze, schody, przejścia, aż znaleźli się wreszcie na ulicy.

— Pomogę panu odszukać auto. Czy potrzebuje pan pomocy?

Amery potrząsnął głową. — Herbert Mansions! — rozkazał, gdy znalazł się obok szofera. — Jedź pan wolno koło rogu, gdyż muszę zabrać Feng Ho. Potem nie istnieją dla mnie na dzisiaj londyńskie przepisy ruchu!

*

Elza usłyszała słowa Amery'ego i zastanowiła się na chwilę, aby zrozumieć, co one oznaczają. Był to głos „Potwora“ i głos ten nakazywał jej zamknąć drzwi.

Zerwała słuchawkę z głowy, podbiegła do drzwi i przekęciła klucz. Jednocześnie usłyszała za drzwiami jakiś szmer i klamka poruszyła się w jej dłoni.

— Kto tam? — zawołała przerażona.

Potem usłyszała krzyk, który zakończył się zduszonym jękiem. Krzyk ten zmroził jej krew w żyłach.

— Na pomoc!

Był to głos Lu Hallam. Zakończył się straszliwym łkaniem.

Elza była bliska omdlenia, ale skupiła wszystkie siły i podsunęła skrzynkę pod drzwi. W następnej chwili przyciągnęła łóżko i ustawiła je także przed drzwiami.

— Niech pani otworzy drzwi, ja chcę wejść! — zawołał jakiś stłumiony głos.

— Kto pan jest?

— Powiadam, niech pani otworzy drzwi! Pani nic się nie stanie! Chcę tylko skrzynki.

— Kto pan jest? — powtórzyła Elza. — Gdzie mrs. Hallam? Co pan jej zrobił?

Usłyszała ciche przekleństwo, potem drzwi zadrżały pod naporem ciała mówiącego.

Teraz usłyszała na korytarzu rozmowę dwóch mężczyzn. Co miała czynić? Podbiegła do okna i otworzyła je. Ulica była pusta zupełnie. Nie widziała nikogo, kogo mogłaby wezwać na ratunek.

Mieszkanie mrs. Hallam znajdowało się na trzecim piętrze, ucieczka była więc niemożliwa. Nagle ujrzała jakąś postać, przechodzącą przez ulicę, i krzyknęła głośno.

— Niech pani przestanie! — zawołał zachrypły głos z korytarza. — Niech pani przestanie krzyczeć, bo będę strzelał!

W tejże chwili w drzwiach wybito otwór i Elza ujrzała dwoje oczu, wpatrujących się w nią z wściekłością. Cofnęła się przerażona.

Nagle usłyszała turkot auta. Wyjrzała znowu przez okno. Przed drzwiami zatrzymał się samochód, z którego wysiadło trzech mężczyzn. Szybkiemi krokami zmierzali do drzwi wejściowych. Napastnicy na korytarzu także coś usłyszeli.

— Dzięki Bogu! — zawołała Elza głośno.

Mężczyźni za drzwiami usłyszeli jej głos. Do uszu jej doszły szybkie kroki na korytarzu. Nagle korytarz, dotychczas ciemny zupełnie, rozblysnął światłem, i Elza usłyszała znajomy głos.

— Proszę się nie poruszać, przyjacielu, chyba że ma pan randkę ze świętym Piotrem!

Był to Amery!

Trzaśnięto drzwiami. Były to drzwi kuchni, znajdującej się w pobliżu jej pokoju. Elza usłyszała przekleństwo majora. Potem ujrzała przez otwór w drzwiach, jak Amery pobiegł do kuchni i zapalił światło. Spojrzała, że zewnętrzne drzwi kuchni były otwarte. Po chwili Amery wrócił.

— Czy się pani coś stało? — zapytał krótko.

— Nie, — nie! Nic mi się nie stało! — odpowiedziała Elza, drżąc. — Uciekli?

— Tak, uciekli, — brzmiała gniewna odpowiedź. — Za kuchnią jest winda bagażowa, musieli się spuścić po linie.

Elza chciała usunąć barykadę, ale siły opuściły ją nagle, z wielkim wysiłkiem udało się jej wreszcie usunąć ostatnią przeszkodę i otworzyć drzwi.

W korytarzu koło drzwi wejściowych ujrzała Feng Ho i człowieka w mundurze, którego poznała jako szofera Amery'ego.

— Feng Ho! Przynies panience wody! — rozkazał Amery krótko. — Gdzie mrs. Hallam?

Elza nie mogła odpowiadać, aż nie napiła się wody.

— Nie wiem — myślałam, że wyszła, — rzekła wreszcie, raz jeszcze podnosząc drżącą dłonią szklanę do ust, — ale słyszałam straszny krzyk!

Amery wszedł do jadalni i zapalił światło. Pokój był pusty. Stamtąd udał się do salonu, który przedstawiał taki sam widok.

— Gdzie ona sypia?

Drzwi do sypialni mrs. Hallam były zamknięte. Amery szarpnął klamkę.

— Tam ktoś jest! — zawołał i całym ciężarem ciała rzucił się na drzwi, które z wielkim hałasem ustąpiły pod jego naporem.

Zapalił światło i przez chwilę patrzył nieruchomo na widok, jaki miał przed oczyma. Ciało mrs. Hallam leżało nawpół na łóżku, twarz jej była blada, suknie podarte, a na białych ramionach czerwieniła się krew. Ale najniebezpieczniejszy był jedwabny szal, który otaczał jej szyję.

W jednej chwili znalazł się Amery obok niej i usunął duszący ją jedwab.

Potem zawołał Elzę, która na widok zemdlonej zapomniała o własnej niemocy. Ułożyli ją na łóżku, a podczas gdy Elza szukała konjaku, Amery poddał pokój szybkim oględzinom.

Pod wieloma względami był on podobny do jego gabinetu po wizycie tajemniczych gości. Szuflady były otwarte, zawartość ich leżała na podłodze. Z toaletki zniknęły wszystkie przedmioty. Amery zastanawiał się, czego złoczyńcy mogli tu szukać. Dotychczas nie uważał mrs. Hallam za ważną osobę w tej sprawie. A jednak nie był to napad przypadkowy, lecz rabunek, mający jakiś określony cel. Postanowił cel ten zbadać. Po kilku minutach pani Lu odzyskała przytomność i patrzyła na niego niezdecydowanym wzrokiem.

— Więc to pan? — szepnęła.

Amery potrząsnął głową.

— Jeśli pani sądzi, że to ja panią napadłem, mogę panią uspokoić, — rzekł. — Czy pani coś — zginęło?

Mrs. Hallam podniosła się z trudem i podeszła do toaletki.

— Niema książeczki — to wszystko — książeczki!

— Książeczki? Jakiej książeczki? — zapytał Amery szybko.

— Małej złotej książeczki.

„Potwór“ zrozumiał nagle.

— Tupperwilla?

Skinęła głową.

— Skąd pani do niej? Odpowiedzi mogę się domyślić.
Więc to pani ją zabrała?

Ponownie skinęła głową. — Pożyczyłam ją sobie. —
Mówienie sprawiało jej trudność.

— Rozumiem.

Więc to było wyjaśnienie — i tak proste!

— Moja droga pani, — zwrócił się do Elzy, — sędzę,
że możemy pozostawić mrs. Hallam na chwilę samą. Chciał-
bym, aby się pani znalazła w bezpiecznym miejscu. Czy
zechce pani pozostać tu pięć minut, nie wychodząc z pokoju?

Elza skinęła głową, a Amery wybiegł z pokoju. Po kie-
runku, w którym poszedł, domyśliła się, że znajdował się
w jej pokoju i zastanawiała się, czego tam chciał. Po pięciu
minutach Amery wrócił, niosąc w ręku walizkę Elzy. Myśl,
że Amery pakował jej suknie, była tak osobliwa, że Elza
musiała się rozeźmiać.

— Sędzę, że Palace Hotel będzie na dzisiejszą noc dość
bezpiecznym schronieniem dla pani.

Elza spojrzała na mrs. Hallam, która odzyskała tymczasem
zwykłą barwę twarzy.

— Dobrzeby było, gdyby pani zatelefonowała do męża
i zawiadomiła go... — zaczął Amery, ale w tej chwili
usłyszał szmer klucza, przekręcanego w zamku i pobiegł
w stronę drzwi wejściowych.

Ralf Hallam stanął jak przygwożdżony, ujrawszy przed
sobą nagle niespodziewane zjawisko: „Potwora“ Amery'ego!

ROZDZIAŁ XLVI.

Aresztowanie.

— Co pan tu robi? — zapytał szorstko.

— To samo pytanie mógłbym i ja panu zadać, — brzmiała chłodna odpowiedź. — Rzeczywiście, Hallam, porusza się pan szybciej, niż jakikolwiek człowiek, którego znam.

— Dokąd idziesz, Elzo? — zapytał Hallam.

— Zaoszczędzę tej pani odpowiedzi. Udaje się ona ze mną do hotelu Palace, gdzie będzie bezpieczniejsza.

Ralf ujrzał światło w pokoju żony i skierował się w tę stronę. Rzucił tylko jedno spojrzenie do pokoju, na rozrzucone rzeczy, na bladą twarz Lu i odwrócił się.

— Co to wszystko ma znaczyć? — zapytał. — Nie odejdzie pan chyba tak bez wyjaśnienia, Amery?

— Ktoś napadł pańską żonę i uciekł, kiedy przyszedłem.

— Jak pan tu wszedł?

Amery uśmiechnął się. — Dzisiaj nie odpowiadam już na żadne pytania, gdyż nie mam czasu, — rzekł i skierował się do drzwi. Ale Ralf zastąpił mu drogę.

— Co pan ma w tej walizce?

Amery zastanawiał się przez chwilę, potem odparł chłodno: — Nieco więcej niż milion dolarów, własność miss Marlowe. Znalazłem te pieniądze na dnie jej skrzynki i chcę je teraz umieścić w bezpiecznym miejscu.

Twarz Ralfa poczerwieniła najpierw, potem zbladła.

— Nie wyjdzie pan stąd, aż mi pan nie wyjaśni...

— Jutro dam panu wyjaśnienie, które pana zadowolni,

— rzekł Amery swoim dawnym tonem podniecenia. —

Chwilowo niech pan zgaduje. Ostrzegłem już pana raz, Hallam, że na dwie szajki pańskiego zawodu niema miejsca, a wkrótce przekona się pan, że miałem rację. Niech pan idzie do domu i zamknie się, albo lepiej niech pan pobije policjanta, żeby pana wsadzono do więzienia! Anioł śmierci chodzi dzisiejszej nocy po ziemi!

Ralf Hallam zachwiał się i oparł o drzwi. Jak lunatyk, oszołomiony i bezsilny, patrzył na oddalających się.

Feng Ho czekał przy drzwiach i Amery dał mu polecenie.

— Zostań tutaj i obserwuj Hallama. Muszę wiedzieć, gdzie go będę mógł znaleźć!

Zeszli ze schodów i znaleźli się na pustej ulicy. Szofer Amery'ego zawracał właśnie autem, a po przeciwnej stronie stała taksówka, która widocznie nadjechała dopiero, gdyż dwaj mężczyźni rozmawiali z szoferem.

To tłumaczy następującą omyłkę Amery'ego.

— Przychodźcie od komisarza Wille?

— Wille? Wille nic nas nie obchodzi, ale przychodzimy ze Scotland Yardu, — rzekł jeden z mężczyzn uprzejmie. — Czy pan jest Amery?

— To moje nazwisko.

— Mam rozkaz aresztowania pana, majorze.

Amery spojrział niedowierzająco. — Rozkaz aresztowania mnie? O co jestem oskarżony?

— Tego chyba panu nie trzeba mówić. Dowie się pan zresztą na posterunku policyjnym. Mam tylko rozkaz ujęcia pana.

Nastąpiła chwilowa pauza.

— Musiała tu zajść jakaś pomyłka. Mimo to udam się z panami. Pozwolicie jednak, że pierw odwiozę tę panią do hotelu Palace?

Meżczyzna nie odpowiedział, lecz poszedł za nim do taksówki i podał walizkę Amery'ego szoferowi. W blasku latarni ulicznej aresztant dojrzał w ręku detektywa rewolwer. Detektyw zauważył widocznie, że broń została dostrzeżona, gdyż rzekł:

— Dam panu jedną radę, majorze Amery. Niech pan nie sięga ręką do tylnej kieszeni, bo strzelę! Nie chcę się ze względu na pana narażać na niebezpieczeństwo. Jeśli już poruszyliśmy ten temat... — przycisnął koniec lufy do kamizelki majora, sięgnął ręką za niego i błyskawicznym ruchem wyciągnął mu z tylnej kieszeni rewolwer. W następnej chwili stalowy pierścień otoczył ręce Amery'ego.

— Niech pan będzie cicho, bo może się coś stać! — rzekł drugi meżczyzna, który milczał dotychczas.

Głos jego wydał się Elzie znajomy, ale major Amery pierwszy poznał mówiącego.

— Czy to nie „papcio“? — rzekł drwiąco. — Rzeczywiście, mr. Dame, nie poznałem pana w pierwszej chwili — nie wiedziałem, że pracuje pan na utrzymanie.

Ojciec Jessie Dame! Elza wydała okrzyk, gdy i ona poznała łysego pana.

Co to miało znaczyć? Czy on był detektywem?

Następujące słowa Amery'ego wyjaśniły jej wszystko:

— To pułapka, a ja w nią wpadłem. Ja, stary osioł! Dokąd jedziemy teraz?

— Dowie się pan zaraz.

Usłyszała szcęk kajdanków Amery'ego, potem jeden z napastników oświetlił ręce schwytanego latarką elektryczną.

— „Prostu wspaniale!“ zawołałaby pańska córka, — sztydził Amery. — Nie pominięto żadnego środka ostrożności,

nie narażono się na najmniejsze niebezpieczeństwo! Widzę, że jedziemy przez boczne uliczki i zataczamy wielki łuk, ale chyba nie w stronę posterunku policyjnego. Dokąd jedziemy? — zapytał jeszcze raz.

— Niech pan zaczeka, dowie się pan! — rzekł Dame.

— Pozwolicie panowie przynajmniej, żeby ta pani opuściła nas?

Dame roześmiał się głośno. — Aby poszła do najbliższego „policaja“ i zasypała nas? — rzekł pogardliwie. — Musi pan być rozsądny, majorze. Zresztą potrzebujemy jej.

Oczywista, potrzebowali jej, teraz sobie przypomniał. Ona była przecież tym wielkim łupem, na który liczyli. Wobec tego, że dłonie miał stale oświetlone, nie można było myśleć o wyswobodzeniu się z kajdanków, a Amery znał zbyt dobrze charakter tych ludzi, aby starać się zwrócić uwagę nielicznych przechodniów.

Droga nie była już daleka. Wóz skręcił w ulicę, zabudowaną podmiejskimi willami, wjechał w wąski pasaż i zatrzymał się przed jednopiętrowym budynkiem. Szofer wysiadł, otworzył bramę i najpierw Amery'ego, potem Elżę poprowadzono w ciemności.

*

Zaledwie auto z Amery'm i jego wrogami znikło z oczu, na ulicy ukazał się Feng Ho i zawołał szofera, który stał na trotuarze.

— Gdzie major? — zapytał.

— Nie wiem, czekam na niego.

— Przed chwilą wyszedł. Nie widział go pan, czy pan oślepl?

— Widziałem jakiegoś pana i jakąś panią, ale nie wiedziałem, że to był major. Dlaczego pojechał taksówką?

Feng Ho zaklął po chińsku. W tej chwili wybiegł z domu zaniepokojony Ralf Hallam.

— Widział pan, jak odjeżdżał, doktorze?

— Kto odjeżdżał? Jeżeli pan mówi o Amery'm, to nie. Chciał się odwrócić i odejść, ale Feng Ho przytrzymał go za ramię i wygłosił do niego przemówienie w takiej angielszczyźnie, że Hallam nie mógł nic zrozumieć.

— Kim on jest? — zapytał niedowierzająco.

— Powiadam panu, doktorze, że go złapali, — zawołał zrozpaczony Chińczyk.

— Niech pan powtórzy jeszcze raz — kim jest Amery?

Kiedy Feng Ho skończył, Hallam zwrócił się do szofera.

— W jakim kierunku odjechała taksówka?

— Nie zauważyłem, sir. Dowie się pan łatwo, jeżeli pojedzie pan na koniec ulicy.

Dopiero na rozkaz Feng Ho szofer usłuchał.

Na końcu ulicy spotkali policjanta; widział taksówkę, która mogła należeć do napastników majora. Kiedy po pięciu minutach dogonili dorożkę automobilową, przekonali się, że była pusta. Drugi trop także do niczego nie doprowadził, i Feng Ho zdecydował się wysłać auto w innym kierunku. Sam postanowił udać się do najbliższego posterunku policji. Wtem przejechało obok niego auto, a w świetle latarni ujrzał Feng Ho twarz, którą poznał natychmiast.

Widział ją tylko przez ułamek sekundy. Taksówka jechała szybko, nie miał czasu wzywać zpowrotem swego auta. Długimi, niezmordowanymi krokami puścił się Chińczyk w pogoń. Auto przecięło Bayswater Road, wjechało w wąską uliczkę, kończącą się na jakimś placu i poczęło wjeżdżać na niewielki pagórek. Odległość między autem a ścigającym poczęła się już zmniejszać, gdy z ciemności wyłoniło się czterech ludzi, po dwóch z każdej strony ulicy, którzy biegli w jego stronę. Mr. Feng Ho stanął

przed nimi bez tchu, z nożem w ręku. Powalił pierwszego, ale drugi zaszedł go z tyłu. Nie widział błysku stali, która go powaliła. Padł ze zdławionym jękiem, a człowiek z nożem uderzył jeszcze raz.

— Szybko, tam, do ogrodu! — zawołał cicho napastnik, który go pokonał.

Podnieśli nieruchomą postać, rozhuścili i rzucili przez płot. Ciało uderzyło o ziemię, potem zapadła cisza. . .

*

— Niech pani uważa, gdzie pani stąpa! — ostrzegał Dame. — Gdzie łańcuch?

Szofer przebiegł obok niego i w następnej chwili usłyszał Amery szczeł łańcucha, przeciągniętego przez pierścień, wbity w mur. Potem uchwyciono jego ręce, coś uchwyciło łańcuszek kajdanków, i Amery uczuł, że przyciągnięto go do ściany, aż dłonie jego dotknęły żelaznego pierścienia, przez który przeciągnięty był łańcuch.

— Niech się pani nie porusza, miss, — ostrzegał Dame znowu, — bo skręci pani kark!

Zamknięto drzwi. Głosy były stłumione, co nie mogło pochodzić z ciasnoty miejsca, w którym się znajdowali. Nagle zabłyśła lampka elektryczna, a towarzysz Dame'a zapalił świecę w latarni. Teraz ujrzał Amery, że szofer znikł.

Budynek, w którym się znajdowali, była to szopa, zbudowana z cegieł, rozmiarów mniej więcej dwadzieścia stóp na dziesięć. Że była z cegieł, tego się Amery tylko domyślał, gdyż ściany były zawieszane kocami wojskowymi, co wyjaśniało też, dlaczego głosy były tak stłumione. Pośrodku szopy, której podłoga była cementowana, znajdował się otwór, głębokości jakichś pięciu czy sześciu stóp, takżeż

długości, a szerokości trzech stóp. Wykopały go widać wprawne ręce.

— Co to jest? — szepnęła Elza, która przykucnęła obok Amery'ego.

— Wygląda mi to na garaż „papcia“, — odparł major chłodno. — Wie pan, Dame, co mi to przypomina?

— Nie chcę słyszeć nic, — mruknął mr. Dame.

— Przypomina mi to plac kaźni. Grób mógłby być trochę szerszy i głębszy. Do tego potrzebny jeszcze potrzask, dźwignia, gruby pal dębowy i żelazna winda. Straszna to rzecz, gdy człowieka budzą o szóstej i każą mu zdjąć ubranie, które nosił podczas rozprawy sądowej. Widziałem ludzi, którzy wpadali przy tem w obłąd, a byli lepsi od pana, Dame! Czytał pan poemat Wilde'a?

— Psiakrew! — zawołał Dame, którego twarz poczerwieniała. Z oczu patrzyła mu trwoga. — Wyrwę panu ten przeklęty język, jeżeli pan nie stuli pyska!

Amery roześmiał się cicho. Chcąc go widzieć, musiał spoglądać przez ramię, gdyż łańcuch trzymał go blisko ściany.

— Niech pani idzie! — zwrócił się Dame do dziewczyny, a oczy Amery'ego zabłyśły.

— Będzie pan na nią dobrze uważał, Dame, bo za zwykłe morderstwo można być ułaskawionym. Ale wszelkie ostrzeżenie przestępstwa, które mogłoby wpłynąć na sąd przysięgłych — a dzisiaj i kobiety zasiadają w sądach jako przysięgli — utrudni panu i Stillmanowi obronę!

— Precz z nią! — zawołał Dame głosem ochryplym. — Przez te drzwi. — Ręce jego drżały jak w gorączce.

Elza trzymała się mocno Amery'ego.

— Niech mnie pan nie pozwoli stąd wyprowadzić! — błagała, nieprzytomna prawie z przerażenia.

— Niech się pani uspokoi! — Głos ten brzmiał łagodnie

i spokojnie. — Nic złego nie stanie się pani, gdyż ja nazbyt panią kocham. Niech pani pomyśli o tem! „Potwór“ kocha panią więcej, niż własne życie!

Pochylił głowę ku białej twarzy, zwróconej ku niemu. Wargi ich spotkały się i w tej chwili największej błogości Elza zapomniała o otoczeniu, w którym się znajdowała, zapomniała o niebezpieczeństwie, unosząc się nad nimi obojgiem, a żyła tylko jasnością, która ją spowiła. Ale już w następnej chwili uchwyciło ją ramię oprawcy i zawlokło w drugi koniec szopy.

— Niech pani idzie cichutko! — syczał towarzysz Dame'a.
— Jeżeli pani krzyknie, zabiję panią!

Oczy Amery'ego spojrzały na niego groźnie, i przestępca, mimo swej przewagi, zadrżał.

Elza usiłowała uwolnić się od ręki, która ją trzymała, usta jej otworzyły się już do krzyku, ale szeroka dłoń zasłoniła jej usta.

— Pomóż mi pan! — zawołał towarzysz „papcia“, a Dame przeskoczył przez otwór w podłodze. Ale ofiarę opuściły już siły i Elza padła bezwładnie w ramiona swego prześladowcy.

— Dzięki Bogu, że zemdlą! — pomyślał Amery, spoglądając smutnym wzrokiem na wynoszoną z szopy dziewczynę. Teraz był sam z człowiekiem, który, jak przypuszczał, miał być jego katem.

ROZDZIAŁ XLVII.

W domu śmierci.

— No, młody przyjacielu, — rzekł Dame tonem żartobliwym. — Niewiele już panu pozostało do życia. Pora nie będzie też nieodpowiednia!

Nie zbliżał się jednak zbyt do swojej ofiary. W jednym rogu szopy stało naczynie, które Dame przyciągnął na brzeg otworu i zdjął pokrywę. Potem wywrócił naczynie nabok.

Szary pył uniósł się z naczynia, które Dame wywrócił zupełnie do góry dnem, aby wysypać jego zawartość na podłogę. W innym końcu szopy znajdował się kran i dwa wiadra. Amery widział, jak Dame odkręcił kran. Po chwili powrócił z pełnymi wiadrami, wygrzebał ręką zagłębienie w szarej kupie miału, wysypanego z naczynia i ostrożnie wlał w to zagłębienie wodę. Potem wymieszał łopatą wodę i miał.

— Zdaje się, że pan jest głównym katem! — rzekł Amery chłodno.

Dame drżał na całym ciele, choć starał się udawać spokój.

— Nie, tem nie jestem, — odpowiedział. — Nie mam z tem nic wspólnego. Muszę pana tylko umieścić tam, gdzie pana nikt nie znajdzie.

— Jest pan murarzem? Sądząc z pańskiej twarzy, możnaby pomyśleć, że pan jest cieślą, — rzekł Amery.

— Kto to panu powiedział? Byłem cieślą. Nie mam najmniejszej ochoty rozmawiać z panem nadal.

Zaczął pracować energicznie łopata, dorzucał raz poraz nieco piasku i mieszał tak długo, aż otrzymał dobrą zaprawę cementową. Potem wsparł się na łopacie, aby wypocząć. W tej chwili zasłona, wisząca nad drzwiami, poruszyła się. Amery odwrócił głowę i spojrzał nieustraszenie w oczy człowieka, który nienawidził go śmiertelnie.

Był to mężczyzna wysoki, z czarną brodą, w okularach szoferskich. Stillman powitał majora uprzejmym uśmiechem. Broda umocowana była tak dobrze, że nawet w uśmiechu nie znać było, że jest sztuczna.

— No, Amery, zaciekawi pana zapewne wiadomość, że pański Chińczyk ma obecnie okazję do żalu, iż wmieszał się w naszą sprawę.

— To dla mnie niespodzianka! — rzekł Amery.

— Gonił pańską taksówkę — tego pan pewnie nie zauważył. Biegać potrafi — trzeba mu to przyznać. Ale złapaliśmy go na końcu Ladbroke Grove. Przekonał się, że nie jest jedynym człowiekiem, który umie władać nożem.

— Wiem o tem, — rzekł Amery. — I pan to doskonale potrafi. Stary Tarn miał okazję przekonać się o tem. To dziwne, myślałem, że pan prowadził taksówkę. Co teraz będzie?

Człowiek z brodą zapalił pierw papierosa, potem rzekł:

— O ile to pytanie mnie dotyczy, nie mam z tem nic wspólnego. Jestem tylko ciekawym widzem. Dostojny pan sam wykonuje wielką robotę! — Zajrzał do dołu, potem

rzucił okiem na cement. — Dame i ja jesteśmy tylko pierwszym i drugim grabarzem — to wszystko.

— Co zrobicie z dziewczyną?

Stillman potrzęsnał głową i wypuścił kłęb dymu.

— Nie wiem, dostojny pan ma własne poglądy. Ona wie więcej, niżbyśmy pragnęli. Rozumie pan to przecież, Amery?

— Ona nie wie nic. Nie wie nawet, kim ja jestem.

Mr. Stillman podniósł brwi.

— Nie chce pan chyba przez to powiedzieć, że nie wtałmniczył jej pan w tak ważny punkt? Sądziłem, że dla własnego bezpieczeństwa przedstawił się jej pan jako kierownik oddziału wywiadowczego urzędu walki z handlem narkotyków przy ministerstwie Spraw Zagranicznych, przysłany tutaj, gdy stary Bickerson począł zawodzić. Kiedy rozeszła się tu fałszywa wiadomość o pańskim skandalu w Szanghaju, rozwiały się wszelkie podejrzenia. Muszę przyznać, że i ja byłem przez pewien czas wprowadzony w błąd. Ale to już koniec, Amery! Gdyby to ode mnie zależało, byłby to także koniec dziewczyny. Szaleństwem jest wypuścić ją żywą, ale dostojny pan jest zdania, że tak trzeba, a ja za wiele go ostatnio drażniłem, aby się móc opierać.

Amery poruszył lekko kajdankami. Pewien więzień hinduski budził w nim kiedyś zdumienie, uwalniając się z łatwością od kajdanków. Amery kupił tę tajemnicę za garść rupij. Czy nie zapomniał jeszcze tej sztuczki? Nagle Stillman podszedł do niego, wyjął z kieszeni sznur i związał mu nogi.

— Byłoby mi bardzo przykro, gdyby przyjaciel nasz został boleśnie kopnięty! — rzekł.

Amery próbował z wielkim wysiłkiem zsunąć kości, jak go nauczył Hindus. Odwaga opuszczała go, gdy sobie przypominał słowa więźnia: „Master, w tej sztuce musi się pan codzień ćwiczyć, inaczej nie zdoła pan tego zrobić“.

— Co to będzie — powieszenie czy rozstrzelanie?

— Ani jedno, ani drugie! — rzekł Stillman, spoglądając na Dame'a, który zadrżał z trwogi.

— Niech pan lepiej zajrzy do dziewczyny. Ja zaczekam na pana — ale oto i on! Już nadchodzi! Wróć pan za kwadrans, dłużej to nie potrwał!

Łysy człowiek był rad, że może opuścić szopę.

— Nie słyszę nic, — rzekł Amery.

— Feng Ho usłyszałby, — uśmiechnął się Stillman. — Oto dostojny pan.

Zasłona nad drzwiami poruszyła się znowu. Słyszać było, jak ktoś zamykał drzwi. Z za zasłony ukazała się biała, tłusta dłoń. Potem wychyliła się uśmiechnięta twarz mr. Tupperwilla, bankiera i purysty.

ROZDZIAŁ XLVIII.

Kat.

Wielka, tłusta twarz mr. Tupperwilla, przyjęła wyraz bólu i obrzydzenia. Łagodne jego oczy spojrzęły najpierw na więźnia, potem na dół i cement.

— Wszystko wykonano według przepisów, — zauważył.
— Wielka to jednak ulga, gdy można polegać na swoich przyjaciółach. Mam wrażenie, że pan cierpiał wiele z powodu nieudolności swych podwładnych?

Amery uśmiechnął się pogardliwie, ale nie rzekł nic.

Spokój w tej szopie, której ściany obwieszane były kocami, był tak wielki, że major słyszał tykanie własnego zegarka.

— Najtrywjalniejsze nawet rzeczy trzeba powierzać ludziom zaufanym, — ciągnął mr. Tupperwill poważnie. — „Trywjalny“ pochodzi, jak wiadomo, od dwóch wyrazów łacińskich, „tri“ i „via“.

Spojrzał znowu na Amery'ego.

— Teologowie, wielcy myśliciele, mistycy, najznakomitsi ludzie nauki usiłowali zbadać to, czego pan dowie się teraz, majorze Amery! — rzekł z głębokim westchnieniem. — Czy istnieje życie po śmierci? Kto to wie? Czyżby było możliwe, że teoria o życiu pośmiertnem stworzona została przez próżność ludzką, w naiwnem urojeniu, iż

twory tak doskonałe, jak my, muszą w nagrodę za swą wyższość korzystać z przyszłego żywota, którego pozbawione są zwierzęta i rośliny?

Kiedy tak mówił, dłonie jego szukały czegoś w fałdach tuzurka, a gdy je wyjął znowu, trzymały grubą laskę. Amery poznał natychmiast „sjambok“, którym bankier został uderzony owej pamiętnej nocy, gdy ze współnikami swymi przedsięwziął pierwszy napad na Amery'ego i gdy Tupperwill zbliżył się nieco zanadto do broniącego się majora.

— Przypuszczam, że pan to zna. Przedmiot ten został przed kilku dniami przy pewnej — hm — inspekcji pańskiego domu — hm — usunięty z gabinetu. Ta plama, — wskazał na nią palcem, — to krew. To moja krew. Niech pan o tem pomyśli!

Pochylił głowę, tak że Amery mógł widzieć szramę, jaką pozostawiło jego uderzenie.

— Moja krew jest mi bardzo droga i ma dla mnie większą wartość, niż czyjakolwiek inna, jak się pan wkrótce będzie mógł przekonać. Taką bronią, — ciągnął mr. Tupperwill z całym spokojem, — można człowieka zmasakrować, ba, nawet zabić. Przypuszczam, że domyśla się pan, jakiego rodzaju śmierć wybrałem dla niego. Myślał pan może o powieszeniu, o zastrzeleniu lub o czemś podobnie bezbolesnem? Nawet przyjaciele moi wyobrażali sobie zapewne coś podobnego.

Spojrzał przytem na Stillmana, jakby oczekując potwierdzenia swych słów. Zachowanie Stillmana zdradzało zaciekawienie. Zdawało się, że jest on najzupełniej pod wrażeniem gadatliwości tęgiego pana i nie widzi ani nie myśli o więźniu. Utkwił nieruchomy wzrok w bankierze i poruszał wargami, jakby powtarzał każde słowo, które mówił „dostojny pan“.

Tupperwill wypróbował łańcuch i pierścień, ciągnąc z całych sił, obmacał kajdanki i powróz na nogach pojmanego. Widocznie oględziny wypadły zadowolająco, gdyż bankier przekroczył przez dół i odłożył broń.

Potem rozpostarł na podłodze chusteczkę do nosa, zdjął tużurek, złożył go i położył starannie na chusteczce. Na nim postawił swój lśniący cylinder, odpiął złote spinki mankietów i podwinął rękawy, ukazując grube ramiona.

— Gdzie płaszcz? — zapytał uprzejmie.

Amery nie mógł ze swego miejsca widzieć czarnego kitla, wiszącego na ścianie.

— Taki, jakich używają rzeźnicy, — rzekł mr. Tupperwill, wkładając z pomocą Stillmana czarny kitel, który okrywał go aż do stóp. Podniósł latarnię i zbliżył się z nią do więźnia.

— Chciałbym widzieć, co robię, — rzekł z uśmiechem i zwilżył wewnętrzne powierzchnie dłoni. Chce pan odejść?

— Tak, odejdę, — odpowiedział Stillman ochryple.

Czar przysł. Nie mógł pozostać i przypatrywać się temu, co miało nastąpić.

— Może tak nawet będzie lepiej, — rzekł Tupperwill bardzo uprzejmie. — Ja na szczęście nie mam nerwów. Jeśli pan powróci za dziesięć minut, mnie już nie będzie a mr. Dame i pan nie będziecie mieli wiele roboty. No, majorze Amery, jest pan gotów?

Pierwsze uderzenie doszło do uszu Stillmana, gdy zamykał za sobą drzwi. . . Dame'a zastał w kuchni przy nawpół opróżnionej flaszcze whisky. Wyglądał jak upiór i był bliski płaczu. Gdy Stillman wszedł, rzekł:

— Teraz po wszystkim. O Boże! O Boże! Słyszał pan, co on mówił o obudzeniu go rano? Stillman — czy widział pan kiedyś kaźń?

— Zamknij pan usta, głupcze! — mruknął brodac.

Obejrzał się na drzwi, przez które wszedł.

— Chciałbym to przerwać! — syknął między zębami, a Dame roześmiał się histerycznie.

— Niech się pan nie waży! Zastrzeliliby pana jak psa. Zna go pan lepiej ode mnie. Zresztą obaj siedzimy w tej historii. Nie idzie przecież o jednego mniej czy więcej.

— Mógł przecież użyć noża, — mruknął Stillman. — To gorzej niż rzeźnia. Gdzie dziewczyna?

— Tam. — Mr. Dame wskazał na drzwi. — To śpiżarka. Wstawiłem jej tam łóżko. Co z nią zrobimy?

— Zatrzymamy ją.

— Tu? — zawołał Dame przerażony. — Tutaj nie może zostać. Moja córka znalazłaby ją.

— Więc wyślij pan swoją córkę. Ma pan moc pokojów. Niech ją pan oszłomi tem!

Postawił na stole małą flaszeczkę. Dame spojrzął z zaciekawieniem.

— On to przysłał?

Stillman skinął głową.

— Myśli o wszystkim, — rzekł Dame z podziwem.

— Niech jej pan wleje kilka kropel do herbaty. Nie będzie pan miał z nią kłopotu. Pokoje na najwyższym piętrze są przecież umeblowane?

Dame potwierdził ruchem głowy.

— Niech ją pan tam ulokuje. Kiedy wraca pańska córka?

— O drugiej.

Łysy człowiek spojrzął na zegar, który tykał hałaśliwie na kominku.

— Dopiero dwunasta. Dopiero dwunasta, a wydaje się człowiekowi, jakby wieki minęły. Co on z nią robi?

— Nie wiem, — odpowiedział Stillman niecierpliwie. — To się okaże jutro. Nie będzie z nią wiele roboty. Teraz jest zupełnie spokojna.

Otworzył drzwi i zajął. W sypialni nie było lampy, ale przy świetle, wpadającym z kuchni, ujrzał łóżko i postać, leżącą na niem nieruchomo.

Zamknął cicho drzwi i powrócił do zamyszonego Dame'a. Spojrzenia ich zwróciły się jednocześnie na zegar.

— Dziesięć minut! — rzekł Dame. — Pomoże mi pan przecież?

Stillman spojrzawszy na niego ostro.

— To nie moja robota, Dame. Nie bądź pan głupcem! Nie potrwa to ani dziesięciu minut.

Dame zwilżył zeschłe wargi.

— A gdyby znaleziono jego ślad? To byłoby pierwsze miejsce, któreby przeszukano. Zobaczonoby natychmiast, że podłoga jest świeżo cementowana!

— Kto znajdzie jego ślad — Chińczyk? Niech pan będzie spokojny, Chińczyk nie żyje. Sam go urządziłem. Niech pan patrzy!

Biały mankiet pod rękawem miał czerwone plamy. Dame jęknął.

— Och, chciałbym się wydostać z tej sprawy!

— Niech mu pan tego nie mówi, — ostrzegł go towarzysz, — bo się pan wydostanie ze sprawy w sposób, którego się pan najmniej spodziewa!

Zegar tykał, ale wskazówki zdawały się nie poruszać wcale. Siedzieli w milczeniu, czekając, aż minie nieskończony okres dziesięciu minut.

— Jazda! Zrób pan teraz swoje!

Ale Dame nie poruszył się. Piętnaście minut minęło, gdy ręka Stillmana dotknęła jego ramienia. Zerwał się z okrzykiem. Jak ślepiec szedł chwiejnym krokiem przez ogród i pełne pięć minut stał przed drzwiami garażu, a serce biło mu młotem w piersi. Wreszcie zagryzł zęby i otworzył drzwi. Świeca wypaliła się. Zabłyśta jeszcze kilka razy

i zgasła. Ale ta krótka chwila wystarczyła mu, aby ujrzeć na podłodze puste kajdanki, a w dole nieruchomą postać.

Pot spływał mu po twarzy. Jęczał. Pracował jak szaleniec, rzucając łopatą cement do dołu i pokrywając go piaskiem. Wreszcie dół był wypełniony.

Musiał uciekać. Dłużej nie mógł pozostać w ciemności. Otworzył drzwi i wybiegł do ogrodu, jakby go ścigał duch Pawła Amery'ego.

Kiedy błądzy Dame wpadł do pokoju, Stillman zerwał się. Zdażył go jeszcze złapać i posadzić na krześle. Potem nalał mu pełną szklanekę whisky.

— Pij pan to, ośle! — rzekł. — Założyłem kłódkę, tu jest klucz. Uważaj pan na miss Marlowe!

Dame skinął głową.

— Rozumie pan? Zabierze pan dziewczynę na górę i zatrzyma ją pan tam. Pod żadnym pozorem nie wolno panu dopuścić do tego, żeby zwróciła na siebie uwagę.

— Dokąd pan idzie? Niech mnie pan nie zostawia samego! — jęczał Dame, szcękając zębami.

— Pójdę poszukać Tuppa, muszę mu powiedzieć, że pan skończył. Poza tem trzeba się dowiedzieć, co ma być z dziewczyną. Powiadam panu, że to bardzo ważne.

Po chwili Dame został sam — sam ze swemi myślami, obawami i upiorami. Dziwne odgłosy nocy, świst wiatru w kominie, krople deszczu, uderzające o szyby — wszystko to omal nie doprowadzało go do obłądu.

Przytknął szklanekę do ust i opróżnił ją do połowy. Nagle przypomniał sobie znowu słowa Amery'ego, głowa opadła mu w ramiona i zapłakał, jak małe dziecko.

ROZDZIAŁ XLIX.

Ucieczka.

Elza wiedziała, że była zemdlona — wiedziała, że stało się coś strasznego. Jęknęła, poruszywszy się na łóżku. Uderzyła łokciem o ścianę i ból przywrócił jej przytomność. Głowa bolała ją, a szyję miała jakby ściśniętą. Chciała wstać, ale kolana ugięły się pod nią i runęła znowu na łóżko. Paweł Amery był uwięziony, chciano go zabić. . . a on ją kochał!

Wreszcie zdołała zebrać siły i doczołgać się do czterech świeatełek, które okazały się otworkami w drzwiach. Wyjrzała przez nie i zobaczyła jakby kuchnię. Przy stole siedział człowiek, głowę ukrytą miał w ramionach, obok niego stała pusta szlanka i prawie pusta butelka. Mr. Dame! ojciec Jessie. . .

Chciała otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Nie traciła nadziei, gdyż wartownik spał, gdyby więc zdołała w jakiś sposób otworzyć drzwi, ucieczka była możliwa. Słyszała jego chrapanie i całą siłą napierała na drzwi, które nie ustępowały jednak. Czuła się osłabiona, zresztą nawet w pełni sił nie byłaby w stanie wyłamać drzwi. Nie miała innego wyjścia, jak czekać. Ale podczas czekania czuła katusze na myśl, co się stało z człowiekiem, w którego oczach ujrzała dzisiaj więcej tkliwości i uczucia, niżeli mogła marzyć kiedykolwiek.

Myśl ta doprowadzała ją niemal do obłądu. Znowu rzuciła się na drzwi, ale bezskutecznie. Nagle usłyszała kroki w przedpokoju i serce jej zamarło. Od strony scho-

dów zabrzmiał jakiś głos, potem znowu nastąpiła cisza. Po chwili usłyszała, jak przybysz zszedł znowu do przedpokoju, potem rozległ się głos:

— Ojczy?

Był to głos Jessie Dame!

Czyżby to było możliwe, aby ona była współniczką tego strasznego człowieka?

— Ojczy, gdzie jeste?

Jessie zobaczyła widocznie światło, gdyż teraz Elza usłyszała, jak zbliżała się do kuchni.

— Ojczy, co się stało?

— Na Boga, Jessie!

Cichy szept tak przeraził Jessie Dame, że zdrętwiała.

— Kto tam? — jęknęła.

— To ja — Elza Marlowe.

— Gdzie pani jest? Tak mnie pani przestraszyła, — jąkała Jessie.

— Niech pani nie robi hałasu! Jestem tutaj.

— W śpiżarnie?

— Niech mnie pani wypuści!

Jessie Dame podeszła do drzwi, utkwivszy wzrok w śpiącym.

— Drzwi są zamknięte na kłódkę, on musi mieć klucz w kieszeni. Czy on panią zamknął? O Boże, dawno już sobie myślałam, że coś tu jest nie w porządku!

Napróżno próbowała oderwać kłódkę.

— Pójdę po moje klucze, — szepnęła.

Elzie zdawało się, że minęła godzina, zanim Jessie powróciła, choć trwało to zaledwie kilka minut. Jessie podeszła na palcach do drzwi i próbowała jeden klucz po drugim, aż wreszcie otworzyła zardzewiałą kłódkę i Elza znalazła się znowu na wolności. W tej chwili mr. Dame westchnął przez sen i poruszył się.

— Prędko! Prędko! — szeptała Jessie, ciągnąc przyjaciółkę na korytarz. — On mnie zabije, kiedy się dowie, co zrobiłam.

W chwili, gdy wbiegały na schody, Dame obudził się. Rzucił okiem na otwarte drzwi i zerwał się z krzykiem, który zmroził krew w żyłach jego córki.

Przebiegł korytarz i wpadł na schody. Jessie usiłowała otworzyć zamek drzwi wejściowych, ale znieruchomiałe palce odmawiały jej posłuszeństwa. Elza odepchnęła ją. W chwili, gdy na schodach ukazała się głowa Dame'a, otworzyła drzwi i obie wybiegły na ulicę, zatraskując drzwi za sobą.

Ulica pogrążona była w ciemnościach. Kiedy biegly w stronę głównej ulicy, nie widać było ani żywej duszy. Dame biegł za nimi, chwiejąc się. Częściowo wskutek pijaństwa, częściowo ze strachu krzyczał i wył okropnie.

Elza obejrzała się podczas biegu i zauważyła, że jest sama. Jessie Dame, która znała okolicę, niedostrzeżona przez ojca, uciekła w jakąś boczną uliczkę. Dame wytrzeźwiał już widocznie, gdyż zbliżał się do Elzy coraz bardziej.

Nagle, gdy dziewczyna sądziła już, że siły opuszczają ją za chwilę, ujrzała zbawcze zjawisko. W świetle latarni ulicznych ukazał się szereg ludzi w mundurach. Nocna załoga policyjna powracała ze służby.

Elza wbiegła prosto w ich szeregi i padła zemdlnona w ramiona jakiegoś tęgiego policjanta. Noc i przerażenie znikły w omdleniu, z którego Elza zbudziła się dopiero, gdy słońce poranne oświetliło łóżko szpitalne, na którym leżała.

ROZDZIAŁ L.

Nazajutrz.

O godzinie jedenastej następnego ranka inspektor Bickerson wszedł do biura komisarza Wille i znużony siadł na krześle. Wille spojrział na niego z pod krzaczastych brwi i zapytał:

— No?

— Dobrze panu pytać, panie komisarzu, — rzekł Bickerson ze złością, — ale dla mnie było to coś straszego. Wskutek zeznań tej obłąkanej dziewczyny i mglistych bajek o szajce Soyoki, od piątej rano nie spocząłem ani na chwilę. Telefonował mi pan, że dziewczyna zeznała z zupełną stanowczością, jakoby Amery był uwięziony w domu Dame'a, jeżeli jeszcze wogóle żyje. Albo ona jest obłąkana, albo śni. Byłem u Dame'a przed ósmą. Widocznie pił wiele wczoraj, bo nie był zupełnie trzeźwy. Byłem też w garażu i oczywiście wzbudziło to we mnie podejrzenie, gdy ujrzałem na środku wypełniony dół. W pierwszej chwili miałem wrażenie, że zeznania miss Marlowe sprawdzą się. Kazałem rozkopać dół na nowo, usunąć cement i piasek — na szczęście cement był jeszcze wilgotny —, ale nie znalazłem najmniejszego śladu ciała ludzkiego!

— Ślady krwi?

— Absolutnie. Podłoga była świeżo wyszorowana, ale Dame twierdzi, że poprzedniego dnia kazał sprzątać. Powiada, że dół kazał kopać dla swego automobilu, ale przy kopaniu natknięto się na rury gazowe i kanalizacyjne, więc zarzucił ten projekt i kazał dół zpowrotem zasypać. Moi robotnicy natrafili istotnie na głębokości sześciu stóp na rury.

Komisarz zajął do raportu.

— Czy ściany były obwieszane kocami dla stłumienia odgłosów?

— Nie, ale to możliwe, gdyż w jednym kącie garażu znajdowała się pewna ilość koców.

Komisarz zamyślił się.

— Czy to nie dziwne, że Amery nie daje znaku życia?

— Nie zadałem sobie więcej trudu szukania Amery'ego.

— A jak się przedstawia ta historia, — zapytał Wille, szukając w stosie papierów, z którego wyjął jakiś dokument, — jakoby Tupperwill miał być naczelnikiem bandy Soyoki? Czy mówił pan z nim?

— Właśnie od niego wracam. Mojem zdaniem największym jego przestępstwem jest to, że jest on człowiekiem bardzo gadatliwym, którego myśli zajęte są wyłącznie sprawami gospodarczymi i który uważa za konieczne wprowadzenie prohibicji w dzielnicach robotniczych. Zapytałem go wprost, czy pozostaje w jakimkolwiek kontakcie z ludźmi Soyoki, albo czy zna kogoś z tej szajki, lub też czy w księgach jego banku figuruje jakieś konto, które mogłoby należeć do któregoś z agentów Soyoki. Twierdzi, że jest zupełnie niewinny. Powiada, że nigdy nie słyszał nawet o Soyoco i nie rozumie, jak mogło powstać podejrzenie, że on jest Soyoką. Miałem szczęście spotkać go przed bankiem, spędził noc w Brighton i nie było go wcale w domu. Kiedy mu powiedziałem, że jestem

urzędnikiem policji, pierwsze jego pytanie było, czy włamano się do jego domu.

Twarz komisarza stawała się coraz bardziej ponura.

— Nie rozumiem tego. Coś prawdy musi przecież być w tej historii. Pozatem Chińczyk Amery'ego został znaleziony o kilkaset jardów od domu Dame'a, nawpół martwy, prawdopodobnie zakłuty nożem. Gdzie on teraz właściwie jest?

— Lekarz uważa, że mu nic nie grozi, — rzekł Bickerson, — i że za kilka tygodni będzie zdrow. Człowiek, który go uderzył nożem, chybił o włos. Ta okoliczność jest bardzo dziwna, i chciałem wypytać Feng Ho, ale lekarze nie dopuszczają do niego. Pójdę jeszcze do miss Dame. Podobno wyszła wcześniej do biura. Może zastanę też naszego przyjaciela Amery'ego...

— O którym pan ciągle jeszcze twierdzi, że jest Soyoką? — zapytał Wille.

Bickerson potrząsnął głową.

— Nie, — przyznał ze skruchą, — to był błąd, który mógł popełnić najmądrzejszy człowiek, a ja nie twierdzę przecież, że jestem mądry.

W zamyśleniu skierował się Bickerson w stronę East End. Zastał Jessie Dame w jej małym pokoiku w biurze, a nie trzeba było wielkiego zmysłu obserwacyjnego, aby zauważyć, jak się zmieniła. Cera Jessie Dame nigdy nie była zdrowa, ale dzisiaj miała twarz bladozieloną, a zapadłe oczy wskazywały, że spędziła noc bezsennie.

— Dzieńdobry, miss Dame! — powitał ją Bickerson. — Kiedy pani wróciła wczoraj do domu? — Potem dodał, jakby przedstawiając się: — Zna mię pani przecież, jestem mr. Bickerson?

— Tak, znam pana, — odpowiedziała Jessie spokojnie, nie patrząc mu w oczy. — Widziałam już tu pana nieraz.

Wróciłam do domu koło pierwszej. Właściwie miałam zostać do drugiej, ale martwiłam się bardzo... To znaczy, — poprawiła się zmieszana, — że chciałam zostać dłużej, ale troski zagnały mnie wcześniej do domu.

— Brzmi to prawie tak, jakby było nieprawdą, — odparł Bickerson. — Jakież to troski pani ma?

— Ach, biuro i zachowanie majora Amery'ego i różne różności, — rzekła Jessie Dame z rozpaczą. — Trudno mi to panu tak wyjaśnić.

— Czy wyszła pani dzisiaj wcześniej z domu? Byłem u państwa przed ósmą, ale nie widziałem pani.

— Tak, bardzo wcześniej wyszłam.

Jessie Dame spędziła całą noc na ulicy, a obecne jej kłamstwa były rezultatem listu, który zastała w biurze, gdy przyszła, i w którym zawarte były dokładne wskazówki, jak ma odpowiadać. Wskazówki te kończyły się groźbą, od której krew zastygła jej w żyłach.

— Czy nie znalazła pani przypadkiem w domu miss Marlowe, zamkniętej w spiżarni?

Jessie musiała przeczekać chwilę, zanim mogła mówić.

— Nie, — rzekła wreszcie, — a jeśli miss Marlowe twierdzi, że tak było, to nie mówi prawdy. Nie wiem, co się wczoraj stało. Naprawdę nie wiem. Piłam trochę wina i zdaje się, że uderzyło mi do głowy.

— Nie słyszała pani o tem, że major Amery miał być zamknięty w waszym garażu?

Zielonkawa barwa twarzy Jessie zmieniła się w śmiertelną bladość. Miss Dame musiała się oprzeć o stół.

— Major Amery? — zapytała bezbarwnym głosem.

— Zamknięty w naszym garażu? Co pan przez to rozumie?

— Widzę, że pani o tem nic nie wie. Czy miss Marlowe nic pani nie opowiadała?

Jessie odpowiedziała z gwałtowną szybkością, gdyż czuła niewysłowioną ulgę, że może mówić prawdę.

— Majora Amery'ego niema? — zapytał detektyw.

Potrząsnęła głową, gdyż nie dowierzała swemu głosowi. Z pokoju Jessie przeszedł Bickerson do biura, w którym siedziała zwykle Elza, i próbował otworzyć drzwi do pokoju Amery'ego. Widząc, że są zamknięte, powrócił do Jessie Dame.

— Gdzie jest miss Marlowe? — zapytała Jessie z trudem.

— Kiedy ją widziałem po raz ostatni, znajdowała się w szpitalu West London.

— Czy-y przydarzył się jej jakiś wypadek?

— Niezupełnie. Lekarz twierdzi, że wypiszą ją dziś jeszcze, ale ja wątpię w to.

Zaledwie wymówił te słowa, gdy na korytarzu rozległy się lekkie kroki, i Jessie Dame ujrzała zgrabną postać, przechodzącą koło drzwi.

— Oto ona! — zawołała zdumiona.

— Miss Marlowe? To niemożliwe!

Bickerson wyszedł na korytarz. Jessie Dame miała rację. Kiedy wszedł do pokoju Elzy, zdejmowała właśnie płaszcz i kapelusz, a detektyw zastanowił się, skąd kobiety czerpią taką energję, że rano nie znać po nich, jak straszną noc przeżyły. Nie była zupełnie zmieniona, z wyjątkiem ciemnych kręgów pod oczyma i lekkiej bladeści.

Powitała go poważnem skinieniem głowy i zdjęła pokrywę maszyny do pisania, jakby lada chwila spodziewała się dzwonka szefa.

— Dlaczego panią wypuszczono? — zapytał Bickerson.

— Kiedy byłem u pani dzisiaj rano, wyglądała pani raczej martwa niż żywa.

— Wypuszczono mię, bo chciałam tego.

— Nie wydaje mi się to dostatecznym powodem. Przypuszczam, iż pani wie, że zeznania jej zostały zbadane?

— Już mi pan to zakomunikował.

— Powiedziałem pani także, że w garażu nie znaleziono zwłok ludzkich i że żadne ślady nie wskazywały na to, aby tam popełniono morderstwo. Zresztą co do położenia budynku, zeznania pani są prawdziwe, w podłodze był też dół, o którym pani mówiła.

Elza wzdrygnęła się.

— Ale w dole nie znajdowało się nic, prócz cementu i piasku. Mam wrażenie, że pani śniła. Czy nie była pani poprzedniego dnia w domu mr. Dame'a?

— Tak.

— Czy widziała pani wtedy coś podobnego do dołu? Spojrzała na niego ze zmarszczoną brwią.

— Tak... — zaczęła. — Tak, widziałam człowieka z łopata, który wychodził z garażu.

— Otóż to! — zawołał detektyw triumfalnie. — Nie znam coprawda nazwy choroby, na którą pani cierpi, ale Dr. Hallam będzie to pani mógł powiedzieć.

— To, co widziałam ubiegłej nocy, nie było halucynacją, — odparła Elza cicho. — Mówił pan z Jessie Dame. Ona potwierdzi moje zeznania.

— Przeciwnie! — rzekł Bickerson. — Właśnie, że tak nie jest! Miss Dame zaprzecza, jakoby miała panią znaleźć w śpiżarni i uwolnić, wogóle zaprzecza wszystkiemu, co pani mówiła.

ROZDZIAŁ LI.

Bank.

Elza patrzała na niego przez chwilę niedowierzająco, potem wyraz jej twarzy zmienił się.

— To możliwe, gdyż ta biedna dziewczyna boi się swego ojca.

Mr. Bickerson złapał się za głowę.

— Wolałbym każdą inną sprawę od tej. Świadek z halucynacjami to zhora dla detektywa! Nie chcę pani urazić, ale nie mogę pani wierzyć. Czy major Amery już przyszedł?

— Nie, zdaje się, że jeszcze nie, — odpowiedziała Elza, pomijając milczeniem aluzje do jej poczytalności. Podeszła do drzwi gabinetu. — Drzwi są zamknięte!

— Czy wczoraj wieczorem także były zamknięte?

— Nie wiem, wysłałam przed majorem, — odpowiedziała Elza spokojnie.

Nachyliła się i zajrzała przez dziurkę.

— Klucza niema w drzwiach, może będą je mogła otworzyć swoim kluczem, — rzekła Elza i otworzyła drzwi.

Gabinet Amery'ego znajdował się zupełnie w takim stanie, w jakim go major opuścił. Na ruszcie kominka leżało kilka niedopałków cygar. Elza nie odzywała się. Bickerson rozejrzał się po pokoju i wyszedł, Elza za nim.

— To bardzo tajemniczy człowiek, — rzekł detektyw, — ale nie taki... — nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa.

— Niesamowity, — podpowiedziała Elza.

— Tak, tego słowa szukałem. Nie, on nie jest taki niesamowity, jak mi się zdawało. Właściwie... — Chciał jeszcze coś dodać, ale odmyślił się. — Co to za książka? — zapytał, wskazując na zniszczoną książkę w skórzanej oprawie, leżącą na stole.

— To książka, do której dozorca nocny wpisuje swoje raporty. Przynosi ją co rano do gabinetu, żeby major Amery wiedział, kto przychodził, czy telefonował i jakie telegramy nadeszły po zamknięciu biura.

Otworzyła książkę w miejscu, gdzie znajdowała się bibuła, i z trudnością powstrzymała okrzyk zdumienia.

— Mr. Tupperwill był tu dziesięć po szóstej!

Tak była tem przejęta, że zapomniała o obecności detektywa.

— Tupperwill był tutaj? — zapytał Bickerson niedowierzająco i zajął jej przez ramię. — To dziwne! — rzekł do siebie. — Byłem dziś rano u mr. Tupperwilla. Powiedział mi, że wprost z banku udał się do domu, który opuścił dopiero, gdy się bez żadnego specjalnego powodu zdecydował spędzić noc w Brighton. Odjechał pociągiem o dziewiątej.

Po kilku jeszcze wizytach Bickerson zatelefonował do swego przełożonego.

— Sprawa wikła się coraz bardziej, — rzekł. — Rozmawiałem właśnie z mrs. Hallam, która zeznaje, że wczoraj wieczorem omal nie została zabita przez włamywacza. Kto to był, nie wie, ale pierwszą osobą, którą ujrziała, gdy powróciła do przytomności, był major Amery. Podobno opuścił dom z miss Marlowe.

— To wzmacnia jej zeznania, — rzekł komisarz po krótkiej pauzie. — Czy był sam?

— Nie, był z nim Feng Ho, a Dr. Hallam nadszedł wkrótce także.

— Czy ona jest spokrewniona z Hallamem?

— To jego żona, — odpowiedział Bickerson, — ale powiada, że on opuścił mieszkanie w długi czas po Amery'm. Chciałem go wy badać, ale nie było go w domu.

Znowu nastąpiła pauza.

— Sprawa staje się bardzo dziwna. Niech pan ma biuro na oku, Bickerson.

— Zrobię więcej jeszcze. Będę obserwował miss Marlowe. W tem biurze jest coś, co mi się nie podoba.

Elzie było zupełnie obojętne, czy ją obserwowano, czy nie.

Godziny zdawały się wlec bez końca. Za najlżejszym szmerem zrywała się, a co chwila otwierała drzwi do pokoju Amery'ego, aby zobaczyć, czy nie przyszedł może, cicho jak zwykle.

Ale nadzieje jej były próżne, za każdym razem, gdy otwierała drzwi, widziała tylko pusty fotel. Dzwonek także milczał ciągle.

Amery musiał uciec — to nie ulegało wątpliwości!

Była bardzo zmęczona, ale nie chciała opuszczać biura, gdyż spodziewała się ciągle, że major wróci. Pojechała jednak do szpitala, by się dowiedzieć o stanie Feng Ho. Ucieszyła się na wiadomość, że nie grozi mu niebezpieczeństwo i że może z nim mówić.

Elza chciała się od niego dowiedzieć jak najwięcej o jego panu, gdyż była przekonana, że ten mały człowieczek wiedział o Amery'm więcej, niż najlepszy detektyw w świecie.

Gdy weszła do pokoju, w którym Chińczyk leżał sam, Feng Ho powitał ją szerokim uśmiechem.

— Mimo przedziurawienia „thorax“, — rzekł słabym głosem, — Baccalaureus Scientiis tym razem nie przemiesie się jeszcze na łono wieczności.

W oczach jego wyczytała pytanie i potrzęsła głową.

— Nie wiem nic. Kiedy widział pan majora po raz ostatni?

— Wczoraj wieczór, młoda miss, — odparł Chińczyk.
— Czy nie zjawił się on dotąd w City of London?

— Nie, Feng Ho! — odpowiedziała Elza spokojnie.

— W takim razie Tupperwill wie.

— Mr. Tupperwill? — Myślała, że bredzi.

Feng Ho skinął głową. — Mr. Tupperwill to człowiek bardzo niebezpieczny. Jest on w porozumieniu z Soyoką z Nipponu, handlarzem trujących i szkodliwych narkotyków!

— Myli się pan stanowczo! To chyba nie mr. Tupperwill?

— Owszem, młoda miss. Pan major otrzymał w tej sprawie pewne informacje. Omyłka jest niemożliwa.

Elza mogła tylko patrzeć na niego w zdumieniu. Ten nudny ale miły człowiek miałby być uwikłany w zbrodnicze sprzysiężenie? To absurd!

— Czy powiedział pan o tem Bickersonowi? — zapytała.

— Nie, miss, ten wybitny detektyw nie badał mnie jeszcze, gdyż panowie lekarze nie chcieli ryzykować wzrostu temperatury. Młoda miss, — ciągnął znizonym głosem, — wobec nieobecności majora musi pani być bardzo ostrożna. Proszę panią bardzo, aby się pani udała do domu majora i powiedziała Changowi, że chcę się z nim natychmiast widzieć. Niech mu pani da dokładne wskazówki co do drogi, gdyż musi pani pamiętać o tem, że Chang jest tylko

biednym, nieświadomym Chińczykiem, wątpliwego pochodzenia i nędznego wychowania!

Ten wysiłek tak wyczerpał Feng Ho, że Elza nie stawiała mu dalszych pytań, lecz zamieniwszy jeszcze kilka słów z pielęgniarką, wsiadła do taksówki i kazała się zawieźć na Brook Street.

Ani gospodyni, ani służący nie słyszeli nic o majorze Amery'm.

— Czy mogę pomówić z jego chińskim sługą?

— Owszem miss, — odpowiedziała gospodyni, — ale on nie rozumie po angielsku.

Nie znając nawet angielskiego, mały Chińczyk zrozumiał jednak wszystko, co Elza powiedziała. Wziął adres i mały szkic, który miał mu wskazać drogę do szpitala, i skinął głową na znak, że rozumiał.

Kiedy Elza powróciła do biura, nic nowego nie zaszło. Zdobyła się na odwagę i poprosiła jednego z kierowników oddziałów, aby przejrzał robotę Feng Ho, a innego, aby załatwił korespondencję, którą zazwyczaj załatwiał Amery sam. Teraz była wolna i mogła rozpocząć badania w kierunku wypowiedzianych przez Feng Ho, a tak nieprawdopodobnych podejrzeń.

Znała dostatecznie zwyczaje mr. Tupperwilla, aby wiedzieć, że do trzeciej będzie w banku. Pozostała w biurze tak długo tylko, aby załatwić jakąś bieżącą sprawę, z którą kierownik oddziału nie był obeznany. Potem wsiadła do omnibusu i pojechała w stronę East End. Po krótkim czasie znalazła się na ulicy, na której mieścił się Stebbing's Bank.

— Stebbing's Bank? — zapytał policjant i spojrzął na nią dziwnym wzrokiem. — Pierwszy dom na lewo. Ma pani tam pieniądze, miss? — dodał z ojcowską pieczołowitością, cechującą policjanta z City.

— Nie, — odparła Elza, — nie mam tego szczęścia.

— Niech się pani cieszy! — rzekł policjant znacząco.

Elza myślała, że to żart, ale gdy stanęła przed gmachem banku, ujrzała niewielkie zbiorowisko ludzi, stojących przed zamkniętymi drzwiami, na których widniała kartka. Elza spojrzała na szyld — tak, to był Stebbing's Bank. Ale dlaczego drzwi były w południe zamknięte?

Utorowała sobie drogę przez tłum i przeczytała:

„STEBBING'S BANK.

Bank wstrzymał chwilowo wypłaty. Informacyj udzielają Slake & Stern, adwokaci, Bolt Street, E. C.“

Wycofała się z tłumy, gdyż wiadomość ta przeraziła ją. Biedny mr. Tupperwill!

W tej chwili zapomniała o oskarżeniu, rzuconem na bankiera przez Feng Ho i myślała tylko o uprzejmości biednego Tupperwilla. Potem usłyszała, jak ktoś mówił:

—... niejaki Tupperwill. . . podobno zabrał wszystkie pieniądze, jakie mógł znaleźć i dziś rano uciekł aeroplanem na kontynent.

ROZDZIAŁ LII.

Palto Hallama.

Bankructwo Stebbing's Banku zostało zameldowane pełniącemu służbę urzędnikowi Scotland Yardu pięć minut po wywieszeniu kartki. Komisarz Wille wysłał natychmiast gońca, aby odszukał Bickersona. Detektyw, zapuściwszy żaluzje w swoim pokoju oddawał się właśnie drzemce południowej, gdy wszedł sierżant. Inspektor zerwał się i pośpieszył do przełożonego.

— Co pan sądzi o tem? — zapytał Wille, podając mu kartkę.

Bickerson przeczytał i gwizdnął przeciągle.

— Prawdopodobnie policja z City zamknęła bank na skutek informacji, otrzymanych od Amery'ego w ciągu nocy. Przeciwno Tupperwillowi i komisji rewizyjnej jego banku wydano rozkaz aresztowania, ale zdaje się, że Tupperwilla się nie schwyta. O której godzinie widział go pan?

— Przed jedenastą.

— Czy szedł do banku? Według tego raportu, nie widziano go dzisiaj w City.

— Nie widziałem, czy wchodził do banku. Spotkałem go na rogu Tredgers Court, ale nie wątpię, że idzie do banku.

— Czy zauważył pan w nim coś szczególnego? Czy był przygnębiony?

— Nie, — odpowiedział Bickerson. — Wydało mi się tylko dziwne, że pojechał ubiegłej nocy do Brighton. Było to bardzo niezwykle u człowieka o tak zastarzałych przyzwyczajeniach. Ale w zachowaniu jego ani wyglądzie nie było nic osobliwego.

Komisarz raz jeszcze przeczytał kartkę. Zawierała ona dość dokładny rysopis poszukiwanego bankiera. Potem zadzwonił na swego kancelistę.

— Proszę podać ten rysopis do wszystkich portów i stacji kolejowych z prośbą o ujęcie zbiegłego i zawiadomienie nas! Proszę zatelefonować do lotniska Croydon i zapytać, czy nie odjechał aeroplanem! Tak przypuszcza policja z City. Proszę zawiadomić komisariat C., że dom jego aż do dalszych zarządzeń ma być zajęty przez policję! To chwilowo wszystko.

— Musimy teraz poczekać, — rzekł Wille, gdy zostali sami, — aż otrzymamy raport, na mocy którego działała policja z City. Tymczasem może pan odwiedzić przyjaciół Tupperwilla. Czy zna pan kogo z nich?

Bickerson zamyślił się. — Mam wrażenie, jakoby Hallam był jednym z nich. Jeśli nim nawet nie jest, to w każdym razie jadali niekiedy razem, a Hallam jest klientem Stebbing's Banku.

— Doktor?

Bickerson skinął głową.

— Niech pan idzie do Hallama! Może dowie się pan czegoś o przyjaciółach Tupperwilla. Niech się pan postara wybadać, kim jest Stillman! Niewiele dotychczas o tym panu słyszałem, ale prawdopodobnie był klientem Tupperwilla. Z rozmowy telefonicznej, jaką miałem z prezydentem policji City, mogę wnosić, że Stillman jest jednym z poszukiwanych w związku z bankructwem. Był on prawdopodobnie zaufanym Tupperwilla, a mam wrażenie, że

Hallam będzie pana mógł naprowadzić na jego trop. Kiedy to będzie załatwione, niech się pan znowu zamelduje u mnie! Miałem dziś rozmowę z pułkownikiem w sprawie zeznań miss Marlowe.

— Czy pan przypuszcza, że Hallam i Stillman są identyczni? — zapytał Bickerson bez ogródki.

— Nie wiem. Nie wyrobiłem sobie jeszcze o tem stanowczego sądu. Ale będę się mógł jaśniej zorientować po pańskiej rozmowie z doktorem.

Służący Ralfa otworzył Hallamowi drzwi. Pan jego jest na górze i ubiera się.

— Późny ptaszek, co? — zapytał Bickerson owym przyjacielskim tonem, który tak często staje się zgubą dla wiernych, ale gadatliwych sług.

— Tak, sir, tej nocy wrócił późno. Był na tańcach.

— Proszę mu powiedzieć, że przyszedłem!

Służący wprowadził go do gabinetu. Był to niewielki, ale wygodny pokój, położony od podwórza. Okna były otwarte, gdyż słońce grzało mocno, oświetlając złociste narcyzy w skrzyneczkach za oknami.

Bickerson podszedł do półek z książkami i bezmyślnie przeglądał tytuły. Potem badawczy jego wzrok począł systematycznie obiegać cały pokój.

Widać było, że Ralf, powróciwszy nad ranem, zdjął część ubrania w tym pokoju. Palto jego przewieszane było przez poręcz fotelu, a zapięty jeszcze półbucik leżał pod stołem, podczas gdy drugi znajdował się pod fotelem i nakryty był przez palto. Bickerson wziął bez wahania palto do ręki i sięgnął do kieszeni. Była pusta, więc przeszukał drugą.

Nagle uwagę jego zwróciła dziwna okoliczność. Podszedł z paltem do światła. Na jednym z rękawów były plamy, pochodzące od zaschłej cieczy. Detektyw wywrócił pod-

szewkę rękawa, na jasnym materiale widniały także czerwone plamy.

Krew! Zajrzał do drugiego rękawa. Tutaj plama była jeszcze większa i sięgała od mankietu do łokcia. Gwiżdżąc przed siebie, podniósł Bickerson bucik. Kiedy zadrapał paznokciem, na czubkach jego palców ukazał się czerwony pył.

Usłyszał kroki Hallama, schodzącego z górnego piętra, i odłożył palto oraz bucik na miejsce.

— Dzieńdobry, Bickerson! — powitał go Hallam z twarzą obojętną. Wzrok jego padł na palto i bucik. Czekał.

— Dzieńdobry, doktorze! Chciałem zasięgnąć u pana informacji co do Tupperwilla. Czy pan wie, że jego bank zrobił „plajtę“?

Hallam nie był tem zdziwiony. — Nie wiedziałem. Kiedy to się stało?

— Dzisiaj rano. Tupperwill uciekł. Znał go pan przecież dobrze?

— Dość dobrze.

— Czy domyśla się pan, gdzie on może być?

— Nie mam najmniejszego pojęcia, — odparł Hallam spokojnie. — Znam Tupperwilla tylko w jego domu. Jeśli go tam niema, nie wiem, gdzie go można znaleźć.

— A nie wie pan może przypadkiem, gdzie się znajduje major Amery?

W kącikach ust Hallama zaigrał słaby uśmiech.

— I ta osoba rzadko zaszczycała mię swoim zaufaniem. Czy i on znikł?

— Jak kamień w wodę! — rzekł Bickerson i schylił się, podnosząc rękaw palta. — Miał pan tej nocy wypadek?

— Ma pan na myśli krew na rękawie? — zapytał Hallam spokojnie. — Na klapach też jest,

— Zakroił się pan w palec? — zapytał detektyw ironicznie.

Hallam roześmiał się. — Niech pan nie gada głupstw! Zakrojenie w palec nie spowodowałoby takich plam!

— A co mogłoby takie plamy spowodować? — zapytał Bickerson poważnie.

— No.. — Ralf ostrożnie dobierał słowa —... gdyby się podnosiło rannego Chińczyka, którego ktoś inny żgnął nożem, można sobie przytem pobrudzić rękawy krwią.

Bickerson zdumiał się. — Więc to pan znalazł Feng Ho? — zapytał.

Hallam skinął głową. — Byłem jednym z tych, którzy odwieźli go do szpitala.

Spojrzenia ich spotkały się.

— Policja z Hammersmith nie wspomniała nic o tem, że pan był obecny przy znalezieniu Feng Ho.

— Widocznie mnie nie zauważono, — odparł Hallam swobodnie. — Zresztą w obecności policjantów czuję się tak mizernym człeczyną, że nie staram się rzucać w oczy. Prawdę mówiąc, Bickerson, Feng Ho i ja szukaliśmy majora Amery'ego. Opuścił Herbert Mansions zupełnie nagle, a służący jego sądził, że został porwany wraz z miss Marlowe. Co do niej, to słyszałem, że nie stało się jej nic.

— Kto to panu mówił? — zapytał detektyw szorstko.

— Telefonowałem do niej dziś rano, gdyż czytałem w gazetach porannych, że w Kensington znaleziono młodą panienkę, błąkającą się po ulicy.

— I pan powtarza tę historyjkę o jej porwaniu? To dziwna sprawa. Prawdopodobnie będzie pan mógł zdać sprawę z tego, gdzie pan był każdej minuty tej nocy?

— Prawie.

— Kiedy pan wrócił? — zapytał Bickerson.

Ralf zawahał się.

— Godzina, którą podał mój służący, jest mniej więcej ścisła. Koło czwartej — może było trochę później. Co do Tupperwilla, jeśli to jest istotnym powodem pańskiej wizyty, nie mogę panu dać absolutnie żadnych informacji. Nie wiem o nim nic, tyle tylko, że przeciążyłem trochę swoje konto u niego i że raz czy dwa jadłem z nim obiad. O jego przyzwyczajeniach i życiu prywatnem wiem mniej, niż pan.

Spodziewał się, że Bickerson powróci raz jeszcze do skrwanionego palta i doznał ulgi, gdy detektyw, nie wspominając o tem więcej, pożegnał go szybko. Bickerson nie zameldował się od razu u komisarza, ale zadzwonił pierw na posterunek policji Kensington.

— Kto znalazł Chińczyka? — zapytał.

— Konstabl Simons. Odbywał patrol i usłyszał jęki w ogrodzie. Idąc za tym odgłosem, znalazł rannego, którego przywiózł przejeżdżającą taksówką do szpitala.

— Czy nikt mu przy tem nie pomagał? — zapytał detektyw. — Może niejaki mr. Hallam?

— Nie, nie! — zameldował dyżurujący sierżant, — co do tego niema wątpliwości. Simons i szofer byli jedynymi ludźmi, którzy widzieli rannego.

— Dziękuję! — zawołał Bickerson i odłożył słuchawkę. — Doktorze Hallam, — rzekł do siebie, — pan jest kłamcą. A jeśli nie jest pan czemś więcej jeszcze, to ja się grubo mylę!

ROZDZIAŁ LIII.

Dame wyjeżdża.

Rozmowa Bickersona z komisarzem trwała krótko. Wille omówił z pułkownikiem zeznania Elzy i doszedł do przekonania, że konieczne jest dalsze śledztwo.

— Niech pan idzie do Dame'a i zaaresztuje go. Ale pierw niech pan wstąpi na tamtejszy posterunek policyjny i każe sobie dać detektywa.

Na skutek instrukcyj, jakie Jessie Dame otrzymała tego ranka od ojca, powróciła ona do domu wcześniej. Ze ściśniętym sercem weszła na schody tajemniczego domu i zadzwoniła. Dame sam otworzył drzwi, był tak zmieniony, że ledwo go poznała. Żółte wąsy znikły, i Jessie patrzyła w twarz, zupełnie niepodobną do jej „papcia“.

— Wejdz! — mruknął. — Tak. . .! pięknie mnie wpakowałeś, ty i twoja. . . teraz musisz się troszczyć o to, żebym się wy dostał z matni!

— Co się stało, ojczu? — zapytała Jessie, drżąc.

— Co się stało? — zawył Dame.

Nie potrzebowała pytać. Twarz jego zdradzała wagę położenia. Pociągnął ją za sobą do jadalni. Na stole stała zapakowana walizka.

— Opuszczam Londyn, — rzekł.

— Dokąd się udajesz?

— Wszystkobyś chciała wiedzieć? — krzyknął ojciec.
— Tu masz pieniądze dla siebie. — Rzucił na stół garść banknotów. — Zamieszkaż w pensjonacie i zachowuj się spokojnie! Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, napiszę ci, żebyś przyjechała. Ale kiedy ci napiszę, nie zdradz nikomu, gdzie jestem.

— Ależ, ojczu, co się stało? Czy jest tak źle? Czy to ma coś wspólnego z miss Marlowe?

— To ciebie nie obchodzi. Jadę już. Gdyby ktoś pytał o mnie, powiedz, że wrócę wieczorem. Jeżeli zdradzisz, że zgoliłem wasy, źle będzie z tobą! Meble możesz sprzedać, pieniądze schowaj, aż będą mi potrzebne. I...

Przed drzwiami rozległo się głośnie pukanie. Dame podbiegł do okna, uchylił nieco firanki i cofnął się przerażony.

— Dwaj detektywi! — zawołał ochryplym głosem. — Bickerson i jeszcze jeden! Na Boga!

Zapukano znowu.

— Wyjdę przez kuchnię. Powiedz im, że mnie niema! — szepnął i wymknął się na palcach.

Z zapartym oddechem otworzyła Jessie drzwi. Jąkała się, odpowiadając na pytania.

— Niema go? — zapytał Bickerson wesoło. — Miss Dame, niech mi pani takich historyjek nie opowiada! Muszę z nim koniecznie pomówić.

— Niema go rzeczywiście, mr. Bickerson, — rzekła dziewczyna, bliska omdlenia.

Bickerson przeszedł obok niej, wszedł do jadalni i zobaczył na stole walizkę.

— Niech pan tu zaczeka! — zwrócił się do swego towarzysza, — zajrzę do kuchni. Niech pan pilnuje schodów!

Jessie stała jak skamieniała, słysząc, jak Bickerson otworzył drzwi do kuchni i jak w tejże chwili rozległa się ogłuszająca eksplozja.

— Szybko, tutaj! — zawołał Bickerson, a drugi detektyw zbiegł żwawo po schodach, wiodących do kuchni.

Łysy mężczyzna leżał na podłodze, obok niego rewolwer, z którego lufy wydobywał się jeszcze dym.

— Zatelefonuj pan prędko na policję, aby przysłano karetkę pogotowia i lekarza, chociaż zdaje się, że to już zbyteczne. Telefon jest na górze. I zatrzymaj pan tam dziewczynę! — rozkazał Bickerson.

Nie trzeba było mówić Jessie, co się stało. Z dzikim okrzykiem rzuciła się w stronę drzwi, ale detektyw przytrzymał ją i zaniósł zpowrotem do jadalni.

Zanim nadjechało pogotowie z lekarzem, Bickerson przeszukał skrzętnie kieszenie samobójcy. Na stole kuchennym leżały znalezione przedmioty.

— Nie żyje! — rzekł lekarz. — Samobójstwo — z obawy przed aresztowaniem?

Bickerson skinął głową.

— Nie wiem jeszcze, jak się to stało, gdyż nie miałem czasu wy badać jego córki. Przypuszczam, że widział przez okno z jadalni, jak nadchodziliśmy, w każdym razie zauważyłem z dołu, jak się poruszyła firanka. — Zamyślił się. — Strzał ten jest może zbawieniem dla jego biednej córki, — dodał.

Elza przeczytała wiadomość o tych wypadkach w gazecie wieczornej. Wieść o samobójstwie Dame'a nie przeraziła jej, mimo bowiem współczucia, jakie czuła dla koleżanki, nie mogła się wyzbyć uczucia ulgi, że człowiek, który w tak okrutny sposób przyczynił się do niedoli majora Amery'ego, sam wymierzył sobie sprawiedliwość.

O „Potworze“ i jego losie nie śmiała myśleć. Powtarzała sobie ciągle, że Amery żyje jeszcze. Siedziała przy swoim biurczku ze splecionymi dłońmi i modliła się, aby usłyszeć dzwonek i szorstki głos szefa. Późno wieczorem, gdy została

sama w swoim pokoiku w biurze, nastąpiła reakcja, i Elza wybuchła spazmatycznym płaczem.

Głowa bolała ją, oczy paliły, a troska tak ścisnęła jej serce, że oddychała z trudnością. Po długim wreszcie czasie wstała, zwilżyła twarz zimną wodą i zeszła ze schodów, nie wiedząc, dokąd się skierować.

— Elzo!

Odwróciła się na dźwięk znajomego głosu. Na przeciwległym trotuarze stał Ralf Hallam, znowu dawny, serdeczny przyjaciel.

— Nie wracam na Herbert Mansions, doktorze Hallam, — rzekła spokojnie.

— Wiem, — odpowiedział Ralf. — Wynajęłam dla ciebie pokój w hotelu Palace. Lu posłała już tam twoje rzeczy.

Elza zawahała się. Powzięła już przekonanie, że Ralf Hallam był jej wrogiem. Wiedziała, że nienawidził Amery'ego, i na myśl o tem wzdragała się przyjąć od niego najmniejszą bodaj przysługę.

— Dziękuję! — odpowiedziała spokojnie. — Czy sły-
szaleś co się stało z ojcem Jessie?

— Tak. Był zaplątany w jakąś sprawę, a gdy przyszła policja, zastrzelił się.

Elza szła wolno przez Wood Street. Ralf towarzyszył jej, choć czuł, że obecność jego nie była pożądana.

— Obawiam się, że jesteś o mnie bardzo złego zdania, — rzekł Ralf.

— Mało mnie obchodzi jaki jesteś, — odpowiedziała Elza niedbale. — Zobojętniałam na wszystko.

— Ale nie ufasz mi?

— A dlaczego miałabym ci ufać?

— Czy chcesz mi wyświadczyć przysługę?

Elza zatrzymała się i spojrzała na niego podejrzliwie.

— Gdybyś zechciała pójść ze mną na Half Moon Street, powiedziałbym ci całą prawdę — prawdę o mnie i prawdę o Amery'm, której się niedawno dowiedziałem.

Znała prawdę o Amery'm — że ją kochał, była to najdonioślejsza prawda, reszta nie obchodziła jej.

— Nie mam wielkiej chęci. Nie wiem zresztą, czegobym się jeszcze nowego mogła dowiedzieć o majorze Amery'm. Powiedział mi wszystko.

— Czy wiesz, że major Amery był detektywem — a raczej *jest* nim jeszcze? — rzekł Ralf szybko, a widząc zdziwienie Elzy, dodał: — Amery należy do oddziału wywiadowczego ministerstwa Spraw Zagranicznych; sprowadzono go z Indyj w związku z aferą handlarzy narkotyków. Nie przypuszczałem nigdy, aby on współpracował z Bickersonem, ale Feng Ho powiedział mi to wczoraj. Powiadają, że Amery był najdzielniejszym oficerem wywiadówki w Indjach. Zwalczał tam bandę Soyoki. Miał wszędzie swoich agentów, którzy często pracowali razem z szajkami, jak Grek Moropuolos, który jest detektywem z Waszyngtonu. Amery zrujnował zupełnie moje przedsiębiorstwo. Połowa ludzi, z którymi pracowałem, siedzi już, to samo może się stać lada chwila i ze mną. Amery zamknął bank Tupperwilla, gdyż bankier był głównym agentem Soyoki i zrobił majątek na narkotykach. I jemu zepsuł Amery interes! Elzo, nie wiem, co się ze mną stanie, może nigdy nie będę już miał sposobności, zaprosić cię na obiad. Lu będzie także.

Elza wahała się jeszcze.

— Pójdę, — rzekła wreszcie, — ale muszę wstąpić pierw do hotelu, rozpakować rzeczy.

— Możesz to zrobić później, — nalegał Ralf.

W naleganiach jego było coś, czego nie mogła zrozumieć, co nie zgadzało się z jego szczerością.

— Pójdę z tobą, ale nie mogę zabawić długo. Czuję, że robię głupstwo, ale niech się dzieje, co chce.

Nie zauważyła uśmiechu w kącikach jego ust, gdy pomagał jej wsiąść do taksówki, ale miała wrażenie, że zadawał sobie trud, aby zająć ją rozmową podczas drogi, gdyż nie przestawał mówić ani na chwilę. . .

— Tupperwill chciał z jakichś powodów zatrzymać ciebie jako zakładniczkę. Może dlatego, że lubił cię bardzo, a może wiedział, czego chciał Amery. Telefonował przecież do ciebie, abyś go odwiedziła?

— Tak, — rzekła Elza zdziwiona.

— Ale pierw zapytał cię, czy Amery jest. Prosił, abyś przysłała natychmiast, ale Amery wrócił, zanim wyszłaś, i powiedziałaś mu, dokąd idziesz. Tupperwill ułożył plan, aby cię porwać. Auto miało cię zawieźć na pewien dziedziniec w Islington, gdzieby cię zatrzymano do wieczora, a potem prawdopodobnie przewieziono gdzie indziej. Ale zanim auto wjechało w otwartą bramę, powiedziałaś Tupperwillowi, że Amery wie o waszym spotkaniu. Zarzucił więc ten plan. Czy przypominasz sobie to?

Więc to było wyjaśnieniem dziwnego wypadku! Widocznie Feng Ho śledził ich. Teraz dopiero zrozumiała, jaką pieczę otoczył ją „Potwór“, i na myśl o tem zadrżała.

Przybyli na Half Moon Street. Ralf wyskoczył pierwszy. Kiedy Elza wysiadła z auta, Ralf otworzył drzwi, wbiegł do domu i pociągnął ją za sobą.

ROZDZIAŁ LIV.

Wille mówi „Nie!“.

Wille był z natury człowiekiem sceptycznym i niedowierzającym. W swem długim i pełnem przygód życiu przekonał się, że w dziewięciu wypadkach na dziesięć podejrzenia sprawdzają się. Był tego tak pewien, że nieufność jego była usprawiedliwiona, gdy podczas konferencji ze swymi podwładnymi dał folgę temu przekonaniu.

— Bickerson, dziewczyna mówiła prawdę! — oświadczył stanowczo. — Gdyby tak nie było, dlaczego Dame zastrzeliłby się w chwili aresztowania? A jeżeli powiedziała prawdę w jednej sprawie, to i reszta jej zeznań jest prawdziwa. Mamy jeszcze zeznanie Hallama, że on i Chińczyk ścigali taksówkę, w której siedział major Amery i miss Marlowe. Jako dalsze potwierdzenie mamy fakt, że Feng Ho został, zapewne podczas pościgu, raniony. Wreszcie samobójstwo Dame'a.

— Ale miss Dame powiedziała... — zaczął Bickerson.

— Mało mnie to obchodzi, co ona powiedziała. Obowiązkiem jej jako córki było kłamać dla uratowania ojca. To też słusznie uważa pan, że kłamała!

Bickerson mógł tylko potakująco skinąć głową.

— Garaż, dół, przygotowania do morderstwa, porwanie — wszystko zgadza się w zupełności, — ciągnął Wille,

— a okoliczność, że w dole nie znaleziono ciała ludzkiego, dowodzi tylko, że morderstwo nie zostało popełnione w garażu. Nie oznacza to jednak, że nie zostało popełnione gdzie indziej przy współudziale Dame'a. Przeszłość Dame'a jest nam znana; był trzykrotnie karany, a zwolnieni więźniowie nie popełniają samobójstwa, aby uniknąć Dartmoor'u, ale aby ująć przed więzieniem Pentonville, przed karą śmierci. Twierdzą więc, że morderstwo zostało popełnione. Która godzina? — Spojrzał na zegarek. — Pół do dziesiątej. Nie wie pan, gdzie można znaleźć miss Marlowe?

— Przepuszczam, że mieszka na Herbert Mansions.

— Niech ją pan przywiezie! Sprawdzimy jej zeznania na podstawie ostatnich wypadków. Wy, chłopcy, możecie tymczasem poczekać, — zwrócił się do pozostałych detektywów.

Na Herbert Mansions zastał Bickerson tylko mrs. Hallam.

— Nie, niema jej tutaj. Mąż mój zamówił dla niej pokój w hotelu Palace, rzeczy jej zostały tam już popołudniu przewiezione.

Bickerson udał się do hotelu i przekonał się, że wiadomość ta była prawdziwa. Bagaż miss Marlowe znajdował się w jej pokoju, ona sama nie przyszła jeszcze.

— Jest pan tego pewien?

— Najzupełniej! — odpowiedział portjer. — Miss Marlowe nie wzięła jeszcze klucza od swego pokoju, — i zdjął klucz z gwoźdźca.

Dla zupełnej pewności posłano na górę chłopca, który wrócił z wiadomością, że pokój jest pusty.

Bickerson był bardziej podniecony, niż przypuszczał Wille. Przypomniał sobie, że w biurze Amery'ego był dozorca nocny, i zatelefonował tam.

— Miss Marlowe opuściła biuro dość późno — zdaje się, że była już prawie siódma.

— Czy wyszła sama?

— Nie, z doktorem Hallamem. Czekał na nią przed biurem prawie dwie godziny.

Do Ralfa nie zatelefonował, gdyż wolał pójść tam sam. Dość długo trwało, aż odpowiedziano na pukanie. W hall'u zapłonęło światło i Ralf sam otworzył drzwi.

— Hallo! Czego pan tu szuka tak późno? — zapytał wesoło. — Czy chce mnie pan zaarrestować za poranienie Chińczyka?

— O Chińczyku pomówimy kiedy indziej, — odparł Bickerson chłodno. — Poproszę pana wtedy o wyjaśnienie, dlaczego skłamał mi pan, że to pan znalazł Feng Ho i zawiózł go do szpitala. Chwilowo chciałbym się dowiedzieć czegoś o miss Marlowe, którą widziano z panem około siódmej.

— Zgadza się w zupełności! Wstąpiłem po nią do biura i czekałem nawet dość długo.

— A potem?

— Potem pojechałem z nią na Notting Hill. Chciała odwiedzić miss Dame.

— Czy jest pan pewien, że nie przyjechała z panem tutaj?

— Zupełnie pewien, — odparł Ralf chłodno. — Miss Marlowe już od szeregu tygodni nie była w moim domu. Niestety, służącego mego niema, potwierdziłby, że wróciłem sam.

Patrzył detektywowi wprost w oczy.

— Widziano, jak przyjechała tutaj, — spróbował Bickerson.

— Ten, kto ją widział, musi cierpieć na chorobliwe halucynacje, — odpowiedział Ralf. — Powiadam panu,

że jej tu nie było. Prawdopodobnie zastanie ją pan w hotelu Palace, gdzie zarezerwowałem dla niej pokój.

Bickerson musiał powrócić z niczem do położonego.

— Niema jej u miss Dame, — rzekł Wille stanowczo.

— Policja zajęła dom, a miss Dame wyjechała do krewnych. Spojrzeli na siebie.

— Nie podoba mi się ta sprawa, — rzekł komisarz.

— Ten, kto zabrał dziewczynę wczoraj z sobą, wie też, gdzie ona jest dzisiaj. Niech pan zawiadomi wszystkie posterunki policyjne i poda dokładny rysopis. Urzędnikom poza służbą proszę wydać dyspozycję, aby gdziekolwiek spotkają miss Marlowe, towarzyszyli jej. Jutro o dziewiątej rano wszyscy urzędnicy, którzy mają z tą sprawą do czynienia, spotkają się w domu Dame'a. Chcę przeprowadzić śledztwo osobiście.

Bickerson wyszedł z pokoju, podczas gdy stary, szczywany komisarz zagłębił się ponownie w aktach. Zajęty był właśnie badaniem pieniędzy, znalezionych u Dame'a, gdy wszedł Bickerson.

— Czy mogę dostać rozkaz rewizji u Hallama? — zapytał.

— Nie! — mruknął komisarz, nie podnosząc głowy, a Bickerson spojrzał na niego zdumiony.

*

Nie fakt, że Ralf tak szybko wciągnął ją do mieszkania, ale okoliczność, że z takim pośpiechem zamknął za sobą drzwi i schował klucz do kieszeni, zaniepokoiła Elzę.

— Skąd taki pośpiech? — zapytała.

— Mam powody, — odpowiedział Ralf.

Był dziwnie spokojny. Elza przypomniała sobie, jak łatwo wpadał ostatnio w podniecenie i zmieszanie, i nie mogła pojąć tej zmiany usposobienia.

— Gdzie mrs. Hallam?

— O ile mi wiadomo, na Herbert Mansions, — odpowiedział Ralf obojętnie. — Elzo, skłamałem ci, gdyż chciałem z tobą pomówić o swoich przewinieniach. Noc nie wystarczyłaby, aby ci wyznać wszystkie moje grzechy.

W jadalni stół nakryty był na dwie osoby, ale Elza nie chciała zostać, lecz zwróciła się w stronę drzwi.

— Wątpię, czy zostanę, — rzekła.

— Jestem tego pewien, — odparł Ralf, — i zaraz ci powiem, dlaczego.

Skinął na nią dłonią i otworzył drzwi do gabinetu. Z biurka znikły rzeczy, które na niem zazwyczaj leżały, a natomiast Elza ujrzała maszynę do pisania, stos papieru i kalki.

— Chcę cię prosić, abyś była łaskawa poświęcić mi wieczór i spisać szczegółowe zeznanie o moich stosunkach z „Amatorami“, o tem, co wiem o szajce Soyoki, i niektórych innych rzeczach, których nie chcę teraz wspominać. Potem...

— Potem? — powtórzyła Elza, gdy Ralf zawahał się.

— Potem możesz się zdecydować, czy będziesz chciała zostać, czy pójść. Elzo, w domu tym są rzeczy, których nie widział nikt, a Bickerson oddałby głowę, aby je móc na własne oczy ujrzeć. Za kilka dni opuszczę Anglję, aby rozpocząć życie na nowo, oczywiście pod innym nazwiskiem... — uśmiechnął się, — chociaż Stebbing's Bank zrobił plajtę. Jak ci wiadomo, przyjaciel mój, mr. Tupperwill, znikł. Nikt nie wie, gdzie się ukrywa. Mogę cię zapewnić, Elzo, że zniknięcie jego nie odgrywa dla mnie roli.

Uśmiech znikł z jego twarzy. Patrząc melancholijnie na Elzę, ciągnął:

— Elzo, był czas, gdy tęskniłem za tobą bardzo — tak, bardzo tęskniłem za tobą. Może długo potrwa, zanim mi to wybaczysz. Ale jest ktoś, kto jeszcze bardziej tęskni za tobą.

Czekał na odpowiedź, ale Elza milczała.

— Chodź! — rzekł nagle i chwycił ją za ramię.

Elza usiłowała się uwolnić.

— Puść mię — na Boga, puść mię, Ralfie!

— Nie mogę. Nic złego ci się nie stanie!

Elza była zbyt słaba, a uścisk zbyt mocny, aby się mogła wyrwać. Nie wiedząc prawie, co się z nią dzieje, szła za nim na schody.

— Oto twój pokój, — zaczął Ralf, wskazując na drzwi, — a tu... — ręka jego spoczęła na klamce drzwi, prowadzących do małego saloniku, — ... ukrył się pewien pan, który ku wielkiemu memu żalowi jest chwilowo panem sytuacji.

Elza cofnęła się, gdy Ralf otworzył drzwi, ale on wepchnął ją do saloniku.

— Oto pańska dama! — zawołał, zamykając drzwi.

ROZDZIAŁ LV.

John Stillman.

O godzinie dziewiątej następnego ranka kilku policjantów po cywilnemu zebrało się w jadalni domu mr. Dame'a. Komisarz Wille zjawił się ostatni w towarzystwie dwóch robotników z łopatami.

Bickerson przyszedł pół godziny wcześniej i przeszukał już pokoje najwyższego piętra. Usłyszawszy głosy w hall'u, zszedł natychmiast nadół.

— Znalazł pan coś? — zapytał Wille.

— Absolutnie nic, prócz starych ubrań, co pozwala przypuszczać, że pokoje te używane były niejako w charakterze kwatery głównej ludzi Dame'a.

Wille wszedł do kuchni. Ciemne plamy krwi samobójcy widniały jeszcze na podłodze, ale on nie zwrócił na nie uwagi.

— Oto śpiżarka, zupełnie tak, jak zeznała miss Marlowe, — rzekł, otwierając drzwi, — a oto i łóżko.

Obejrzał drzwi bardzo starannie, zbadał skoble i kłódkę, w której tkwił jeszcze klucz, a przy nim kółko z innymi kluczami.

— Muszę przyznać, że zeznania miss Marlowe zaczynają się sprawdzać.

— Myślę, że nie prowadziłem poszukiwań tak, jak należało, — rzekł Bickerson,

— To było może niemożliwe, gdyż zajmowały pana inne rzeczy. Przyznaję, że przypadek jest bardzo skomplikowany. Otworzył drzwi, prowadzące do ogrodu.

— Na końcu tego ogrodu jest garaż. Czy ma pan klucz? Bickerson wyjął z kieszeni dwa klucze, związane czerwonym sznurkiem. Wille wziął je z jego ręki, podszedł do drzwi szopy i otworzył je. Kiedy wszedł, spojrzął najpierw na wypełniony cementem i piaskiem dół, potem na ściany.

— A oto i pierścień żelazny. Widział pan go chyba także, a przypomina pan sobie zapewne, że miss Marlowe zeznała, iż łańcuch był przeciągnięty przez żelazny pierścień? — Przerwał nagle i dotknął miejsc na ścianie w sąsiedztwie pierścienia. — Widzi pan to?

Były to cztery owalne plamy na ceglach.

— To może być krew. Na podłodze jest jeszcze więcej plam.

Zawołał robotników.

— Kopcie w tym miejscu tak głęboko, aż nie będziecie mogli ruszyć dalej! — rozkazał.

Wille i Bickerson wyszli do ogrodu, podczas gdy robotnicy rozpoczęli pracę.

— Czy pan przypuszcza, że Amery nie żyje? — zapytał Bickerson.

— Wczoraj wierzyłem w to, ale dzisiaj nie jestem już pewien, — odpowiedział komisarz i dodał: — Rozkopał pan przecież wczoraj dół dokładnie?

— Zupełnie dokładnie, aż się natknąłem na rury.

— O której godzinie to było?

— Wcześniej, mniejwięcej o ósmej.

— I nie znalazł pan nic?

— Absolutnie nic.

— Kazał pan zpowrotem zasypać dół?

— Tak, — odparł Bickerson. — Dlaczego pan pyta?

— I zamknął pan obydwaje drzwi? Czy są jeszcze inne klucze?

— O ile wiem, nie, ale to możliwe.

— Trzeba było kazać drzwi zaryglować! — mruknął Wille.

— Tam jest jakieś ciało! — zameldował jeden z robotników, wychodząc z garażu.

Wszyscy tłoczyli się do drzwi, aby ujrzeć straszliwy widok. Zaś Bickerson, który się właśnie odwrócił, ujrzał człowieka, wchodzącego przez drzwi kuchenne z białą opaską na czole i cynicznym uśmiechem na ustach.

— Amery! — zawołał zdumiony.

Amery nie odezwał się, aż się zbliżył do zdumionych mężczyzn.

— Znaleźliście ciało?

Wille skinął głową.

— Obawiałem się tego, — odparł Amery. — To Tupperwill, którego zabiłem! Był to nieszczęśliwy wypadek. Przykuł mię do ściany i zadał mi już jedno uderzenie, gdy udało mi się wyswobodzić z kajdanków i zaatakować go. Przez jakiś nieszczęśliwy traf udało mu się zadać mi jeszcze jeden cios, który omal nie przerwał pasma mego życia. Gdybym był wówczas upadł, znaleźlibyście teraz nie Tupperwilla ciało! Miałem szczęście i trafiłem go w podbródek. Padł, uderzył głową o kant dołu i runął do swego grobu.

Nastąpiła długa, przeraźliwa pauza.

— Mam nadzieję, że umarł od razu, — rzekł Amery ponuro. — Mam nadzieję. . .

Wszyscy wiedzieli, że myślał o innej możliwości.

— Złożył pan bardzo ciężkie zeznanie, majorze Amery, — rzekł Bickerson. — Może zechciałby pan wyjaśnić nam. . .

— Złożę jeszcze jedno zeznanie. Ręce do góry, Stillman!

Ręce Bickersona zakołysały się nad jego głową, a twarz okryła się śmiertelną bladością.

— W wewnętrznej kieszeni jego kamizelki znajdziecie doskonałą sztuczną brodę. Panie komisarzu, w Banku Europejskim na Threadneedle Street znajdzie pan konto na jego imię, które wprawi pana w zdumienie. Był on oszustem od dnia, w którym włożył mundur, aż do punktu kulminacyjnego swojej kariery, gdy został członkiem szajki Soyoki. W całym jego życiu nie było jednego uczciwego dnia.

Para kajdanków otoczyła ręce detektywa, a dwaj poprzedni koledzy poprowadzili go do auta, które czekało już przed domem.

Wille ujął „Potwora“ pod ramię i oddalili się razem, aby nie być słyszonymi.

— Otrzymałem pańską wiadomość poprzedniej nocy. Jak pan umknął?

— Gdyby nie zbieg okoliczności, nie udałoby mi się ujść, gdyż Bickerson był w ogrodzie, a mnie upływ krwi osłabił zupełnie. Na szczęście udało mi się otworzyć drzwi na ulicę. I wówczas jeszcze mógłby Stillman dokończyć dzieła swego poprzednika, ale spotkałem tam człowieka, którego się najmniej spodziewałem.

— Chyba nie Hallama? — zapytał Wille zdumiony.

— Tak, to był Hallam, — odpowiedział major z bolesnym wyrazem twarzy. — To znowu inny rodzaj oszusta. Wziął mię do domu, pielęgnował, opatrzył moje rany. Jego zbrodnicza działalność ma jedno usprawiedliwienie: jest bardzo kiepskim lekarzem! Ale był dla mnie nadspodziewanie dobry, choć nie miał żadnej nadziei, że uniknie ^{sw} swego losu,

— Więc Bickerson zabił też Tarna? — zapytał Wille.

— A któżby inny? Mógł to być tylko Bickerson lub Hallam. Tarn otrzymał telegram, który przez omyłkę dostał się do mego biura. Autor tego telegramu popełnił nieostrożność i wymienił nazwisko Tupperwilla. I tu właśnie leży tajemnica zamordowania Tarna. Gdy Hallam dowiedział się o spotkaniu Tarna z Bickersonem, obawiał się, że Tarn wyda swoją szajkę. Aby mu w ten przeszkodzić, wlał mu do wódki laudanum, chcąc w ten sposób uniemożliwić jakiegokolwiek zeznanie. Aby się zupełnie ubezpieczyć, przyszedł do Bickersona i zastał go właśnie, jak się wybierał na schadzkę. Bickerson wiedział, że Tarn trudnił się handlem narkotyków, ale wątpię, aby miał zamiar uczynić mu coś złego. Myśl ta powstała dopiero w trakcie rozmowy telefonicznej, gdy dowiedział się, że Tarn wiedział, kim jest przywódca szajki Soyoki. Nie sprzeciwiał się temu, aby i Hallam poszedł z nim, aby móc ewentualnie zwalić winę na kogoś innego. Ale dzięki przypadkowi o tej samej porze znajdował się w domu mój Chińczyk Feng Ho, który przeprowadzał właśnie rewizję. Zgasił on światła w domu, stwarzając w ten sposób pomyślniejsze warunki do spełnienia zbrodni. W ciemności Bickerson pchnął starca nożem w serce. Krew na jego dłoni łatwo było usprawiedliwić, gdyż był on jedynym człowiekiem, który dotykał później zwłok. Przeraziły go tylko dwie okoliczności. Była to obecność w pokoju miss Marlowe i obecność Feng Ho.

— Hm! — mruknął komisarz. — Szkoda, że Dame popełnił samobójstwo...

— Dame został zamordowany! — brzmiała spokojna odpowiedź. — Zastrzelił go Bickerson, gdy wszedł do kuchni. Miał po temu ważną przyczynę — Dame załamał się w krytycznym momencie.

— Czy Bickerson wiedział, że Tupperwill nie żyje?

— Nie, to była jedyna niespodzianka, jaką przeżył mr. Bickerson — że Tupperwill, a nie ja, leżał na dnie dołu, który tak starannie przeszukał. Wiedział jednak, że Tupperwill znikł, i to go ogarniało lękiem. Wymyślił więc sobie historyjkę o swoim spotkaniu z bankierem.

Po chwili milczenia Amery rzekł:

— Prosiłbym pana o jedną przysługę: w mieszkaniu Bickersona zostanie znaleziona walizka, którą prosiłbym wręczyć mi, nie otwierając jej. Powiem panu otwarcie, że w walizce znajdują się pieniądze, które Tarn i Hallam zarobili na swoim haniebnem rzemiośle. Proponuję, aby je zwrócić, gdyby bowiem doszło do rozprawy sądowej, mogłyby z tego wyniknąć zawiłłania, których chciałbym uniknąć.

— Co pan zrobi z Hallamem? Przeciw niemu wydany został rozkaz aresztowania.

— Na pańskim miejscu cofnąłbym go! — rzekł Amery spokojnie. — Dowiedziałem się wczoraj ciekawej rzeczy: Tupperwill musiał wiedzieć, że pieniądze Tarna znikły, gdyż usiłował przekonać Hallama, że zdeponowałem je w safe'ie Stebbing's Banku. Tupperwill spodziewał się, że Hallam będzie mnie ścigał, gdyż zarówno bankier, jak i Bickerson wiedzieli, kim jestem. Obie szajki są teraz zlikwidowane, a jeśli się nie mylę, i Bickerson nie żyje już.

— Nie żyje? — zawołał komisarz.

— Bickerson miał zawsze w kieszonce kamizelki tabliczki cyjanidowe, — rzekł Amery. — Jeśli jest człowiekiem inteligentnym, potrafi je wydobyć, zanim go zrewidują.

— A teraz, — dodał po chwili, spoglądając na zegarek, — muszę zajrzeć do swego zaniedbanego biura. Skończyłem na zawsze z pracą policyjną. Od dnia dzisiejszego jestem tylko gorliwym kupcem z City.

Było piękne, słoneczne przedpołudnie, gdy dorożka automobilowa wiozła go wolno przez ludne ulice City. Myśli jego dalekie były od śmierci i niebezpieczeństwa, od straszliwej nocy w garażu i okropnego grobu, który dlań przygotowano. Praca jego, praca wielu lat, była ukończona. Może nastąpi jeszcze co najwyżej rozprawa sądowa. A potem zaczynała się dla niego praca innego rodzaju, czekała go piękna przyszłość i dziewczyna, do której duszy zajął podczas ostatnich wypadków.

Ralf Hallam oczekiwał go przy wejściu.

— No, czy było tak, jak pan sądził?

Amery skinął głową.

— Co będzie teraz ze mną?

— Niech pan przyjdzie do mnie wieczorem! — rzekł Amery. — Jeśli nasz przyjaciel Wille nie zmienił zdania, wręczę panu część zawartości walizki. Resztę proponuję ofiarować na cele dobroczynne. Czy miss Marlowe przyjechała z panem?

— Nie, Lu powiedziała mi, że śpi.

Amery zagryzł dolną wargę.

— To bardzo ładnie ze strony mrs. Hallam, że spędziła noc przy Elzie. Czy pan jedzie sam ku swemu nieokreślonymu celowi?

Ralf potarł podbródek.

— N—nie, — odpowiedział. — Spróbuję żyć porządnie. Lu nie jest wprawdzie kobietą, która może w mężczyźnie wzbudzić zachwyt, ale jest dobrem ostrzeżeniem!

Zaledwie Hallam doszedł wzdłuż Wood Street do Cheapside, ujrzał, jak Elza wchodziła w stary portal.

Dla Elzy Marlowe dzień ten był dniem niespodzianek i szczęścia, gdyż w ciemnościach wieczora znalazła w pokoju, którego się bała, sen swoich nocy, usłyszała głos, który kochała nadewszystko, uczuła siłę obejmującego ją ramienia.

Głęboki błękit nieba przerywały tylko gdzie niegdzie niewielkie chmurki, tak białe, jak welon oblubienicy. Elza weszła do swego pokoju, zdjęła kapelusz i palto, otworzyła maszynę do pisania i gotowała się do radosnego dnia. Zanim usiadła, rozległ się dzwonek.

Serce jej thukło się w piersi, gdy otworzyła drzwi i weszła do gabinetu.

— Czy pan sobie czegoś życzy, majorze Amery? — zapytała bez tchu.

— Tak, pocałuj mię! — rzekł „Potwór“.

Pochyliła się nad nim i wargi ich spotkały się.

— Niech pani zapisze następujący list! — rozkazał Amery dawnym swoim tonem, a Elza siadła z uśmiechem przy biurku i otworzyła książkę stenogramową. Drżący ołówek wykonywał bardzo osobliwe ruchy, gdy zaczęła:

„Monte Rosa Hotel, Como, Italia.

Szanowny Pani!

Za miesiąc przybędę do Como z żoną i proszę uprzejmie o zarezerwowanie dla mnie apartamentu, składającego się...“

K O N I E C.

Copyright by Instytut Wydawniczy „Renaissance“
Drukarnia A. Dittmann, T. z o. p., Bydgoszcz

281849

INSTYTUT WYDAWNICZY „RENAISSANCE“

Warszawa, Plac 3 Krzyży 8 (Dom Książki Polskiej Sp. Akc.) — Stanisławów (Małopolska)

POWIEŚCI INSTYTUTU WYDAWNICZEGO „RENAISSANCE“

są obrazem świata, prawdziwego życia. Każda powieść jest swoistym światem, nadzwyczajnym dziełem wielkiego poety.

Najlepsze dzieła z dni ostatnich:

MICHAEL ARLEN

ZIELONY KAPELUSZ

Powieść przełożyła A. Cylkowska 7 wydanie

„Times“ pisze: „Pan Arlen wymyślił nowy rodzaj literackiego wektailu. Z racji nie dającej się ująć delikatności i subtelności opowieść o bezwstydnej a wstydlivej damie w zielonym kapeluszu nie ma sobie równej“. „Evening Standard“: „O nieba, jak bardzo człowiek ten zgłębił psychologię mężczyzn i kobiet. Zwłaszcza kobiet“. „Daily Express“: „Powieść Zielony Kapeluszc dostarczyła nam więcej przyjemności, aniżeli wszystkie inne nowości ostatniego pięcioletcia“. „Sunday Chronicle“: „Romans Zielony Kapeluszc jest wypadkiem roku. Byłby to annus mirabilis, gdyby zdobyto się na coś lepszego“.

G. K. CHESTERTON

LATAJĄCA GOSPODA

Powieść przełożyła A. Cylkowska 7 wydanie

„Chesterton, najdowcipniejszy człowiek Londynu, jest pisarzem największej miary w literaturze dni dzisiejszych. Podstawą tego jedyne go f e n o m e n u jest fakt, że Chesterton posiada w najwyższym stopniu akrobatyczną obrotność dowcipu i słowa, wiecznie żywą wszechstronność zainteresowań, promienny humor, ludzkość w najlepszym tego słowa znaczeniu“.

Roman Dyboski.

JAKÓB WASSERMANN

MASKI ERWINA REINERA

Powieść przełożył Marceł Tarnowski 7 wydanie

Subtelny znawca duszy męskiej kreśli w tej powieści przytłaczający swym ogromem obraz zmagania człowieka.

Z poza zmieniających się jak w kalejdoskopie masek Erwina Reinera wyłania się wreszcie prawdziwa twarz mężczyzny niezdolnego do wzruszeń, który mocą nieznaną, drzemających w nim potęg rzucony zostaje nagle w wir namiętności.

EDWARD WELLE STRAND

LUdzie Z POD BIEGUNA

Powieść przełożył Artur Górski

Pierwszy powieściopisarz Północy, E.W. Strand, poeta z potężną siłą wyobraźni kreśli nam obraz duszy najdalej Północy. Ziemia czarów i przygód. Wędrowka, bajki i mistyki. Lud patrzący w płomienisko słońca nigdy nie wypalające się — wielkie dzieci upojone słońcem i radością, w wiecznym pościgu za zwidem szczęścia. Oto treść niezwykłej powieści.

STEFAN ZWEIG

24 GODZINY Z ŻYCIA KOBIETY

Przełożyła Melanja Wassermanówna

7 wydanie

Znawca ludzkiego serca i genialny poeta daje nam obraz duszy kobiecej, tak pięknej i rzadkiej, jako też tragedję niezwyklej miłości mężczyzny, jako nierozwiązalne wieczyste zagadnienie. Nieskończenie subtelna, czarowna książka, wyrwana z życia — poprostu samo życie.

HERMAN BANG

MICHAEL

Powieść

przełożył L. Staff

8 wydanie

Świetnym artystą-poetą jest Duńczyk Herman Bang. „Michael“ to romans artystyczny, przepojony od pierwszej do ostatniej strony duchem skandynawskim. Tylko syn Północy umie wiaść tą delikatną sztuką, która raczej napomyka, niż wykańcza, raczej szepce, niż mówi i żywi cześć dla zagadek duszy. „Czem jest „Obraz Dorjana Gray'a“ wielkiego Wilde'a wobec wspomnianego „Obrazu Michaela“ jeszcze większego Banga?“ — wołali krytycy po ukazaniu się powieści Banga.

JAKÓB WASSERMANN

CZŁOWIEK ŻŁUDZEŃ

Trylogja: „KRYSJTJAN“. „EWA“. „RUT“.

Krysjtan“ przełożyła Dr. E. Wilder; „Ewa“ i „Rut“ przełożył F. Mirandola

Powieść ta wspaniała w treści i celu, jest czasem naszego czasu, oddechem naszego oddechu, krwią naszej krwi. Tętno jej wybija rytm naszego serca, a płomiennie przemienienie drugiego tomu uczy nas rozumieć znaki dni dzisiejszych. Język Wassermanna to styl brokatowy, przetykany krwią i łzami. Atoli ponad artystyczne wrażenie dzieła wyrasta jeszcze przeżycie duchowe. Artysta Wassermann ustępuje miejsca ewangelicście. I odkładamy to wielkie dzieło z pokorą i podziwem, jako dokument epoki, która stworzyła ponury, krwawy chaos nienawiści, aby zrodzić gwiazdę tańczącą wszechobejmującej miłości.

LEO BELMONT

PANI DUBARRY

KRÓLEWSKA MIŁOŚNICA

Powieść

Trylogja

7 wydanie

I. WIOSNA MIŁOSTEK II. KRÓLEWSKA MIŁOŚNICA III. POD GILOTYNĄ

Romans historyczny w wielkim stylu. Znakomity powieściopisarz skreślił burzliwy żywot najpiękniejszej kobiety Francji, jako też epokę Ludwika XV. i Wielkiej Rewolucji. Oto wstrząsająca lekcja dziejów wiecznie aktualna. Pani Dubarry jest szczytowym punktem poetyckiej twórczości Leo Belmonta. Okazał się on tutaj kunsztownym snycerzem bohaterki romansu oraz przenikliwym malarzem całej epoki. Potrafił rozwiązać wielkie zagadnienia polityki, religij, sztuki i kultury czasu, jako też wielkiej i tragicznej miłości z jednakowem mistrzostwem.

JURIJ SŁJOSKIN

OLGA ORG

Powieść

przełożyła Marja Kreczowska

7 wydanie

Romans niezwyklej namiętności. Aleksander Kuprin pisze: „Wielki powieściopisarz rosyjski dał nam porywający obraz duszy studentki. Ja, co przez długi szereg lat nie znałem też, wybuchnąłem płaczem serdecznym po przeczytaniu tej dziwnej, istotnie cudownej książki“.

JAKÓB WASSERMANN

USTA NIGDY NIECAŁOWANE

Przekład L. Belmonta

10. wydanie

Opowieść mistrzowska o dziewczęciu, którego cudnych ust nikt nie tknął za życia — o demonie kobiecie, kuszącej do zbrodni obietnicami wyrafinowanych rozkoszy — i o wytwornym starcu, napawającym się skrycie uciechami biblijnego patriarchy.

CLAUDE ANET

ARJANA

Powieść

przekład L. Staffa

22. wydanie

„Przeczytałem tę powieść jednym tchem. Jest to historia młodziutkiej dziewczyny rosyjskiej, która przyjacielowi swemu opowiada mnóstwo skłamanych przeżyć ze swej przeszłości. . . Jest to od wielu lat pierwszy romans jaki czytałem. Delikatna Arjana, w czapce rosyjskiej gimnazjastki na złotej, krótko przystryżonej główce, żyła, paplała, kłamała, płakała, promieniowała w mych oczach. Wzbogaciłem się o jeden żywot ludzki. Widziałem ją „nieżywą“, gdy okrutnie opanowana, pozwalała się bezwolnie całować, widziałem ją jako wesołą, siedemnastoletnią dziewczynę, wybiegającą z koleżankami z gimnazjum, widziałem ją pobłądłą na stacji kolejowej, przechadzającą się w beznadziejnym niemal oczekiwaniu. Arjana należy dla mnie do najpiękniejszych typów kobiecych, jakie poznałem, stawiam ją obok Szarlotty, Manon i Wiktorji“.

H. G. Wells.

JAKÓB WASSERMANN

ZŁOTE ZWIERCIADŁO

Powieść

10. wydanie

W zwierciadle tem zobaczycie mnóstwo znajomych twarzy i postaci. Kobiety, mężczyźni, zwierzęta, wiesniacy, artyści, dziwacy, zbrodniarze, głupcy, sny i cuda; wszystko to odzwierciedla się w tem szkle przedziwnem.

MARTA OSTENSO

KRYK DZIKICH GĘSI

Powieść

przekład L. Staffa

11. wydanie

Wiadomości literackie: „Osteno jest odkryciem literackim wielkiej wagi — jej dzieło czemś swoistem, przypominającym tylko Hamsuna i Reymonta. Nie „romans chiopski“, lecz historia ludzi, związanych z ziemią, wrostłych w grunt, albo chcących wyrwać się zeń, miotanych pomiędzy miłością ojczyzny, a poczuciem niewoli w przykuciu do kraju Północy, do tej skąpej, skalistej ziemi, która w tej książce jest nietylko sceną dramatu, ale motywem tragedji ludzkiej.

MARJA, KRÓLOWA RUMUNJI

GŁOS NA SZCZYTACH

Powieść

przełożyła Z. Rabska

Powieść ta jest jednym wzniosłym hymnem na cześć miłości i dobywa z człowieka jego najwyższe człowieczeństwo. Prasa angielska, francuska i niemiecka bez różnicy przekonań politycznych powitała fascynującą w swej treści i formie artystycznej powieść królowej rumuńskiej ze szczerym entuzjazmem.

OSTATNIE NOWOŚCI:

HALL CAINE: **ZAKŁADNIK**

Powieść przełożyła Marja Kreczowska

HALL CAINE: **RUDY JAZON**

Powieść przełożyła Marja Kreczowska

HERMAN BANG: **MICHAEL**

Powieść przełożył L. Staff

SIMONA BODEVE: **PIETNO**

Powieść przełożył L. Staff

ANTONI MARCZYŃSKI: **PERŁA SHANG-HAJU**

Powieść

GABRIELE D'ANNUNZIO: **W ODMĘCIE NAMIĘTNOŚCI**

Powieść przełożył L. Staff

JAKÓB WASSERMANN: **EWA** Z cyklu: „Człowiek złudzeń“ część druga

Powieść przełożył F. Mirandola

LEO PERUTZ: **TRZECIA KULA**

Powieść przełożył Marceli Tarnowski

NAJBLIŻSZE NOWOŚCI:

PELADAN: **UNA CUM UNO**

Powieść przełożył Marceli Tarnowski

PELADAN: **ZŁOTO**

Powieść przełożył Marceli Tarnowski

JAN BOJER: **WIELKI GŁÓD**

Powieść przełożył L. Staff

JAKÓB WASSERMANN: **NIEWOLNICZY ŻYCIA**

Powieść przełożył L. Staff

HERMAN BANG: **TRAGEDJA BEZDOMNYCH**

Powieść przełożył L. Staff

HERMAN BANG: **CZTERY DJABŁY**

Powieść przełożył F. Mirandola

ANDRÉ MAUROIS: **DZIECIĘ SŁOŃCA** (Shelley)

Powieść przełożyła Z. Rabska

HERMAN BANG: **PRZY DRODZE**

Powieść przełożył F. Mirandola

HERMAN BANG: **TINA**

Powieść przełożył L. Staff



900
600/68478/1088

Ant. Hank.
W. No. 4, No. 84
-900-

Wizerunki słynnych kobiet i mężów:

HARRY SHEFF

LUKRECJA BORGIA

Powieść 12. wydanie

LEO BELMONT

MARKIZA DE POMPADOUR

Powieść 6. wydanie

Miłośnica królewska? Nie! Właściwa kierowniczką Francji, bohaterką epoki Ludwika XV., symbol piękności niewieściej i mocy kobiecej, reprezentantką mody i sztuki. Z umiłowaniem historyka i natchnieniem subtelnej fantazji kreśli tu autor całe pokolenie epoki Woltera i Diderota.

LEO BELMONT

MARY VETSERA

Powieść TRAGEDJA MIŁOŚCI 14. wydanie

Tragedja śmierci osiemnastoletniej Mary Vetsera, ukochanej arcyksięcia Rudolfa poraz pierwszy zostaje tu przedstawiona z dokładnym uwzględnieniem prawdy dziejowej, wydobytej z niewątpliwych dokumentów.

LEO BELMONT

TRAGEDJA HABSBUROW

Powieść 14. wydanie

Powieść niniejsza nie jest li tylko historją wielkiej i tragicznej miłości, ale jest zarazem tragedją jednego z najpotężniejszych państw w Europie, której wynikiem jest niepodległość Polski. Porywający romans historyczny utwór niezwyklej fantazji mistrza stylu.

LEO BELMONT

PANI DUBARRY

Trylogja 7. wydanie

I. WIOSNA MIŁOSTEK II. KRÓLEWSKA MIŁOŚNICA III. POD GILOTYNĄ Znakomity powieściopisarz skreślił burzliwy żywot najpiękniejszej kobiety Francji, jakoteż epokę Ludwika XV i Wielkiej Rewolucji. Wstrząsająca lekcja dziejów wiecznie aktualna.

LEO BELMONT

NAJPIĘKNIEJSZE OCZY LONDYNU

LADY HAMILTON

Powieść

LEO BELMONT

OSTATNIA MIŁOŚĆ LORDA NELSONA

TRIUMF MIŁOŚCI

Powieść

Dzieje serca najpiękniejszej kobiety. Losy dziewczyny wiejskiej, która szła przez mrok zaufków i blaski salonów, z nicości do wpływu na dzieje, od bogactw i potęgi do przepaści. Najwyższy tragizm życia w świetle historii.

LEO BELMONT

KAPŁANKA MIŁOŚCI

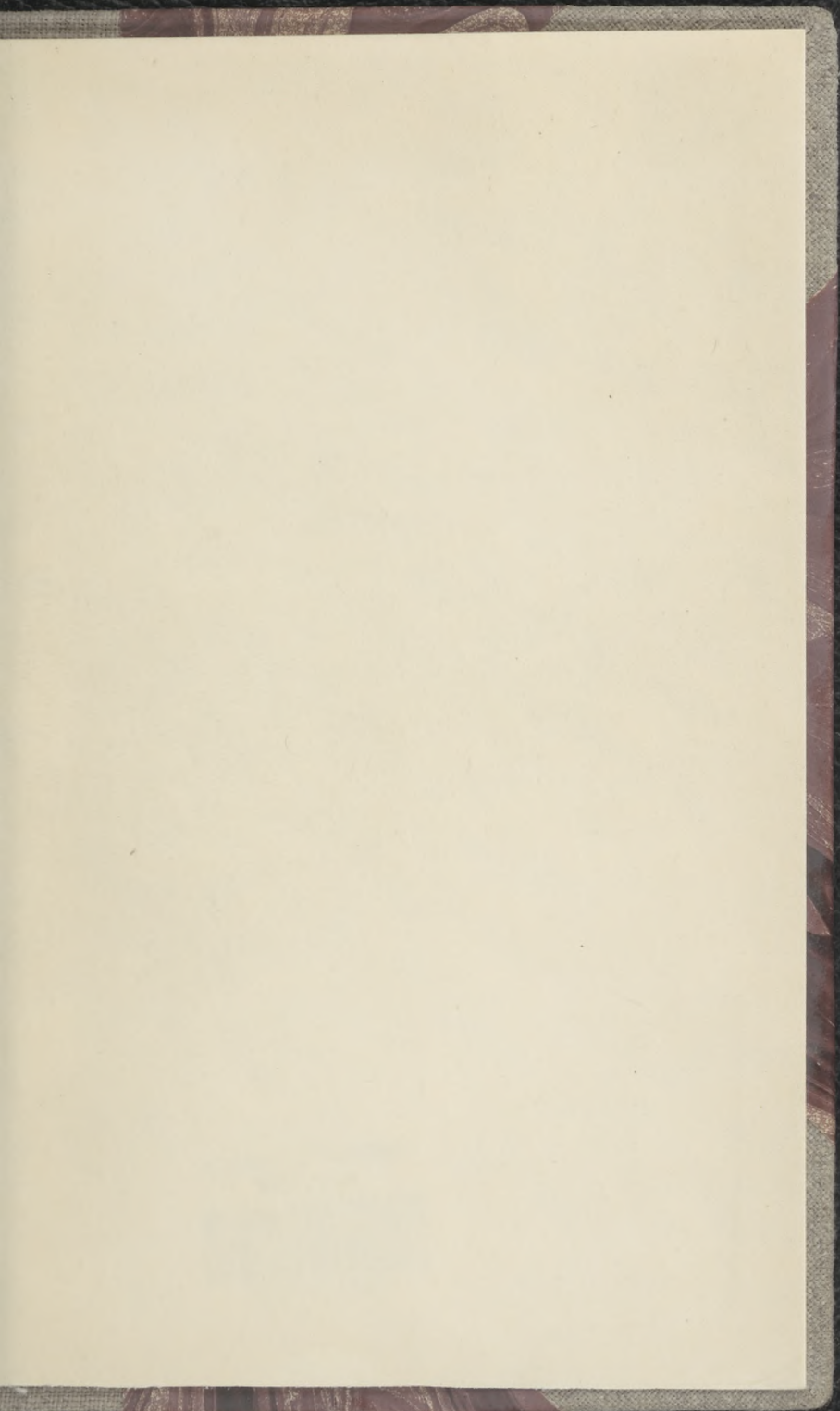
Powieść o Ninon de Lenclos.

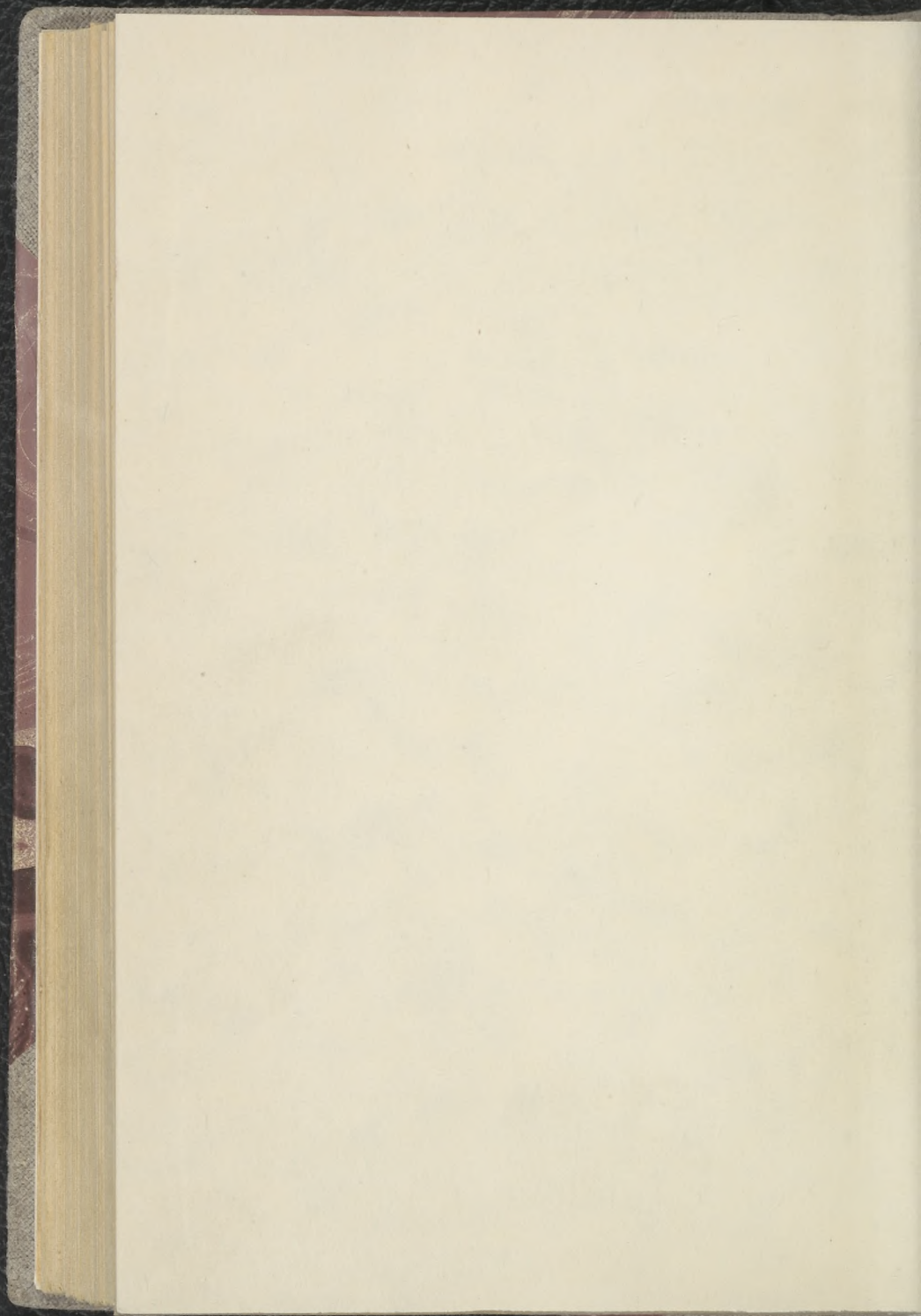
Kobieta wiecznie piękna i wiecznie młoda ukochana przez wszystkich. Niemal cała epoka w osobach najlepszych swych przedstawicieli, we wszystkim co było geniuszem wieku Ludwika XIV, legła u jej stóp.

W druku i w przygotowaniu:

MESSALINA — NINON DE LENCLOS — MARJA ANTONINA — MARJA STUART — CEZARY BORGIA — GARIBALDI — MICHAŁ ANIOŁ — BALZAC — VERDI — PAGANINI — SZUBERT — SZEKSPIR — D'ISRAELI — SPINOZA — DÜRER — SHELLEY — ALEKSANDER WIELKI — CHAPLIN — MOJZESZ — CHRYSZTUS

FRYDERYK SZOPEN — MIKOŁAJ KOPERNIK — BARBARA RADZIWIŁŁÓWNA — MARJA MNISZKÓWNA — HALSZKA OSTROGSKA — KOŚCIUSZKO — KSIĄŻĘ PONIATOWSKI — STANISŁAW AUGUST PONIATOWSKI — POLSKI CAGLIOSTRO — WIT STWOSZ.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001021126251



1467265

